

MF

OGNIE AZEROTH

W skład cyklu C. J. Cherryh o Morgaine wchodzi

tom I — Brama Ivrel

tom II — Studnia Shiuanu

tom III — Ognie Azeroth

tom IV — Brama Wygnania (w przygotowaniu)

C. J. CHERRYH

OGNIE AZEROTH

Przełożył Leszek Ryś

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 1994

Tytuł oryginału *Fires of Azeroth*

Copyright © 1979 by C. J. Cherryh — By arrangement with DAW
Books, Inc., New York.

AU rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 1994

Copyright © for the cover illustration by Michael Whelan/ via
Agentur Schluck

Redaktor Grzegorz Dziamski

Ilustracja na okładce Michael Whelan

! (p^acowanie *gr aficzne

Jacek Pietrzyński

2 tW-1 ' 1

vii ■

:0-

«to(fifł

168.108

>Q RBP im. T.Zelenaya ;[]

K

00 004049 *

Dom Wydawniczy REBIS
ul. Marcelesińska 18, 60-801 Poznań
tel. 65-66-07, tel./fax 65-65-91

-

m,, A»,

która w głębi serca jest Kurshinem...

*Dla Brada, który zadawał właściwe
pytania.*

PROLOG

Pierwszą Bramę ąhalowie napotkali na jednym z martwych światów wokół własnego słońca. Nie wiedzieli, kim byli jej budowniczkowie ani co z nimi się stało. I nigdy nie mieli się tego dowiedzieć. Zainteresowała ich za to możliwość zdobycia niewyobrażalnej władzy, którą ofiarowała: wolności, skrócenia przestrzeni i przeskakiwania ze świata do świata, od gwiazdy do gwiazdy po tym, kiedy ich statki, przemierzywszy przestrzeń kosmiczną w rzeczywistym czasie, przeniosą technologię Bram i ustanowią między nimi więź. Bramy stanęły w każdym zakątku ąhalskiego świata. Ogromne, kosmiczne imperium oplótła, transportująca w mgnieniu oka, pajęcza sieć.

I tym właśnie ściągnęli na siebie zgubę... gdyż Bramy przenosiły nie tylko w PRZESTRZENI, ale i CZASIE, i to w obu kierunkach: w przyszłość i w przeszłość, szlakiem słońc i światów.

Qhalowie zyskali potęgę przerastającą ich najśmielsze marzenia. Zerwawszy okowy czasu, zapełnili światy skupiskami zwierząt, roślin, a nawet istot ąhalopodobnych — wyszukanych na najdalszych krańcach zawieszanej w sieci Bram przestrzeni; stworzyli piękno i kaprys, pędzili do przodu w siedmiomilowych butach czasu, by ujrzeć rozkwit zasianych przez siebie cywilizacji. A jednocześnie ich poddani dokonywali, liczonego w rzeczywistych latach, zwyczajnego żywota — przed nimi Bramy wolności były zamknięte na głucho.

Czas rzeczywisty wydał się ąhalom nudny. Znana na wskroś terażniejszość, jakże przyziemna i pospolita, zamieniła się w klatkę, której ram żaden ąhal nie mógłby ścier-pieć. Ucieczkę obiecywała przyszłość. Jednak nie było powrotu z raz rozpoczętej podróży; próba ponownego otwarcia przeszłości byłaby zbyt niebezpieczna i mogłaby doprowadzić do potwornych zdarzeń: istniała bowiem śmier-

teina groźba zmiany tego, co było kiedyś. Jedynie dostępna okazywała się więc przyszłość. I ąhalowie wyruszyli.

Pierwsi śmiałkowie zachłystnęli się czasem, poznawali stulecia i nużyli się nimi, więc niecierpliwie migrowali ponownie, razem z dziećmi swoich dzieci, które przyłączały się do nich, etap za etapem, gmatwając prawo i związki społeczne. Wyruszały coraz liczniej i liczniej — uciekający przed nudą wieczni malkontenci; szukając przyjemności, nie zatrzymywali się nigdzie na dłużej, aż ich tłumy znalazły się w przyszłości, gdzie obcy dla nich czas stawał się coraz mniej stabilny.

Niektórzy poszli dalej, w nadziei znalezienia Bram, które mogły, lecz nie musiały, być tam, gdzie mówiły przepowiednie. Większość, całkowicie utraciwszy odwagę oraz wiarę w istnienie następnych przyszłości, zaczęła się ociągać. W końcu przegrali, żyjąc w terażniejszości stłoczeni razem z własnymi przodkami, których szeregi nieustannie rosły. Rzeczywistość zmarszczyła drobne fale niestabilnych prawdopodobieństw.

Być może jakieś zdesperowane dusze umknęły w przeszłość, być może ciężar rozciągniętego czasu urósł nadmiernie, a to, co mogłoby być, pogmatwało się z tym, co już było. Qhal oszalał, postrzegając rzeczy, które przestały już istnieć i pamiętając to, czego nigdy nie było.

Czas rwał się wokół na strzępy — niewielki fale urosły w ogromne zaburzenia; nadwyreżona osnowa czasu i przestrzeni rozlatywała się w konwulsjach, implodowała, rozrywając całą ich rzeczywistość na strzępy.

Wtedy to wszystkie ąhalskie światy legły w gruzach. Ocalały jedynie okruchy ich minionej świetności: kamienie, tu i tam przedziwnie obojętne, niepokonane przez czas, gdzieniegdzie raptowne i nienaturalne jego ofiary... ziemie, na których cywilizacje zdołały się podźwignąć i takie, gdzie wszelkie życie zamarło, zostawiwszy na świadka ruiny.

*

Ludzie istnieli tam wcześniej. Stali się ofiarami ąhalów i mimowolnie zostali uwikłani w rozpad ich świata. Oni

także zajrzeli do Bram, lecz przelekli się widoku, który ujrzeli — potęgi i spustoszenia. Setka mężczyzn i niewiast wyszła przez Bramy. Oddział ten nie miał już zasnąć powrotu do domu, bo istniało dla nich jedynie to, co mieli przed sobą: musieli zapieczętować Bramy z przeciwnej strony czasu, niszcząc je po kolei, i rozsypać śmiertelną pajęczynę utkaną przez ąhalów... Aż po Ostateczną Bramę lub też... po kres czasu.

Pieczętowali światy, jeden po drugim... Jednak ich szeregi topniały, a życie, przedłużone na tysiąclecia czasu rzeczywistego, stało się dziwaczne. Z drugiego i trzeciego pokolenia ocalała zaledwie garstka — a i z tej resztki niektórzy popadli w szaleństwo.

Wtedy ogarnęła ich rozpacz, że próżne są ich zmagania, gdyż ominięcie jednej, jedynej Bramy i jej złe wykorzystanie sprawi, że wszystko, rozpocznie się od nowa i źle wykorzystana — mniejsza o to, kiedy — obróci wniwecz wszelkie ich dokonania.

Z tej oto bojaźni stworzyli oręż — niezniszczalny, chyba że przez same Bramy, które dawały mu moc; mający ich chronić; w którym zawarli całą wiedzę o Bramach, wszystko, co tylko udało im się zebrać na zgubę owej paradoksalnej Bramy Ostatecznej, za którą nie było już żadnej drogi... czy też czyhało coś jeszcze gorszego.

Pięcioro ich było, kiedy Oręż został wykuty — ocalała tylko jedna z nich, by go nieść.

„Kroniki nie mają sensu. Osobliwa to próżność, czynić zapiski, skoro my jesteśmy ostatni, jednak rasa powinna zostawić jakiś ślad po sobie. Świat toczy się do przodu... i kres jego coraz bliższy.

Nadejdzie nie za naszego żywota, lecz wkrótce, a my zawsze miłowaliśmy pomniki.

Wiedz, że to Morgaine kri Chya doprowadziła nas do ruiny. Morgen-Angharan, jak zwali ją Ludzie: Biała Królowa, biała jak pióra mew — śmierć, która na nas przyszła.

To Morgaine zgasiła ostatni promyk światła na północy, obróciła w perzynę Ohtij-in i osierociła ziemię z jej mieszkańców.

Jeszcze przed początkiem tego wieku była przekleństwem ludu naszego, gdyż to ona wiodła Ludzi Ciemności, tysiąc lat przed nami; to za nią przyszli aż tutaj, na swą własną zgubę. A Człowiek, który jedzie przed nią i ten, który jedzie z nią ramię w ramię, są na jej obraz i podobieństwo — gdyż tacy jak ona zawsze stoją u jej boku.

W śnie snujemy marzenia, moja królowa i ja, każde na swoją modłę. Wszyscy inni odeszli z Morgaine."

— Napis wyryty na kamieniu, na nagiej wyspie Shiuan.

•

^^■^"^^

ROZDZIAŁ I

Równina ustąpiła miejsca puszczy, lecz nie zatrzymali się na popas; nie zrobili tego, aż nie zgęstniały zielone cienie, a zachód słońca nie ochłodził powietrza.

t

Od jakiegoś czasu Vanye przestał oglądać się za siebie oddychał z większą ulgą, myśląc o bezpieczeństwie własnym i swego suzerena. Nie zsiadli z koni, póki nie ściemniło się całkowicie.

Wtedy Morgaine skróciła wodze siwemu Siptahowi i osadziła go obok strumyka na polance, pod sklepieniem gałęzi odwiecznych drzew. Miejsce było zaciszne i przyjemnie byłoby stanąć tu na popas, gdyby nie ścigający ich strach.

— Nie znajdziemy nic lepszego — rzekł Vanye. Morgaine przytaknęła skinieniem głowy, zsuwając się z siodła.

— Ja zajmę się Siptahem — odezwała się, gdy i on stanął na ziemi.

Troska o wierzchowce należała do jego obowiązków, tak samo jak niecenienie ognia i zapewnianie wszelkiej wygody Morgaine. Taka była powinność *ilina* wobec swego suzerena. Jednakże mieli za sobą wyczerpującą jazdę, która trwała nie od wczoraj, a jego dręczyły odniesione rany, więc był jej wdzięczny za tę propozycję. Uwiązał swą gniadą klacz do palika i wytarł ją troskliwie, gdyż dała z siebie wiele, by pokonać odległość, jaką przebyli w ciągu kilku ostatnich dni. Nie mogła się równać z siwym ogierem Morgaine, ale była odważna i, co najważniejsze, otrzymał ją w darze. Dziewczyna, która mu ją dała, zaginęła; nie zapomniał jej i nigdy nie zapomni. To dlatego tak troszczył się o swą drobną klacz z Shiuanu, a poza tym pochodził przecież z krainy Kurshinów, gdzie dzieci potrafią się utrzymać w siodle, nim jeszcze wesprą się pewnie stopami na ziemi, i czuł się źle, zmuszając wierzchowca do nadmiernego wysiłku.

Skończył i nazbierał naręczce drew na opał, co w takiej gęstwinie nie było uciążliwym zadaniem. Zaniósł je Mor-

11

gaine, która tymczasem już wzniciła niewielki ogienek pod hubką. Nie sprawiło jej to najmniejszego kłopotu, ale sposobów, jakich ona używała, on wolałby się nie imać. Nie byli sobie równi.

Okrycia ich były podobne i zgodne z modą Andur-Kurs-hu. On miał na sobie skóry brązowe, ona czarne; jego kolczuga spleciona była z szerokich pierścieni, a jej utkana z drobniotkich, lśniących jak srebro oczek, jakich zwyczajny pancernik nie byłby w stanie urobić. On pochodził z uczciwego rodu ludzkiego, a Morgaine — co było widać — nie. Jego oczy i włosy były brunatne jak ziemia An-dur-Kurshu, jej oczy — bladoszare, a włosy jak poranny szron... ąhalski blond, białe jak u odwiecznych wrogów ludzkości, jak zło, które szło ich tropem, i choć zaprzeczała, jakoby krew ta płynęła w jej żyłach, on miał na ten temat swe własne zdanie. Pewne było jedynie to, że nie była lojalna wobec tej rasy.

Ostrożnie podsycił rozniecone przez nią ognisko, cały czas mając się na baczności przed wrogami. Nie ufał tej ziemi — byli tu przecież obcy. Jednak ogienek był nikły i skrywała ich puszcza. Potrzebowali tego ciepła, jego brak dał im się w ciągu minionych paru dni we znaki. Zasłużyli na nieco odpoczynku, skoro dotarli aż tutaj.

Przy świetle ogniska, dzieląc się sprawiedliwie, uszczknęli nieco z żywności, jaka im jeszcze została. Nie niepokoiło ich zbytnio, że zapasy topnieją, bo okolica zdawała się obfitować w dziką zwierzynę. Odłożyli jedynie nieco stęchłego chleba na następny dzień. Co prawda rozleniwiony jedzeniem chętnie wyciągnąłby się na ziemi, lecz już w drodze przysypiał w siodle, gotów więc był stanąć na warcie podczas snu Morgaine.

Jednakże Morgaine ujęła swój miecz i wysunęła go nieco z pochwy. Na ten widok uleciała z niego wszelka myśl o śnie.

Imię jego było „Odmieniec”; złe imię nikkzemnej rzeczy. Nie lubił się do niego zbliżać — czy tkwił w pochwie, czy też był obnażony — ale ostrze było jakby częścią Morgaine, nie miał więc wyboru. Z pozoru był to miecz — o smoczej

rękojeści, misternie zdobiony, wykuty w Korisie w krainie Andur wiek przed jego narodzinami — tylko że klingę wykonano z zaostrego kryształu. Wyróżniło na niej zawile kształty run, które teraz mieniły się miękkimi, opalizującymi barwami. Lepiej było nie patrzeć na owe kolory, bo to przytępiało zmysły. Czy można było bezpiecznie dotykać ostrza, gdy kryła go pochwa, tego nie wiedział i ani mu się śniło dowiadywać — Morgaine nigdy nie sięgała po niego pochopnie. Tak było i teraz. Wstała, zanim zupełnie obnażyła głownię.

Gdy miecz wysunął się z pochwy, rozbłysły opalizujące barwy, ich światło wywołało z otaczającego ich mroku przedziwne cienie. Na sztychu miecza ciemność przybrała kształt studni — spoglądanie w jej wnętrze mogło być niebezpieczne. Zawyły wichry, a ciemność pochłaniała wszystko, z czym się zetknęła. „Odmieniec” czerpał swą moc z Bram i sam w istocie był Bramą, przez którą jednakże nikt nie odważyłby się wyruszyć w podróż.

Miecz wiecznie poszukiwał swego źródła i lśnił najjaśniej, gdy był wymierzony w Bramę. Morgaine szukała, zatoczywszy nim pełne koło, przy wtórze wzdychających drzew i w narastającym jęku wichru, z rękami, twarzą i włosami skąpanymi w świetle. Garsć liści zerwanych z gałęzi pofrunęła w tę studnię ciemności i przepadła. Wymierzona na wschód i na

zachód klinga zamigotała lekko, ale — jak zwykle — rozżarzyła się najjaśniej wskazując południe. Od pulsującego światła bolały oczy. Morgaine, trzymając miecz skierowany w tę stronę, zaklęła.

- Nic się nie zmienia — rozpaczła. — Nic się nie zmienia.
- Błagam, *liyo*, odłóż go. Nie udzieli on nam pomyślniej-szej odpowiedzi, a jego moc źle na nas działa.

Tak postąpiła. Wicher zamarł, a zgubne światło zamigotało i zgasło. Morgaine, wsunawszy miecz na powrót do pochwy, usiadła z posepnym wyrazem twarzy, nie wypuszczając oręża z objąć.

— To, czego szukamy, jest na południu. Z całą pewnością.

— Spij — nalegał, bo wydawała mu się krucha i niemal przezroczysta ze zmęczenia. — *Liyo*, moje kości są obolałe, lecz przysięgam: nie zmruję oka, póki ty nie zaśniesz. Jeśli nie masz litości dla siebie, miejże jej odrobinę dla mnie. Spij.

Przetarła drżącą dłonią oczy i skinawszy głową na zgodę, wyciągnęła się na brzuchu, nie troszcząc się nawet o przygotowanie dla siebie legowiska. Podniósł się cichutko i wziawszy koce, ułożył jeden u jej boku, by przetoczywszy jej ciało, okryć ją drugim. Owinęła się nim z pomrukiem wdzięczności i po raz ostatni drgnęła, gdy wkładał jej zwiniętą opończę pod głowę. Zapadła w sen twardy jak u zmarłych, tuląc do siebie klingę, bowiem tego nikczemnego przedmiotu, który oddawał jej swe usługi, nie wypuszczała z rąk nawet we śnie.

Uzmysłowił sobie, że są właściwie zgubieni. Cztery dni temu przebyli otchłań — wzbraniał się o tym pamiętać — pomiędzy Bramami. Ta droga została zamknięta. Zostali odcięci od ziemi, na której byli uprzednio, i nie wiedzieli ani co to za ziemia, na której są obecnie, ani kto nią włada, jedynie to, że tędy wiodą Bramy, które trzeba przekroczyć, zniszczyć i zapieczętować. Na tym polegała wojna, którą toczyli przeciw starożytnej magii, przeciw mocom rozpiętym przez ąhalów. Podróż stała się obsesją Morgaine. On szedł z konieczności, gdyż był jej sługą. Nie obchodziło go, dlaczego czuje się zobowiązana nie schodzić z raz obranej drogi; jego wiązała przysięga złożona jej w Andur-Kurshu. Teraz poszukiwała Głównej Bramy tego świata, którą należało zatrzaskać naглуcho. Odnalazła ją w końcu. „Odmieniec” nigdy nie kłamał: to była ta sama Brama, przez którą wkroczyli na te ziemie, a za nimi ich wrogowie. Uciekli stamtąd, by ocalić życie... Gorzka ironio! Uciekli z miejsca, w którego poszukiwaniu tutaj przybyli, a ono teraz wpadło w ręce ich wrogów.

— To dlatego, że ciągle jesteśmy w zasięgu Bramy, którą dopiero co zostawiliśmy za sobą — argumentowała Morgaine na początku ich ucieczki na północ, gdy miecz ostrzegł ich po raz pierwszy. Jednakże, choć odległość pomiędzy nimi a mocą stawała się coraz większa, miecz niezmiennie udzielał tej samej odpowiedzi, aż pozostał tylko cień wątpliwości. Morgaine mamrotała coś o horyzontach, zakrzywieniu ziemi i o jeszcze innych możliwościach, których nie mógłby pojąć, ale w końcu potrząsnęła głową, utwierdzona w swych najgorszych obawach. Jedyne, co im pozostało, to ucieczka. Próbował jej wytłumaczyć, że zostając tam, na pewno ulegliby wrogom, jednak to wcale nie zmniejszyło jej rozpacz.

— Będę wiedziała na pewno — powiedziała — jeśli sygnał nie osłabnie do dzisiejszego wieczoru. Miecz może odnaleźć pomniejsze Bramy i możliwe, że jesteśmy po złej stronie świata albo zbyt oddaleni od innej. Ale pomniejsze Bramy nie lśnią tak jasno. Jeśli tej nocy rozjarzy się tak jak poprzedniej, dowiemy się ponad wszelką wątpliwość, co uczyniliśmy.

I dowiedzieli się.

Vanye rozluźnił nieco zapinki swej kolczugi. Czuł wszystkie swoje kości, jednak tej nocy mógł się przynajmniej owinać opończą, usiąść przy ogniu w kryjówce, która chroniła go przed wzrokiem wrogów — a to było więcej, niż udało mu się zaznać od bardzo dawna. Okrył się i oparł plecami o wiekowe drzewo, kładąc nagi miecz na kolanach. Na koniec zdjął owinięty białą chustą *ilina* hełm, z przyjemnością uwalniając się od jego ciężaru. Odłożywszy *go* na bok, potrząsnął głową, by rozpuścić swobodnie włosy. W lesie panował spokój. Woda chlupotała na kamieniach, szeleściły liście, konie, szczypiąc krótką trawę pomiędzy drzewami, cicho poruszały się na swoich postronkach. Jego shiuańską klacz wyhodowano w stadninie i instynkt nie podpowiadał jej, co to wróg, nie nadawała się zatem na wartownika, lecz Siptah był strażnikiem równie godnym zaufania, jak człowiek — ułożony do

walki, miał się przed obcymi na baczności.

Vanye ufał siwemu ogierowi jak towarzyszowi na warcie, dzięki niemu nie czuł się tak samotny na tym świecie. Czuł sytość, noc była ciepła, obok płynął strumień, w którym mógł ugasić pragnienie i z pewnością nie brak tu było dzikiej zwierzyny. Wszedł mały, niegroźny księżyc, drzewa szumiały wokół jak w utraconych puszczech Anduru — zbawienna to rzecz, gdy nie istnieje droga powrotna do domu, natknąć się na coś, co go przypomina. Mógłby spokojnie odpocząć, gdyby „Odmieniec” wskazał inny kierunek.

Brzask wstał miękko i delikatnie, przy wtórze śpiewu ptactwa i parskania koni. Vanye wciąż siedział z głową wspartą na dłoni, usiłując nie zamknąć zamglonych oczu. Rozejrzył się dookoła w pierwszych, miękkich promieniach dziennego światła.

Morgaine za jednym zamachem uniosła się, sięgnęła po broń i zamruła na jego widok zawiadziona, wspierając się na łokciu.

— Co się stało? Czyżbyś zasnął na warcie?

Potrząsnął głową. Spodziewał się nawet wybuchu jej gniewu.

- Postanowiłem cię nie budzić. Wyglądasz na przemęczoną.
- Sądzisz, że wyświadcysz mi uprzejmość, spadając w ciągu dnia z siodła?

Uśmiechnął się i jeszcze raz zaprzeczył, przygotowany na kąśliwe uwagi. Ich żądło bywało bolesne. Nie znosiła, gdy ktoś troszczył się o nią, dla udowodnienia swych racji była zbyt skłonna brać wszystko na siebie, nawet gdy mogła odpocząć. W ich wypadku nie powinno oczywiście tak być; on był *ilinem*, a ona *liyo*. On był wasalem, a ona suzerenem. Jednak nie chciała nauczyć się polegać na innych.

Spodziewa się mojej śmierci, pomyślał stroskany dalekim echem złowróbnego przeczucia. Tak jak innych, którzy byli jej sługami. Czeka na to.

— Mam osiodłać konie, *liyo*?

Usiadła, zarzuciła sobie koc na ramiona i wbiła wzrok w ziemię, przykładając dłonie do skroni.

— Muszę się zastanowić. Musimy znaleźć drogę powrotu.

— Najlepiej się myśli, gdy jest się wypoczętym.

Przelotnie zajrzała mu w oczy i natychmiast pożałował uszczypliwych uwag, na które, strapiiony jej nawykami, uparcie sobie pozwalał. Wiedział, że teraz wybuchnie i przypomni mu jego miejsce. Przeżył coś podobnego ze sto razy lub więcej i marzył tylko, by mieć to już za sobą.

— Najpewniej tak — odparła cicho, zbijając go z pan-tałyku. — Tak, siodłaj konie.

Wstał i z ciężkim sercem zrobił, co mu kazała. Jego ruchom towarzyszył ból. Kulał i dawało mu się we znaki klucie w boku. Pęknięte żebro, pomyślał. Nie ulegało wątpliwości, że ona też cierpiała. Ciało zdrowiały, sen przywracał siły. Zaniepokoił go jednak jej niespodziewany spokój, a w nim samym uczucie rezygnacji i desperacji. Podróżowali razem zbyt długo, w tempie nużącym dla ciała i nerwów, bez odpoczynku, chwili wytchnienia — od świata do świata. Nie umarli od ran, ale przecież pozostawała jeszcze dusza, przytłoczona brzemieniem zbyt licznych śmierci i wojen, horrorem, który wciąż ich ściagał, polował na nich, do którego teraz musieli powrócić. Nagle zatęsknił do jej gniewu, do czegoś, co było dla niego zrozumiałe.

r-- *Liyo* — odezwał się, uporawszy się z końmi, gdy ona na klęczkach zakopywała ognisko i zacierała wszelkie po nim ślady. Ukłął na oba kolana, on był przecież *ilinem*. — *Liyo*, przychodzi mi na myśl, że skoro nasi wrogowie są w miejscu, do którego musimy powrócić, to szybko się stamtąd nie ruszą. Dla nich przejście nie było łatwiejsze niż dla nas. W naszym imieniu, *liyo*, błagam cię. Wiesz, że będę z tobą szedł dopóty, dopóki będziesz uważała, że to jest z korzyścią dla ciebie i zrobię wszystko, czego zażadasz. Ale jestem znużony, dręczą mnie nie zagojone rany i — w moim mniemaniu — odrobina odpoczynku, kilka dni na odświeżenie koni, upolowanie zwierzyny i odnowienie zapasów... Czyż rozsądniej nie byłoby zatrzymać się na dłuższy popas?

Błagał we własnym imieniu. Gdyby zdradził się, że troszczy się o nią, wtedy instynktowny upór nakazałby jej sprzeciwić się twardo zdrowemu rozsądkowi. Mimo to spodziewał się raczej wybuchu gniewu niż zgody. Ona jednakże

kiwnęła ociężale głową i — czym poczuł się jeszcze bardziej zmieszany — położyła mu dłoń na ramieniu. To było przelotne muśnięcie, jednak pomiędzy nimi nieczęsto dochodziło do takich gestów, a przejawów zażyłości nie było nigdy.

- Wyjedziemy dziś na skraj puszczy — powiedziała — zobaczymy, jaką grę zacząć. Zgadzam się,

że nie powinniśmy przemęczać koni; zasłużyły na mały odpoczynek, tu i ówdzie zaczynają już wystawać im kości. Zauważyłam, że kulejesz, często używasz tylko jednej ręki, a mimo to chcesz wziąć wszystkie obowiązki na siebie. Gdyby ci na to pozwolić, robiłbyś wszystko sam.

- Czyż nie tak być powinno?

- Wielekroć byłam wobec ciebie niesprawiedliwa. Proszę, byś mi to wybaczył.

Próbował się uśmiechnąć, zbyć jej słowa, bo coraz bardziej nie w smak mu było ogarniające go uczucie melancholii. Ludzie przekleli Morgaine — w Andurze i w Kurshu, w Shiuanie i Hiujaju, i na rozdzielających je ziemiach. Z powodu szaleństwa, które pchało ją do czynu, poległo więcej przyjaciół niż wrogów. Raz poświęciłaby nawet jego życie i zrobiłaby to powtórnie, czego — uczciwie — nie ukrywała.

— *Liyo* — odezwał się — rozumiem cię lepiej, niż myślisz.

Wiem, co tobą kieruje, choć nie zawsze pojmuję dłaczego.

Jestem tylko związanym przysięgą *ilinem* i nie mogę się spierać z tym, komu dałem swe przyrzeczenie. Wiem jednak jedno: to, czemu ty służysz, jest bezlitosne. Jesteś szalona, jeśli myślisz, że trzyma mnie przy tobie tylko przysięga, którą ci złożyłem.

Słowa zostały wypowiedziane. Pożałował tego i wstał, by przytroczyć ich rzeczy do siodła. Zrobiłby wszystko, by uniknąć jej wzroku.

*

Morgaine milczała podczas jazdy, która okazała się przyjemną wycieczką wzdłuż krętego łożyska strumienia. Pokonało go w końcu znużenie po nie przespanej nocy, a więc schylił głowę i objawszy się ramionami zasnął w siodle, tak jak to robią Kurshinowie. Wysunęła się na czoło i strzegła go przed gałęziami. Słońce przygrzewało, szelest liści bardzo przypominał puszcę w Andurze, tak jakby czas wygiął swój grzbiet do tyłu, a oni jechali ścieżką, którą kiedyś wyruszyli.

Coś trzasnęło w zaroślach i sploszyło konie. Obudził się natychmiast, sięgając po miecz.

— Jeleń! — Wskazała poprzez drzewa miejsce, gdzie na boku leżało zwierzę.

To nie był jeleń, ale coś bardzo podobnego, o sierści przedziwnie nakrapianej w złote cętki. Zsiadł z konia, nie wypuszczając miecza z ręki, czując respekt przed rozłożystym porożem, ale kiedy go dotknął, przekonał się, że zwierzę było martwe jak kamień. Morgaine miała w zanadru jeszcze inną broń oprócz „Odmieńca”, broń ahalów, zabijającą na odległość bez szmeru i bez zadawania widocznych ran. Zeskoczyła z siodła i podała mu swój nóż myśliwski. Przystąpił do obdzierania ofiary ze skóry, wracając myślami w inne czasy, do innego zwierzęcia: prawdziwego jelenia i zimowej burzy w górach, w jego rodzinnym kraju.

Otrząsnął się z tych wspomnień.

— Gdybym to ja polował — łupem byłaby jakaś drobna zwierzyna i ryby, a coś takiego trafiałoby się niezwykle rzadko. Muszę mieć własny łuk, *liyo*.

Wzruszyła ramionami. Prawdę mówiąc, jego duma została wystawiona na szwank, choć przecież to ona powinna żywić swego *ilina*. Czasami wyczuwał, że i jej duma cierpi, iż miast ogniska domowego może mu ofiarować tylko miejsce przy obozowym ogniu, pod baldachimem z gałęzi, i zazwyczaj szczupłe racje żywności. Ze wszystkich panów, którzy mogliby usidlić *ilina*, Morgaine była bez wątpienia najpotężniejszym, lecz i najbiedniejszym. Dała mu zagrabiony oręż, skradzionego wierzchowca i także zapasy. Żyli jak banda tępych rzezimieszków. Lecz od dziś przez kilka dni głód nie miał im w nocy doskwierać i zauważył, że to dlatego ugodziła w nią ukryta w jego słowach obelga. Wtedy poniechał pychy i ślubował wdzięczność za otrzymany dar.

W tym miejscu nie mogli marudzić zbyt długo: o ich obecności ostrzegały ptaki, jakieś stworzenia leśne rzuciły się do ucieczki — śmierć sama oznajmiała swoje przybycie. Wybrał najlepsze kawałki mięsa i oddzielił szybkimi, zręcznymi cięciami noża. Nauczył się tego, znalazłszy się poza prawem w Kurshu, gdzie polował na terytorium wrogich klanów, czujny jak wilk, gotów zabić i uciec, zacierając za sobą ślady. Był samotny aż do owej nocy spędzonej w jednym szałasie razem z Morgaine kri Chya, kiedy to przehan-dłował swą wolność w zamian za miejsce osłonięte od wiatru.

Obmył dłonie po krwawej pracy i przytroczył do siodła zawiniątko ze skóry, a Morgaine w tym czasie wciągnęła pozostałe szczątki w zarośla. Włócząc po ziemi nogami, zatarł wszelkie ślady; resztę zadepczą padlinożercy, maskując tym ich obecność. Dla pewności rozejrzał się dookoła uważnie, gdyż nie wszyscy ich wrogowie byli ludźmi urodzonymi w komnatach, o niewprawnym oku. Był między nimi jeden, który mógł podążać najniklejszym tropem i tego obawiał się najbardziej ze wszystkich.

Człek ten wywodził się z klanu Chya, z zalesionego Koris w krainie Andur — skąd pochodziła matka Vanye i... był bliskim krewnym jego matki, a przynajmniej taką postać przybrał ostatnimi czasy.

Wcześniej rozłożyli się obozem i najedli do syta. Przygotowali mięso, które musieli zabrać ze sobą, susząc je w dymie z ogniska, by jak najdłużej zachowało świeżość. Morgaine objęła pierwszą wartę, a Vanye ułożył się do snu. Sam się ocknął. Morgaine ani drgnęła, by go obudzić. Wyraźnie nie miała nawet takiego zamiaru — podejrzewał, że chciała zrobić to samo, co on ubiegłej nocy. Ustąpiła mu jednak bez protestu; nie należała do tych, którzy spierają się o byle co.

Objąwszy wartę, dorzucił do ognia patyków, by suszenie przebiegało jak należy. Pasy mięsa stwardniały; odciął kawałek i żuł leniwie. Niemalże zapomniał, że można mieć wolny czas — jeden dzień na odpoczynek, drugi do rozmyślań.

Konie prychnęły i poruszyły się ciemności. Siptah zainteresował się nieco małą kłaczą z Shiuanu. Byłby to nie lada kłopot, gdyby się ożrebiła, lecz na razie nie było takiego ryzyka. Były to typowe, kojące nerwy odgłosy.

Nagle prychnięcie, jakieś poruszenie w zaroślach... Poczul, jak sztywnieją w nim wszystkie mięśnie i serce zaczyna bić coraz szybciej. Zatrzeszczały krzewy, ale tym razem były to konie.

Drgnął i lekceważąc swe obrażenia, powstał w zupełnej ciszy. Końcem klingi dotknął wyciągniętej ręki Morgaine.

Otrzeźwiała w jednej chwili. Oczy wskazał jej źródło cichego szmeru, choć raczej zawierzył swej intuicji niż uszom. Konie wciąż były niespokojne.

Wstała równie cicho jak on. Jej ciemna sylwetka pojawiła się na tle rozżarzonych węgli; biała czupryna stanowiła wyraźny cel. Jej dłonie nie były puste. WTEIeTunku, skąd dochodziły szmery, wymierzyła ową niewielką, czarną broń, którą zabiła jelenia. Nie zasłoniła się tarczą, lecz przygarnęła do siebie „Odmieńca” — znacznie lepszą osłonę. Vanye, schwyciwszy swój miecz, wśliznął się w ciemności. Morgaine obrała inny kierunek i także zniknęła.

Zarośla poruszyły się. Konie szarpnęły się gwałtownie na postronkach i zarżały ostrzegawczo. Prześliznął się przez młodniak i nagle coś, co wydawało mu się kępą krzewów, poruszyło się. Ciemny kształt przypominał pająka; prze-, biegł go dreszcz na widok czegoś tak nagle przebudzonego do życia. Podążył za tym, próbując dotrzymać mu kroku. Zachowywał ostrożność, ponieważ i Morgaine wyruszyła na polowanie.

Kolejny cień; tym razem była to Morgaine. Zamarł, zważając na zasięg broni i jej śmiertelną moc, lecz Morgaine nie należała do posługujących się bronią panicznie i na oślep. Spotkali się i przez chwilę jeszcze posuwali się na czworakach. Żaden dźwięk nie zakłócał nocnej ciszy, z wyjątkiem odgłosów wywołanych ruchem wystraszonych koni.

To nie było zwierzę, Vanye wyprostowaną dłonią dał jej znak, że poruszało się w pozycji pionowej i dotknąwszy ramienia zwrócił uwagę, że powinni wrócić do ogniska.

Zawrócili bez zwłoki i podczas gdy on zasypywał ogień, ona zbierała ich rzeczy. To mogła być pułapka. Poczuli w ustach gorzki smak strachu zmuszającego do szybkiej uciezki. Zwinęli koce, osiodłali konie. Poruszając się bezszelestnie i sprawnie, zlikwidowali cały obóz. Pośpiesznie dosiedli koni i wyruszyli w ciemność, kierując się w inną stronę. Nie mieli zamiaru śledzić szpiega po to, by przekonać się, że ma on przyjaciół.

Nie dawało mu spokoju wspomnienie tego kształtu, osobliwy ruch, który zwiódł jego oczy, gdy zniknął.

— Dziwnie się poruszał — powiedział, kiedy oddalili się na znaczną odległość i mogli już mówić. — Jakby był pozbawiony stawów.

W ciemności nie mógł stwierdzić, co o tym sądziła Morgaine.

— Tam, dokąd wiodą Bramy, więcej jest dziwnych bestii — odezwała się.

Tej nocy już nic nie poruszyło się w ciemności. Zanim nastał dzień, przebyli szmat drogi. Posuwali się wzdłuż łożyska innego już chyba strumienia. Wił się leniwie, tak że podczas jazdy gałęzie zasłaniały ich to z jednej, to z drugiej strony, a zielona kurtyna uchylała się, aby na powrót opaść.

Nagle natknęli się na drzewo, którego pień obwiązano białym sznurem; stare umierające drzewo, rozłupane uderzeniem pioruna.

Vanye przystanął przy tym dowodzie obecności ludzi w tej okolicy, ale Morgaine trąciła Siptaha obcasami i podjechali trochę dalej, do miejsca, gdzie ślady kół przeorały mulistą glebę, przecinając strumień.

Ku jego rozczarowaniu Morgaine skierowała się tą drogą. Nie miała w zwyczaju szukać ludzi, których można by z łatwością zostawić w spokoju, lecz teraz wyraźnie zamierzała tak uczynić.

— Nieważne, gdzie jesteśmy — stwierdziła w końcu. —
Jeśli to poczciwi ludzie, musimy ich ostrzec przed tym,
cośmy tutaj ściągnęli, a jeśli nie, to rzucimy na nich okiem,
by sprawdzić, jaką też biedę możemy ściągnąć na głowy
naszych prześladowców.

Nic na to nie odpowiedział. Każde rozwiązanie wydawało się w tej sytuacji tak samo
dobre, jak pościg za tysiącami zbrojnych, w tym wielu na koniach, dysponującymi wystar-
czającą mocą, by wysadzić z zawiasów świat, przez który podróżowali.

Skrupuły. Morgaine twierdziła, że jest ich pozbawiona, i choć nie całkiem tak było, to
jednak nie bardzo mijają się z prawdą. A prawda była taka, że dzięki mieczowi, który
zwieszał się z siodła obok jej kolana, Morgaine miała swój mały udział w tej mocy. Nie
kierowało nią zatem czyste szaleństwo, gdy wstępowała na tę drogę, lecz pewna doza
bezwzględności.

On szedł, bo nie miał wyboru.

ROZDZIAŁ II

Wzdłuż całego szlaku, którym się posuwali, nie brak było śladów osadnictwa — dzieła rąk jakiejś
ludzkiej rasy; kolein, tropów rozszczępionych kopyt bydła i od czasu do czasu strzępków białej wełny
na gałęziach przydrożnych krzewów.

Tędy pędzili swe stada do wodopoju, pomyślał Vayne. Gdzieś niedaleko muszą się zatem
znajdować nie zalesione, zdatne na pastwiska połacie.

Gdy dotarli do miejsca, w którym zbiegały się wszystkie ślady, nastąpiło późne popołudnie —
najłagodniejsza pora dnia. Przed nimi ukazała się wioska, która gdyby nie wygięte dachy, mogłaby
rozciąść się gdzieś na skraju puszczy w Andurze; w całej swej krasie — cudownie oświetlona
pysznym, puszczańskim, zielonkawo-złotym światłem, które jak przezroczyście, unoszący się w
powietrzu słoneczny pył barwiło prastare bierwiona i kryjące się w cieniu odwiecznych drzew
strzechy. Gdyby nie fantazyjnie żłobione belki pod okapami chat, wioska nieomalże stopiłaby się w
jedno z puszczą. Ciasno skupionych domów nie otaczała żadna palisada. Wokół ciągnęły się jedynie
wybiegi dla bydła. Stała tam jedna czy dwie fury, widać było zakurzony plac i obszerną, zbudowaną z
bierwion i rzeźbionych bali, krytą strzechą wspólną chatę — żadną tam siedzibę seniora, lecz wiejską
budowlę o szerokich odrzwiach i mnóstwie okien.

Morgaine zatrzymała się na drodze, obok przystanął Vayne. Poczul żal i opadły go złe przecucia.

- Takie miejsce — rzekł — nie może mieć żadnych wrogów.
- Będzie ich miało — odparła Morgaine i ponagliła Siptaha.

*

Ich nadejście spowodowało ciche zamieszanie w wiosce: grupka zakurzonych dzieci wlepiła w nich
oczy, zapomniawszy o zabawie, jakaś kobieta wyjrzała przez okno i wyszła z chaty, ocierając mokre
dłonie o spódnicę, dwóch starców wylonilo się ze wspólnej chaty i stanęło przed jej wejściem
czekając, aż się zbliżą. Przyłączyli się do nich młodszy mężczyźni, jakaś stara kobieta, mniej więcej
piętnastoletni chłopiec i rzemieślnik w skórzanym fartuchu. Pojawili się i inni dorośli. Czekali z
namaszcczeniem... Ludzie o smagłej cerze i drobnej posturze.

Vayne rozglądał się wokół nerwowo. Zaglądał między chaty i drzewa, mierzył okiem szerokie pola,
których ogromne połacie rozciągały się za nimi. Omiatał spojrzeniem puste okna i drzwi, wybiegi dla
bydła i fury — szukał oznak zasadzki. Nie znalazł nic, lecz nie spuszczał dłoni z rękojeści miecza,

który zwisał u jego boku. Ręce Morgaine były puste. Trzymała je tak, by wszyscy je mogli zobaczyć — z jej postaci bił spokój. Vanye zaś bez skrępowań wodził wokół podejrzliwym okiem.

Morgaine ściągnęła wodze przed grupką mieszkańców skupionych przy schodach do wielkiej chaty. Wszyscy jednocześnie pokłonili się jej z powagą i gracją, jakby byli panami na włościach, a kiedy podnieśli na nią wzrok, na ich twarzach odbiło się zdziwienie, lecz próżno by było szukać w nich lęku.

Och, nie ufajcie nam, radził im w myślach Vanye. Nie wiecie, kto zjawił się między wami. Jednak na szczerych obliczach nie malowało się nic prócz ogromnego zachwytu. Najstarszy skłonił się*ponownie i przemówił.

Serce Vanye zamarło, gdyż Człowiek ten mówił w języku ąhalskim.

„Arrrthein”, pozdrowili Morgaine, co oznacza: „nasza pani”. Podczas wspólnej podróży Morgaine z uporem uczyła go kurtuazyjnych zwrotów; uczyła go też gróźb i takich słów, bez których niepodobna się było obejść. Ci niewysocy, smagli ludzie o tak nienagannych manierach nie byli ąhala-mi. Niewątpliwie jednak otaczano tutaj Stary Lud wielką czcią, a zatem powitali Morgaine tak jak ąhala, którym wydawała się z pozoru.

Starał się uspokoić, rozumując spokojnie: dawniej jego dusza Kurshina zadrżałaby na dźwięk tej mowy w ludzkich ustach, lecz teraz przecież niezadkim była gościem na jego własnych. Morgaine wytłumaczyła mu, że język był żywy tam, gdzie znajdowali się ąhallowie, w krainach, do których docierało się poprzez Bramy, i że nawet jego własny język zapożyczył z niego wiele słów— co uzmysłowił sobie z niepokojem. Zadziwiło go, że ci ludzie posługiwali się niemal czystym językiem, bez żadnych naleciałości. „Khemeis” — pozdrowili go, co zabrzmiało podobnie do „khemana”: „dotrzymujący towarzystwa”, „towarzysz”, być może, gdyż on nie mógł być „panem”, a w każdym razie nie tam, gdzie otaczano czcią ąhallow.

- Pokój wam — powitał ich cicho właściwymi słowami w tym samym języku.
- Czym możemy uradować was i waszą panią? — odparli z całą kurtuazją, lecz on, choć rozumiał, nie mógł odpowiedzieć.

Przemówiła do nich Morgaine, a po chwili, spojrzawszy na niego, rzuciła w języku ąhalskim:

— Z koni. To przyjazny lud. — Jej słowa były tylko uprzejmym gestem pod adresem gospodarzy.

Zeskoczył z konia, jak mu rozkazała, lecz zamierzał nadal trzymać się na baczności i pilnować jej pleców. Stanął z założonymi na piersi rękami — tak, by widzieć zarówno tych, z którymi rozmawiała, jak i ukradkiem mieć baczność na nowych, którzy przyłączyli się do zgromadzenia. Jak dla niego, było ich zbyt wielu i stali zbyt blisko, choć żaden z nich nie zachowywał się nieprzyjaźnie.

Rozumiał nieco rozmowę. Morgaine w swych lekcjach nauczyła go tyle, że mógł się domyślić, iż ofiarowano im gościnę i posiłek. Akcent obcych był nieco odmienny od wymowy Morgaine, lecz różnica nie była większa niż pomiędzy andurskim a jego ojczystym kurshijskim.

- Ofiarowują nam gościnę — rzekła Morgaine — i skłonna jestem ją przyjąć, przynajmniej na dzisiejszą noc. Nie widzę nic, co by mogło nam tu zagrozić.
- Zgodnie z twoją wolą, *liyo*.

Wskazała na ładne, mniej więcej dziesięcioletnie pacholę.

— Oto Sin, najstarszy syn kuzyna Bytheinów. Odesłano go, by zaopiekował się końmi, lecz wołałabym, żebyś zrobił to ty, a jemu pozwolił sobie pomóc.

Zatem zamierzała samotnie wejść pomiędzy obcych. Va-nye nie był tym zachwycony, lecz Morgaine dopuszczała się większych zuchwalstw, i to ona, uzbrojona, była z nich dwojga niebezpieczniejsza, choć wielu dawało się zmylić pozorom. Odczepił „Odmieńca” od siodła i podał go jej, po czym zebrał w swe dłonie wodze obu wierzchowców.

— Tędy, khemeisie — z szacunkiem zwrócił się do niego chłopiec.

Podczas gdy Morgaine w otoczeniu starszyny przekroczyła progi wielkiej chaty, chłopiec prowadził Vanye do zagrody, próbując dotrzymać mu kroku i popatrując na niego jak każde wiejskie pacholę, nieprzywykłe do widoku oręza i obcych. Być może zdumiewał go też jaśniejszym obliczem i wzrostem, który w oczach tych niewysokich ludzi musiał się wydawać olbrzymi. Niewielu z wioski dorastało Vanye do ramienia, a wyżej nie sięgał wzrostem nikt. Podejrzewał, że być może uważają go za półkwi ąhala. Dla niego nie był to honor, lecz ani myślał spierać się o to.

Gdy szli do zagrody, chłopiec paplał zawzięcie. Vanye zaczął zdejmować z wierzchowców siodła. Milczał, próżno było mówić do niego. W końcu fakt ten zaświtał w głowie Sina, gdy zadał kolejne pytanie.

— Wybacz. Ja nie rozumiem — odparł Vanye.

Chłopiec, zanurzwszy dłoń w grzywę klaczy i masując

jej szyję, podniósł na niego oczy, by popatrzeć przez zmrużone powieki.

— Khemeis? — zapytał.

Nie potrafił tego wyjaśnić. Mógłby powiedzieć: „Jestem tutaj obcy” albo: „Jestem z Andur-Kurshu”. Mógł użyć jeszcze innych słów, których nigdy nie zamierzał się uczyć, lecz rozsądek podpowiadał, by zostawić wyjaśnienia Morgaine, która wysłuchawszy tego, co mówili i dokonawszy wyboru, co ukryć, a co ujawnić, mogła zapobiec nieporozumieniom.

- Przyjaciół — rzekł, gdyż to też potrafił powiedzieć i twarz Sina rozjaśnił szeroki uśmiech.
- Tak — zgodził się Sin i gorliwie przystąpił do czesania klaczy.

Sin robił z zapałem wszystko, cokolwiek by mu pokazać. A gdy Vanye się uśmiechał, próbując okazać zadowolenie z jego pracy — promieniał radością. Poczciwy lud, pomyślał Vanye i poczuł się bezpiecznie u nich w gościnie.

- Sin — rozpoczął pieczołowicie ułożone zdanie — zaopiekuj się końmi. Zgoda?
- Będę spał tutaj — oświadczył chłopiec, a jego ciemne oczy roziskrzyło uwielbienie. —

Zaopiekuję się nimi, tobą i panią.

• Chodź ze mną — powiedział do niego Vanye, zarzucając na ramię sakwy z przyborami niezbędnymi na noc i żywnością mogącą zwabić dziką zwierzynę, a także — na wszelki wypadek, by uprzedzić wszelkich ciekawskich — torbę podróżną Morgaine.

Chłopiec był miłym kompanem, bo nie dość, że nie był ani odrobinę nieśmiały, to jeszcze w rozmowie z nim okazywał nadzwyczajną cierpliwość. Vanye położył dłoń na jego ramieniu i chłopiec wyraźnie urósł w oczach obserwujących ich z pewnej odległości rówieśników. Przemierzyli tak drogę do wielkiej chaty i wspięli się po drewnianych schodach do środka.

Wzdłuż osi izby, pod wysokimi krokiewkami ciągnęły się długie rzędy stołów i ław gotowych w każdej chwili na przyjęcie biesiadników. Ogromne palenisko i szerokie okienne otwory świadczyły — tak jak brak jakiegokolwiek ostrokołu — iż tutaj nigdy nikomu nie przyszła do głowy myśl o obronie. Siedziała tu Morgaine w swej spłowiałej, czarnej opończy; jej kolczuga pobłyskiwała w rozświetlających wirujący kurz promieniach słonecznego światła. Dookoła niej zebrał się tłum wieśniaków: mężczyźni i kobiety, młodzi, starcy i dzieci obsiedli ławy, część nawet znalazła miejsce u jej stóp. Na obrzeżach tego ludzkiego kręgu ciekawe wieści matki kołysaniem uspokajały siedzące im na kolanach dzieci.

Przed Vanye otworzyło się przejście, wieśniacy rozstępowali się na obie strony. Zrobiono mu miejsce na ławie i mimo że powinien usiąść na ziemi, spoczął na niej. Sin zdołał się prześliznąć przez cizbę ze zwinnością węgorza i usiadł tuż obok jego kolana.

Morgaine spojrzała w jego stronę.

• Ofiarowują nam swą gościnę i wszystko, czego nam trzeba: ekwipunek i prowiant. Wydaje się, że to tobą najbardziej są zafascynowani. Łamią sobie głowę, nad tym, skąd pochodzisz — jesteś taki wysoki, tak bardzo odmienny. Są nieco zaniepokojeni, że jesteśmy tak silnie uzbrojeni, lecz wytłumaczyłam im, iż wstąpiłeś do mej służby w dalekiej krainie.

- Nie ulega wątpliwości, że tutaj są ǧhalowie.
- I ja domyśliłam się tego. Lecz jeśli tak jest, to nie mogą być wrogami tego ludu.

Przeszła z powrotem na język ǧhalski, by przemówić uprzejmie:

— Vanye, oto najstarsi w wiosce: Sersein oraz jej mąż

Serseis, Bythein i Bytheis, Melzein i Melzeis. Zapraszają nas, pragną, by ta oto izba była dla nas schronieniem tej nocy.

Na znak zgody, z szacunku dla swych gospodarzy, pochylił głowę w ukłonie.

• Odtąd — Morgaine dorzuciła w mowie andurskiej — będę im tylko zadawać pytania. Radzę ci, byś postąpił podobnie. *

- Nic nie powiedziałem.

Skinęła i przemówiła do starszyny w języku ǧhalskim tak biegle, że Vanye nie mógł za nią nadążyć.

*

Tej nocy, przy świetle płonących w wielkiej chacie pochodni i ognia na palenisku, zasiedli do obfitych potraw, od których uginały się stoły, by wziąć udział w przedziwnej biesiadzie. Na ławach zasiadł tłum wieśniaków, młodych i starych. Morgaine wyjaśniła, że przyjętym tutaj zwyczajem cała wioska wspólnie zasiada do wieczerzy, jakby wszyscy byli z jednego domu. Taki był również obyczaj Ra-koris w Andurze, lecz tutaj nawet dzieci brały udział w wieczerzy, oddając się lekkomyślnej zabawie w tłumie starszych i paplając bez umiaru. Za takie zachowanie dziecko z Kurshu — obojętnie, czy syn pana, czy wieśniaka — dostałoby po uszach i musiałyby odmaszerować, żeby przyjąć starannie wymierzoną karę. Tutejsza działość, napeł-

niwszy żołądki, zsunęła się pod stoły, by zacząć głośne swawole w podpartych słupami skrzydłach wielkiej izby, a ich śmiech i pokrzykiwania przygłuszały nawet gwar rozmów.

Przynajmniej jednak nie było to miejsce, gdzie trzeba by się obawiać sztyletu skrytobójcy lub trucizny. Vanye usiadł po prawicy Morgaine — choć jako *ilin* powinien stanąć za jej plecami — i chętnie próbowałby każdą podawaną potrawę, by nabrać całkowitej pewności, lecz Morgaine zabroniła mu tego. Ponechał więc ostrożności. Na zewnątrz, w zagrodzie wierzchowce pasły się dobrym sianem, oni zaś siedzieli w jasnej, ciepłej izbie w ciżbie ludzi gotowych uśmiercić ich najwyższą nadmierną ilością jedzenia. Gdy wreszcie nikt nie mógł już zmieścić ani kęsa więcej, pogodnie odesłano rozbrykane dzieciaki w okalające izbę ciemności. Najstarsi z ich grupki powiedli najmłodszych i najwyraźniej nikomu nie przyszło nawet do głowy, że w mroku może dziatwę spotkać jakieś niebezpieczeństwo. W środku rozległ się piękny śpiew dziewczęcia przy akompaniamencie dziwnie nastrojonej harfy. Następnie przyszedł czas na pieśń śpiewaną chórem przez wszystkich, a gdy i ona dobiegła końca, chciano przekazać instrument w ręce milczących do tej pory przybyszów. Palce Vanye dawno utraciły już zręczność, której nabrały w dzieciństwie, toteż odmówił, zakłopotany. Morgaine także go nie przyjęła — Va-nye nie mógłby sobie nawet wyobrazić, by ona kiedykolwiek miała czas na naukę muzyki — lecz przemówiła do nich, czym — jak się zdawało — sprawiła im przyjemność. Jej słowa wywołały krótką dyskusję, która poprzedziła ostatnią pieśń, wyśpiewaną przez tę samą dziewczynę co poprzednio.

Wieczera dobiegła końca i wieśniacy udali się na spoczynek, każdy w swoją stronę. Najstarsze dzieci żwawo przygotowały gościom miejsca do spania — dwa, ukryte dyskretnie za zasłoną sienniki, jak najbliżej ognia — i kociołek z gorącą wodą do mycia.

Kiedy na stopniach zamilkł tupot stóp ostatniego dziecka, Vanye odetchnął głęboko. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu mogli nacieszyć się samotnością. Zobaczył, że Morgaine rozpina sprzączki swej koczugi, zrzucając z siebie ciężar, czego nie śmiała robić ani na szlaku, ani na żadnej zsyłanej przez los kwaterze. Skoro ona skłonna była pozwolić sobie na coś takiego, Vanye poczuł, że może postąpić podobnie. Rozebrawszy się do koszuli i bryczesów, umył się za zasłoną i ubrał ponownie, gdyż mimo wszystko jeszcze nie ufał temu miejscu. Morgaine poszła w jego ślady i spoczęła z bronią w zasięgu ręki, śpiąc na zmianę.

On czuwał pierwszy. Uważnie wsłuchiwał się, czy nie dojdzie go szmer jakiegoś poruszenia w wiosce; wyglądał przez okna, rzucając okiem dookoła — na puszcę, na oświetlone księżycem pola; lecz tam panował spokój, tak jak i w uśpionej wiosce. Wrócił i usiadł w ciepłe obok paleniska, zaczynając w końcu wierzyć, że ta zdumiewająca gościnność jest prawdziwa i szczerą.

Rzadko w całej ich podróży napotykali dobro — miast przekleństw i lasu oręża.

Tutaj imię Morgaine nie było jeszcze znane.

*

Rankiem rozszedł się zapach wypiekanego chleba i ludzie zaczęli się krzątać dookoła chaty; dzieci, które urządziły sobie tutaj gonitwę, szybko uciszono.

- Może by tak — wymamrotał Vanye, czując przyjemny aromat świeżego chleba — zjeść gorącą pajdę na drogę?

- Nie odjeżdżamy — odparła Morgaine.

Spojrzał na nią zdezorientowany, nie wiedząc, czy dobra to, czy zła wiadomość.

— Przemyslałam wszystko starannie. Może masz rację: oto jest miejsce, gdzie moglibyśmy zaczerpnąć tchu. Jeśli

nie zostaniemy tutaj na wypoczynek, zajeżdżymy wierzchowce na śmierć i sami przeciagniemy strunę, do cna wyczerpawszy siły. Żadna z Bram nie wie gdzie w bezpieczne strony. Gdy się nam uda i przedrzemy się, znów będziemy musieli jechać bez ustanku. Wówczas możemy stracić wszystko, jeśli nie skorzystamy z tego, co ofiarowuje nam to miejsce. Trzy dni. Na tyle odpoczynku możemy sobie pozwolić. Myślę, że twoja rada była rozsądna.

- Zatem budzisz we mnie wątpliwości. Nigdy nie chciałaś mnie słuchać, a wbrew wszystkim i wszystkiemu — żyjemy!

- To prawda, nigdy — w jej śmiechu zabrakło humoru. — Niejeden mój plan w najgorszej chwili spalił na panewce! Puszczalam mimo uszu twe rady, co mogło czasami być dla ciebie niebezpieczne, lecz tym razem posłucham; uważam, że nasze szanse na sukces i porażkę są równe.

Szybko zerwali się z posłań. Dzieci z poważnymi twarzyczkami podały im pajdy gorącego chleba ze słodkim masłem i świeże mleko. Zjedli wszystko do ostatniego okruszka, jakby poprzedniego wieczoru nie mieli nic w ustach, gdyż takie śniadanie było luksusem nie przysługującym wyjętym spod prawa banitom.

*

Trzy dni minęły zbyt szybko. Szlachetność i uprzejmość mieszkańców wioski sprawiła, że z szarych oczu Morgaine zniknął cień bólu, który zasnuwał je od tak dawna; zaczęła się uśmiechać, a nawet czasami słychać było jej miękki i wesoły śmiech. Dotąd Vanye poświęciłby wiele, by ujrzeć coś takiego.

Ich wierzchowcom powodziło się równie znakomicie: odpoczywały, dzieci całymi garściami znosiły im słodkie trawy, głaskały, czesały grzywy i czyściły szczotką tak gorliwie, iż Vanye pozostało jedynie zatroszczyć się o ich kopyta, w czym ochnocho pomógł mu wiejski kowal, oddając na jego usługi całą swą zręczność i kuźnię.

Za każdym razem, gdy pojawiał się w zagrodzie dla koni, dzieci, zwłaszcza Sin, obsiadłszy ogrodzenie, zalewały go prawdziwym potokiem pytań, próbując dowiedzieć się czegoś o zwierzętach, Morgaine i o nim samym; on jednak niewiele z tego potrafił zrozumieć.

— Proszę, khemeisie Vanye — błagał Sin, oparłszy się na krawędzi beczułki z wodą — czy moglibyśmy zobaczyć broń? — zapytał, a przynajmniej w ten sposób ułożył słowa.

Przypomniało to Vanye jego własne chłopięce lata, kiedy to wodził rozszerzonymi oczyma za dai-uyin, członkami wysokiej szlachty klanu, chłonąc z mieszaniną podziwu i lęku widok zbroi, wierzchowców i broni, jednak z duszą zatrutą świadomością o swoim bękartwie, które — gdyż był zniewolonym synem z nieprawego łoża pana feudalnego — powodowało, że dla niego zdobycie tego wszystkiego było rozpaczliwą koniecznością. Lecz to były zwykłe, wiejskie dzieci, których los nie pchał w stronę oręża i wojaczki, a ich wyobraźnię podsycała ciekawość podobna do tej, jaką budziły księżyc i gwiazdy — niezrozumiałe, odległe ciała niebieskie.

Ujął w dłoń rękojeść swego miecza i wyciągnął go z pochwy. Pozwolił ich brudnym palcom dotknąć głowni, a Si-nowi — który aż wydał się z zachwytu — uchwycić go i zważyć w dłoni. Po chwili jednak im go odebrał, gdyż nie lubił widoku dzieci bawiących się tak ponurą rzeczą. Zbyt wiele było na nim krwi.

Dzieci na migi poprosiły, by pokazał im drugi miecz, lecz on zmarszczył tylko brew i odmownie potrząsnął głową, kładąc dłoń na złobionej rękojeści. Przymilając się, prosiły usilnie, lecz on nie uległ ich naleganiom. Ich ręce nie mogły dotknąć Miecza Honoru, nim bowiem popełniało się samobójstwo. Jednakże broń ta, choć przypasana do jego boku, nie należała do niego — on był tylko związanym przysięgą posłańcem.

— Elarrh — podsumowały głosem pełnym najgłębszego szacunku.

Vanye nie miał najmniejszego pojęcia, co miały na myśli, lecz zaniechały próśb i więcej nie przejawiały ochoty dotknięcia broni.

— Sinie — powiedział, chcąc dowiedzieć się czegoś od dzieci — czy zbrojni odwiedzają kiedy waszą wioskę?

33

Na twarzy Sina i w oczach wszystkich dzieci, co do jednego, natychmiast pojawiło się zaintrygowanie.

— Nie jesteście z naszej puszczy — zauważył Sin.

Dziecko zwróciło się do niego per wy, odgadując prawdę.

Vanye wzruszył ramionami, przeklinając własny pośpiech, który zdradził go nawet przed dziećmi. Przecież wiedziały, na jakiej ziemi żyją i miały dość rozsądku, by rozpoznać obcego, który nie wiedział tego, co powinien.

— Skąd pochodzicie? — zapytała mała dziewczynka i z mieszaniną zachwytu i grozy dodała, szeroko otwierając oczy: — Czy jesteście sirren?

Pozostali oburzyli się, a Vanye pochylił głowę i zajął się przymocowywaniem miecza, świadomy, że w ich małych rączkach jest bezradny. Pociągnawszy za pierścień biegnącego w poprzek piersi pasa, podciągnął miecz na plecach do wysokości ramienia i zahaczył pierścień u boku.

— Jestem zajęty — rzekł i odszedł. — Zostań, proszę — powstrzymał Sina, który ruszył w jego ślady.

Strapiiony i zamyślony chłopiec zatrzymał się. Nie poprawiło to wcale samopoczucia Vanye. Wrócił do wielkiej chaty, gdzie zastał Morgaine w otoczeniu starszyzny klanu. Było tam również kilkoro młodych mężczyzn i kobiet, którzy zaniechali swych codziennych obowiązków, aby się z nią spotkać. Zbliżył się w milczeniu, a oni ustąpili mu miejsca, tak jak poprzednio. Długo przysłuchiwał się rozmowie Morgaine z pozostałymi, niekiedy wyławiając krótkie zdania z powodzi słów. Od czasu do

czasu Morgaine przerywała swoją wypowiedź, by przetłumaczyć mu jakiś ważniejszy zwrot. Była to dla niej osobliwa rozmowa, gdyż jej rozmówcy mówili o plonach, zwierzętach hodowlanych i lasach, które były ich własnością; jednym słowem o wszystkim, co dotyczyło ich wioski.

Gmina omawiająca ze swym panem stan własnych spraw, pomyślał Vanye. Jednak Morgaine laskawie przystała na to; rzadko zabierała głos — słuchała, jak to było w jej zwyczaju.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy wieśniacy zostawili ich samych, i Morgaine zbliżyła się do ognia, by tam odpocząć.

Vanye ukląkł przed nią, zakłopotany tym, co musiał jej wyznać: że zdradził się przed dziećmi.

Uśmiechnęła się, gdy powiedział jej o tym.

- I cóż z tego? Nie sądzę, by miało to przynieść nam szkodę. Nie mogę się dowiedzieć, jaki jest związek ąhalów z tą ziemią, ale, Vanye, dzieją się tu rzeczy tak przedziwne, że doprawdy nie wiem, jak moglibyśmy ukryć fakt, iż jesteśmy tutaj obcy.

- Co oznacza elarrh?

- Słowo pochodzi od arhh, co oznacza „szlachetny” albo ar — „władza”; obydwa brzmią tak samo. W zależności od sytuacji może ono przyjmować jedno lub drugie znaczenie — albo obydwa na raz; w zamierzonych czasach ar-rhtheis w odniesieniu do ąhala oznaczało zarówno zajmowaną przez niego pozycję, jak i władzę, którą dzierżył. W owych dniach dla Ludzi każdy ąhal musiał być panem, a posiadana przez nich władza wywodziła się z Bram, które zawsze stały przed nimi otworem, a przed Ludźmi — nigdy. Stąd także wzięło się owo przygnębiające znaczenie słowa elarrh: atrybut władzy albo pana, rzecz godna czci lub niebezpieczna... od której Człowiek trzyma się z dala.

Im więcej rozumiał z języka ąhalskiego, tym większe czuł zaniepokojenie. Taka arogancja budziła wstręt... I to, o czym powiedziała mu Morgaine, czego nigdy się nie domyślał, a co wstrząsnęło nim do głębi: o ąhalskich eksperymentach z rasą Ludzi; o rzeczach, które były wskazówką, jakie były początki jego własnego świata. Podejrzał, że to jeszcze nie było wszystko, lecz więcej nie ośmieliła się mu powiedzieć.

— Co powiesz tym ludziom — zapytał — i kiedy? Powiesz im o strapieniu, które podąża naszym tropem, które im ściągnęliśmy na głowę? *Liyō*, za kogo oni nas biorą? Czy domyślają się, dlaczego do nich przyszliśmy?

Zasepiona Morgaine pochyliła się, by objąć kolana rękami.

— Podejrzewam, że biorą nas oboje za ąhalów, ciebie być może za mieszańca. Nie wiem, jak wy badać delikatnie, co ma wpływ na ich sąd o nas, ani jakie żywią uczucia. Ostrzec

ich? Chciałabym! Zarazem jednak życzyłabym sobie wiedzieć, co się obudzi, jeśli to uczynię. To tacy poczciwi ludzie — wszystko, co widziałam i słyszałam, jest tego potwierdzeniem. Lecz tego, co ich broni... lepiej, by tego nie było.

Miał dokładnie takie samo zdanie: natknęli się na miejsce bezbronne i bezpieczne, lecz żyjące w groźnej nieświadomości i w sieci czegoś, co kierowało się sobie tylko znanymi prawami.

— Bądź ostrożny w słowach — poradziła mu. — Mówiąc w języku kurshijskim, wystrzegaj się nazw, które mogłyby być im znajome bez względu na mowę. Odtąd jednak powinniśmy mówić wyłącznie w ich języku, musisz zatem wskrobać z głowy wszystko, co tylko zdołasz. Od tego zależy nasze bezpieczeństwo, Vanye.

— Próbuję to robić — odparł.

Skinęła głową z aprobatą.

Przez pozostałą część dnia spacerowali po wiosce i po obrzeżach pól zatopieni w rozmowie, podczas której Vanye starał się zapamiętać wszelkie słowa, jakie tylko zdołał.

*

Oczekiwał, że Morgaine zdecyduje się opuścić wioskę następnego dnia rano, lecz nie uczyniła tego. Wieczorem nie otrzymał odpowiedzi na pytanie, czy wyruszą nazajutrz. Morgaine, zbywszy go wzruszeniem ramion, zaczęła mówić o czymś innym. Nazajutrz już nie pytał: uległ spokojnej atmosferze wioski i dał się wciągnąć w jej codzienny rytm zajęć — tak jak to zdawała się już czynić Morgaine.

Spokój był ozdabiający, jakby koszmar, który kładł się za nimi długim cieniem, był iluzją, i jedynie to zalane słońcem miejsce było rzeczywiste i prawdziwe. Morgaine ani słówkiem nie napomknęła o wyjeździe, jakby milczenie miało być zaklęciem oddalającym wszelkie niebezpieczeństwo — od nich i od ich gospodarzy. Jednak Vanye pełen był niepokoju, gdyż upłynęło już wiele dni,

od kiedy przekroczyli granice wioski. Pewnego razu, gdy spali obok siebie — oboje, gdyż czuwanie na zmianę w samym środku tak przyjacielskiej osady zdawało się niepotrzebne — na-szedł go sen. Ocknął się zlany potem i ponownie zasnął, by tym razem obudzić się z krzykiem, który zmusił Morgaine do sięgnięcia po broń.

— Koszmary w miejscu takim jak to? — zdziwiła się. — Bywaliśmy już w takich, gdzie były one bardziej uzasadnione.

Jednakże i ją tej nocy dręczył niepokój, bo długo wpatrywała się potem w płomienie.

Niezbýt dokładnie pamiętał, o czym był ów sen, trapiło go jedynie wspomnienie czegoś tak złowieszczonego jak wąż wślizgujący się do gniazda, czemu on nie mógłby zapobiec.

Moje sumienie nie zazna już spokoju, opadły go czarne myśli.

Nie było tu dla nich miejsca, wiedzieli o tym, a jednak egoistycznie przeciągali swój pobyt, zawieszani poza czasem i przestrzenią, szukając odrobiny spokoju i kradnąc go jak złodziej prawowitym właścicielom. Zastanawiał się, czy Morgaine także jest tym strapiona... czy też obce już stało się dla niej uczucie winy — skoro była tym, kim była, i kierowała się instynktem przetrwania. Poruszony, omalże nie zaczął z nią o tym rozmawiać, lecz ujrzał, iż popadła w znany mu, mroczny stan ducha, a rano znów znaleźli się w otoczeniu mieszkańców wioski. Później ponownie sprawę odłożył, gdyż doszedł do wniosku, że nieśpieszno mu przystać na szansę ofiarowywane przez los, który czyhał na nich tuż za granicami osady. Morgaine zbierała siły i nie była jeszcze gotowa, a on wzdrygał się ją ponaglać... Nie miał ochoty wyzwać demona, który opadłszy ją, zawsze sprawiał, że przekraczała granice rozsądku. Uzbrowiwszy się zatem w cierpliwość, wyrabiał strzały do otrzymanego od łuczniczki — miejscowej znakomitości — łuku.

Łuk został mu ofiarowany w prezencie, jednak — ku jego zakłopotaniu — Morgaine wystąpiła w zamian z podarunkiem: złotym pierścieniem przedziwnej roboty, który już od bardzo dawna musiał leżeć na samym dnie jej tobołów. Podejrzewał, że przedmiot może być dla niej ważną pamiątką, lecz jego zaniepokojenie zbyła śmiechem, oświadczając, iż najwyższy czas zostawić to za sobą.

Tak więc Vanye, zostawszy właścicielem łuku, ćwiczył się w sztuce łuczniczej razem z młodzieżą i chodzącym za nim trop w trop Sinem, który usiłował powtarzać wszystko, co on robił; zaś łuczniczka posiadał pierścień, który okazał się przedmiotem zazdrości wszystkich jego ziomek.

Konie, pasąc się na wybiegu oraz trawiastych obrzeżach pól, rozleniwiły się i — nabrawszy obłych kształtów — upodobniły do hodowanego w wiosce bydła.

Morgaine, która nigdy nie potrafiła poświęcić ani godziny na wypoczynek, teraz mnóstwo czasu spędzała na słońcu i rozmowach ze starszyzną oraz młodymi pasterzami, zachwycając wieśniaków, którzy w swym życiu nic takiego nie widzieli na oczy, rysowaniem map na kawałku kozłej skóry; bo choć wiedzieli, skąd ona się wywodzi, to jednak spojrzenie na ujęty z takiej perspektywy własny świat było dla nich czymś zupełnie nowym.

Wioska nosiła nazwę Mirrind; równina, która stykała się z puszcza — Azeroth; puszcza zaś — Shathan. W samym centrum wielkiego okręgu, który przedstawiał Azeroth, wyrysowała kłębek dopływów, zasilających wielką rzekę o nazwie Nam; pośrodku tego samego okręgu znalazło się słowo Athatin, co oznaczało Ognie lub prostymi słowy: Brama Wszechświata.

Ci spokojni mirrindianie wiedzieli o istnieniu Bramy i darzyli czcią owe Azerothen Athatin. Tak dalece rozległa była ich wiedza o własnym świecie. Morgaine nie przyciskała ich jednak pytaniami. Wykreśliła mapę i pięknymi, czystymi ruchami ręki oznaczyła runami w języku qhal-skim.

Vanye rozumiał owe runiczne symbole, tak samo jak mowę. Usiadłszy na stopniach wiodących do wielkiej chaty, kreślił symbole na piasku, ucząc się ich poprzez pisanie wszystkich nowo zapamiętanych słów i próbując tłumić skrupuły budzące się w duszy Kurshina. Dzieci mirrindian, tak ohocho zazwyczaj cisnące się wokół niego, gdy opiekował się końmi, z takim zapałem przynoszące strzały, że czasami lękał się o ich bezpieczeństwo, tym razem szybko znudziły się i opuściły go.

— Dzieło — Elarrh — wymówił słowa oznaczające wszystko, co ich przerastało i co budziło w nich podziw z domieszką grozy.

Dzieci jednak, nie mogąc doszukać się w tym niczego zabawnego ani żadnych obrazków, odeszły — wszystkie, z wyjątkiem bosonogiego Sina, który przysiadłszy na piętach, próbował wszystko kopiować.

Vanye podniósł wzrok na pochłoniętego tym zajęciem chłopca i poczuł gorzki smak wspomnień. Przed nim nikt nie otwierał drogi do wiedzy, musiał jej szukać na własną rękę i z uporem zdobywając to, co prawowitym potomkom jego ojca należało się z racji samego urodzenia, nauczył się wszystkiego, co mogła mu zaofiarować jego górzysta ojczyzna.

I oto teraz Sin, jako jedyny spośród wszystkich dzieci mirrindian przykucnął przy nim, jako jedyny

chciał sięgnąć dalej niż inni. To on będzie najboleśniej raniony, gdy już opuszczą to miejsce; nauczy się bowiem pożądać czegoś, czego mirrindianie dać mu nie mogą. Chłopiec był sierotą, jego rodzice zginęli w jakiejś tragedii, która wydarzyła się dawno temu — był dzieckiem wszystkich i nikogo w szczególności.

Pozostali staną się pospolitymi wieśniakami, lecz ten?, pomyślał Vanye i wstrząsnął nim dreszcz na wspomnienie własnego miecza w małej ręce Sina.

- Co ty, khemeisie? — zapytał Sin.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego. — Jednym ruchem dłoni startł napisane przez siebie runy i powstał, czując przygniatające go brzemie. Sin obrzucił go dziwnym spojrzeniem, gdy odwrócił się, by wspiąć się na stopień.

Gdzieś z końca jedynej w Mirrindzie ulicy dobiegł jego uszu raptowny krzyk. Nie był to pisk rozbawionej dziatwy, co zdarzało się często, lecz okrzyk kobiety. Zdjęty nagłą obawą, Vanye odwrócił się. W ślad za kobiecym głosem, rozległy się krzyki mężczyzn, pełne bólu i gniewu.

Zawahał się; serce, zdawać się mogło zamarłe na chwilę w piersi, teraz trzepotało ogarnięte znajomym uczuciem

paniki. Zawisł w próżni, nie wiedząc, gdzie skierować swe kroki: tam czy do Morgaine. Stał jak sparaliżowany, jednak po chwili poczucie obowiązku przeważyło i wbiegł do chaty, w której Morgaine rozmawiała z dwoma spośród starszyny. Niczego nie musiał wyjaśniać. Z „Odmieńcem” w dłoni ruszyła natychmiast, niemal biegiem.

Sin przycupnął u stóp schodów i teraz jak cień podążył za nimi, gdy przemierzali plac w stronę zbierającej się gromadki mieszkańców wioski, skąd dobiegał płacz. Przed Morgaine wszyscy się rozstąpili, została jedynie garstka pośrodku.

Stali tam Mezlein i Melzeis, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. U ich stóp młoda kobieta i małżeństwo w średnim wieku, padłszy na kolana i kołysząc się rytmicznie w przód i w tył, tulili ciało jakiegoś zmarłego, trzęsąc nad nim z rozpaczyny głowami.

— Eth — wymamrotała Morgaine na widok martwego, jednego z najlepszych i najbystrzejszych z całej wioski mężczyzn, który miał zaledwie dwadzieścia lat.

Zręczny myśliwy i łucznik, szczęśliwy człowiek, pasterz z zawodu, często roześmiany, kochający swą żonę i nie mający żadnych wrogów, Eth z klanu Melzen leżał z rozciętym gardłem. Na jego półnagim ciele widać było liczne ślady ran, które same w sobie nie były śmiertelne, lecz zanim umarł, musiały przyprawić go o niewypowiedziane katusze.

To oni zadali mu śmierć, myślał przerażony Vanye. Z pewnością wyjawili im to, czego chcieli.

Nagle przeląkł się: co z niego za człowiek, skoro najpierw przyszło mu coś takiego do głowy — przecież Eth był jego znajomym. Zadrzał i poczuł mdłości, jakby nigdy czegoś takiego nie widział na własne oczy.

Wokoło wymiotowały jakieś dzieci, które płacząc, kurczowo tuliły się do swoich rodziców. Vanye stwierdził, że do jego boku przylgnął Sin; położywszy dłoń na jego ramieniu, zaprowadził go do starszyny klanu, by oddać go im pod opiekę. Bytheis wziął na ręce dziecko o stęzałej ze strachu twarzy.

— Czy dzieci powinny na to patrzeć?! — krzyknęła Morgaine, wrywając ich z oszołomienia. — Jesteście w niebezpieczeństwie. Obstawcie zbrojnymi drogę i całą wioskę dookoła. Gdzie odnaleźliście ciało? Kto go tutaj przyniósł?

Wystąpił jeden z młodzików — Tak; jego ręce i szaty były skrwawione.

— Ja, pani. Po drugiej stronie brodu. — Po policzku spłynęła mu łza. — Kto to uczynił? Pani, dlaczego?

*

Podczas gdy Melzenowie przygotowywali ciało swego syna do pochówku, w wielkiej chacie w przytłaczającej atmosferze zebrała się rada. Bythein i Bytheis cicho płakali, lecz rozżaleni członkowie klanu Sersen palali gniewem. Ich starszyna odzyskała jednak na tyle panowanie nad sobą, by móc przemówić. Cisza jakby tylko czekała na nich. W końcu powstał starszy mężczyzna i zaczął chodzić tam i z powrotem przed paleniskiem.

- Nic nie rozumiemy — wykrzyknął, gestykułując pomarszczonymi, roztrzęsionymi dłońmi. — Pani, czy nie odpowiesz mi? Nie jesteś nam panią, lecz przyjęliśmy cię do nas serdecznie, jakbyś nią była; ciebie i twego khemeisa. Nie odmówiliśmy ci niczego, co można znaleźć w naszej wiosce. Lecz teraz żądasz, byśmy poświęcali życie i nawet nie wiedzieli dlaczego?

- Serseisie — spróbował go pohamować Bytheis drżąc* cym głosem, kładąc dłoń na jego rękawie, by go uspokoić.

- Nie, ja go wysłucham — odezwała się Morgaine.
- Pani — ciągnął Serseis. — Eth poszedł tam, gdzie go posłałaś, tak wszyscy młodzi powiadają. Nakazałaś, by nie powiadamiał o tym swojej starszynie — i on ciebie posłuchał. Dokąd go wysłałaś? On nie był khemeisem! Był jedynym dzieckiem swych rodziców i ów zew nigdy nie był mu niemiły. Czyżbyś wyczuła, że tkwiło w nim takie pragnienie? To duma popchnęła go, by zaryzykował dla ciebie. Czy nie wolno nam się dowiedzieć, dokąd go wysłałaś? I kto dopuścił się tak potwornego czynu?

- Obcy — odparła.

Vanye nie zrozumiał wszystkich słów, jednak zdołał domyślić się tego, co mu umknęło; w obliczu emocji, które w tej chwili opanowało wszystkich, trzymał się tuż przy Morgaine. — Czy powinienem sprowadzić konie? — zapytał ją w swym ojczystym języku, jeszcze nim zebrała się rada. Nie — odrzekła z takim roztargnieniem, iż domyślił się, jak rozdarta jest z jednej strony pragnieniem natychmiastowego ruszenia w drogę, a z drugiej poczuciem winy wobec mirrindian za to, że na ich głowy ściągnęła takie niebezpieczeństwo. Ociągała się z wyjazdem zbyt długo; wiedziała o tym, i on o tym wiedział. Czuł zbierające się pod zbroją i cieknące po ciele strumyczki potu.

- Łudziliśmy się, że nie przyjdą za nami.

- Skąd? — zapytała Sersein; stara kobieta położyła dłoń na leżącej na blacie stołu mapie — dziele Morgaine.

- Zadając pytania, penetrujesz cały kraj, jakby w poszukiwaniu czegoś. Twój khemeis nie pochodzi z naszej wioski; w jego żyłach nie płynie ani kropla naszej krwi. Przybywasz z jakiejś odległej krainy, o pani. Czy tam pospolite są takie rzeczy? Czy wysyłając Etha, spodziewałaś się, jaki los go spotka? Być może kierujesz się czymś, czego nie pojmujemy, lecz dlaczego, o pani, skoro kosztuje to życie naszych dzieci, a ty o tym wiedziałaś i nie mogłaś powiedzieć nam o tym? I czy teraz nam powiesz? Pomożesz nam zrozumieć?

Zaległa tak głęboka cisza, że słychać było buzowanie płomieni w palenisku, meczenie kozła z oddali i pobliski płacz dziecka. Wstrząśnięte oblicza starców były jak zamrożone w chłodnym, wpadającym przez liczne otwory okienne światło.

— To są — w końcu rzekła Morgaine — wrogowie z obcej krainy, którzy rozprzestrzenili się w Azeroth. My odpoczywaliśmy tutaj, lecz wykorzystując waszych młodych mężczyzn, chroniłam was tak jak potrafiłam... gdyż wasza młodzież zna te lasy o niebo lepiej od nas. Tak, jesteśmy cudzoziemcami, lecz nie z tych, którzy dopuszczaliby się takich uczynków. Czekaliśmy z nadzieją na ostrzeżenie, lecz nie spodziewaliśmy się, że spotkamy się z czymś takim.

Eth był, sami wiecie najlepiej, tym, który zapuszczał się najdalej i wystawiał się na największe ryzyko. Wiedziałaś o tym; ostrzegałam go; przestrzegałam go żarliwie.

Vanye przygryzł wargę. Serce zabiło mu w piersi boleśnie, iż Morgaine nie powiedziała mu o tym, gdyż wtedy poszedłby on i wróciłby żywy, nie tak jak Eth. Zamiast niego posłała nieświadomych niczego chłopców, którzy nie wiedzieli, jaką zwierzynę mogą wypłoszyć z kryjóWKi.

Starcy uspokoiли się i teraz zasiedli w milczeniu, przerażeni bardziej niż gniewni, wsłuchani w jej słowa.

- Czy nikt — zapytała Morgaine — nigdy nie przychodzi z Azeroth?

- Ty wiesz o tym najlepiej — wyszeptła Bythein.

- Ha, tak się złożyło — odparła Morgaine. — Lecz niedaleko stąd leżą równiny, a tam zebrała się gromada zbrojnych cudzoziemców, zamierzających opanować całe Azeroth i wszelkie okoliczne ziemie. Mogli obrać każdy inny kierunek, ale ruszyli tutaj. Sami ich nie powstrzymamy, bo ich są tysiące. Los Etha to sprawa zwiadowców, którzy wyruszyli, by sprawdzić, co tu można znaleźć. Mam dla was gorzką radę: zbierzcie wszystkich i uciekajcie jak najdalej od Mirrindu, znajdźcie dla siebie kryjóWKę w najgłębszej puszczy, a jeśli wrogowie dotrą i tam, uciekajcie dalej. Lepiej stracić domostwa niż życie; lepiej żyć tak, niż służyć ludziom zdolnym zgotować bliźnim los, który przypadł w udziale Ethowi. Nie umiecie walczyć, zatem musicie uciekać.

- Czy poprowadzisz nas? — zapytała Bythein, tak prosto linijnie, z taką ufnością, że aż ścisnęło się serce Vanye.

- Nie. My musimy iść własną drogą. Lepiej będzie i dla nas, i dla was, jeśli zapomnicie, że kiedykolwiek byliśmy między wami. — Morgaine potrząsnęła głową.

Po kolei pochyliłi w ukłonach głowy. Wyglądali tak, jakby cały ich świat się zawałił. I w istocie tak było.

- Powinniśmy oplakiwać nie tylko Etha — odezwał się Serseis.

- Odpocznijcie tutaj jeszcze tej nocy — powiedziała Sersein. — Prosimy.
- Nie powinniśmy.
- Prosimy. Jedynie tej nocy. Jeśli spędzicie ją z nami, będziemy się mniej obawiać.

Sersein nawet nie podejrzewała, jak blisko była prawdy, bo Morgaine rzeczywiście była tak potężna, że mogła ich ochronić. Ku zaskoczeniu Vanye skłoniła głowę, przystając na to.

Słońce nie zmieniło swej pozycji na niebie, gdy w wiosce ponownie rozległ się żałobny lament, kiedy starszyzna przekazała mieszkańcom, czego się dowiedzieli i jakie otrzymali rady.

*

- To są naiwni ludzie — westchnął ciężko Vanye. — *Liyo*, obawiam się o ich los.
- Jeśli po prostu uwierzą w moje słowa bez zastrzeżeń, pozostaną przy życiu. Lecz to miejsce się zmieni. — Potrząsnęła głową, odwracając się plecami do izby, gdyż przez plac szły kobiety i dzieci, by rozpocząć przygotowania do wieczery.

Vanye poszedł do koni, aby się upewnić, że są przygotowane do wyruszenia rano. Drogę przebył samotnie, lecz przy wrotach usłyszał za sobą czyjeś kroki. Odwróciwszy się ujrzał Sina.

- Pozwól mi iść razem z tobą, proszę — odezwał się chłopiec.
- Nie. Masz krewnych, którym będziesz potrzebny. Pomyśl o nich i ciesz się, że nie jesteś sam na świecie. Gdybyś odszedł z nami, nigdy już byś ich nie ujrzał.
- Nigdy do nas nie powrócicie?
- Nie. To niemożliwe.

Słowa te były okrutne i bezpośrednie, lecz potrzebne. Vanye nie chciał, by chłopiec snuł marzenia wokół jego osoby, bo nie był tego wart. I tak już nadto go ośmielił. Z posepną twarzą oddawał się swemu zajęciu w nadziei, że rozgniewa tym chłopca i odstreczy od siebie. Ale Sin, tak jak zawsze, przyłączył się do niego i Vanye stwierdził, że nie może być wobec niego surowy. Wsadził go na grzbiet Mai. Sin marzył o tym za każdym razem, gdy wypuszczali wierzchowce na pastwisko.

Chłopiec poklepał klacz po szyi

i nagle rozpląnął się we łzach, które dotąd próbował powstrzymać. Vanye czekał, aż przestanie płakać i pomógł mu zejść na ziemię. Ramię w ramię wrócili do wielkiej izby.

Przy wieczery panował żałobny nastrój. Nie było pieśni; pochowano Etha o zachodzie słońca i nikt nie miał serca do śpiewu. Słysząc było jedynie szept rozmów, niewielu przejawiało ochotę do jedzenia, lecz nawet najbliżsi krewni zmarłego nie odnosili się do nich z niechęcią ani nie okazywali urazy. Gdy w połowie wieczery przemówiła do nich Morgaine, zaległa głęboka cisza, nie pisnęło nawet dziecko; niemowlęta spały ukołysane w ramionach, wyczerpane szaleństwem dnia, a pozostałe dzieci milczały.

— Ponownie radzę wam, byście stąd odeszli — powiedziała. — A przynajmniej, poczawszy od tej nocy, rozstawiajcie młodzieńców na straży i tak jak to możliwe, skryjcie wodące tu drogi. Razem z Vanye uczynimy co w naszej mocy, by opóźnić nadejście złych, lecz są ich tysiące; mają i konie, i dobrą broń, a wśród nich są ąhalowie i Ludzie.

Twarze wieśniaków zamarły z przerażenia. Wstrząsnęło to nawet starcami, którym dotąd tego nie powiedziała.

- Jakich ąahlów uradowałaby nasza krzywda? — powstała zgarbiona tym brzemieniem Bythein.
- Wiercie mi, że ci byłiby uradowani. Są w tej krainie cudzoziemcami, okrutniejszymi niż Człowiek. Nie stawiajcie im oporu, uciekajcie. Jest ich zbyt wielu. Przekroczyli Ogień ciągnąc z własnej krainy: obróconej w perzynę i tonącej. Przybyli tu, by odebrać wam waszę.

Bythein zaczęła głośno lamentować i usiadła, jakby złożona nagłą chorobą. Bytheis starał się ją pocieszyć. Wszyscy członkowie klanu Bythein, obawiając się o swych seniorów, poruszyli się niespokojnie.

— Z takim złem nigdyśmy się dotąd nie spotkali — powiedziała Bythein, gdy już nieco doszła do siebie. — O pani, rozumiemy, dlaczego byłaś wobec nas tak powściągliwa w słowach. ąhalowie! Och, pani, co to jest?

Vanye napełnił kufel piwem, które warzono w Mirrindzie i wypił duszkiem, starając się pozbyć ucisku w gardle. To nie on nadał kształt temu, co podążało za nimi i teraz zagrażało Mirrindowi. Jednak miał w tym swój udział, gdy zaczynało się tworzyć, a więc nie mógł uwolnić się od przeświadczenia, że być może wtedy zaprzepaścił okazję, by zmienić bieg rzeczy. Jedno mógł uczynić, i miało to związek z niesionym przezeń Mieczem Honoru: mógł zabić krewnego, co zapobiegłoby całemu nieszczęściu, lecz w porwywie współczucia, w chwili zawahania nie uczynił tego i ocalił mu życie.

A Morgaine? To ona w istocie uruchomiła lawinę, która podążała teraz ich śladem, przed więcej niż

tysiącem lat według rachuby Ludzi... Ludzi, którzy nie przekroczyli Bram. Idąca ich tropem armia dawniej była jej sprzymierzeńcem — byli to prawnukowie tych, którzy poszli za nią na samym początku.

Wiele zgryzot trzeba by topić w piwie tej nocy. Może i miałby ochotę się upić, lecz miał jeszcze zdrowy rozsądek, a chwila nie sprzyjała uzalaniu się nad sobą. A więc zachował wstrzemięźliwość i tylko jadł — także z nakazu rozsądku: sfera wilków ponownie podążała ich tropem, a człowiek, który nie wie, czy następny dzień pozwoli mu na to, powinien najeść się do syta.

Także Morgaine jadła to, co jej podano, i też nie dlatego, pomyślał Vanye, że była głodna, lecz przez roztropność. Ona potrafiła przetrwać — na tym polegał jej dar.

Gdy izba opustoszała, zebrała żywności, ile tylko mogli unieść w dwóch tobołach — nie tylko po to, by równo rozłożyć ciężar; żyli w ciągłym strachu, że zostaną rozdzieleni albo że jedno z nich padnie, a wtedy drugie samotnie musiałoby ruszyć w drogę. Nigdy nie obciążali tylko jednego wierzchowca najniezbędniejszymi zapasami.

- Śpij — ponagliła go, kiedy szykował się do objęcia warty.
- Można im ufać?
- Niech to będzie lekki sen.

Położył obok siebie swój miecz. Morgaine spoczęła z „Od-mieńcem” w rękach, nie wdziawszy na siebie kolczugi; od pierwszej, spędzonej w Mirrindzie nocy oboje ani razu nie nałożyli do snu swych zbroi.

ROZDZIAŁ III

Na zewnątrz coś się poruszyło. Vanye usłyszał to, lecz wydawało mu się, że wiatr potrząsa gałęziami drzew. Dźwięk nie powtórzył się więcej. Opuścił więc głowę i na powrót przymknął oczy, by w końcu znów zapaść w sen. Nagle rozległ się jeszcze jeden dźwięk: skrzypienie desek w podłodze. Morgaine drgnęła. Przetoczył się na kolana i zamarł z mieczem w dłoni, zanim jeszcze z jego oczu ulotnił się sen; u jego boku stanęła uzbrojona Morgaine — naprzeciw trzech mężczyzn, który wyłonili się znikąd.

Nie Ludzi — ąhalów.

Byli wysocy i szczupli, o białych, spływających do ramion włosach. Delikatne i drobne rysy twarzy niezwykle upodabniały ich do Morgaine. Nie mieli przy sobie broni, z ich postawy nie przebijała groźba; nie wywodzili się z owej hordy, która wdarła się tutaj przez Azeroth. Próżno by doszukiwać się w nich takiego plugastwa.

Morgaine odetchnęła swobodniej. Nie opuściła „Odmień-ca”, jednak nie ściągnęła z niego pochwy. Vanye powstał z klęczek i oparł nagi miecz na podłodze przed sobą.

• Nie znamy was — odezwał się jeden z ąhalów. — Mirrin-dianie powiadają, że na imię masz Morgaine, zaś twój khe-meis — Vanye. Obce są nam wasze imiona. Wieśniacy powiadają, iż wysyłałaś młodzieńców w puszcze, by ścigali cudzoziemców, i że jeden z nich zginął. Jak mamy to rozumieć?

- Jesteście przyjaciółmi mirrindian? — zapytała Morgaine.
- Tak. Kim jesteście?
- Długo by o tym opowiadać; lecz ci ludzie przyjęli nas serdecznie i my nie wyrządzimy im krzywdy. Czy troszczycie się o ich bezpieczeństwo?
- Tak.
- W takim razie wywieźcie ich stąd. Tutaj zagraża im niebezpieczeństwo.

Na chwilę zapadła cisza.

• Kim są owi cudzoziemcy? Jeszcze raz powtórzę: kim wy jesteście?

• Nie wiem, z kim przyszło mi rozmawiać, mój panie ąhalu. Snadź wielbicie pokój, bo przyszłście z pustymi rękami, i snadź jesteście przyjaciółmi mirrindian, bo nie wszczynali wrzawy, zatem skłonna byłabym wam zaufać. Jednak wezwijcie starszysnę wioski i pozwólcie, by przekonali nas do was, wtedy być może odpowiem na niektóre z waszych pytań.

• Na imię mi Lir — przedstawił się ąhal, pochylając się w lekkim ukłonie. — My jesteśmy u siebie; wy nie. Nie macie prawa robić tego, co uczyniliście, ani namawiać mirrindian do ucieczki. Jeśli ruszycie przez Shathan, musicie nas przekonać o swojej przyjaźni, w przeciwnym razie będziemy musieli przyjąć za pewnik nasze podejrzenia, że jesteście częścią tego zła, które tutaj się pojawiło, a tego nie ścierpimy.

Zostało to wypowiedziane dostatecznie jasno i Vanye, wyostrzywszy zmysły, zacisnął dłoń na rękojeści miecza, nie tyle w obawie przed stojącą w izbie trójką, ile mając na względzie niebronione, znajdujące się wokół nich okna. W świetle rzucanym przez ogień łatwo mogli paść ofiarą łuczników.

- Wiesz o wielu rzeczach — rzekła Morgaine. — Rozmawiałeś z mirrindianami? Nie sądzę, skoro

uważasz nas za wrogów.

- W puszczy napotkaliście cudzoziemców i uporaliście się z nimi. Przyszliśmy do Mirrindian i pytaliśmy, wtedy dowiedzieliście się o was. Dobrze o was mówią, lecz czy w istocie poznali was na tyle?

- Powiem wam to samo, co im: wasze ziemie zalała inwazja. Ludzie i ąhalowie przekroczyli Ogień Azeroth; zgłodnieli, niebezpieczni, ciągnący z krainy, gdzie wszelkie prawa i władza rozumu nie istnieją od dawna. Uciekliście przed nimi, Vanye i ja... My nie ściągnęliśmy ich tutaj. Grabią i polują jak drapieżne zwierzęta. Teraz w swym pochodzie natknęli się na Mirr ind. Mam nadzieję, że nie dopuściliście, by choć jeden z tych, których napotkaliście, uszedł i powrócił do głównych sił. Jeśli nie, powrócą!

Qhal zamienił niespokojne spojrzenie ze swymi towarzyszami.

- Czy dysponujecie bronią — zapytała Morgaine — którą moglibyście obronić tę wioskę?

- Tego wam nie powiemy.

- A przynajmniej weźmiecie na siebie odpowiedzialność za jej los?

- Zawsze się nią opiekowaliśmy.

- To dlatego przyjęli nas... nie wiedząc o nas nic ponad to, że jesteśmy ąhalami.

— Tak, dlatego spotkaliście się z serdecznym przyjęciem.

Morgaine pochyliła głowę z uszanowaniem.

- Ha, teraz rozwiązanych zostało wiele zagadek, które mnie intrygowały. Jeśli mirrindianie szanują was, wystawia to wam jak najlepsze świadectwo. W takim razie powiem wam tak: razem z Vanye wracamy do Azeroth, by zmierzyć się z tym ludem, który opanował to miejsce, i pójdziemy tam z waszym pozwoleniem lub bez.

- Mówisz z wielką arogancją.

- A ty nie, mój panie ąhalu? Masz do tego prawo... lecz nie jest ono większe od mojego.

— U źródeł takiej arogancji może leżeć jedynie siła.

Morgaine zbyła to wzruszeniem ramion.

- Czy prosisz o zezwolenie na podróż przez Shathan? Musisz je mieć, a ja nie mogę ci go udzielić.

- Z zadowoleniem przyjmę pozwolenie od waszego ludu, lecz kto może mi je dać, i na podstawie jakiego prawa — jeśli wybaczysz mi moją ciekawość?

- Dokądkolwiek pójdziecie, nie spuścimy z was oka, moja pani, przemawiająca w sposób tak osobliwy i o osobliwszych jeszcze manierach. Nie mogę obiecać, jaką otrzymasz odpowiedź. Jest tobie coś, co każe mi mieć się przed wami na baczności. I nie pochodzicie z tej krainy.

- Nie — przyznała Morgaine. — Nasza ucieczka nie zaczęła się w Azeroth. To nieszczęsny los posłał hordy w te strony, nie nasze to dzieło. Przewodzi im półkwi ąhal

Hetharu i mieszaniec Chya RohTChya, lecz nawet ci dwaj nie panują w pełni nad hordą. Próżno by spodziewać się po nich litości. Jeśli porwiecie się, by zetrzeć się z nimi twarzą w twarz, spotka was los Etha. Obawiam się, że już ujawnili przed wami swą naturę i żal mi ponad wszystko na świecie, że to nie ze mną się spotkali, lecz z Ethem.

Wymienili między sobą spojrzenia i na koniec stojący na przedzie ąhal, schyliwszy głowę w ukłonie, rzekł:

— Udajcie się wzdłuż strumienia na północ. Niewielka zwłoka dla zadowolenia naszych panów może ocalić wam życie. To nie jest daleko. Jeśli nie uczynicie tego, wtedy będziemy uważali was za naszych wrogów. Przyjaciele nie będą się wzbraniać przed rozmową z nami.

Nie dodając już ani słowa, trzej ąhalowie odwrócili się na pięcie; okazało się, że osobą, która przez cały czas nie wychodziła z cienia, była kobieta. Oddalili się tak samo bezgłośnie, jak przyszli.

Morgaine zakłęła cicho i gniewnie.

- Udamy się w tę wędrówkę? — zapytał Vanye, któremu nie bardzo uśmiechała się ta wyprawa, ale myśl o przysporzeniu sobie nowych wrogów także budziła w nim niechęć.

- Jeśli będziemy walczyć, doprowadzimy to miejsce do ruiny, a ci poczciwi ludzie staną się zupełnie bezbronni, wydani na łaskę Shiua; nie mówiąc już o tym, że i nas pewnie kosztowałoby to życie. Nie, nie mamy wyboru, i oni o tym wiedzą. Prócz tego, nie jestem przekonana, że pojawili się tutaj bez zaproszenia.

- Mirrindianie? To nie do pomyślenia!

- Nie jesteśmy z nich, to słowa Sersein. Dziś po południu, po śmierci Etha, zwątpili w nas. Hmm, może poprosili o pomoc kogoś innego. Bardzo pragnęli zatrzymać nas tutaj na noc. Kto wie, może zatrzymując nas u siebie, ocalili nam życie... A może jestem nadmiernie podejrzliwa. Pójdziemy tam, gdzie nam powiedzieli. Nie ma powodu, by upadać na duchu; od samego początku czułam, że

ąhalowie dyskretnie opiekują się tym miejscem i że nigdy nie oddalali się stąd zbyt daleko.

- Są bardziej uprzejmi od ąhalów, których spotykałem dotychczas — rzekł, przełknawszy z trudem ślinę, gdyż mimo wszystko nie podobała mu się tak bliska ich obecność. — Powiadają, *liyo*, że w pewnej części puszczy Anduru, gdzie podobno straszy, żyją bardzo łagodne zwierzęta, które nie boją się nikogo, gdyż nigdy nikt tam nie polował. Takie doszły mnie słuchy.

- Zrećznie powiedziane. — Morgaine ponownie zwróciła się twarzą do ognia; zamarła, by po chwili odłożyć „Od-mieńca” i zebrać części swojej kolczugi.

- Odchodzimy?

- Myślę, że nie powinniśmy dłużej zwlekać. — Spojrzała na niego. — Vanye, może i oni są uprzejmi; może kierują się podobnym rozumowaniem, lecz jest jeszcze coś... ty wiesz. Ty wiesz najlepiej, że nie ufam nikomu.

- Tak — zgodził się i nałożywszy zbroję, wsadził na głowę swój zniszczony hełm, którego nie nosił od chwili wkroczenia do Mirrindu.

Potem odeszli razem do zagrody, gdzie stały ich wierzchowce.

Na dźwięk otwieranych wrót w ciemności poruszył się drobny cień. To był Sin, który sypiał z końmi. Chłopiec podszedł do nich, nie alarmując wioski. Plakał, lecz mimo to drobnymi rączkami pomógł im osiodłać wierzchowce i przytroczyć zapasy. Gdy uporali się ze wszystkim, Vanye zaofiarował mu swoją dłoń jak dorosłemu mężczyźnie, lecz Sin przytulił się do niego gorączkowo. By oszczędzić mu bólu długiego pożegnania, Vanye odwrócił się i szybko wskoczył na siodło. Gdy i Morgaine poszła w jego ślady, chłopiec ustąpił im z drogi.

Choć zachowali ciszę, wzdłuż drogi ich przejazdu otwierały się drzwi chat. Pojawiali się w nich zaspiani mieszkańcy w nocnych koszulach, milczące postacie w świetle księżycy, i patrzyli na nich smutnymi oczyma. Kilkoro zamachało im żałośnie na pożegnanie. Starcy wyszli, by zastąpić im drogę. Morgaine ściągnęła wodze i złożyła przed nimi ukłon, nie schodząc z siodła.

— Nie jesteśmy wam już potrzebni — odezwała się. —

Jeśli ąhal-pan Lir jest waszym sprzymierzeńcem, to on i jego ludzie będą czuwać nad wami.

- Nie jesteście od nich — cichutko skwitowała Bythein.

- Czyż nie podejrzewaliście tego?

- W końcu tak, pani. Lecz wy nie jesteście naszymi wrogami. Wróćcie, a powitamy was serdecznie.

- Dzięki. Lecz nasze sprawy wiodą nas w inne strony. Czy im ufacie?

- Zawsze opiekowali się nami.

- Zatem zrobią to i teraz.

- Nie zapomnimy waszych ostrzeżeń. Rozstawimy strażników. Jednak nie możemy przemierzać Shathanu bez ich pozwolenia. Nie wolno nam. Szerokiej drogi, pani; szerokiej drogi, khemeisie.

- Niech los wam sprzyja — powiedziała Morgaine i ze smutkiem w sercu, niespiesznie, nie jak uciekinier, opuściła gromadkę ludzi.

Dookoła nich zamknął się mrok puszczy. Obrali drogę obok wartowników, witających ich smutno i życzących szczęśliwej podróży — a potem w dół nad strumień, który odtąd miał im wskazywać drogę.

*

Nie natknęli się na żaden ślad wroga, konie szły spokojnie w mroku. Kiedy oddalili się od Mirrindu, zeskoczyli z siodła, owinęli się pledami i przez resztę nocy spali na zmianę, krótko; tyle, na ile — jak sądzili — mogli sobie pozwolić. Światło dnia zastało ich znowu w drodze. Przedzierali się wzdłuż strumienia ścieżkami ledwie zasługującymi na taką nazwę, poprzez delikatne listowie, noszące ledwie dostrzegalne ślady poprzednich przejść. Od czasu do czasu dochodził ich cichy szelest krzewów i opanowywało ich uczucie, że są obserwowani: dla obojga las to nie była pierwszorzędna i niełatwo było zwieść ich zmysły, lecz obserwatorów dostrzec nie mogli.

— To nie są nasi wrogowie — odezwała się Morgaine, kiedy wydawało się, że nieznajomi ich opuścili. — Tylko nieliczni z nich mają doświadczenie w lesie i zaledwie jeden wywodzi się z Chiya.

- Roh nie przyszedłby tutaj, jak sądzę.

- Nie, wątpię w to. Oni muszą być ąhalami, którzy tutaj mieszkają. Mamy eskortę.

Morgaine była niespokojna, ujrzał to w jej twarzy i zrozumiał.

Gdy zabrnęli głębiej w las, wokół nich zaległa cisza, jedynie konie hałasowały, czego nie można było uniknąć, łamiąc gałęzie i kalecząc kopytami leśną glebę. A jednak nie opuszczało ich uczucie, że towarzyszą im jeszcze inne odgłosy: powiew wiatru — tam, gdzie go być nie mogło — jakiś szelest liści. Vanye usłyszał to i spojrzął za siebie.

Ucichło.

Vanye ponownie siadł prosto, gdyż ścieżyna, zakręcając wraz ze strumieniem, wkraczała w odcinek nie przeznaczony dla jeźdźców, gdzie nisko wiszące nad ziemią konary zmuszały do pochylania się w siodle. Był to las starszy i dzikszyszy od tej części, gdzie po raz pierwszy przekroczyli jego granicę, albo od tej, która otaczała spokojne pola Mirrindu.

I znów coś dobiegło jego uszu — tym razem z lewej strony.

- To wróciło — powiedział. Ta zabawa zaczynała go irytować.
- Czy zechcecie się nam pokazać? — odezwała się Morgaine w języku ąhalskim.

Ledwie ominęli następny zakręt, a jakaś postać pojawiła się na ścieżce: młodzieniec odziany w pstrokatą zieleń, wysoki, białowłosy i... z pustymi rękami. Konie parsknęły i sploszyły się. Jadąca przodem Morgaine utrzymała Sip-taha na wodzy, a Vanye zbliżył się do niej na tyle, na ile mógł w tym wąskim przejściu.

Młodzieniec uklonił się z uśmiechem, jakby zadowolony z wrażenia, jakie wywołało jego pojawienie się. W okolicy znajdował się przynajmniej jeszcze jeden. Vanye usłyszał ruch za sobą i po karku przebiegł mu dreszcz.

- Czy jesteś jednym z przyjaciół Lira? — zapytała Morgaine.
- Jestem jego przyjacielem — odrzekł młodzieniec. Ręce

trzymał za pasem i uśmiechał się przekrzywiając głowę. — A ty życzyłaś sobie, bym wam towarzyszył. I oto jestem.

- Wolę wiedzieć, z kim dzielę drogę, którą podążam. Sądzę, że i ty udajesz się na północ.
- Jestem twym opiekunem i przewodnikiem — młodzieniec uśmiechnął się szeroko, pochylając się w wyszukany, głęboki ukłon. — Jestem Lellin Erirrhien. Proszę, byś wypoczęła tej nocy w obozie pana Merira Mlenniry, razem ze swym khemeisem.

Morgaine milczała przez chwilę. Siptah kręcił się pod nią niespokojnie, przyzwyczajony, że po tak niespodziewanym spotkaniu zwykle dochodzi do wymiany ciosów.

— A kim jest ten, który wciąż przygląda się nam z ukrycia?

Do Lellina przyłączył się drobny, smagły mężczyzna, uzbrojony w miecz i łuk.

— Oto Sezar, mój khemeis — odparł Lellin.

I Sezar, skłoniwszy się z gracją ąhala, podążył tuż za Lellinem, gdy ten odwrócił się, by wskazywać im drogę, pewny, że ruszą jego śladem. Vanye popatrzył na nich — wyglądali jak zjawy przemykające się przez krzewy — i nieco zmniejszyły się jego obawy. Sezar był Człowiekiem, tak jak mieszkańcy wioski, i choć był uzbrojony, to jego pan — nie.

Albo kochany, albo dobrze chroniony, pomyślał, zastanawiając się, ilu ich jeszcze dookoła nich było.

Lellin obejrzał się i uśmiechnął, zatrzymawszy się na rozwidleniu drogi, by poprowadzić ich teraz inną ścieżką, która oddalała się od strumienia.

- Tędy będzie szybciej — powiedział pogodnie.
- Lellinie — odezwała się Morgaine. — Kazano nam trzymać się brzegu strumienia.
- Nie przejmuj się. Lir wskazał wam pewny szlak, ale aż do jutra bylibyście w drodze. Chodźcie!

Nie wprowadziłbym was w błąd.

Morgaine wzruszyła ramionami i ruszyli. W południe wezwali swych przewodników do postoju i odpoczynku. Lellin i Sezar przyjęli ofiarowany im posiłek, lecz wkrótce zniknęli bez słowa i pojawili się dopiero, gdy Morgaine i Vanye, znudzeni czekaniem na własną rękę zaczęli podążać nikłym śladem. Podczas marszu niedaleko nich co chwila rozlegał się ptasi śpiew — rzecz w takiej sytuacji niezwykła; co rusz któryś z ich przewodników zniknął, by znów pojawić się na ścieżce za jakimś odległym zakrętem. Widocznie można było tędy przejść jeszcze krótszą drogą, której być może nie mógłby jednak pokonać żaden jeździec.

Późnym popołudniem w powietrzu rozszedł się delikatny swąd dymu z ogniska. Lellin, powróciwszy z jednego ze swoich wypadów w gąszcz, stanął przed nimi na ścieżce. Nie wyciągając dłoni zza pasa, skłonił się z nonszalancją.

— Jesteśmy już blisko. Proszę, chodźcie tuż za mną i nie róbcie nic pośpiesznie. Sezar poszedł przodem, by uprzedzić o naszym przybyciu. Przy mnie jesteście całkowicie bezpieczni, wasze bezpieczeństwo leży mi na sercu, więc będę trzymał się blisko was. Tędy, proszę.

Powiedziawszy to, Lellin odwrócił się i wprowadził ich w taki gąszcz, że aż musieli zeskokczyć z koni i chwycić je za uzdy. Morgaine przystanąła, by w mgnieniu oka odczepić "Odmieńca" od siodła i przywiesić go sobie na pasie przez ramię — Vanye zabrał ze sobą nie tylko miecz, ale i łuk z kołczanem. Idąc na końcu, spozierał za siebie, omiatał dookoła wzrokiem, ale nie ujrzał niczego, co mogłoby im zagrażać.

To nie była właściwie polana, a przynajmniej nie taka, jak ogromny krąg Mirrindu. Pomiedzy rosnącymi z rzadka drzewami rozstawiono namioty. Jedno z nich było tak wysokie, że pierwsze konary pojawiały się dopiero na wysokości przekraczającej dziewięć, dziesięć razy wzrost człowieka i przytłaczało swym ogromem obozowisko. Drzewa na najdalszym krańcu obozu dorównywały mu wysokością; strzeliste, rozpościerając szeroko swe gałęzie, rzucały cień, od którego pstrokate były wszystkie płótna.

Ich wjazd wywołał w obozie poruszenie. Ludzie i ąhalowie ustawili się wzdłuż tonącej w zielonkawej poświacie alei, którą szli przybysze, gdzie jedynie nad głowami przebłyskiwało niebo — złocisto-białe tło rzucających cień gałęzi. Nikt nie okazał im wrogości. Wysocy ąhalowie o białych włosach — zarówno mężczyźni, jak i kobiety — stali ramię przy ramieniu z drobnymi, smagłymi Ludźmi. Gdzeniegdzie można było dostrzec starców obu ras: podobne do siebie, odziane w długie szaty postaci, których podobieństwo pogłębiał srebrzysty kolor włosów, jednak niektórzy Ludzie byli brodaci oraz tysi — rzecz nie spotykana u ąhalów. Młodzi, bez względu na wiek, płeć czy rasę, nosili bryczesy i tuniki, a niektórzy byli uzbrojeni. Wspólnie stanowili poczciwie wyglądający lud. Szli pogodni, rozluźnieni, krok w krok za cudzoziemcami, jakby powodowani jedynie ciekawością obejrzenia przybyszów, którzy zawitali do nich. Lellin zatrzymał się na granicy obozu, uklonił się i rzekł:

- Pani, proszę, oddaj broń swemu khemeisowi i chodź ze mną.
- Jak zauważyłeś — odparła cicho Morgaine — oboje mamy cudzoziemskie obyczaje. Nie sprzeciwiam się oddaniu mej broni Vanye, lecz czego więcej zażadasz?
- *Liyo* — odezwał się szeptem Vanye. — Nie, nie pozwól na to.
- Zapytaj swego pana — powiedziała Morgaine do Lel-lina — czy będzie przy tym obstawał. Mam ochotę nie zgodzić się na to i natychmiast opuścić to miejsce... Lellinie, ja mogę to zrobić.

ąhal zawahał się, na jego czole pojawiła się zmarszczka. Nagle oddalił się w stronę największego namiotu. Sezar pozostał przy nich. Czekał, splótszy ręce na piersi. I oni czekali, krótko ujawszy swe konie.

— Wyglądają poczciwie — odezwał się Vanye w swym ojcystym języku — lecz najpierw rozdzielą nas z końmi, potem ciebie z twą bronią, a mnie z tobą. Jeśli tak dalej pójdzie, podzielą nas na małe kawałki, *liyo*.

Roześmiała się krótko. Zaintrygowany Sezar błysnął oczami.

— Nie myśl, że mam zamiar na to pozwolić — odpowie działa. — Uzbrójdźmy się w cierpliwość, póki nie poznamy ich zamiarów. Nie powinniśmy przysparzać sobie wrogów.

Długo przyszło im czekać.

Otoczyli ich mieszkańcy obozu, lecz nikt nie dobył broni, nie napiął łuku, nie rzucił obraźliwego słowa, choć wszyscy przypatrywali się im ciekawie. Dzieci stały obok rodziców; starcy wysunęli się przed wszystkich — to nie byli ludzie liczący się z możliwością użycia przemocy.

W końcu powrócił wciąż czymś zmartwiony Lellin i uklonił się.

— Jak sobie życzysz. Merir nie będzie nalegał — powie dział. — Proszę jedynie, byś zostawiła konie — trudno się spodziewać, byś i je mogła wziąć ze sobą! Sezar dopilnuje, żeby nic im się nie stało i by zaopiekowano się nimi. Chodźcie, lecz wystrzegajcie się naruszenia pokoju i gróźb wobec Merira, bo ujrzenie nasze całkiem odmienne oblicze — obcy przybysze!

Vanye odwrócił się, by zdjąć z siodła rzeczy Morgaine i przewiesił je sobie na pasie przez ramię. Podczas gdy Sezar, odebrawszy wodze, odprowadzał dokądś oba wierzchowce, on podążył w ślad za Morgaine i Lellinem — do zielonego namiotu, największego w całym obozie.

Widok był uspokajający: klapy u wejścia stały otworem, zatem mniejsze było prawdopodobieństwo pułapki; zebrani w środku ąhalowie byli starcami bez broni, odzianymi w powłóczyste szaty; towarzyszący im Ludzie wyglądali na zbyt posuniętych w latach, by móc posłużyć się wiszącymi im u pasa sztyletami; pośrodku zebranych siedział starzec, ąhal, którego gęste, spadające na ramiona białe włosy na wysokości brwi upinała złota opaska jak u króla Ludzi. Zielona jak wiosenne liście szata była u ramion ozdobiona kilkoma warstwami szarych, gładkich piór o delikatnie zaczerwionych brzegach — przykład niezwykle pięknego rzemiosła.

- Merirze — przemówił cicho do starca Lellin, składając ukłon — panie Shathanu.
- Witajcie! — pozdrowił ich Merir niskim, łagodnym głosem.

Rozłożono krzesło i poproszono Morgaine, by spoczęła. Usiadła na nim, a Vanye ustawił się za jej

plecami.

- Zwać cię Morgaine, a twego towarzysza Vanye — zaczął Merir. — Zatrzymałaś się w Mirrindzie i rozkazałaś młodzieży mirrindian, by chodziła na zwiady do Shathanu, aż jednego z nich spotkała śmierć. Powiadasz, że idziesz do Azeroth, ostrzegasz przed inwazją, która nadciąga z Ognia, i nie pochodzisz z Shathanu — żadne z was stąd nie pochodzi. Czy to, co powiedziałem, jest prawdą?

- Tak, Merirze. Jednak nie oczekuj od nas, o panie, byśmy rozumieli wiele z tego, co dzieje się na waszej ziemi. Jesteśmy wrogami tych, którzy obsiedli równiny; wyruszyliśmy, by stawić im czoła, lecz przyszliśmy prosić was o zgodę, jeśli to konieczne.

Marszcząc brew, Merir długo mierzył ją uporczywym spojrzeniem. Nie uległa się i nie cofnęła wzroku ani o jotę. W końcu Merir odwrócił się i powiedział coś krótko do jednego ze starców.

— Odbyliście długą drogę — rzekł. — Ty i twój khemeis zasłużyliście przynajmniej na gościnne przyjęcie podczas naszych obrad. Jak widać, jesteście cierpliwi. Jeśli spodziewacie się natychmiastowego ataku, powiedzcie, a zapewnięm was, że podejmiemy odpowiednie działania; jeśli nie, może poświęćcie nieco czasu, by z nami pomówić.

Morgaine nic na to nie odpowiedziała, siedziała milcząca i spokojna, gdy na rozkaz seniora przygotowywano namiot, w którym mieli się schronić. Przez cały czas Vanye stał za nią, opierając dłoń na jej krześle, bacznie obserwując najmniejsze poruszenie, nastawiając ucha na każdy szept... gdyż oboje posiadli całą wiedzę o Bramach i ich potęgę; wiedzę, którą niektórzy z ąhalów utracili i gotowi byłiby zabić, byle ją zdobyć. Pomimo uprzejmości tego ludu, taka obawa istniała zawsze.

Podano im napoje. Vanye pochylił się, wziął naczynie z rąk Morgaine, by jako pierwszy upić z niego łyk i dopiero potem zająć się własnym. Choć Merir pił, ona po prostu trzymała kubek w dłoniach.

- Czy takie są wasze obyczaje? — zapytał Merir.

- Nasze — nie — Vanye odparł nie pytany — ale naszych wrogów — tak.

Pozostali ąhalowie wydawali się niezadowoleni takim początkiem rozmowy z ich seniorem.

- Nie — rzekł do nich Merir. — Niech tak będzie. Porozmawiam z nimi. Niech odejdą wszyscy, którzy powinni. Będziemy rozmawiać — dodał — o rzeczach, które należą do ścisłego kręgu rady naszego ludu. Choć nalegałaś, by towarzyszył ci twój khemeis, mimo wszystko możesz go odesłać, by stanął na zewnątrz namiotu.

- Nie — sprzeciwiła się Morgaine.

Nie wszyscy ąhalowie się oddalili. Ci, którzy pozostali, usiedli — większość na matach, jedynie najstarsi zajęli miejsca na krzesłach.

— Usiądź — rzuciła.

Vanye, ściągawszy z ramienia łuk i położywszy obok siebie miecz, usiadł u jej stóp ze skrzyżowanymi nogami, w niezbyt oficjalnej pozycji. Stwierdziwszy, że nie szkodzi mu łyk, który wypił, zaczął raczyć się z utrzymanego w dłoni kubka. Także Morgaine spróbowała po raz pierwszy swego napoju; wyciągnęła nogi w wysokich butach i skrzyżowała stopy — swobodna w przyjętej przez siebie, nazbyt niedbalej pozycji, co nie spodobało się ąhalom. Postąpiła tak umyślnie; Vanye znał ją zbyt dobrze i wyczuł jej napięcie — starała się w ten sposób zbadać, jak daleko sięga ich cierpliwość.

- Nie przywykłam, aby mnie wzywano — powiedziała — lecz to wasza ziemia, panie Merirze, i winna wam jestem grzeczność złożenia kurtuazyjnej wizyty.

- Jesteś tu, gdyż tak jest wam wygodnie... wam obojgu. Tak jak powiedziałaś: to nasza ziemia i uprzejmość, której żądam, jest powodem waszej wizyty. Opowiedz nam więcej o tym, co już usłyszeli mirrindianie. Co to za lud, który tutaj ściągnał?

- Mój panie, istnieje kraina zwana Shiuan, po drugiej stronie Ognia — wydaje mi się, że rozumiesz, co mam na myśli — nieszczęsne miejsce głodujących ludów. Wpierw głód spadł na żyjących w ubóstwie Ludzi, a później na ąhalów, którzy obrośli w bogactwa. Lecz powódzie, które zagrażały ich ziemi, miały pochłonać i jednych, i drugich —

bez różnicy. Nagle pojawił się tam Człowiek zwany Chya Roh, który znał działanie Bram, o czym ąhalowie tej ziemi całkiem zapomnieli. Nie był on ich ziomkiem, lecz wyszedł z Bramy Shiuanu, idąc — jak i my — z Andur-Kurshu. Pościg za nim i nas zawiódł w to samo miejsce.

— Kto nauczył tego Człowieka takich rzeczy? — rozkazującym tonem odezwał się jeden ze starców. — Jakże to w krainie zwanej Andur-Kursh... Ludzie mogą uwolnić takie moce?

Morgaine zawahała się.

- Mój panie, to możliwe... że i Człowieka mogą odmienić

te moce. Czy wiadomo o tym i tutaj?

Zapadło głębokie milczenie. Zebrani wymienili przerażone spojrzenia. Jednak twarz Merira pozostała nieruchomą maską.

- To wiedza zakazana — odparł. — Tak, wiemy o tym, lecz nie zezwalamy, by wykroczyła poza krąg naszej najwyższej rady.

- Podnosi mnie na duchu widok tyłu wiekowych mężów w waszych kręgach władzy — wiek najwyraźniej cieszy się tutaj szacunkiem, choć być może to ja wywodzę się spośród rozsądnych i powściągliwych.

- Owe odmiany to zła rzecz.

- Lecz znana garści bezwzględnych osobników z Andur-Kurshu. Chya Roh... Niegdyś był tam wielki mistrz mocy Bram, qhal, przynajmniej na początku, choć tego nie mogę udowodnić, gdyż dotąd zawsze ukrywał się pod przybranymi postaciami Ludzi, których jednego po drugim mordował, zagarniając na własny użytek ich ciała, przedłużając swój żywot na wiele pokoleń Ludzi i qhalów. Był Chya Zri; był Chya Liell, a ostatnio zabrał ciało Chya RohTChya, pana na jego ziemiach, kuzyna Vanye. Widzisz więc, panie, że wiedza o Bramach ma dla Vanye gorzki posmak.

- Dopuściwszy się tego, Roh uciekł przed nami widząc, iż zagrażamy jego życiu... Nie wiem, ile zasnął żywotów od samego początku, czy był wtedy mężczyzną, czy kobietą; ani czy urodził się w Andur-Kurshu; czy był tam przybyszem spoza Bram. Jest stary i bardzo niebezpieczny, zuchwale poczyna sobie z mocami zaklętymi w Bramach. Z takich oto przyczyn musieliśmy iść za nim trop w trop aż do Shiuanu; on stwierdził tam, że wpadł w potrzask... że trafił do świata, który umierał — rzecz dostatecznie przerażająca dla ras w nim urodzonych, którym dane było jeszcze może i kilkanaście pokoleń do końca, lecz istocie goniącej za nieśmiertelnością musiało się wydawać, że śmierć czyha już za progiem. Udał się więc pomiędzy qhalów tamtego świata i pomiędzy Ludzi — głosząc, iż może odemknąć Bramy od tak dawna wymykające się ich wiedzy i zawieźć ich do nowej ziemi, którą mogliby objąć w posiadanie... W ten oto sposób znalazł wyjście z sytuacji i zgromadził wokół siebie armię.

— Nie zdołaliśmy go z Vanye powstrzymać, po prostu wyprzedził nas w drodze i nie udało nam się go na czas pochwycić. Jedyne, co nam pozostało, to przeprawić się osobiście, lecz to wyczerpało nas bardzo; jechaliśmy co sił... Aż natknęliśmy się na puszcę, a potem na Mirrind, gdzie zatrzymaliśmy się na odpoczynek oraz by się tam dowiedzieć, co to za kraina, i czy jest tu jakaś siła, która mogłaby zagrozić drogę nadsciągającym hordom. Nie chcieliśmy wciągać w to mirrindian, gdyż widzieliśmy, że nie są wojownikami; zachowując czujność, chcieliśmy ich ochronić. Wiadząc, że czas uciekł szybko, zawróciliśmy do Azeroth, by czynić co w naszej mocy. Do tego się wszystko sprowadza, panie.

Zebranych opanowała konsternacja, rozległ się szmer rozmów, w stronę Merira skierowano niejedno strapione spojrzenie. Starzec siedział z zaciśniętymi mocno, wyschniętymi ustami, maska z jego twarzy ostatecznie opadła.

- To przerażająca opowieść, moja pani.

- Słowa nie mogą oddać jej grozy. Czy razem z Vanye zdołamy im przeszkodzić — no cóż, zobaczymy. Trudno się ludzić, że horda nie dotrze do Mirrindu, przybędą tam prędzej czy później... i absolutnie nie namawiałam mirrindian, by się z nimi spotykali. Powinłam była jednak pomyśleć, że nie będą się ich bali bardziej niż nas. Ostrzegłam ich — ostrzegłam! Lecz Eth niczego nie świadom, wpadł im w łapy, gdyż nie bał się ich — tak jak i mnie. To mnie zasmuca.

- Nie miałaś prawa — odezwał się inny — wysłać Ludzi do Shathanu. Nie wiedzieli o tym i dlatego poszli, tak jakby to zrobili dla nas... skwapliwie pragnąc cię zadowolić. To ty wysłałaś tego Człowieka na śmierć, ponad wszelką wątpliwość.

- Ten człowiek został ostrzeżony — Vanye spojrział groźnie na starszego mężczyznę.

- Pokój — przerwał im Merir. — Nhinnie, czy któremu-kolwiek z nas powiodłoby się lepiej, gdyby samotnie musiał bronić całej wioski? I nasza w tym wina, gdyż tych dwoje poruszało się tak zrećnie, tak spokojnie osiadło pomiędzy mirrindianami, że do chwili popełnienia tego gwałtownego czynu nic o nich nie wiedzieliśmy. Jednak mogło być gorzej, gdyby owe zło spadło na Mirrind zupełnie niespodziewanie, gdy nie byłoby tam nikogo, kto mógłby ich obronić. Ci dwoje i pozostali przeniknęli przez naszą obronę w małych grupkach — to moja wina.

- Eth mógł być przesłuchiwany — dodała Morgaine. — Jeśli tak było, jacyś qhalowie z owej

hordy musieli się pojawić w Shathanie, gdyż jedynie oni mogli z nim rozmawiać — Ludzie z Shiuanu nie mówią tym samym językiem. Twój ludzie wspominali coś o śmierci jakichś najeźdźców, zatem — wiedzą, czy pomiędzy nimi byli ąhalowie i czy jaki nie uciekł — sami możecie ocenić, jak dużo wie horda. Lecz zarówno raport z ust morderców Etha, jak i fakt ich zniknięcia obudzi tylko ciekawość wodzów głównych sił. Cokolwiek by o nich powiedzieć, nie cofają się przed żadnym wyzwaniem — zapytajcie Lira. Rozumiem, że zabroniliście mirrindianom podróżować, lecz jeśli jesteście im życzliwi, mam nadzieję, że zmienicie zdanie, mój panie. Bardzo obawiam się o ich los, jeśli tam pozostaną.

- Panie — rozległ się nagle młody głos. Wszystkie oczy zwróciły się na młodego Lellina, który, wszedłszy niepostrzeżenie, odezwał się nieproszony. — Jeśli zezwolisz.

- Tak — rzekł Merir. — Idź powiedzieć Nhirrasowi, by zajął się tą sprawą. Nie zaniedbajcie niczego. — Stary qhal opadł z powrotem na krzesło. — Niełatwo jest decydować o wysiedleniu całej wioski, lecz to, co usłyszeliśmy z wa-

szych ust, nie należy do błahostek. Powiedz mi jak zamierzacie samodzielnie stawić czoło waszym wrogom?

— Roh — odparła bez wahania Morgaine. — Chya Roh jest najniebezpieczniejszy, a tuż za nim Hetharu z Ochtij-in w Shiuanie, który przewodzi ąhalom. Wpierw musimy usunąć Roha, a potem Hetharu. Pozbawiona wodzów horda podzieli się, Hetharu, by zdobyć władzę, zamordował ojca i doprowadził własnych panów do ruiny. Jego lud słucha go, lecz nie robi tego z miłości, i gdyby zginął, podzieli się na stronnictwa, które zwrócą się przeciw sobie lub Ludziom, co bardziej prawdopodobne. Podobnie jest z hordą Ludzi, którzy dzielą się co najmniej na trzy stronnictwa; dwa połączone więzami krwi: Hiua i lud z moczarów oraz trzecie, Ludzie z Shiuanu. Roh jest elementem spinającym wszystkich razem; Roha najpierw trzeba pokonać... co jednak nie jest takie łatwe: obydwaj otoczeni są przez tysiące, a na dodatek bezpiecznie trzymają się niedaleko Ognia Azeroth. To jest Brama Główna, nieprawdaż, panie Merirze?

Merir przytaknął powolnym ruchem głowy, ku konsternacji swoich ludzi.

- Tak, lecz skądże ty o tym możesz wiedzieć?

- Wiem. Jest jeszcze miejsce, które nim włada. Ono... nie ma go tam, mój panie?

Pomiędzy starcami nastąpiło poruszenie.

- Kimże jesteś — zapytał jeden z nich — by stawiać takie pytania?

- Zatem wiecie. Zawierzcie mi, moi panowie, lub jeśli chcecie, zapytajcie Chya Roha, choć nie radziłabym tego. Potrafi on wykorzystywać takie miejsca i ma dość siły, by je zająć, jeśli na nie natrafi... I tak to uczyni. Lecz ja przychodzę do was i pytam: gdzie, moi panowie?

- Nie róbmy niczego pochopnie — odparł Merir. — Widzieliśmy, do czego jesteś zdolna, a do czego oni, toteż wolimy ciebie. Lecz wiedza, której żądasz... och, moja pani — wiesz, czego żądasz! My... my cenimy sobie nasz spokój, pani Morgaine. Dawno, dawno temu wyrzuciło nas tutaj... być może rozumiesz mnie, gdyż twoja zręczność w posługiwaniu się starożytną sztuką musi być znaczna, skoro pokonałaś przesmyk, który tu cię zawiódł i stawiasz tak celnie trafiające w sedno pytania; zaś twoja wiedza o przeszłości jest równie wielka jak ta biegłość — to nie ulega wątpliwości. Byli tu Ludzie i my, i nasza potęga legła w gruzach. Mogło to się stać początkiem końca, lecz — jak sama widzisz — prowadzimy prosty żywot. Nie zezwalamy na rozlew krwi ani nie spieramy się o nasze ziemie. Być może nie pojmujesz, jak straszliwej rzeczy żądasz, zwracając się o zezwolenie ścigania swoich wrogów. Zaprowadzamy pokój i utrzymujemy porządek, rozciągamy nad tymi ziemiami nasze prawo; czy zatem mamy z niego zrezygnować, zezwalając tobie na pościg przez nasz kraj i decydowanie o życiu czy śmierci? A odpowiedzialność przed naszymi własnymi ludźmi? Co się stanie, jeśli kiedyś znajdzie się pośród nas ktoś, kto także żąda postawienia się poza prawem?

- Po pierwsze, mój panie, ani ja, ani nasi wrogowie nie pochodzimy z tej ziemi. Ten spór rozpoczął się poza jej granicami i najlepiej, by nigdy nie wykroczył poza Azeroth i nigdy nie dotknął twój lud. Taką oto żywię, choć słabą, nadzieję. Po drugie, jeśli rozumiesz przez to, że starczy waszej potęgi, by zmierzyć się z zagrożeniem i od razu położyć mu kres, błagam — zróbcie to. Nie podobają mi się szanse: nas dwoje przeciw tysiącom. Jeśli byłaby jakakolwiek inna droga, wiercie mi, natychmiast bym z niej skorzystała.

- Co proponujesz?

- Nic. Chcę uniknąć niszczenia kraju i wyrządzenia krzywdy jego mieszkańcom, nie chcę też sprzymierzeńców spośród waszego ludu. Vanye i ja nie pasujemy do tej ziemi, lecz nie chciałabym, by cierpiała, zatem nasze stopy powinny się z nią stykać tak krótko, jak to tylko możliwe.

Morgaine bliska była powiedzenia czegoś, co by im się bardzo nie spodobało. Vanye zamarł w napięciu, choć próbował się z tym nie zdradzać.

Merir wygładził swoją szatę i skinął głową.

— Pani Morgaine, bądź dziś w nocy i jutro gościem naszego obozu. Być może będę mógł dać ci to, o co prosisz:

zezwoleń na podróż po Shathanie; być może nasze porozumienie powinno sięgnąć dalej, jednak nie obawiaj się nas, jesteś w tym obozie bezpieczna i możesz się w nim rozgościć.

- Mój panie, zadałeś mi wiele pytań, lecz nie powiedziałaś nic. Czy wiecie, co dzieje się teraz w Azeroth? Czy wiesz o czymś, o czym my nie wiemy?

- Wiem, że, tak jak powiedziałaś, zebrała się tam masa zbrojnych, i że próbowano skorzystać ze źródła mocy, jakim jest Brama.

- Próbowano, lecz bezskutecznie. W takim razie wciąż panujecie nad centrum mocy, oddzielnym od Azeroth.

Merir zmierzył ją spojrzeniem szarych, załzawionych wiekiem oczu, które nabrały surowego wyrazu.

— Istotnie, moc jest z nami. Być może moglibyśmy zmieżyć się nawet z tobą, lecz nie zdecydujemy się na to.

Proszę, byś i ty nie robiła niczego pochopnie.

Wstała, aby się skłonić, i Vanye zerwał się na nogi.

- Skoro zapewniasz, że kryzys nam jeszcze nie grozi, chętnie zostanę waszym gościem... Lecz po nim przyjdą następne, gorsze. Wzywam was, byście chronili mir-rindian.

- Oni, ci cudzoziemcy, polują na was, nieprawdaż? Obawiasz się, iż Eth zdradził im waszą obecność, stąd wasza troska o mirrindian.

- Wrogowie powstrzymałoby mnie z radością, boją się moich ostrzeżeń przed nimi.

Zmarszczka na czole Merira pogłębiła się.

- I może jeszcze czegoś? Od samego początku trzymałaś w zanadrzu to ostrzeżenie, jednak nie powiedziałaś nic, dopóki z tego powodu nie zginął człowiek z Mirrindu.

- Nie powtórzę już tego błędu. Bałam się powiedzieć im o tym, przyznając, bo było w Mirrindzie coś, co mnie intrygowało... ich nieostrożność, na przykład. Nie ufam nikomu, kim kierują nie znane mi motywy... nawet tobie, mój panie.

To też wzbudziło niezadowolenie, lecz Merir uniósłszy dłoń, uciszył ich protesty.

- Wprowadzasz coś nowego, coś, co nie jest mile widziane, pani Morgaine. To bije od ciebie, oddychasz tym — to wojna i krew. Jesteś bardzo niewygodnym gościem.

- Wszędzie jestem niewygodnym gościem. Jednak w twym obozie nie zburzę pokoju, dopóki będziecie wobec nas gościnni.

- Lellin dopilnuje, by nic ci nie brakowało. Tutaj nie musisz się obawiać o wasze bezpieczeństwo — ani z naszej strony, ani ze strony waszych wrogów nic wam nie grozi. Nikt nie dociera tutaj bez naszego zezwolenia, a my szanujemy nasze prawo.

*

- Nie dowierzam im bez zastrzeżeń — powiedział Va-nye, gdy znaleźli się sam na sam w małym namiocie. — Boję się ich. Może tak jest dlatego, że nie mogę uwierzyć, by jakkolwiek qhal mógł... — zamilkł, słowa uwięzły mu w gardle na widok spojrzenia szarych, nieludzkich oczu Morgaine, lecz ciągnął dalej, na przekór wszelkim podejrzeniom, które żywił od samego początku ich wspólnych wędrówek — ...mieć z nami jakieś wspólne interesy; niewykluczone, że jest tak dlatego, iż nauczyłem się nie ufać jakimkolwiek wywoływanym przez nich pozorom. Wydaje się, że ci są dobrzy, jednak właśnie to, iż jestem niemal skłonny uwierzyć w szczerą ich motywów, najbardziej mnie niepokoi.

- Powiem ci, Vanye, że jeśli oni kłamią, to tutaj grozi nam największe niebezpieczeństwo ze wszystkich stanic, gdzieśmy dotąd stawali na popas. Znajdujemy się jakby w fortecy lasu Shathan, której ogromne komnaty im są znane doskonale, lecz dla nas pogrążone są w mroku. Zatem na jedno wychodzi, czy spędzimy noc tutaj, czy w puszczy.

- Gdybyśmy nawet mogli opuścić puszczy, to moglibyśmy uciekać tylko przez równiny, a tam nie byłoby gdzie się ukryć przed naszymi wrogami.

Rozmawiali w języku Andur-Kurshu, mając nadzieję, że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich zrozumieć. Mieszkańcy Shathanu znać go nie powinni — żadne więzi

nie łączyły ich z tą ziemią; w żadnym punkcie czasu Bramy nie wiodły w tamtą stronę. Tyle że... nie można było tego stwierdzić z całą pewnością; nie sposób było nawet orzec, czy któryś z owych

wysokich, uśmiechniętych ąhalów nie jest jednym ze ścigających ich wrogów z równin Azeroth. Wszyscy z nich byli co prawda mieszającami, jednak domieszka innej krwi z kilku uczyniła doskonały typ ąhala.

- Wyjdę i dowiem się, co z końmi — odezwał się Vanye, nie mogąc usiedzieć w ciasnym namiocie — przy okazji przekonam się, ile w rzeczywistości pozostawiono nam swobody.

- Vanye — powiedziała Morgaine. Obejrzał się, zatrzymawszy w niskim wyjściu. — Vanye, stąpaj ostrożnie w tej pajęczej sieci, bo jeśli nią zatrzęsiesz, oboje w nią wpadniemy.

- Nie wywołam żadnych kłopotów, *liyo*.

Wyszedł na zewnątrz i wyprostował się. Rozejrzawszy się po obozie, ruszył ocienionymi przez drzewa ścieżkami wśród namiotów, starając sobie przypomnieć kierunek, w którym odprowadzono konie. Zbliżała się noc i ludzie przesuwali się jak cienie w gęstej szarówce zmierzchu, który zapadał tu wcześniej. Szedł, krocząc niby to od niechcenia, zawracając to tu, to tam, póki nie ujrzał na tle drzewa bladej plamy — Siptaha — i ostatecznie nie obrał kierunku. Nikt go nie zatrzymał, jedynie jacyś ludzie przypatrzyli się mu uważnie, a co dziwniejsze — zezwolono dzieciom iść za nim krok w krok. Szły za nim rozweselone, utrzymując jednak dystans. Nie brak wśród nich było nawet dzieci ąhalów, rozbawionych, lecz grzecznych, nieśmiało obserwujących go z pewnej odległości.

Stwierdził, że ich wierzchowcami zaopiekowano się należycie. Uprząż i siodła wisiały dość wysoko nad wilgotną ziemią, podwieszane na powrozach na gałęzi. Zwierzęta wyczesano do czysta, obok każdego stała woda i leżały resztki ziarna.

Kupione od wieśniaków, pomyślał, albo danina. Coś takiego nie wyrośnie w cieniu puszczy, a sądząc z wyglądu — nie są oni rolnikami.

Poklepał Siptaha po nakrapianej łopacie. Cofnął szybko rękę, gdy rozbawiony ogier próbował uszczypnąć zębami jego rękę... nie całkiem dla zabawy: zadowolone konie nie miały ochoty dokądkolwiek wyruszać o tak późnej godzinie. Vanye głaskał brązową szyję małej Mai, wyprostował jej lok nad czołem i ocenił na oko długość postronka, czy aby nie może łatwo się zaplątać. Nie mógł znaleźć żadnego błędu. Być może, pomyślał, znają się na koniach.

Posłyszał za plecami szelest trawy pod czyjąś stopą. Drgnął przestraszony. Za nim stał Lellin.

— Pilnujcie nas? — rzucił zawiadaczko Vanye.

Z dłońmi wsuniętymi za pas Lellin ukłonił się, wyglądało to, jakby się zwyczajnie zakołysał.

— Niemniej jednak jesteście gośćmi — odparł stateczniej, niż to było w jego zwyczaju. — Khemeisie, w ścisłym kręgu rady rozeszła się wieść o tym, jak stoczył się twój krewniak. Możemy o tym porozmawiać otwarcie. Nawet tego, że jest to możliwe, nie ogłaszamy szeroko, bojąc się, iż kogoś może przyciągnąć taka zbrodnia, lecz ja wiem, bo należę do ścisłego kręgu. To straszna rzecz. Przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia.

Vanye wpatrzył się w niego, początkowo sądząc, że to urągania, lecz nagle przekonał się, iż Lellin mówi szczerze. Skłonił głowę z szacunkiem.

- Chya Roh był niegdyś prawym człowiekiem — powiedział miękko. — Lecz teraz przestał w ogóle być istotą ludzką, jest najgorszym z naszych wrogów. Nie potrafię myśleć o nim jak o człowieku.

- Jednakże ów ąhal znalazł się w swego rodzaju potrzasku. Każda taka przemiana odbywa się określonym kosztem: traci się coraz więcej siebie, gdyż bardzo źle czyni ten, kto stara się tak bardzo przedłużyć swój żywot.

Na te słowa mróz ścisnął serce Vanye. Jego dłoń obsunęła się bezwładnie po szyi Mai, gdy gorączkowo szukał słów, by ułożyć z nich pytanie, którego nie potrafiłby jasno sformułować nawet w ojczystym języku.

— Jeśli wybierze złych ludzi, by go nieśli, wtedy cząstka ich będzie w nim żyła i miała wpływ na jego postęпки?

^m

— Dopóki nie pozbędzie się ich ciała, tak — zgodnie z naszą wiedzą. Lecz ty powiadasz, że twój krewniak był prawym człowiekiem. Być może jest on słaby, być może nie. Ty to wiesz najlepiej.

Vanye opanowało drżenie i głęboki smutek. Oczy Lellina stały się zatroskane.

- Być może — dodał Lellin — jest jeszcze nadzieja, to właśnie próbuję ci powiedzieć.

Jeśli cokolwiek z twojego krewniaka ma na niego jakikolwiek wpływ, co jest możliwe; jeśli nie został zdruzgotany tym, co go spotkało — to jeszcze może pokonać człowieka, który nim zawładnął. To nikła nadzieja, lecz być może warto się jej trzymać.

- Dzięki ci — wyszeptał Vanye i drgnął, by w końcu przejść pod linami i odejść od koni.
- Zmartwiłem cię.
- Słabo mówię waszym językiem — Vanye potrząsnął głową bezradnie — jednak rozumiem. Rozumiem, co masz na myśli. Dzięki ci, Lellinie. Chciałbym, aby tak było, lecz ja...

- Czy masz powody, by uważać inaczej?
- Nie wiem. — Zawahał się, zamierzał wrócić do namiotu. Wiedząc, że Lellin musi iść za nim, zaproponował, by szli razem, i Lellin skorzystał z okazji. Nie potrafił jednak znaleźć słów, jakimi mógłby się do niego zwrócić, a nie chciał już dłużej rozmawiać o tym samym.

- Przebac — rzekł Lellin — przeze mnie stałeś się *zatraskany.
- Kochałem mego krewniaka. — To była jedyna odpowiedź, jaką był w stanie udzielić, choć uczucie, które chciałby wyrazić, było bardziej zawile od tego prostego zdania.

Lellin nie odrzekł nic i opuścił go za ostatnim zakrętem ścieżki wiodącej prosto do ich namiotu.

Vanye stwierdził, że jego ręka zaciska się na rękojeści Miecza Honoru, który niósł przy boku; własności Roha, któremu nie dano innego wyboru, gdyż lepiej umrzeć z honorem niż być pustym naczyniem dla Zri-Liell. Na nim ciążyła przysięga nakazująca zabić tę istotę. Słowa Lellina,

że jego jedyny krewniak mógł jeszcze żyć, uwikłany w matnię z wrogiem, który go zabił, wstrząsnęły nim. Wszedł cicho do namiotu i usiadłszy w kącie, zajął się poprawianiem rzemieni przy swojej zbroi, robiąc to w niemal całkowitej ciemności.

Morgaine leżała z otwartymi oczami, wpatrzona w cienie przemykające się nad głową po płótnie namiotu. Obrzuciła go tylko przelotnym spojrzeniem, jakby z ulgą przyjmując jego spokojny powrót, lecz nie podzieliła się z nim swymi myślami. Często popadała w tak głębokie milczenie, gdy miała głowę zaprzątniętą własnymi sprawami.

To, co robił, było zajęciem pozornym — rzemienie płały mu się bez przerwy pod palcami. Lecz był to przynajmniej pretekst, by nie otwierać ust, odciąć się na chwilę od świata, nie robić nic, co ściągnęłoby na niego jej uwagę, póki nie uspokoją się jego roztrzęsione ręce. Wiedział, że pozwolił sobie na zbyt wielką swobodę w rozmowie z ąhalem, ujawniając szczegóły, o których być może ten lud nie powinien wiedzieć. Omalże nie przyznał się Morgaine, co niegdyś uczynił. Pewnego razu w Shiuanie odbył rozmowę sam na sam z Rohem, lecz nawet wtedy nie potrafił dostrzec w nim wroga, lecz tylko człowieka, którego niegdyś uważał za swego krewniaka. Broń zawiodła go w tym spotkaniu, on z kolei zawiódł Morgaine, oszukując sam siebie, widząc tylko to, co chciał widzieć — tak to sobie po wszystkim dowodził. Teraz rozpaczliwie pragnął wiedzieć, co Morgaine powiedziała na słowa Lellina. Jednak od dawna żywił w sercu podejrzenie, że ona więcej wiedziała o podwójnej naturze Roha, niż mu o tym powiedziała. Nie śmiał zarzucić jej tego, by nie zburzyć panującej między nimi harmonii; nie chciał nazwać ją wiarołomną, bo bał się, iż rzeczywiście wywiodła go w pole. Może odnosiłaby się z nieufnością do jego obecności u swego boku, gdyby sądziła, iż jest lojalny nie tylko wobec niej, możliwe, że celowo zwiódła go, by Roha spotkała śmierć. Gdyby okazało się, że jest do czegoś takiego zdolna, poczułby głęboką gorycz i dlatego wołał więcej nie wiedzieć. W swym wyborze w żadnym razie nie kierowałby się podwójną naturą Roha. Morgaine miała własne powody, by pragnąć jego śmierci, nie była to jednak żądza zemsty. I jeśli pragnęła tego, musiał pamiętać, że wiąże go przysięga. *Ilin* nie mógł odmówić wykonania rozkazu, nawet wymierzonego w przyjaciela lub krewnego, stawką była jego dusza. Może chciała oszczędzić mu bólu, który przychodził wraz z wiedzą, zwiódła go kierując się zyczliwością dla niego. Był pewny, że nie uczyniła tego po raz pierwszy.

Ani jemu, ani Rohowi nic z tych roztrząsań nie przyjdzie. Przed nimi była wojna. Krew ludzka już została przelana i jeszcze niejedną raz ją przeleją. On był po jednej, a Roh po drugiej stronie i to, jaka była prawda, nie miało żadnego znaczenia, bo nie trzeba będzie jej znać, gdy już jeden z nich padnie martwy.



ROZDZIAŁ IV

W nocy w całym obozie ochoczo buzowały płomienie. W miejscu, gdzie nie było drzew, rozpalono wspólne ognisko i śpiewano przy wtórze harf. Pieśni Ludzi czasami przypominały Kursh, słowa były ąhalskie, jednak treść nadawali im Ludzie — niektóre dźwięki wydawały się tak proste, przyjemne i zwyczajne jak ziemia. Zmusiło to Vanye do wyjścia na zewnątrz, by posłuchać, gdyż działo się to niedaleko ich namiotu i zgromadzenie sięgało aż pod jego progi. Przyłączyła się do niego Morgaine, więc wyniósł koce, by mogli usiąść, podobnie jak większość w obozie, i słuchać. Kiedy się rozsiadli, przyszli Ludzie, przynosząc im jadło i napoje tak jak wszystkim, gdyż i tutaj przygotowywano wspólną wieczerzę jak u mirrindian i podawano ją pod gwiazdami. Przyjęli ofiarowane jadło z wdzięcznością, nie lękając się już oszalamiających ziół lub trucizny.

Następnie harfa trafiła do rąk pieśniarzy ąharów i muzyka zmieniła się — była jak wiatr i miała dziwną harmonię. Śpiewał Lellin, akompaniowała mu młoda kobieta. Muzyka przebiegała obco brzmiącą skalę, a jej dźwięki wywoływały ciarki na grzbiecie istoty ludzkiej.

- To piękne — w końcu odezwał się Vanye do Morgaine — mimo że nie jest to ludzkie.
- Był czas, kiedy nie mógłbyś tego nawet zobaczyć.

Prawda. Gdy sobie to uzmysłowił, poczuł ciężar przygniatającego go brzemienia, a wspomniawszy Morgaine, zasepił się jeszcze bardziej — ona zawsze potrafiła dostrzec piękno w tym, co miała zniszczyć.

To przeminie, pomyślał, objawszy spojrzeniem cały obóz i ąharów, i Ludzi. To przeminie, gdy wraz z Morgaine dopniemy tego, po co tutaj przyszliśmy, gdy odetniemy ich od źródła potęgi, jakim są ich Bramy. Będą musieli się zmienić. Zniszczymy to wszystko, tak samo jak Roha. To go zasmuciło. Był to ten sam smutek, który często wyzierał

- Wiem, że wielokrotne przekroczenie ich progu może sprowadzić nieszczęście. Nas właśnie spotkała taka katastrofa i zaniechaliśmy korzystania z tego przejścia, doprowadziliśmy do pokoju z Ludźmi, odrzucając wszystko, co kusiło nas do tego zła. Odtąd żyjemy w pokoju... i nie ma głodnego, którego byśmy nie nakarmili, nikogo nie spotyka krzywda — nie ma złodziei, zabójców, nikt nie nadużywa władzy nad swoimi ludźmi. Żyjemy, świadomi naszych możliwości, których... nie wykorzystujemy — oto fundament, na którym opiera się wszelkie prawo.

- W pierwszej chwili byłam zadziwiona — rzekła Morgaine — że ąhalarowie żyją w pokoju z Ludźmi. Wszędzie indziej jest inaczej.

- Lecz to jedynie podsuwa zdrowy rozsądek, pani Morgaine. Czyż jasno tego nie widać? Ludzie rozmnażają się znacznie szybciej od nas, żyją krócej, to prawda, ale i tak jest ich więcej niż nas; nie powinniśmy zatem odnosić się z respektem do ich żywotności? Czyż na tym nie polega ich siła, tak jak siłą jest mądrość i odwaga? Zawsze zdobędą nad nami przewagę, wojna z nimi dla nas byłaby zawsze przegrana, nie trwałaby długo. — Pochylił się, położył łagodnie dłoń na ramieniu Vanye, w jego szarych oczach kryła się wyłącznie dobroć. — Człeczce, wy zawsze byliście potężniejsi od nas. Sięgnęliśmy poza naszą wiedzę, by was sprowadzić między nas. I choć to nie wy byliście źródłem, z którego wzięło się nasze nieszczęście, to właśnie w was drzemie siła, by położyć mu kres, jeśli zdążymy uczynić z was nasze adoptowane dzieci. Jak do tego doszło, że* przyłączyłeś się do pani Morgaine? Czy dla dokonania zemsty na swoim krewniak?

Vanye poczuł na twarzy rumieniec zakłopotania.

- Złożyłem jej przysięgę — powiedział i była to w połowie prawda.
- Dawno temu, Człeczce, byli tutaj podobni do ciebie. Nieostrożnie poczynacie sobie ze swym życiem — mając go tak wiele. Lecz my przyjęliśmy do nas khemi i tym Ludziom spodobało się takie życie, zaś inni mogli odtąd wieść w swych wioskach spokojny żywot. Ręce khemi wymierzają sprawiedliwość i zajmują się wszelkimi nieprzyjemnymi rzeczami, które trzeba zrobić czasami, gdy trzeba pomóc innym. Wymaga to odwagi — nieostrożność leży w naturze Ludzi. Lecz gdy umiera qhal, często nie zostawia nikogo po sobie, gdyż u nas cięża przydarza się raz, czasami dwa razy, a i to po wielu latach. W czasach, gdy panuje wrogość, liczba nas gwałtownie maleje. Jesteśmy więc zainteresowani utrzymaniem pokoju i sprawiedliwie postępujemy z tymi, którzy mają nad nami taką przewagę. Czy teraz rozumiecie?

Ta myśl zdumiała Vanye. Nagle uzmysłowił sobie, jak rzadko zdarzało mu się widywać dzieci ąharów, nawet pośród mieszkańców.

Merir zdjął dłoń z jego ramienia i spojrział na Morgaine.

- Udzielę wam pomocy, pani, proszony czy nieproszony. Zło przyszło do nas i nie możemy zezwolić, by zaraziło Shathan. Weźcie ze sobą Lellina i jego khemeisa. Sercem będę z wami, on jest moim wnukiem, synem mej córki, z linii, która szybko odchodzi w zapomnienie. Poprowadzi was, dokąd będziecie chcieli.

- Czy Lellin na to przystał? Nie chciałabym brać ze sobą nikogo, kto nie brałby pod uwagę

niebezpieczeństwa.

- On sam poprosił o to, gdybym doszedł do wniosku, że powinienem kogoś wysłać. Pokiwała smutno głową.
 - Oby wrócił do domu bezpiecznie, mój panie. Będę starała się go chronić ze wszystkich sił.
 - Które są znaczne, nieprawdaz?
- Morgaine pominęła milczeniem pytanie i na chwilę zaległa cisza.
- Mój panie, prosiłam, byś pomógł mi dotrzeć do centrum, skąd kontrolowane są Bramy Azeroth.

Wciąż o to proszę.

- Miejsce to zwie się Nehmin i jest dobrze bronione. Nawet mnie nie pozwolono by wejść tam swobodnie. To, o co mnie prosisz, jest bardzo trudne.
- To mnie uspokaja. Lecz sprzymierzeńcy Roha potrafią szaleńczo trwonić życie własnych ludzi i robić to będą,

póki nie przełamia obrony. Muszę uzyskać dostęp do tego miejsca.

Merir siedział przez chwilę milcząc. Blask ognika lampki migotał, ślizgając się wzdłuż rysów jego przygnębionej twarzy.

—Żądasz władzy nad nami.

- Nie.
- A jednak. Gdyż położysz na Nehminie rękę, staniesz przed wyborami, które dotykać będą nie tylko twoich wrogów. Być może wybrałabyś to, co i my, lecz jesteś cudzoziemką i zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe; i czy, zgromadziwszy w swych rękach tak ogromną władzę, nie okazałabyś się równie niebezpieczna, jak wrogowie, których zwalczasz?

Na to Morgaine nie miała odpowiedzi. Vanye siedział bez ruchu, pełen obaw, gdyż Merir musiał rozumieć wiele... być może nawet znał całą prawdę. Starzec ciężko westchnął.

- Lellin poprowadzi was. W drodze inni udzielą wam pomocy.
- A ty, mój panie, z pewnością nie będziesz siedział z założonymi rękami. Czy zatem nie powinnam wiedzieć, gdzie będziesz? Nie chcę wyrządzić szkody ani tobie, ani też przez pomyłkę zdradzić cię wrogowi.

- Zaufajcie Lellinowi. My pójdziemy naszą własną drogą — podniósł się sztywno. — Zadziwiłście mirrindian umiejętnością sporządzania planów. Weź lampę, Vanye — młodzieńcze; pozwólcie, że pokażę wam coś, co może okazać się pomocne. *

Vanye zdjął lampkę z haka i podszedł śladem starego ąhala do ściany namiotu. Wisiała tam mapa, spłowiła od upływu czasu. Morgaine także zbliżyła się, by jej się przyjrzeć.

- Oto Azeroth — wskazał Merir, wyciągając rękę w stronę wielkiego kręgu w samym środku. — Wszystko dookoła to puszcza Shathan. Wielka Narn ze swymi dopływami żywi wioski, z których każda ma dostęp do wody. To droga na wiele dni. A tutaj oto jest Mirrind.

- Takie kręgi nie mogą być dziełem natury.
- To prawda. Gdziekolwiek nie wyrastają drzewa, jednak wody jest pod dostatkiem — tam Ludzie dokonali reszty. Tam, gdzie puszcza jest zbyt rzadka, wasi posadzili żywopłoty i krzewy, by zmienić krajobraz i by drzewa mogły wyrosnąć, a dzika zwierzyna mogła znaleźć dla siebie miejsce. Usytuowanie kręgów nie jest przypadkowe, granice między rolnikami a puszcza są w ten sposób wyraźnie określone i nasz lud może dzięki temu swobodnie się poruszać... My nie lubimy otwartych polaci, zaś Ludzie, którzy uprawiają rolę i zajmują się pasterstwem — tak. Zresztą... — dodał, położysz rękę na ramieniu Vanye — to zapobiegło wojnom i waśniom o granice. Niegdyś Ludzie najechali las w wielkich hordach i wybuchła wojna. Zagrozili nam, lecz żywotność Shathanu jest nawet jeszcze większa od ludzkiej. Zaatakowali nas ogniem, co jest najgorsze, bo my zawsze jesteśmy podatni na ten rodzaj ataku, lecz lasy w końcu odżyły, a żywe zapory zostały odnowione przez Ludzi, którzy schronili się z nami. Nie jesteśmy jedyną puszcza ani jedynym miejscem, gdzie zrobiono coś takiego, lecz my uczyniliśmy to najdawniej. Na zewnątrz leżą ziemie, dokąd udali się Ludzie i toczą tam wojny, siejąc zniszczenie, choć miejscami budują lepsze rzeczy, piękne. I oni budzą nasze nadzieje, lecz nie możemy być ich sąsiadami — jesteśmy zbyt delikatni. Nade wszystko nie możemy wpuścić ich tutaj, do miejsca, gdzie kryje się źródło władzy — to musi pozostać poza ich zasięgiem. Ludzi z zewnątrz nazywamy sirrindami; są oni jeźdźcami i omijają nasze lasy. Czy rozumiecie, pani Morgaine, moje przygnębienie tym, że podobni do sirrindów rozbili obóz wokół Azeroth?

- Nehmin jest wielkim źródłem strapienia, przypuszczam, że leży blisko Azeroth, choć nie widzę go na waszej mapie. Lecz Nam może stać się zagrożeniem, drogą, którą dotrą wprost do was.

- Istotnie dostrzegłaś to. Rzeka płynie zbyt blisko ziem sirrindów. To groźba nie tylko dla Mirrindu, wiemy o tym. Wojna oznacza nasz szybki upadek i śmierć. Zatem najjeźdźcom nie wolno wyjść poza Azeroth. Najważniejsze, by nie otworzyli szlaku na północne równiny. Ze wszystkich kierunków ten jest dla nas śmiertelnie niebezpieczny... i myślę, iż ten właśnie wybiorą, gdyż wy jesteście tutaj, a oni na pewno dowiedzą się

o tym.

- Rozumiem.

• Powstrzymamy ich. — Smutek pogłębił zmarszczki na twarzy starego ąhala. — Boję się, że stracimy wielu spośród nas, lecz powstrzymamy ich. Nie mamy wyboru. Idźcie już; idźcie spać. Rano wyruszyście z Lellinem i Sezarem, a my będziemy żyli nadzieją, że nas nie zdradzisz, pani Morgaine — odsłonięte przed wami tajemnice mogłyby wyrządzić nam wielkie szkody.

Morgaine pochyliła głowę z szacunkiem.

— Dobrej nocy, mój panie — wymamrotała, odwróciła się i odeszła.

Vanye ostrożnie odwiesił lampkę na wiszący obok krzesła starego ąhala łańcuch, mając na względzie wygodę starca, a kiedy ten usiadł na nim, uszanował go tak, jakby to zrobił wobec pana własnego ludu — oddając głęboki pokłon, czołem do ziemi.

- Człeczce — powiedział miękko Merir — to z twego powodu uwierzyłem twej pani.

- Jakże to, panie? — zapytał, gdyż zdumiały go te słowa.

• Twe zachowanie, to, że jesteś jej oddany. Egoizm natychmiast ukazuje, kiedy ąhal i Człowiek nie ufają sobie, jednak żadne z was nie jest dotknięte tym złem. Służysz, lecz nie ze strachu. Podjąłeś się roli sługi, lecz jesteś czymś więcej. Podobny jesteś do wojownika, jakimi są sirrindowie", a nie khemi. Zarazem okazujesz szacunek starszym i to nie tylko tym, w których żyłach płynie ta sama, co twoja krew. W takich drobnostkach prawda ujawnia się lepiej niż w słowach; zatem skłonny byłem zaufać twej pani.

Vanye poczuł się tym poruszony wiedząc, że zawiodą jego zaufanie — przeraziło go to. Raptownie poczuł się tak, jakby starzec przejrzał go na wylot, a on stał przed nim zbrukany i nieczysty.

- Chroń Lellina — poprosił go stary ąhal.

• Panie, uczynię to — wyszeptał i przynajmniej tego zamierzał dotrzymać. Poczul w oczach piekące łzy i dławienie w gardle zdusiło słowa, powtórnie uklonił się, pochylając się aż do maty, by następnie usiąść wyprostowany. — Dzięki ci w imieniu mojej pani, gdyż była bardzo zmęczona — oboje jesteśmy już znużeni walką. Dzięki ci za czas, który nam ofiarowałeś, i za twą pomoc przy przekraczaniu waszych ziem. Czy mogę się oddalić, panie?

Stary ąhal rzekłszy coś cicho w odpowiedzi, zezwolił mu na odejście, i Vanye opuścił namiot, by w ciemności szukać Morgaine na obrzeżach zgromadzonego tłumu.

W obozie nie zakończono jeszcze zabaw, wciąż rozbrzmiewały dźwięki dziwnych ąhalskich pieśni.

*

— Będziemy spali oboje — powiedziała Morgaine. —

Zbroje nie będą nam potrzebne. Śpij dobrze, sporo czasu może upłynąć, zanim nadarzy nam się następna sposobność.

Zgodził się z tym. Rozwiesił na poprzeczce namiotu koc jak parawan i z przyjemnością zrzucił zbroję wraz z odzieniem, by owinąwszy się kocem, ułożyć się do snu. Morgaine poszła w jego ślady, kładąc się tuż obok niego na miękkich futrach, które miały być ich łóżami. Zaimprovizowany parawan nie sięgał ziemi, światło rzucane przez ognie na zewnątrz wpadało ciemną poświatą. Ujrzał, że patrzy na niego, podłożywszy sobie rękę pod głowę.

- Co zatrzymało cię u Merira?

- Dziwnie zabrzmiałoby, gdybym to powiedział.

- Proszę.

• Rzekł, że... zaufał ci ze względu na mnie... że gdyby było w nas zło, ujawniłoby się pomiędzy tobą i mną; oczywiście biorą cię za jedną ze swych.

Rozległ się dźwięk, jakby zaśmiała się krótko i gorzko.

- *Liyo*, zniszczymy tych ludzi.

• Zamilcz. Nie rozmawiałabym o tym nawet w języku Andurinów, który tak naszpikowany jest zapożyczeniami z mowy ąhalskiej, że nie czułabym się bezpiecznie. Prócz tego, kto wie, jakim językiem mówią sirrindowie i czy znają go jacyś tutejsi ąhalowie? Pamiętaj o tym, gdy będziemy podróżować z Lellinem.

- Będę o tym pamiętać.

- Vanye, ty wiesz, że nie mam wyboru.

- Wiem. I rozumiem to.

Wydawało się, że na jej majaczącej w ciemnym świetle twarzy odbiło się wzruszenie i głęboki smutek.

— Śpij — powiedziała i przymknęła oczy.

I to była najlepsza rada.

* ROZDZIAŁ V

Ich wyjazd nie był ani cichy, ani potajemny. Konie sprowadzono przed namiot Merira i tam Lellin dostał pozwolenie od swego dziadka, ojca, matki i stryjecznego dziadka — ludzi poważnych, o dobrych oczach, takich jak oczy Merira. Jego rodzice wydawali się za starzy na tak młodego syna, jak Lellin i z ciężkim sercem przyjmowali jego wyjazd. Sezara także żegnali gorąco, całując jego ręce i życząc mu wszystkiego najlepszego, bo zdawało się, że pośród Ludzi w obozie nie było żadnych krewnych khemei-sa, więc od rodziny Lellina odbierał pozwolenie na wyjazd.

Ofiarowano im żywność i przyjęli ten dar, gdyż była tak przygotowana, że długo mogła utrzymywać świeżość na szlaku. Następnie wystąpił Merir, by wręczyć Morgaine złoty, wiszący na łańcuchu medalion o zawitym ornamente, przykład pięknej roboty.

— Używam go — rzekł. — Oznacza on bezpieczne przejście. — Drugi, srebrny, podał Vanye. — Okazując jeden albo drugi, proście, o co chcecie kogokolwiek z naszych ludzi z wyjątkiem arrha, którzy nie uznają mego autorytetu, lecz nawet i wśród nich może się on na coś przydać. W Shathanie to lepsza ochrona niż jakakolwiek broń.

Morgaine ukloniła się przed nim, publicznie okazując szacunek. To samo uczynił Vanye, wyzbyty niechęci skłonił się aż do jego stóp, gdyż bez przychylności starego pana podróż, która teraz zapowiadała się tak łatwo, byłaby drogą uciążliwą. Potem podeszli do koni, zadowolonych z dobrej opieki, o lśniącej po kąpeli sierści. Ktoś wplótł długie łańcuchy niebieskich kwiatów w grzywę Siptaha, a Mai — białe. Vanye pomyślał, że to najdziwniejszy rząd, jaki kiedykolwiek nosił na sobie bojowy wierzchowiec Kurshinów, był to gest wdzięczny jak cały ów lud i Vanye poczuł przypływ wzruszenia.

Dla Lellina i Sezara nie przyprowadzono koni.

no

- Będziemy je mieli, później — wyjaśnił Lellin.
- Wiesz, dokąd ruszamy? — zapytała Morgaine.
- Tam, dokąd zechcecie, po tym jak już wyprowadzę was z obozu, lecz mimo wszystko konie będą na nas czekały.

Wynikało z tego jasno, że podczas tej wędrówki śledzić ich będą nie tylko oczy Lellina.

Wyjechali wzdłuż głównej alei. Honorując ich jak starych przyjaciół, Ludzie i ąhalowie pochylili się przed nimi w ukłonie, który — jak fala w rozkołysanych wiatrem wysokich trawach — przebiegł przez cały obóz, niemal aż na skraj lasu. Dotarłszy tam, Vanye odwrócił się i spojrzął za siebie, by jeszcze raz się upewnić, że takie miejsce rzeczywiście istnieje. Stojąc już w cieniu puszczy, patrzył na skąpane w złoto-zielonej poświacie obozowisko namiotów, które łatwo można było przenosić z miejsca na miejsce i które, co podejrzewał, zniknie stąd błyskawicznie. Wkroczyli do lasu. Natychmiast otoczyło ich chłodniejsze powietrze i obrali inną ścieżkę niż ta, którą tutaj przybyli. Lellin oświadczył, że muszą podążać nią aż do południa.

Lellin szedł tuż przy głowie Siptaha, stawiając długie kroki, Sezar zaś roztopił się w zaroślach jak cień. Od czasu do czasu gwał pogwizdywał krótko i czysto, na co z przodu odpowiadało mu echo wskazujące miejsce domniemanego pobytu Sezara, lecz czasami, jak się zdawało ku wielkiej uciesze Lellina, pogwizdywania układały się w trele — urywki ąhalskiej piosenki, dziwnej i dzikiej.

— Nie bądź zbyt nieostrożny — poprosiła Morgaine po jednym z nich. — Nie wszyscy nasi wrogowie poruszają się niezręcznie po puszczy.

Lellin odwrócił się w pół kroku i lekko się skłonił. Wydawał się zbyt uszczęśliwiony otaczającą ich przyrodą, by cokolwiek mogło zepsuć mu humor. Powiedział z uśmiechem:

— W tej chwili jesteście otoczeni przez naszych ludzi, ale zapamiętam twe ostrzeżenie, pani.

Jakże delikatnie wyglądał ów Lellin Erirrhien, jednakże dzisiaj, wbrew — jak się zdawało — zwyczajom swego ludu, szedł uzbrojony w niewielki łuk i kołczan strzał o brązowych piórkach. Niewykluczone, pomyślał w duchu Vanye, że ten wysoki, kručzej budowy gwał umiał się nim posługiwać tak zręcznie, jak zwinnie i cicho przemierzał leśne ostępy wraz ze swym khemeisem. Nie ulegało wątpliwości, że hałas, jaki powodowali, wydawał się ich młodemu przewodnikowi tak wielki, iż według niego można było pozwolić sobie na wygwizdywanie pieśni, lecz odtąd

postępował zgodnie z wolą Morgaine i ograniczył się tylko do sygnalizacji. Mimo wszystko wydawał się być w doskonałym humorze, bez względu na to, czy mógł sobie pozwolić na gwizdanie, czy nie.

*

W południe zatrzymali się na odpoczynek i Lellin przywołał Sezara, by wraz z nimi usiadł nad brzegiem strumienia. Podczas gdy konie gasiły pragnienie, oni postanowili się nieco posilić. Morgaine i Vanye przyzwyczaili się do obfitych posiłków o regularnych porach, jakimi mogli się nacieszyć ostatnio, przedtem podróże i szczupłe racje wyczerpywały ich tak, że musieli zaciskać rzemienie swych zbroi. Popuściwszy je teraz, odpoczywali, ułożywszy się na ziemi, w wygrzonym słońcem miejscu. Łatwo mogliby zaprzedać się szepczącej dookoła nich puszczy Shathan. Morgaine miała na pół przymknięte, rozleniwione oczy, lecz mimo to zachowywała czujność, obserwowała obydwu przewodników, tak jakby ku nim zwróciły się jej myśli.

- Musimy ruszać — oświadczyła wcześniej niżby sobie tego życzyli, i powstała. Posłusznie pozbierali się z ziemi, Vanye uniósł ich torby podróżne.

- Pani Morgaine powiada, że nasi wrogowie zręcznie poruszają się w gęstwinie — powiedział Lellin do Sezara. — A więc stąpaj z największą ostrożnością.

Człowiek założył sobie ręce za pas i skinął krótko głową.

- Dookoła panuje spokój, żadnych oznak kłopotów.
- Nim nasza podróż dobiegnie końca, poleje się krew, to niemal pewne — rzekła Morgaine. — Teraz opuszczamy sąsiedztwo waszego obozu i ruszymy własną drogą. Jak daleko nas odprowadzicie?

Obydwaj obrzucili ją najwyraźniej rozczarowanym spojrzeniem. Lellin był pierwszym, który zapanował nad sobą i złożył ceremonialny ukłon.

- Jestem waszym przewodnikiem, dokądkolwiek byście poszli. Jeśli zostaniemy napadnięci, będziemy cię bronić; jeśli wyruszyacie na obcych, będziemy trzymać się na uboczu. Jeśliby sprawy zawiodły was na równiny, nie pójdziemy tam. Lecz jeśli wasz wróg wtargnie do Shathanu, zajmiemy się nim i nie zbliży się do was.

- A gdybym poprosiła was, byście zaprowadzili nas do Nehminu?

Teraz Lellin odezwał się z większą bezpośredniością niż zazwyczaj. Wyglądał, jakby posmutniał.

- Uprzedzono mnie, że tego właśnie pragniesz, lecz ostrzegam was, pani: to miejsce jest niebezpieczne, i to nie tylko ze względu na waszych nieprzyjaciół. Posiada ono własnych obrońców, arha, przed którymi przestrzegał was mój dziadek. Tam wasz glejt jest nieważny.

- Lecz zabierzecie mnie tam?

- Tak będzie, pani. Jeśli jednak użyjecie siły... Ha, nie byłoby to rozsądne!

- Jeśli nasi wrogowie uderzą na nich, mogą nie odeprzeć ataku. Upadek Nahminu będzie upadkiem Shathanu. Omówiliśmy to z panem Merirem i on także mnie ostrzegał, lecz zostawił mi w tej sprawie wolną rękę. Wyzначył cię, byś nas obserwował, prawda?

- Tak — odpowiedział Lellin, wszelka radość i niefrasobliwość zniknęły z jego twarzy, zastąpione głęboką obawą. — Jeśli wprowadziłaś nas w błąd, to nie ulega wątpliwości, że wraz z Sezarem nie jesteśmy w stanie wam sprostać, gdyż zawsze możecie nas wziąć, choćby przez zaskoczenie. Jednakże żywię nadzieję, że nie o to wam chodzi.

- Wierzaj mi, że nie o to. Obiecałam panu Merirowi, że ujrzy twój bezpieczny powrót do domu i zrobię wszystko, by dotrzymać słowa.

- W takim razie zaprowadzę was, dokąd będziecie chcieli.

- Lellinie — wtrącił Sezar — nie podoba mi się to.

»r

- Nic na to nie mogę poradzić — odparł Lellin. — Gdyby dziadek zabronił nam iść do Nehminu, nie poszlibyśmy, ale tego nie zrobił, zatem nie mamy wyboru.

- Zgodnie z twą... — przerwał Sezar i wszyscy zamarli bez ruchu, zasłuchani w dźwięk, który utonął w hałasie wywołanym niewczesnym poruszeniem się koni. Był to ptasi trel. Usłyszeli go ponownie, tym razem bliżej.

- Nie jesteśmy już tutaj bezpieczni — odparł Lellin.

- W jaki sposób rozumiecie takie sygnały? — zapytał Vanye, gdyż wydawało mu się, że dobrze jest się tego dowiedzieć. Lellin przygryzł wargę, ociągając się z odpowiedzią, lecz w końcu, wzruszywszy ramionami, rzekł:

- Znaczenie ukryte jest w wibracji: im szybsze trele, tym pewniejsze i bliższe jest niebezpieczeństwo. Istnieją i inne pieśni, na inne okazje — niektóre kryją w sobie słowa — lecz to była pieśń wartownika.

- Powinniśmy ruszać — odezwał się Sezar — jeśli zamierzacie uniknąć tego, co się do nas zbliża, a mam nadzieję, że właśnie takie jest wszystkich życzenie.

Morgaine zmarszczyła brew i przytaknęła, po czym opuścili miejsce, postoju ruszając w dalszą drogę.

*

Czasami wokół nich rozlegały się ostrzeżenia. Przez cały dzień szli zmierzając na wschód, zakręcając zgodnie z łukiem Azeroth. Wydawało się im, choć obrali inną drogę, że ukształtowanie terenu jest znajome.

- Jesteśmy niedaleko Mirrindu — w końcu zauważyła Morgaine, co potwierdziło odczucia Vanye, jakkolwiek jego zmysł obserwacji wystawiony był na ciężką próbę przez wijącą się w serpentynach ścieżkę i obce, dziwne niebo nad ich głowami.

- Nie mylisz się — przytaknął Lellin. — Jesteśmy na północ od niego. Lepiej trzymać się jak najdalej od skraju Azeroth. To wynika z ostrzeżeń.

Do wieczora opuścili sąsiedztwo Mirrindu i przekroczyli najpierw jeden, a potem drugi strumień. Ich łożyska były

tak płytkie, że konie ledwie zamoczyły w ich wodach kopyta. Wtedy na swej drodze ujrzeli grupę drzew obwiązanych białym sznurkiem, który trzepotał się, szarpany rześkim wietrzykiem.

— Co to? — Vanye zapytał Lellina, gdyż widywał coś takiego w okolicach Mirrindu, lecz z uwagi na to, że w Shiuanie taki znak miał posępne znaczenie, dotąd unikał tego pytania.

Lellin wzruszył ramionami i powiedział:

- Zezwolenie na wyrąb. Zbliżamy się do wioski carrhen-dian. W ten sposób oznaczamy drzewa, które można wyciąć, by uzyskać potrzebne drewno i by najpiękniejsze mogły przetrwać, a mieszkańcy mogli zadowolić się nie tak dorodnymi okazami. Postępujemy tak, jak puszcza Shathan długa i szeroka, dla ich i naszego dobra.

- Jak ogrodnicy — zauważył Vanye, zadziwiony takim pomysłem, gdyż nawet w tak zalesionym Andurze, a nawet Kurshu, mieszkańcy wycinali gdzie popadło, a i tak drzewa mnożyły się szybciej od ludzi.

- To prawda — rzekł Lellin, jakby rozbawiony i zadowolony tą myślą. Poklepał cienisty pień starego drzewa, które właśnie mijali, gdy dookoła coraz bardziej gęstniał zmierzch. — Przemierzałem lasy w tych stronach częściej niż gdzie indziej i ośmielę się stwierdzić, że znam te drzewa tak, jak pasterze z tej wioski swe kozy. To stare drzewo jest moim przewodnikiem od moich chłopięcych lat, a i ono było wtedy nieco szczuplejsze. Orodnicy, istotnie! A jeśli rozplenia się chwasty, ha, i nimi się zajmujemy.

*

To, pomyślał Vanye, miało mrozący krew w żyłach podtekst, który nie miał nic a nic wspólnego z drzewami.

- Zbliża się pora rozbicia biwaku — oświadczyła Morgaine. — Czy wybrałeś już jakieś miejsce, Lellinie?

- Carrhend. Udzielią nam gościny w swej chacie.

- Czy mamy narazić na niebezpieczeństwo kolejną wioskę? Wolałabym raczej nie opuszczać lasu.

Lellin cofnął się o krok i skłonił się krótko.

— Wierzę, że tak jest, jednak nie ma potrzeby. Rano

odnajdą nas tam nasze konie, to miejsce jest jeszcze dość

bezpieczne. Spotkacie tam waszych znajomych z Mirrindu, którzy postanowili uciec przed

niebezpieczeństwem do Carrhendu, wszystkich prócz tych, którzy postanowili nie opuszczać swojej ziemi.

Morgaine spojrzała na Vanye, ale on nie wyraził swojej opinii, choć w duchu ucieszył się, kiedy przystała na ten pomysł. Już od ponad dwóch lat żył pod otwartym niebem, lecz Mirrind przypomniało mu o wygodach, które w towarzystwie Morgaine na zawsze wygnał ze swych myśli. Mocno utkwiły mu w pamięci poranki w tej wiosce, pyszny gorący chleb z masłem; wspomnienie było tak żywe, jakby właśnie odgryzł jego kęs. Pomyślał, że zaczyna mięknąć. Podróż przez w Shathan wydawała się aż nazbyt wygodna, choć udało im się w ciągu jednego dnia jazdy przebyć sporą odległość, unikając przy tym kłopotów. Ponownie na ich ścieżce pojawił się Sezar, i odtąd, w gęstniejącej szarówce, szedł obok nich ramię w ramię. Wkrótce ujrzeli przed sobą skraj puszczy i szerokie połacie pól uprawnych. Obeszli otwartą przestrzeń, trzymając się brzegu puszczy, kryjąc się w cieniu drzew, i przybyli do wioski wraz z ostatnimi promieniami dziennego światła. Na ich spotkanie z osady wysypał się tłum mieszkańców.

- Sezar! To Sezar! — wrzeszczały w zapamiętaniu dzieci i obstały go, łapiąc za ręce.

- To wioska Sezara — wyjaśnił im Lellin, gdy zeskoczyli z wierzchowców. — Mieszkają tutaj

jego rodzice, siostra i czterech braci, a więc rozumiecie chyba, że nie mogliśmy odmówić sobie przyjemności odpoczynku tutaj; nie wybaczone by mi tego.

Zostali wywiezieni w pole, lecz nie po to, by wyrządzić im krzywdę, i nawet Morgaine przyjęła to z humorem. Z uśmiechem witała seniorów carrhendu, którzy wyszli, aby się przedstawić. Wioskę zamieszkiwały trzy klanu: Salen, Eren i Thesen. Sezar, który był z klanu Thesen, ucałował najpierw seniorów, potem swych rodziców, braci i siostrę. Ta wizyta nie wzbudziła nadmiernego zdumienia, tak jakby podobne wydarzenia były na porządku dziennym, lecz Vanye współczuł młodemu kheimeisowi, który musiał

ruszyć z nimi na niebezpieczną wyprawę do Nehminu, i rozumiał jego gorące pragnienie zatrzymania się właśnie tutaj. Lellin także spotkał się z gorącym przyjęciem. Tutaj ani starzy mieszkańcy, ani dzieci nie patrzyli na niego, jakby był jakaś straszliwa istota. Ujął dłonie krewniaków Sezara, a jego matka ucałowała go w obydwie policzki, co odpłacił tym samym, z nawiązką. Nagle z wioski wysypali się mirrindianie, zbiegając po schodach do wielkiej chaty, tak jakby tylko czekali na rozpoczęcie przez swych gospodarzy ceremonii powitalnej. Lecz teraz przyszła kolej na nich, na Bythein i Bytheisa, na starszych klanów Seren i Melzen, na młode kobiety... Niektórzy aż biegli z radości, aby ich pozdrowić. Pośród dzieci znajdował się Sin. Vanye wyłowił go spośród nich i posadził chłopca uśmiechniętego od ucha do ucha na grzbiecie Mai. Sin usiadł na niej okrzakiem i aż zamrugał oszołomiony, kiedy Vanye wręczył mu wodze, ale klacz była zbyt znużona, by sprawić mu jakiegokolwiek kłopoty i nie miała ochoty oddalać się od Siptaha. Morgaine przyjęła starszą Mirrindu, uścisnęła starą Bythein, ich najwierniejszego przyjaciela. Rozległo się chóralne zaproszenie na wieczerzę do chaty.

— Niektórzy mężczyźni jeszcze nie opuścili Mirrindu — wyjaśniła Bythein, gdy Morgaine zapytała, jak się mają. — Zatrzeszczą się o pola uprawne. Ktoś musi to zrobić. Pilnują ich arrhendowie, lecz my wiemy, że nasze dzieci są najbezpieczniejsze tutaj. Witajcie, witajcie u nas, pani Morgaine, khemeisie Vanye.

Nie mniej niż ich przybyciem mirrindianie byli uradowani faktem ujrzania swych prawowitych panów, co było dla nich zapewnieniem, że ich gościnność nie została wykorzystana opacznie.

— Zaopiekuj się końmi — powiedziała Morgaine, kiedy minęło to powitalne zamieszanie.

Vanye ujął wodze Siptaha. Za nimi podążyła Mai z Sinem na grzbiecie — najdumniejszym chłopcem w całym Car-rhendzie. Drogę wskazywał im idący obok Sezar. Przez cały czas ani na krok nie odstępowała ich chmara dzieci z Car-rhendu i z Mirrindu. Gdy wprowadzali zwierzęta do za-

*****BP*

grody, utworzyły tłumek za ich plecami i w odpowiedniej chwili nie zabrakło rąk chętnych do przyniesienia paszy i chwycenia za szczotkę i zgrzebło.

— Ostrożnie z siwoszem — natychmiast przestrzegł ich Sin, prawdziwy znawca koni. — Kopie, gdy jest zaskoczony.

Była to uwaga bardzo na czasie, gdyż stłoczyły się zbyt blisko niego, lekceważąc podkute żelazem kopyta, ale i Sip-tah, i Mai z wyjątkowym spokojem znosiły panujący dookoła tumult, nauczywszy się, że dzieci przynoszą im przysmaki i troskliwie traktują je szczotką. Vanye sprawdził, co zostało zrobione i poklepał Sina po ramieniu.

- Zaopiekuję się nimi tak jak zwykle — obiecał Sin i Vanye nie miał cienia wątpliwości, że chłopiec obietnicy dotrzyma.

- Zobaczymy się w chacie na kolacji, usiądź przy mnie — powiedział Vanye i twarz dziecka rozpromieniła się.

Zawrócił, by udać się do wielkiej chaty. U wrót zagrody czekał na niego Sezar, opierając się o ogrodzenie.

— Bądź ostrożny, możesz nie wiedzieć, co czynisz — po wiedział.

Vanye obrzucił go surowym spojrzeniem.

- Nie kuś chłopca — wyjaśnił Sezar — zewnętrznym światem. Nieświadomie możesz być okrutny.

- A jeśli on chce zobaczyć, jak jest na zewnątrz? — Poczul falę gorącego gniewu, ale to była wiara z An-dur-Kurshu, że człowiek jest tym, kim się urodził... oprócz niego, który zawsze walczył ze swym przeznaczeniem. — Nie, rozumiem cię — przyznał.

Sezar spojrział na niego. W jego oczach odbiło się zamyślenie.

— Chodź — odezwał się w końcu.

Wrócili do wielkiej chaty. Kilkoro dzieci następowało im przez całą drogę na pięty, próbując imitować miękki, koci krok khemeisa.

— Spójrz za siebie, a pojmiesz, o czym mówię — powie dział Sezar i Vanye, odwróciwszy się, zrozumiał. — Jesteś my spełnieniem ich snu. Śnią go wszystkie, co do jednego.

Lecz kiedy przekroczą pewien wiek... — rozległ się cichy śmiech Sezara — rozsądek bierze górę, u wszystkich, poza nieliczną garstką nas..., którzy odchodzimy w odpowiedzi na zew. Taka jest kolej rzeczy. A wracając do chłopca pozwól, by to przyszło samo; nie kuś go w zbyt młodym wieku, bo podejmie próbę zbyt wcześnie i później może tego żałować.

- Masz na myśli, że wyruszy w puszcze na poszukiwanie ąhalów.
- O tym nikt nie mówi, nikt tego nie sugeruje... to zabronione. Lecz w tych, którzy chcą do nas przyjść, narasta desperacja i odnajdują nas. Nie jest to zabronione, jeśli tylko nie spotka ich śmierć w lesie. Nikt o tym nie mówi, lecz wśród dzieci taka oto krąży legenda, wiecznie żywa, powtarzana bez ustanku. Gdy osiągną mniej więcej dwanaście lat, mogą przyjść, lecz jeśli będą zwlekać, szybko nadciąga ta chwila, gdy jest już na to za późno... i dokonują wyboru, po prostu zostając. Nie odtrącamy dzieci, w puszczy nie ginie żadne, któremu tylko możemy pomóc. Zarazem jednak nie czynimy nic, aby je do siebie przywabiać. I życie wieśniaka ma swoje radości, i my, arrheńdowie, mamy swoje. Stanowimy dla was zagadkę.

- Czasami.

- Ty jesteś innego rodzaju khemeisem. Vanye spuścił wzrok.

- Jestem *ilinern*, to coś odmiennego — odparł. Niemal do samej wielkiej chaty szli w milczeniu.

— Jest w was coś dziwnego — przerwał to milczenie

Sezar.

Przestraszony Vanye zajął w przepelnione współczuciem oczy Sezara.

— Smutek... do którego nie można przykładać miary losu członków spowinowaconych z wami ras, jak myślę. On w was tkwi, lecz w nim różnicie się między sobą. Twoja pani...

Sezar zamilkł, doszedłszy widocznie do wniosku, że lepiej nie mówić tego, co już miał na końcu języka. Vanye spojrział na niego z wyrzutem, obserwacje Sezara nie uspokoiły bynajmniej jego myśli.

— Lellin i ja... — Sezar bezradnie rozłożył ręce. — Khemeisie, podejrzewamy, że w was jest coś, o czym nam nie powiedzieliście, że... uciska was jakieś brzemie. Pomoglibyśmy wam, gdybyśmy wiedzieli jak.

Stara się coś ze mnie wydusić?, głowił się zafrasowany Vanye, uważnie wpatrując się w rozmówcę, ukłuty boleśnie słowami. Próbował zdobyć się na uśmiech, który — wymuszony — wypadł blado i nieprzekonująco.

— Poprawię moje maniery — odparł. — Nie wiedziałem, że ze mnie tak nieprzyjemny kompan. — Odwrócił się i wspiął po schodach do wielkiej chaty, gdzie już przygoto wywano wieczerzę; cały czas słyszał za plecami kroki podążającego tuż za nim Sezara.

*

W wiosce rozpoczęto przygotowania do wieczerzy jeszcze przed przybyciem gości, lecz żywności wystarczyło dla wszystkich z nawiązką — tutaj kwitł dobrobyt. Mieszkańcy Carrhendu i Mirrindu w sposób zorganizowany, zgodnie ze swym zwyczajem, wspólnie zadbali o zapasy, nie szczędząc przy tym słów. Kucharze śmiali się, przyrządzając potrawy, dzieci zawierały przyjaźnie, a starsi, uśmiechnięci, siedzieli przy ogniu, zajęci zyciem. Pomiedzy mieszkańcami różnych wiosek nie zrodziła się żadna waśń; starszyzna w razie potrzeby władna była wydawać surowe edykty i szanowano jasno sformułowane przepisy prawa ustanowionego przez ąhalów.

— Tyle zostawiliśmy za sobą — powiedziała Serseis. — Już tęsknimy za Mirrindem, ale tutaj czujemy się bez pieczniej.

Pozostali przytaknęli. Klan Melzen wciąż opłakiwał zmarłego Etha i tylko nieliczni spośród nich przybyli do Carrhendu. Większość młodych kobiet i mężczyzn postanowiła zostać w Mirrindzie, mając w pamięci Etha i okazując upór, który głęboko zapuścił korzenie w duszy Ludzi z Shathanu.

— Gdyby którykolwiek z owych złych cudzoziemców dotarł w nasze okolice nigdy już stamtąd nie powróci — oświadczyła Melzein.

- Oby nigdy do tego nie doszło — wyraziła żarliwie życzenie Morgaine i Melzein skłoniła głowę na zgodę.

- Siadajcie za stołem — wezwał Saleis z Carrhendu starając się za wszelką cenę przywrócić pogodny nastrój. '

Lud odpowiedział na to wezwanie z ochotą i ławy wypełniły się biesiadnikami.

Sin wśliznął się do środka i wcisnął na przyobiecane miejsce. Chłopiec nie pisnął ani słówkiem przez cały czas wieczery, zadowolając się szybkimi spojrzeniami i słuchaniem opowieści; ciesząc się po prostu, że może być tam obecny. Sezar pochwycił spojrzenie Vanye i wzrokiem wskazał mu chłopca. W jego spojrzeniu *ilin* ujrzął dziwne zadowolenie, jakby widział on coś, co było widoczne jak na dłoni.

— To nadejdzie — wypowiedział wtedy Sezar słowa zrozumiałe dla Vanye, lecz dla nikogo innego.

Spadł mu kamień z serca. Dostrzegł, że dla Morgaine ta wymiana spojrzeń i słów okazała się zagadkowa i opanowało go dziwne uczucie, że istnieje myśl, która nie jest ich wspólnym udziałem; jedna troska, która nie dotyka jej spraw — tak ściśle związani byli ze sobą. Nagle mróz przebiegł po jego krzyżu. Przypomnił sobie, kim jest, i że nigdy nic dobrego nie wynikło z przyjaźni zawieranych po drodze — większość z tych, których obdarzyli swoją przyjaźnią, zginęła.

- Vanye — powiedziała Morgaine i uchwyciła go za nadgarstek, gdyż tak gwałtownie odłożył łyżkę, że pomimo panującego gwaru słyhać było jak zagrzechotała o blat stołu. — Vanye?

- To nic, liyo.

Uspokoił się, próbował odegnać od siebie te myśli; starał się nie okazać smutnej twarzy chłopcu, który nie wiedział, co też krąży po jego głowie. Przez chwilę z trudnością przełykał potrawy, lecz potem, stopniowo, poczuł się nieco lepiej i niemal o wszystkim zapomniał.

Po wieczery gwar głosów uciszyły dźwięki harfy, zapowiedź zwyczajowej rundy pieśni. Śpiew rozpoczęła ta sama dziewczyna co w Mirrindzie, Sirn; następnie chłopiec z Car-

rhend zaśpiewał dla Lellina, który był — jak droczyli się z nim z dumą — ich własnym ąhalem.

— Teraz moja kolej — odezwał się Lellin, biorąc harfę, i zaśpiewał im ludzką piosenkę.

Zamilkł, lecz nie odłożył instrumentu. Szarpnął strunę, by uciszyć zebranych. Potoczył wzrokiem dokoła. Dziwnie wyglądał w tym miejscu, białowłosy jak cały jego lud, w ciemnej chacie jego błada twarz wyróżniała go spośród zebranych.

— Uważajcie — odezwał się do nich. — Z całego serca radzę wam, carrhendianie, uważajcie w najbliższych dniach. Mirrindianie nie mogli wam powiedzieć wszystkiego o niebezpieczeństwie. Jestesci strzeżeni, lecz strażników nie jest wielu, a Shathan rozległy — przebiegł nerwowo palcami po strunach, harfa westchnęła w zalegającej ciszy. — Wojny Azeroth... nie mógłbym wam tego wygrać, lecz już dość nasłuchaliście się o nich... o tym, jak sirrindowie walczyli z ąhalami, dopóki nie udało się nam wyprzeć ich z puszczy. W owych dniach Człowiek walczył z Człowiekiem; oni walczyli z nami ogniem i toporem, siejąc ruinę i zniszczenie. Strzeżcie się. Do Azeroth ściągnęli tacy właśnie sirrindowie, a towarzyszą im renegaci ąhalowie. To znów ta sama stara wojna.

Po chacie rozszedł się pomruk przestraszonych ludzi.

- To złe wieści — powiedział Lellin.

- Żal mi je przynosić, lecz bądźcie czujni i gotowi opuścić Carrhend, jeśli to dojdzie do was.

Majątki nie mają znaczenia, cenne są wasze dzieci. Arrhead pomoże wam odbudować wszystko, co stworzyliście własnymi rękami z drzewa i z kamienia. Musicie być przygotowani nieść pomoc każdej wiosce, która będzie w potrzebie. Nie traćcie wiary, robimy wszystko, aby się z tym uporać. Arrhendowie nie zawsze są widoczni, lecz służą wam najlepiej. Pozwólcie nam robić, co w naszej mocy — to może wystarczyć. Jeśli nie, wtedy wasze strzały będą nas bronić. — Struny westchnęły miękko, tym razem wydając z siebie dźwięki ąhalskiej pieśni, i ludzie zasłuchali się, jakby rzuciła ona na nich jakiś czar; nie rozległy się żadne lementy,

nie rozgorzały dyskusje. — Idźcie do swoich domostw, carrhendianie, a wy, mirrindianie, do swych

gościnnych gospodarzy. Wyruszymy w drogę wczesnym rankiem; proszę, nie przerywajcie swego wypoczynku, by nas wyprawić.

• Panie — odezwał się młody carrhendianin. — Będziemy walczyć teraz, jeśli to w czymś pomoże.

• Brońcie Carrhendu i Mirrindu, tutaj wasza pomoc jest najpotrzebniejsza.

Młody człowiek uklonił się i przyłączył do przyjaciół. Carrhendianie opuścili chatę, z szacunkiem kłaniając się swoim gościom; w środku pozostali jednakże uciekinierzy z Mirrindu, gdyż przygotowano dla nich łoża w skrzydłach chaty.

Odszedł jedynie Sin.

• Będę spał razem z koźmi — oświadczył i Vanye nie wzbraniał mu tego.

• Lellinie — rzekł Sezar i na zezwalające skinienie ąhala opuścił ich, zapewne, by spędzić noc ze swymi krewnymi lub jakąś młodą kobietą.

*

Sporo czasu upłynęło, nim w chacie zapanował spokój: dzieci kaprysiły, młodzież nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zawieszane na sznurach koce tworzyły pozory odosobnienia, odcinając skrzydła chaty od miejsca wokół paleniska, gdzie rozgościli się przyjezdni. Koniec końców zapanowała jednak cisza i goście ułożyli się wygodnie do snu, zrzuciwszy broje i napiwszy się kilka łyków z butelki, którą Merir wręczył Lellinowi.

— Wygląda na to, że wszystko tutaj w porządku — Morganie powiedziała cicho, by nie zbudzić śpiących dzieci i jak tego wymagała pora. — Twój lud jest bardzo dobrze zorganizowany, skoro udało mu się przeżyć tak długo w pokoju.

Oczy ąhala błysnęły, zaniechał powściągliwości, którą dotąd okrywał się jak opończę.

— Istotnie, mieliśmy tysiąc pięćset lat, by rozważać błędy popełnione w wojnach. Od dawna ustaliliśmy, co pocnie-

QR

my na wypadek, gdyby znów nastały takie czasy; skoro nadeszły, to będziemy działać szybko.

• Doprawdy — zapytał Vanye — aż tyle czasu upłynęło, od kiedy na tej ziemi była wojna?

• Tak — odparł Lellin — i oby upłynęło go więcej. — W tych prostych słowach zawarł więcej niż znana historia Andur-Kurshu, gdzie właśnie wybuchały nader często.

Jeszcze długo po tym, jak ułożyli się na swych legowiskach, krążyło to po głowie Vanye, obok którego spoczął ąhal.

Tysiąc pięćset lat pokoju. Dla niego — urodzonego dla wojny — myśl, że tak długo można tkwić jakby w uspieniu, w zielonym cieniu Shathanu, była w pewnej mierze przygnębiająca; jednak piękno osad, bezpieczeństwo, porządek wydawały mu się powabne. Odwrócił głowę, by spojrzeć na śpiącą Morgaine. Nad nimi ciążyła ciężka klątwa, musieli podróżować bez końca; wojen, które widzieli starczyłoby, na całe życie. Czy nie moglibyśmy tutaj pozostać?, przez głowę przemknęła mu zdradziecka myśl, odegnął ją od siebie, starając się nie myśleć o sobie żyjącym wśród mirrin-dian.

*

Brzask jeszcze nie rozjaśnił nieba, kiedy z dworu dobiegły odgłosy zbliżających się koni. Vanye i Morgaine zerwali się z posłań z mieczami w dłoniach. Obok nich prześliznął się do okna Lellin.

Do Carrhendu przybyli jeźdźcy. Przywiedzione przez siebie na postronkach dwa osiodłane konie przywiązali do ogrodzenia pustej zagrody dla zwierząt i odjechali.

— Doskonale — powiedział Lellin — przybyli na czas.

Jechali z pól Almarrhane, to niedaleko stąd; mam nadzieję, że wrócą szczęśliwie do domu.

Z jednej z najbliższych chat wyłonił się Sezar. Na progu zatrzymał się, by ucałować swoich rodziców i siostrę, zarzucił na ramię luk oraz torby podróżne i machając rodzinie na pożegnanie, ruszył przez plac do wielkiej chaty, w której pozostali goście cicho, aby nie budzić śpiących, zbierali swoje rzeczy. Vanye wyśliznął się, by osiodłać konie, i spotkał Sina, który właśnie się do tego zabierał.

• Czy jedziecie do Azeroth walczyć z sirrindami? zapytał chłopiec, gdy zajęci byli zakładaniem uprzęży... Mir-rindianie stracili już spokój: ujrzeni, jaki los spotkał Etha, a oni musieli opuścić swe domy.

• Nigdy nie mogę powiedzieć, dokąd idę. Sinie, poszukaj ąhalów, kiedy osiągniesz odpowiedni wiek; mówię to, choć nie powinienem tego robić.

• Pójdę z tobą. Teraz.

• Wiesz, że nie można. Jednak nadejdzie dzień, gdy wyruszysz do Shathanu.

Ciemne oczy chłopca płonęły. Ludzie z Shathanu byli drobnej postury, lecz nawet wzięwszy to pod uwagę, widać było, że Sin nigdy nie osiągnie wysokiego wzrostu, trawił go jednak ogień, w którym już zaczęło spalać się jego dzieciństwo.

- Wtedy cię tam odnajdę.

- Myślę, że nie — odrzekł na to Vanye i na widok głębokiego żalu, który zagnieździł się w oczach Sina, poczuł w sercu jakby dżgnięcie bólu.

Kiedy nadejdzie jego pora, nie będzie to już ten sam Shathan, pomyślał. My odejdziemy i zniszczymy Bramy, lecz zabijemy jego nadzieje. Za jego życia wszystko się zmieni... albo dokonamy tego my, albo ręka wroga. Mocno uściśnął Sina, a potem podał mu prawicę na pożegnanie.

Odjeżdżając, nie obejrzał się za siebie.

*

»

Nie udało im się oddalić tak szybko i cicho, jak sobie tego życzyli. Nic nie mogło powstrzymać mirrindian, którzy obudzili się i wstali, by ich pożegnać; ani matki Sezara, która przyniosła im gorący chleb prosto z pieca, gdzie włożyła go na długo przed brzaskiem; ani jego ojca i siostry, i braci. Roześmiali się dobrotliwie, gdy Lellin złożył delikatny pocałunek na policzku siostry Sezara, uniósłszy ją z ziemi i postawiwszy ostrożnie z powrotem, gdyż choć była kobietą w rozkwicie, w porównaniu z ąhalem była drobniutka.

97

Roześmiała się na ten pocałunek, lecz spuściła nieśmiało oczy, w których, gdy je na powrót uniosła, odbijało się całe jej serce. Dopiero po tym wszystkim dosiedli koni i odjechali cicho pomiędzy drzewami, obok strażników, którzy sami byli jak cienie. Liście zasłoniły im widok Carrhendu i wkrótce otoczyły ich wyłącznie odgłosy puszczy.

Rozstanie przygnębiło Sezara i Lellin spojrzął na niego stroskany, marszcząc brew. Nie musieli się dopytywać, co wywołało ten nastrój. Z pewnością chętnie by został, żeby bronić wioski. Kto wie, może również Lellin miałby na to ochotę, i obowiązek, którym ich obu obarczono, był dla nich w tej chwili nieznośnym brzemieniem.

W końcu Lellin gwizdnął cicho i natychmiast rozległo się echo, powolne i spokojne. Słyszając to, Sezar rozchmurzył się nieco i wszystkim od razu zrobiło się lepiej.

ROZDZIAŁ VI

Opuściwszy Carrhend, posuwali się wzdłuż strumienia. Jechali w szybkim tempie; dwa przywiezione przez ar-rhendów gniade konie — Lellina z trzema białymi skarpetkami — trzymały się z dala od Siptaha, toteż Lellin z Seza-rem najczęściej otwierali niewielki pochód. Obydwaj rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, tak że jadący z tyłu Morgaine i Vanye nie mogli wiele dosłyszeć. Nie budziło to jednak ich podejrzeń i od czasu do czasu sami wdawali się w pogawędkę, posługując się przy tym przeważnie językiem ąhalskim. Morgaine nigdy nie była zbyt skłonna do rozmów — przez cały ten czas, od kiedy ją poznał — lecz odkąd przybyli do tej krainy, często zagłębiała się z nim w leniwej rozmowie, ucząc go języka i poprawiając jego błędy. Wyglądało na to, że nabrała nawyku, którego do tej pory nie miała — rozmowy. Vanye był z tego zadowolony, i chociaż Morgaine, mówiąc o sobie, nigdy nie cofała się do czasów sprzed Andur-Kurshu, on chętnie wspominał rodzinne strony i lepsze chwile z czasów młodości spędzonej w Morii. Mogli teraz rozmawiać o Andur-Kurshu, tak jak można rozmawiać o zmarłym, gdyż w końcu czas uleczy ból. On znał swoją epokę, ona swoją — na sto lat przed jego narodzinami; i choć posępne były niektóre z owych opowieści, to znajdowali w tym przyjemność. Ona była wędrowcem w czasie, a teraz on zrobił to samo i mogli o tym ze sobą rozmawiać.

Lecz raz Morgaine wspomniała Myya SeijaineTMyya, głowę klanu Myya z okresu, kiedy wiodła armie Andur-Kurshu, i wtedy jej oczy się zachmurzyły. Pochłonięta wspomnieniami zamilkła, gdyż było to jedno z ziaren czasu, z których wyrosły wydarzenia w Azeroth. Klan Myya, klan Yla, klan Chya — ludzie, którzy niegdyś byli jej sługami, miotający się w pajęczynie Bram, zagubieni w czasie. Myya ocaleli. Dzieci ich dzieci przez tysiąc lat zamieszkiwały Shiuan, wspominając ją jedynie w złych legendach, myśląc z mitem, dopóki nie przybył do nich Roh, by ich poderwać.

- Seijaine był z natury okrutny i dziki — dodała po chwili — ale dobry i hojny dla przyjaciół. Jego dzieci są takie same, lecz ja nie należę do ich przyjaciół.

- Zdaje się — rzekł, rozpaczliwie starając się zmienić temat — że idzie na deszcz.

Wydawało się, że zdumiała ją nagle zmiana toku jego myśli. Uniósłszy głowę, zwróciła oczy w kierunku chmur, ledwie szarawych na brzegach, by ponownie spojrzeć na niego. Roześmiała się.

— Tak. Jesteś dla mnie dobry, Vanye. Bardzo dobry.

Rzekłszy to, opanowała się i znalazła coś, na czym mogłaby zaczepić wzrok, byle nie patrzeć Vanye prosto w oczy. Poczuł, że coś w nim wzbiera — coś gorzkiego i słodkiego zarazem. Rozsmakował się w tym przelotnie, lecz nagle ujrzał przed sobą plecy Lellina, którego ruchy swą pajęczą gracją tak bardzo przypominały Morgaine. Wtedy opanował go smutek i inaczej zinterpretował jej słowa — odzyskawszy zdrowy rozsądek, od tak dawna strzegący go przed popełnieniem błędu, który by ich rozdzielił.

Roześmiał się głośno do własnych myśli, czym ściągnął na siebie jej zdziwiony wzrok.

— Osobliwy kaprys — wyjaśnił i szybko skierował rozmowę na sprawę południowego popasu; Morgaine nie poruszyła tego tematu.

Deszcz okazał się częstą groźbą. Obawiali się, że przyjdzie im spędzić ciężką noc na mokrym biwaku, lecz z chmur, które przesunęły się nad ich głowami, wieczorem pokropiło jedynie z rzadka i mogli, pokonawszy za dnia sporą odległość, rozłożyć się obozem nad brzegiem strumienia; najadłszy się, z bezchmurnym niebem nad głową i mając suche miejsce do spania na ziemi. Na tej ziemi, na pozór zbyt gościnnej, by mógł ich spotkać jakiś okrutny los, zdawało się im, że dotąd przeżyte niedole, w które zawsze obfitowały ich podróże, były jedynie koszmarnym snem.

Pierwszy na czatach stanął Vanye; nawet pod tym względem było im lepiej, gdyż podzieliwszy się między sobą wartami, mogli dłużej spać. Przekazał wartę Lellinowi, który — przetarłszy oczy — stanął oparty o drzewo. Vanye ułożył się do snu bez mdlącego uczucia wywołanego obawą przed zdradą. Nie spał jednak długo. Czując dotknięcie na plecach, zerwał się i usiadł ogarnięty przerażeniem. Odwrócił się i ujrzał, jak Lellin budzi w ten sam sposób Morgaine; Sezar ocknął się jeszcze przed nimi.

— Spójrz — szepnął Lellin.

Vanye wyteżył wzrok, w ciemności, kierując się nieruchomym spojrzeniem oczu Lellina. Pomiędzy drzewami, na przeciwnym brzegu strumienia, można było odróżnić jakiś stojący cień. Lellin wydał podobny do trełu gwizd i to poruszyło się jak człowiek; lecz to nie był Człowiek. Cicho pluskając wodą, to przebrnęło wodę, podrygując na długich kończynach. Mróz przebiegł Vanye po plecach, gdyż teraz przypominał sobie, że w tej właśnie okolicy widział już takie stworzenie.

Lellin wstał. Za jego przykładem poszli pozostali, nie ruszyli się jednak ani na krok ze swych miejsc, podczas gdy on zbliżył się do strumienia, wychodząc stworzeniu na spotkanie. Istota wzrostem przewyższała Lellina, miała podobnie jak u Ludzi umiejscowione kończyny, różniące się jednakże budową stawów. Całkowicie ciemne oczy załśniły w świetle gwiazd, gdy obrzuciła ich spojrzeniem; ujrzeni twarz o drobnych rysach i mocno zaciśnięte usta — niewielkie w porównaniu z ogromnymi oczami. Przy każdym kroku nogi przybysza poruszały się jak u ptaka — kolana zginały się w przeciwną stronę niż u Ludzi. Na ten widok Vanye zamarł, jednak bardziej ze zdumienia niż ze strachu, gdyż z bliska wygląd istoty był mniej złowieszczy.

— Haril — Morgaine wyszeptła mu wprost do ucha. — Raz jeden udało mi się coś podobnego zobaczyć.

Istota wyszła na brzeg i badawczo im się przyjrzała ogromnymi oczami. Nie sposób było ustalić jej płci — kształt tułowia ginał pod krótką, grubą oponczą, której odcień pasował do koloru skóry, jakkolwiek by on się okazał w świetle dnia. Lellin przemówił do niej cicho i zasygnalizował coś gestem. Haril zaszczębiotał w odpowiedzi, gestykulując na swój własny sposób, by następnie odwrócić się i przebrnąć strumień, podobny w ruchach do czapli, podobnie jak ona pochylając tułów.

- Tam są obcy — rzekł Lellin. — To niepokojące. Wypadki musiały nabrać niefortunnego biegu, skoro harilowie postanowili zbliżyć się do nas. Chce, byśmy poszli za nim.
- Kim oni są? — zapytał Vanye. — Na ile rozumiesz życzenia tej istoty?
- To bardzo stara rasa. Zamieszkują najgłębsze knieje Shathanu, dzikie okolice, w które my zapuszczamy się z rzadka, i zazwyczaj niewiele mają do czynienia z ąhalami lub Ludźmi. Mają własny język — my nie możemy się go nauczyć, oni nie mogą nauczyć się naszego... ani, jak przypuszczam, wcale tego nie chcą, ale posługują się gestem. Jednakże skoro haril pojawił się z żądaniem, byśmy coś uczynili, powinniśmy to zrobić, pani Morgaine. Coś musiało potoczyć się na opak — coś okropnego, co ich do tego kroku zmusiło.

Po przeciwnej stronie strumienia haril zatrzymał się, czekając na nich.

— Pójdziemy — postanowiła Morgaine.

Vanye ani słówkiem nie wyraził sprzeciwu, lecz strach, stary znajomy, ścisnął go w żołądku. Pośpiesznie, w ciszy, pozbierał ich rzeczy i skierował się do koni. To, czego unikali w ciągu ostatnich,

leniwych dni, nagle spadło na nich. Wydawało się, że tym samym szczelny wszelkie nadzieje na spokojne dotarcie do Nehminu.

*

Przekroczyli strumień, starając się poruszać w nim jak najciszej. Haril poprowadził ich — majaczący przed nimi cień, który bardzo nie w smak był ich wierzchowcom.

Ich osobliwy przewodnik wybierał ścieżki trudne dla jeźdźców, często musieli się pochyłać w siodłach, przejeżdżając pod konarami albo pokonując uciążliwe skarpy. Za każdym razem milcząco haril zatrzymywał się czekając, aż pokonają przeszkodę i nadrobią utraconą odległość.

— To szaleństwo — Vanye mruknął pod nosem, lecz Morgaine nie zwróciła na niego uwagi.

Haril znalazł się w zasięgu wzroku, lecz prócz niego było tam coś jeszcze. Konie wyczuły tę obecność i podrzuciły łbami; najchętniej rzuciłyby się do ucieczki. Coś mignęło raz z tej, a raz z tamtej strony; zbyt szybkie dla oka, umykało, zanim ktorekolwiek z nich zdążyło obrócić głowę; zachrząsał ciwsiwy liściem, zamierając, zanim mogli określić miejsce, skąd dobywa się szelest. Drugi, pomyślał u Vanye, ... a może jest ich więcej. Przesunął pierścień, i miecz, zsunawszy się w dół pleców, zawisł u jego biodra. Vanye szybko przytulił się do szyi Mai, gdy następny zakręt wyprowadził ich na skarpe pod nisko wiszące konary drzew. Drzewa stały się rzadsze. Ich przewodnik wyprowadził ich na środek polany, gdzie nad rysującym się niewyraźnym kształtem zawisł biały motyl... Zbliżywszy się nieco, zobaczyli, że to ciało martwego harila; motylem zaś okazało się upierzenie tkwiącej w jego plecach strzały. Przewodnik wydobył z siebie szczebiot, układający się jakby w strumień wymówek.

Lellin zsiadł z konia i wykonał gest, jakby zadawał pytanie. Haril ani drgnął; nie udzielił żadnej odpowiedzi.

— Ta strzała nie należy do nikogo z nas — odezwał się Sezar, który, tak jak Morgaine, siedział w siodle, podczas gdy Vanye, zsunawszy się na ziemię, zbliżył się ostrożnie do martwego harila, by w świetle gwiazd z bliska obejrzeć strzałę.

Upierzenie, które ujrzał, nie zapewniłoby tak doskonałej celności na dużą odległość, jak brązowe lotki osadzone na końcu strzał arrendów. To były pióra morskiego ptaka, tutaj, w sercu lasów Shathanu.

- Shiuu — zawyrokował. — Lellinie, zapytaj ich: gdzie? ”
- Ja nie mogę być... — zaczął Lellin i rozejrział się z niepokojem.

Ręka Morgaine powędrowała na plecy, gdzie nosiła broń o mniejszej sile rażenia, gdyż zewsząd otoczyły ich cienie, skraające się chyłkiem w ciemności, krokiem bardzo zbliżonym do kroku czapli. Nie zaszeleścił żaden krzew, harilo-wie po prostu pojawili się wokół nich jak spod ziemi.

— Błagam — wyszeptał Lellin — nic nie róbcie; nie ruszajcie się. — Zwrócił się do pierwszego napotkanego

harila i powtórzył gesty, którymi próbował wyrazić pytanie, dodając jeszcze kilka innych.

W odpowiedzi rozległ się chórny szczebiot wszystkich harilów, była w nim nuta gniewu, jakby pisk myszy lub szczura, lecz głębszy. Jeden z nich wysunął się do przodu i stanął nad martwym. Vanye cofnął się o krok, jeden jedyny krok, by nie mniemali błędnie, iż rzuca się do ucieczki; od przybysza oddzieliła go bardzo niewielka odległość, ujrzał, jak ogromne oczy mierzą go błyskawicznym spojrzeniem. Pajęcza ręka wyciągnęła się i dotknęła go, palce przebiegły po jego ubraniu, przy każdym dotknięciu szczypiąc je delikatnie. Ani drgnął. Światło gwiazd padało na gładką, ciemną skórę stworzenia; ujawniało delikatny splot materiału jego opończy. Drgnął odruchowo, gdy to coś stanęło za nim i dotknęło jego pleców. Kątem oka spojrzął na Morgaine, szukając jakiejś rady. Ujrzał bladą, napiętą twarz, w dłoni kryła broń, którą upolowała jelenia. Uświadomił sobie z wielką obawą, że jeśli jej użyje, on już nigdzie z nią stąd nie odjedzie.

Pomiędzy Lellinem a harilem nastąpiła wymiana gestów; stworzenie wymachiwało gniewnie, qhal prosił o coś gorąco.

- Uważają, że należysz do cudzoziemskiej hordy — powiedział Lellin. — Pytają, dlaczego jedziemy razem z wami; widzieli was tutaj poprzednio.
- Niedaleko Mirrindu — bardzo cicho odezwał się Vanye — był jeden, teraz wiem, kto to. Uciekł, gdy rzuciliśmy się za nim w pogoń.

Spoza jego pleców opadła mu na ramię ręka harila, lekko jak muśnięcie wiatru, lecz zacisnęła się z olbrzymią siłą, zmuszając go do obrotu. Uległ i poczuł dzikie bicie serca w piersi, wpatrując się w ciemne, dziwne oblicze.

• To ty — odezwał się z konia Sezar. — To ty ich niepokoisz; wysoki Człowiek o zbyt jasnych jak na Shathan włosach. Wiedzą, że w twoich żyłach nie płynie nasza krew.

- Lellinie — odezwała się Morgaine. — Radzę, uczynić coś, nim ja zacznę działać.
- Błagam, pani, nic nie rób. Jesteśmy tutaj osamotnieni.

Nasi ludzie nie ostrzegli nas przed czymś takim. Nie sądzę, by w okolicy znajdowali się jacyś arrhendowie, choć niewiele by mogli zdziałać, nawet gdyby tu byli. Te lasy należą teraz do harilów i mamy niewielkie szanse na ucieczkę. Nie są oni skorzy do przemocy, lecz potrafią być bardzo niebezpieczni.

— Podaj mi jedną z moich strzał — powiedział Vanye, a kiedy nikt nie drgnął, powtórzył rozkazująco: — Przyniesi!

Lellin posłuchał go, poruszając się bardzo ostrożnie. Va-nye wziął strzałę do rąk tak, by haril mógł ją dobrze widzieć i wskazać na brązowe pióra; a potem skierował jego uwagę na martwe ciało przebite strzałą o białych lotkach. Haril rzucił coś w stronę swoich pobratymców; przynajmniej ton ich odpowiedzi wydawał się mniej gniewny.

• Powiedz im — Vanye poprosił Lellina — że ci Ludzie z Azeroth, nie są naszymi przyjaciółmi, że przybyliśmy, by z nimi walczyć.

• Nie jestem pewny, czy potrafię — powiedział zrozpaczony Lellin. — Nie istnieje ustalony system znaków; wyrażenie subtelności jest prawie niemożliwe.

Jednak spróbował i być może udało mu się. Haril zamienił słowo ze swymi towarzyszami i kilku z nich podniosło ciało zabitego, by unieść je pomiędzy drzewa. Wtedy ten, który stał za plecami Vanye, położył dłoń na jego ramieniu i zaczął go ciągnąć za sobą. Vanye, przestraszony zaparł się mocno nogami, gdyż to stworzenie było bardzo silne, a oni wciąż byli okrążeni.

Lellin zastąpił stworzeniu drogę, gestykulując: „jiiie”. Haril wypluł z siebie szczebiot w ripoście i pokiwał palcem.

- Chcą, byśmy wszyscy poszli za nimi — wyjaśnił Lellin.
- *Liyo*, wydostań się stąd.

Nie zrobiła tego. Vanye odwrócił głowę, starając się ocenić szanse na to, że uda mu się wyrwać i dotrzeć do koni. Morgaine ani drgnęła, nie było wątpliwości, że rozważa inne możliwości.

Sezar mruknął coś, czego nie udało mu się dosłyszeć.

— Ich broń jest zatruta — głośniejsz powtórzyła Morgaine. — Vanye, ich strzałki są zatrute, sądzę, że to właśnie od

samego początku miało wpływ na Lellina. Wpadliśmy w tarapaty. Obawiam się, że harilów jest tutaj więcej, lecz ich nie widzimy. Pot ściekał po twarzy Vanye, choć noc była chłodna.

- To śmiechu warte. Błagam o przebaczenie. Jaka jest twoja rada, liyo?
- Vanye prosi o radę — Morgaine odezwała się do Lellina.

• Myślę, że nie mamy wyboru i musimy się pogodzić z ich życzeniem, wyrzekając się wszelkiego gwałtu. Nie sądzę, by kogokolwiek z nas skrzywdzili, jeśli nie poczują się zagrożeni. Nie mogą z nami rozmawiać; myślę, że chcą się o czymś upewnić lub coś zademonstrować. Ich umysły bardzo się różnią od naszych; są bardzo niestali i łatwo popadają w podniecenie. Zabijają rzadko, lecz i my nie zapuszczamy się w ich lasy.

- Czy to są ich lasy, dokąd nas poprowadziliście?

• Te są nasze, a idąc za tym osobnikiem, zbliżyliśmy się do Azeroth bardziej, niżbym sobie tego życzył. Wasi wrogowie obudzili coś i możliwe, że wszyscy tego pożałujemy. Khemeisie Vanye, nie sądzę, by oni puścili cię wolno, dopóki nie zaspokoimy ich żądań, lecz nie wydaje mi się, by mieli nas skrzywdzić.

- *Liyo*?
- Chodźmy zatem za nim i przekonajmy się.

Lellin gestykulując wyraził zgodę i haril delikatnie pociągnął go za rękę. Vanye musiał iść pieszo, jednak pozostali mogli podążać za nim konno; słyszał za sobą odgłos kopyt. Haril przesunął rękę i Vanye poczuł jego chwyt w nadgarstku, suchy jak zeschnięte liście i nieprzyjemnie chłodny. Stworzenie odwróciło się do niego tyłem, lecz od czasu do czasu słyszał jego szczebiot, gdy zwracało się do niego przy pokonywaniu trudniejszych odcinków lub pomagało mu na pochyłościach. Po pewnym czasie, doszedłszy widocznie do wniosku, że nie zamierza uciec, stworzenie puściło go wolno. Wtedy jego obawy zmalowały, pomimo że sporadycznie widywał przed sobą wyłaniającą się z ciemności dziwną twarz. Przynglano ich do pośpiechu, lecz nie grożono im.

Nieraz oglądał się do tyłu, upewniając się, że nie zgubili pozostałych, lecz jeźdźcy trzymali się niedaleko, posuwali się tylko wolniej i ścieżkami, którymi mogły przejść konie. Mai prowadził Sezar, co ucieszyło Vanye. Jednak kiedy jego oglądanie się zwolniło marsz, poczuł dotknięcie na ramieniu.

Zadrzał i odwrócił się do harila, który ponownie ujął go za rękę i przynaglił do większego pośpiechu.

Próbował wynaleźć własne znaki, wykonał gest, który w Andurin oznaczał „dokąd” — ruch odwróconą do góry dłonią w przód i w tył. Wydawało się, że haril nie rozumiał. Dotknął jego twarzy pajęczymi palcami, odpowiedział gestem, którego nie rozumiał i poprowadził go przez zarośla pod górę, aż Vanye się zasapał. Na krótko wyszli na polanę między drzewami. Haril ponownie ujął go za rękę, by się upewnić, że nie ucieknie, gdyż nagle u swych stóp ujrzał martwego człowieka, a potem drugiego, a kiedy opuszczali to miejsce, spostrzegł ciała niemal niewidoczne pod liśćmi i w ciemności. W świetle gwiazd dojrzał ubrania i skóry. Rozpoznał w nich swoich wrogów; jeden z nich niósł zapewne strzałę o białych piórach. Oparł się harilowi i schyliwszy się, zabrał jedną, by pokazać stworzeniu upierzenie. Wydawało się, że istota rozumiała jego intencje, odebrawszy strzałę z jego rąk, cisnęła nią o ziemię. „Chodź, chodź” — pokiwała na niego palcem.

Rzucił okiem przez ramię i na chwilę wpadł w popłoch, gdyż nie mógł dostrzec pozostałych, lecz raptem ujrzał ich i wtedy uległ ciążącemu go harilowi pozwalając się prowadzić. Narzucone tempo szybko wyczerpało jego siły, ponieważ on miał na sobie zbroję, a stworzenie szło stawiając sztywno długie kroki. Ni stąd, ni zowąd znaleźli się na skraju puszczy, linia drzew w tym miejscu urywała się raptownie; mieli przed sobą szeroką, oświetloną gwiazdami równinę, usianą mieniącymi się ognikami. W miejscu, gdzie stanęli, wycięto drzewa, które leżały powalone, obnażając w nikłym świetle swe rany. Oskarżycielskim gestem haril wskazał na drzewa, na obóz, a potem na niego.

„Nie” — zaprzeczył na migi. Czegokolwiek by ta istota chciała, jakiegokolwiek byłyby jej podejrzenia, w których wiązałyby jego osobę z obozem, odpowiedź na wszystko brzmiała: „nie”. Dogoniła ich Morgaine wraz z pozostałymi; harilowie otaczali ich zewsząd. Popatrzył na nią, jak przygląda się rozpalonym przez wroga ogniskom.

- To nie są ich główne siły — szeptem wyjaśniła sytuację Lellinowi, co potwierdzały rozmiary obozu, nie mówiąc o tym, że ani Roh, ani Hetharu dobrowolnie nie zrezygnowaliby z kontroli nad Bramą w centrum Azeroth.

- Harilowie sprowadzili nas tutaj, byśmy ujrzeli właśnie to — oznajmił Lellin. — Rozwścieczyły ich ścięte drzewa, śmierć. Obwiniają nas, żeśmy do tego dopuścili.

- Vanye — powiedziała Morgaine. — Spróbuj. Wsiadaj na koń, szybko.

Zrobił to. Bez ostrzeżenia, bez wahania przypadł do Mai i wskoczył na siodło. Wśród harilów nastąpiło poruszenie, lecz nikt nic nie zrobił, by go powstrzymać. Przypomnił sobie zatrutą broń i siedział z napiętymi nerwami, czując jak serce wali mu o żebra.

Powoli Morgaine zawróciła Siptaha, by ponownie znaleźć się pod osłoną drzew. Harilowie stanęli, unosząc cienkie jak patyki ręce, zagradzając jej przejście.

- Nie życzą sobie nas tutaj — powiedział Lellin. — Nie skrzywdzą nas, lecz i nie chcą nas tutaj.

- Czy wypędzą nas na równiny?

- Zdaje się, że mają taki zamiar.

- *Liyo* — odezwał się Vanye, gdyż nagle przejrzał jej zamysł i nie przypadł mu on do gustu. — Błagam, jeśli uderzymy na nich, nie zapuścimy się zbyt głęboko, a natkniemy się na innych. Te stworzenia zbyt zręcznie stawiają pułapki.

- Lellinie — rzekła — dlaczego nie ma w tej okolicy waszych ludzi? Gdzie byli arrhendowie, którzy powinni nas ostrzec przed wtargnięciem wroga?

- Najpewniej harilowie zmusili ich do opuszczenia tych stron... tak jak zamierzają to zrobić z nami. Nie spieramy się z ciemnoskórym ludem o możliwość przejścia. Pani, obawiam się i o Mirrind, i o Carrhend; obawiam się wielce. To zapewne tam właśnie w pośpiechu wycofali się arrhen-

dowie, by ostrzec i bronić mieszkańców; oni nie posunęliby się aż tak daleko, gdyby wiedzieli, że jest tutaj ciemnoskóry lud. Przebacz mi, pani nieszczęsny zawiodłem was całkowicie. Naraziłem was na to i nie potrafię znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Nikt z okolicznych arrhendów nie miał powodu, by podejrzewać, że znajdują się jeźdźcy, którzy zlekceważą ich ostrzeżenia. Udzielili ich, lecz mimo wszystko nie zatrzymaliśmy się. Myślałem jedynie o sirrindach, którym mogliśmy się przeciwstawić, i nie wziąłem pod uwagę, że to harilowie zajęli ten obszar. Pani, niewykluczone, że to gospodarze Nehminu poderwali ich.

- Arrha?

- Krążą legendy, że gospodarze Nehminu mogą ich wzywać na pomoc. Możliwe też, iż są jednymi z obrońców tego miejsca. Jeśli tak jest, to będzie niespodzianka nawet dla mnie; oni nienawidzą i Ludzi, i ahalów, a przejrzeć ich myśli jest tak trudno, jakby się miało do czynienia z drzewami.

- Zatem, gdyby tak było, może i sam Nehmin jest obłożony.

- To możliwe, pani.

Milczała przez chwilę. Vanye wyczuł, że w spokojnym Shathanie, który dotąd był ich bezpieczną

kryjówką, te niebezpieczne wydarzenia zaczynają przybierać coraz bardziej niefortunny obrót.

— Mieście się wszyscy na baczności — powiedziała Morgaine i opuściła „Odmieńca” z pleców do biodra.

Uciszywszy gestem otwartej dłoni pełen niepokoju szczebiot harilów, odczepiła pochwę, by następnie obydwoma rękami powoli wysunąć go z niej. Iskierki opalizującego blasku klingi zawirowały w ciemności i zamigotały, odbite w ciemnych oczach harilów. W miarę jak obnażała klingę, robiły się coraz większe. Nagle miecz zaśnił pełnym blaskiem, a na czubku ostrza rozwarła się otchłań mroku. Harilowie cofnęli się, ich czarne oczy stały się podobne czerwonym, odbijającym owo zimne światło zwierciadłom. Wiejące znikąd wiatry szarpnęły gałęziami drzew. Harilowie zakryli twarze swymi pajęczymi dłońmi, cofnęli się jeszcze i zgięli w ukłonie w odpowiedzi na jękliwy zew.

Wtedy Morgaine włożyła klingę na powrót do pochwy. Lellin z Sezarem, zsunawszy się z siodeł, zbliżyli się do niej, by przypaść do kopyt Siptaha w głębokim ukłonie. Harilowie woleli trzymać się z dala, przestraszeni szczebiotali coś cichutko między sobą.

— Czy teraz mnie rozumiecie? — zapytała.

Lellin uniósł do góry swą bladą twarz, teraz pociemniałą od grozy.

• Pani, nie... nie dopuść, by rzecz ta wyrwała się na wolność. Rozumiem cię i jestem twoim sługą — zostałem oddany tobie i muszę nim być. Lecz czy pan Merir wiedział o tym?

• Być może podejrzewał. Dał mi ciebie na przewodnika, Lellinie Erirrhene, i nie zabronił mi szukania drogi do Nehminu. Powiedz harilom, że zamierzamy przejść przez ich puszcę, i dowiedz się, co teraz o tym myślą.

Lellin powstał i uczynił, o co go prosiła, śpiewając krótko, a harilowie, cofnąwszy się, wtopili się między drzewa.

- Nie będą nas zatrzymywać — powiedział.
- Na koń zatem!

Gdy ponownie znaleźli się w siodłach, Morgaine z wolna przynagliła Siptaha. Siwek potrząsnął łbem i parsknął z odrazy do harilów. Nie niepokojeni powrócili do puszczy, choć dziwaczne istoty trzymały się ich jak cienie.

— Teraz rozumiem, skąd w was ten żal — wyszeptał Sezar, zbliżywszy się w ciemności do Vanye, a ten obrzuciwszy spojrzeniem jego i Lellina, poczuł przygniatający serce ciężar. Arrhendowie zaczęli pojmować, że oni muszą nieść „Odmieńca” i zrozumieli, jakie w nim tkwi zło i niebezpieczeństwo.

Lecz musieli mu służyć, tak jak i on.

ROZDZIAŁ VII

Harilowie wciąż snuli się wokół nich jak cienie. Gwiazdy zaczęły blednąć. Jechali tak szybko, jak to tylko możliwe w gęstym lesie, ich dziwaczni prześladowcy nie utrudniali im przejścia, lecz i nie udzielali pomocy. Lellin i Sezar, wszedłszy w nieznane lasy, mogli się tylko domyślać, która droga będzie najkrótsza. Kiedy noc miała się ku końcowi, puszcza ustąpiła i między drzewami, przed sobą, ujrzeli ciemne wody.

— Narn — oznajmił Lellin, kiedy ściągnęli wodze wierz chowcom pod osłoną drzew na obrzeżach lasu. — Za nią jest Nehmin.

Morgaine stanęła w strzemiionach i oparła się na łęku, wyciągając szyję.

- Gdzie możemy się przeprowić?
 - Gdzieś tutaj ma być bród — powiedział Sezar — w połowie drogi między Marrhanem i równinami.
 - Wyspa — dodał Lellin. — Nigdy nie dotarliśmy tak daleko na wschód, ale takie doszły nas słuchy. Powinna znajdować się niedaleko stąd na północ.
 - Zbliży się dzień — odezwała się Morgaine. — Rzeka ma odsłonięte brzegi, a jest wielce prawdopodobne, że nasi wrogowie znajdują się gdzieś niedaleko. Nie możemy pozwolić sobie na błędną ocenę, Lellinie, ani nie możemy zwlekać tak długo, by odcieśli nas od Nehminu.
 - Jeśli uderzyli na Mirrind i Carrhend — rozumował Vanye — dowiedzą się, dokąd pojechaliśmy. Niektórzy szybko domyśla się co to oznacza. — Ujrzał, jak przerażenie wykrzywia twarz Sezara po jego słowach; ich znaczenie było dla khemeisa jasne: wiedział, w jakim niebezpieczeństwie znaleźli się jego ludzie. — Czy możemy dowiedzieć się od harilów, czy jacyś cudzoziemcy przekroczyli Narn?
- Lellin rozejrzał się wokół, lecz nie było nikogo prócz nich, ani jeden liść nie zaszeleścił, ani jedna gałązka nie drgnęła...

nagle zniknęły wszelkie ślady po towarzyszących im dotąd jak cień istotach.

Morgaine cicho zakłęła.

— Być może nie lubią zbliżającego się brzasku albo wiedzą coś, o czym my nie wiemy. Poprowadź, Lellinie, stańmy nad brodem tak szybko, jak to możliwe, a jeśli nocy jeszcze wystarczy, podejmiemy się przeprawy.

Lellin skierował konia na północ i wysunął się na czoło, próbując cały czas trzymać się drzew. Musieli jednak pokonywać obalone pnie i wymyte wodą rozpadliny, toteż posuwali się bardzo wolno. Czasami schodzili aż nad rzekę, odsłaniając się przed obserwatorami z drugiego brzegu, jeśli tacy tam byli; to znów zagłębiali się w las tak głęboko, że aż rzeka prawie zniknęła im z oczu.

Zmęczenie dawało się im we znaki. Większą część nocy spędzili bezsennie, zmagając się z przeszkodami: walcząc w terenie niemal nie do przebycia z czepiającymi się ich gałęziami, na potykających się koniach, wyczerpanych ciągłym wspinaniem się i schodzeniem po skarpach rozpadlisk wymytych przez dopływy rzeki. Wstał ranek, w szarówce można już było niemal rozróżnić odcinające się od niej kolory. Właśnie wtedy dotarli do wysepki — podłużnej łachy, ukoronowanej kępami krzewów, z usypanym na brzegu stosem długich kłód splawionych z prądem. Zawahali się, lecz Morgaine skierowała Siptaha w dół skarpy, zmiierzając do brodu. Vanye ukłął Mai ostrogą i poszedł w jej ślady, nie dbając, czy Lellin z Sezarem podążą za nimi. Morgaine ponagliła ich. Opanowała ją gorączka... za nimi był wróg; miejsce, do którego dążyli, leżało przed nimi. Vanye wiedział, jak postąpi w razie jakichkolwiek wątpliwości: ruszy do przodu, by pokonać jak największą odległość, nie wahając się ani chwili.

Kiedy wjechali do wody, która sięgnęła im aż po kolana, konie zwolniły, zmuszone opierać się prądowi. Siptah zapadł się w dziurę, lecz udało mu się z niej wykaraskać; Vanye objechał ją dookoła, mając tuż za sobą arrhendów. Wierzchowce brnęły teraz w ciemnej wodzie po pierś, omywał ich silny prąd rzeczny. Mai pośliznęła się, klacz

z trudem nadążała za Siptahem... zepchnęło ją na wierzchowca Sezara. Wtedy to Vanye omal nie został wysadzony z siodła, lecz klaczy udało się znaleźć pewniejsze oparcie dla kopyt, a i woda opadła nieco, gdy minęli wysepkę wyznaczającą połowę koryta. Siptah parł do przodu — był najmocniejszym z koni, których dosiadali. Zaniepokojony Vanye użył ostróg, by zmusić klacz do pokonania drugiej połowy brodu, przeklinając upór Morgaine. Wkrótce jednak siwosz po raz wtóry zaczął wynurzać się z wody, wspinając się na przeciwległy brzeg. Morgaine, ściągawszy lejce, zawróciła w miejscu, by rzucić okiem na pozostałych.

Coś przeleciało z sykiem i trafiło w cel. Morgaine przechyliła się, niemal wysadzona z siodła. Siptah szarpnął się dziko, spłoszony. Vanye krzycząc wbił ostrogi w boki klaczy. Chyba rozpacz dodała Morgaine sił, bo udało się jej utrzymać w siodle. Kureczowo czepiała się grzywy, jednym obcasem zahaczona o siodło. Z jej białych włosów utworzył się dziko powiewający na tle cienia proporzec; upierzona białą strzałą znalazła miejsce, którego nie chroniła zbroja. Siptah okręcił się raz dookoła, zdezorientowany, a potem zerwał się do biegu, żegnany świstem strzał. Vanye pochylił się głęboko w siodle i zmusił klacz do desperackiego galopu wzdłuż brzegu. Morgaine udało się jakoś wciągnąć na siodło.

— Jeźdźcy! — krzyczał za nim ostrzegawczo Sezar.

Vanye nie zatroszczył się nawet, by rzucić okiem za siebie. Nie odrywał oczu od Morgaine, bezwładnie przewieszanej przez szyję Siptaha; na piasku rozbijanym kopytami klaczy wykwitwały ciemne plamy. Koń zwolnił pod nim, piana pokrywała zarówno ją, jak i jego. Doścignęli go Sezar z Lellinem i wyprzedzili, gdy jego wierzchowiec stracił rytm. Sezar zaczął ściągać wodze, by się do niego zbliżyć.

— Nie! — wykrzyknął Lellin i Sezar uderzeniem popędził swego wierzchowca.

Odległość pomiędzy Vanye i arrhendami zaczęła się powiększać.

— Ratujcie ją! — Vanye wył za nimi.

Aby sam mógł to zrobić, musieliby znaleźć się w jego zasięgu. Rzuciłby któregoś z nich na pożarcie wrogowi,

strącając z siodła. Być może Lellin się tego domyślił i nie zatrzymał się na długo w jego pobliżu.

— Pomóżcie jej!

Tego było dla Mai za wiele, klacz potknęła się potężnie. Pod wpływem rozpaczony zawrócił w kierunku drzew, w górę nadrzecznej skarpy; skierował ją w tę stronę, by tam zeskokczyć z siodła i pieszo szukać kryjówki.

Niestety, klacz go w końcu zawiodła. Opuściły ją wyspane przez sypki piasek siły i zaryła głową w ziemię, gdy oboje jeszcze byli na otwartej przestrzeni. Rozkrzyżował ręce, a Mai runęła na piasek, zanim zdążył wyskokczyć z siodła, przetaczając się bezwładnie, skręcając sobie kark i przygniatając go do ziemi.

Słyszając zbliżających się jeźdźców, wiercił się rozpaczliwie, z twarzą wykrzywioną bólem, bo jedną nogę przy-gwałdziło mu do ziemi martwe ciało Mai, którego nie mógł w żaden sposób podważyć, by wyszarpnąć nogę.

Stracił nadzieję, że zatrzymując się przy nim, strawią cenny czas. Nie uczynili tego, większość minęła go z tętentem kopyt, obsypując piaskiem i drobnymi kamykami, a tylko czterech ściągnęło lejce, by się nim zająć. Mimo wszystko zdołał schwycić za miecz i dobył go z pochwy, choć uważał swój wysiłek za próżny, gdyż mogli przecież wypuścić strzałę z bezpiecznej odległości i tak wszystko zakończyć. Nie byli to mieszańcy z Shiuanu, lecz Ludzie. Rozpoznał ich, gdy zsiadłszy z koni, zbliżyli się i utworzyli wokół niego półkole, trzymając się poza jego zasięgiem. Zaklął, ujrawszy ich triumfalne uśmiechy. Myya Fi-har'i'Myya... Mija Fwar — tak to imię przemieniał akcent Hiua — nie można było pomylić tej twarzy przeciętej blizną po ranie zadanej nożem, skrzywanej w okolicy ust. Fwar był niegdyś jednym z poruczników Morgaine. Pozostali byli ludźmi z jego plemienia; wszyscy Myya, wszyscy dyszący krwawą zemstą. Wybuchnęli śmiechem, gdy zobaczyli w jakich znalazł się opałach, a on wznosił w duchu błagania, już nie spodziewając się strzały, lecz mając nadzieję, że to właśnie Fwar wejdzie w zasięg jego ręki.

— Przynieście, o, tamten konar — rozkazał Fwar jednemu z swych krewniaków, o imieniu Minur, który spełnił jego życzenie, podając mu zapiaszczony kawał wciąż zdrowego drewna, gruby jak przegub męża, o długości dorównującej wzrostowi Hiua.

Nie chcieli nim niczego podważać, na to byli zbyt sprytni. Vanye z oczu odczytał jego zamiary i gdy spadły na niego ciosy, skurczył się, odruchowo ściskając miecz, ale grad ciosów w jego hełm ogłuszył go i udało im się końcem konarzu wytrącić mu broń z ręki. Wtedy skoczyli na niego. Sięgnął po sztylet, lecz choć dobył go z pochwy i zranił przynajmniej jednego, to jednak obezwładnili go i wyrwali mu go. Wtedy wydobyli powrozy i próbowali związać mu ręce na plecach. Opierał się jak szalony, więc dwukrotnie musieli go ogłuszyć, zanim im się to udało. Wiedział, że to koniec. Leżał z twarzą wciśniętą w suchy piasek, zbierając siły na to, co miało teraz nastąpić. Jeden z nich wymierzył mu solidnego kopniaka w podbrzusze. Vanye odruchowo zgiął się w pół, nie zaszczyciwszy ich nawet wzrokiem. To byli Myya z klanu ludzi mściwych i zimnych, którzy dyszeli do niego nienawiścią w Kurshu i już tam poprzysięgli mu śmierć. Lecz ci potomkowie dumnych Myya z Kurshin, od tysiąca lub więcej lat zagubieni w labiryncie Bram Wszechświata, zatracili poczucie honoru, gardząc nim jak wszystkim, *co* ich otaczało, wyjąwszy siebie. Fwara zżerała zaś zapiekła, osobista nienawiść do niego.

W końcu uwolnili go spod Mai. Dotąd podejrzewał, że noga może być złamana w miejscu, które utkwilo pod przewracającym się ciałem wierzchowca, lecz ocalała ją podłóżę z sypkiego piasku. Wtedy zaświtał mu promyczek nadziei, lecz gdy schwycili go i postawili na nogi, kolano przeszył mu ból, od którego aż pociemniało mu w oczach. Czuł go pomimo wymierzanych mu ciosów oraz przekleństw ciskanych na jego głowę. Stracił wszelką nadzieję na wyrwanie się z ich rąk.

- Na koń z nim — powiedział Fwar. — Gdzieś tu mogą być jego sojusznicy, a nam potrzebny jest czas, by odplacić ci, Nhi Vanye'i'Chya, za naszych braci i wszystkich krewnych, którzy padli z twej ręki.

Vanye splunął w jego kierunku — teraz mógł jedynie do tego się uciec — ale i to mu się nie udało, nie trafił w cel. Fwar zmierzył go wzrokiem. Ten człowiek nie był głupcem, Morgaine nie przyjęłaby na służbę człowieka o tępej i ociężałej głowie.

— Wydaje mi się, że on chciałby, byśmy stali tu jak najdłużej. Jednak nią niechaj zajmą się khalscy panowie, uporamy się z nimi później. My zabierzmy lepiej naszą zdobycz w dół rzeki.

Jeden z nich sprowadził wierzchowca. Vanye wbił w jego bok kolano. Koń odskoczył od niego z rzeniem, wierzgając zadem, lecz Hiua znaleźli na to radę: spętali mu nogi w kostkach i przerzuciwszy brzuchem przez siodło, przywiązali mocno, aby już dłużej nie mógł opóźnić ich odjazdu. Stracił hełm, który spadł mu z głowy. Jeden z napastników podniósł go i kpiąco nasadził sobie na głowę.

Szybkim marszem ruszyli brzegiem w dół rzeki. Vanye, wisząc głową w dół, podrzucany niemiłosiernie na siodle, zaczął tracić kontakt z rzeczywistością. Na długo zapadł w ciemność, w której jednak nie znalazł ucieczki.

Nie dawała mu spokoju myśl o Morgaine, gorsza od wszelkiego bólu: czy doścignęli ją jeźdźcy z Shiuanu, czy też padła od rany... Wspomnił krwawe plamy na piasku i poczuł zamierające w piersi serce. On zatem musi przeżyć; jeśli ona żyje, to będzie jej potrzebny, jeśli nie, tym bardziej musi coś wykonywać i przeżyć — to właśnie poprzysięgł.

Walcząc z Hiua, szukając szybkiej honorowej śmierci, nie brał tego pod uwagę. Jednak gdy miał czas przemyśleć złożoną jej przysięgę i to, co nakładała ona na jego barki, poniechał swych zamiarów, oszczędzając siły na inną, dłuższą walkę, w której nie było miejsca na honor.

Późnym rankiem Hiua stanęli na odpoczynek. Jak przez mgłę do świadomości Vanye dotarło, że konie zwolniły kroku i — dopóki nie uwolnili go z siodła i nie zrzucili brutalnie na piasek — niewiele więcej. Upadł i zmarł, ignorując wrogów, Wpatrzony w Nam, która toczyła ciemne wody zaledwie o

rzut kamieniem, jak czarna nić wciąż wiążąca go z miejscem, w którym była ona. Ten widok przyniósł mu ulgę: jeszcze nie są dla siebie straceni na zawsze.

Jeden z Hiua chwycił go za głowę i uniósłszy ją do góry, przytknął mu butelkę do ust. Woda. Wypił, ile mu dali. Oblali mu twarz i policzkując starali się przywrócić mu przytomność. Choć odzyskał już świadomość, słabo zareagował na jedno i drugie.

Podszedł do niego Fwar, złapał za włosy i potrząsał nim tak długo, aż Vanye zatrzymał na nim wzrok.

- Ger, Awan — wymieniał swych martwych braci — i Efwy, i Terrin, i Ejan, i Prafwy, i Ras, krewny Minura, który jest tutaj z nami; i Eran, brat Hula, Sithan i Ulwy, bracia Trina...

- I nasze żony, i dzieci, i wszyscy, którzy umarli przed nimi — dodał Eran.

Vanye spojrział na niego, tak samo zapamiętały w nienawiści, jak Fwar, którego bracia padli z jego ręki. Być może zabił i innych, których tu wymieniono z imienia: w pogoni za nimi wielu doścignęło... swą śmierć, kobiety i dzieci napotkały ją w swych siedzibach; nie było to jego dziełem, lecz oni nie widzieli różnicy. Był dla nich wrogiem, który wpadł im w ręce, mogli wyładować na nim całą swą nienawiść — za wszystkie doznane nieszczęścia, za Mor-gaine, która powiodła ich przodków na zgubę w Irien, a ich próbowała zamknąć w klatce tonącego Shiuanu; spalała ich nienawiść do niej, a on był przeciw jej *ilinem* i teraz wpadł im w ręce.

Próżno by było na to odpowiadać, więc milczał. Trin wymierzył mu ogłuszający cios i Vanye przekreściwszy* się, splunął na niego krwią, tym razem celując dokładniej. Trin uderzył go po raz wtóry, lecz Fwar nie pozwolił mu zrobić tego po raz trzeci.

— Mamy przed sobą cały dzień i noc, i więcej.

Wydawało się, że rozradowała ich ta myśl. Potem z ich ust zaczęły padać plugawe i obelżywe słowa, na co Vanye tylko zacisnął zęby, obojętnie wpatrując się w rzekę, lekceważąc ich próby takiego znęcania się nad nim. Wiele z ich gróźb i tak szło na marne, gdyż mówili chropawym językiem

117

z wieloma khalskimi naleciałościami i zapożyczeniami z bagien, co zniekształciło ich ojczystą mowę, a on nauczył się hiuajskiego od młodej kobiety, której język był o wiele gładszy. Domyślał się jednak wiele.

Opanował go gniew; to, że władą nim bardziej wściekłość niż przerażenie, zdumiewało go niesłychanie. Nigdy nie był zuchwały. Nieszczęście wyгнаło go z domu i siedziby klanu, odarło z honoru, a wszystko tylko dlatego, iż zbyt żywo wyobrażał sobie ból i uległ swym krewnym, zadającym mu powolne tortury... Chłopięca niedola. Był wówczas nazbyt wrażliwy i bardziej kochał ich, niż rozumiał. Lecz do tych tutaj, łupieżców z Kurhanowych Wzgórz w Hiujaju, upadłych Myya, nie żywił żadnych przyjaznych uczuć. Wrzał w nim gniew, że ze wszystkich swoich wrogów to właśnie im musiał wpaść w łapy — w ręce Fwara, którego bezwartościowe życie oszczędził, bo w swych żyłach miał zbyt wiele krwi Nhi, by dobić leżącego wroga. Teraz spotykała go nagroda za jego litość. W swych odrażających kpinach zaczęli urągać i Morgaine, a on musiał to znosić, wbrew okolicznościom nie tracąc nadziei, że — nadmiernie zadufani — w pewnej chwili popełnią błąd i uwolnią jego ręce i że Fwar znajdzie się wtedy w ich zasięgu.

Nie popełnili błędu, zbyt dobrze go znali. Udało im się wymyślić, jak go wyłuskać z kolczugi i przy tym go nie uwolnić. Obwiązali mu pętlą kostki u nóg i jak upolowanego jelenia wciągnęli na konar jednego z drzew. I w tym doszukanali się rozrywki. Gdy jemu krew łomotała w głowie, niemal pozbawiając zmysłów, oni rozkołysali jego ciało. Wtedy łatwiej przyszło im rozwiązać jego ręce i zabrać mu jego zbroję. Mimo to udało mu się pochwycić Trina, lecz nie zdołał go utrzymać. Później dla zabawy chłostali go, aż krew spłynęła wzdłuż jego ramion i splamiła piasek. W końcu zawiodły go zmysły.

*

Chmara jeźdźców; do bębniącego mu w uszach tętna dołącza się grzmiący odgłos kopyt. Dookoła niego tłoczą się rozgorączkowane ciała na zdyszanych i prychających wierzchowcach. Coraz ich więcej powraca z biegiem rzeki, przypomina sobie Morgaine, rozpaczliwie walcząc o odzyskanie władzy nad zmysłami, próbując skupić wzrok i przekonać się, czy udało się im ją odnaleźć. W jego oczach, w których wszystko wydaje się obrócone, konie przedstawiają się jak czarne cienie. Siptaha między nimi nie ma. Widzi zbliżającego się jeźdźcę, w lśniacej, łuskowej zbroi, o białych włosach. Khal — qhal z Shiuanu.

— Odciąć go — rozkazał pan-khal.

Po chwili Vanye poczuł, że ktoś przecina powróż; wiedząc, że upadek jest nieuchronny, próbował swymi zdrewniałymi rękami osłonić głowę, lecz opancerzeni jeźdźcy opletli go rękoma i opuścili na

ziemię głową do góry. Nie opierał się im, uzmysłowiwszy sobie, że go podtrzymują; opadł na ziemię dużo łagodniej, niż sądził. Nie byli to ludzie Fwara, choć tak jak i oni, nie byli jego przyjaciółmi i niewykluczone, że byli nawet od Ludzi okrutniejsi; jednak ich plany na najbliższą przyszłość uzależnione były od tego, by żył. Pogodził się z tym faktem; wciąż leżał na piasku tuż obok końskich kopyt, podczas gdy serce z trudem pokonywało opór żył, przywracając mu krążenie krwi w dolnych kończynach, w uszach słysząc przekleństwa, którymi khalowie obrzucali Ludzi za to, że niemal nie zadali mu śmierci.

Morgaine, pomyślał. Co z Morgaine? W ich słowach jednak nie mógł się doszukać khal żadnej wskazówki.

— Ruszajcie — rozkazał khal Fwarowi i jego kuzynom. —

On jest nasz.

W końcu — gdyż tutaj, tak jak i w Shiuanie, to qhaft>wie byli potężniejsi — Fwar wraz ze swymi ludźmi dosiedli wierzchowców i odjechali, ani słowem nie zagroziwszy odwetem, co było złowieszcza wróżbą dla pleców wroga, gdy nadejdzie czas.

Vanye uniósł się z trudem i wsparłszy się na łokciu, obserwował ich odjazd, lecz nie ujrzał nic poza nogami koni i nieliczną garstką pieszych khalów, chronionych przez broje łuskowe, w hełmach, które nadawały ich twarzom demoniczny wyraz — nosili je wszyscy, jedynie ich pan

110

siedział w siodle z obnażoną głową, z rozpuszczonymi na wietrze białymi włosami. Nie był to żaden z panów Shiua, których znał.

Zbrojni przecięli więzy krępujące go w kostkach i spróbowali postawić go na nogi. Potrząsnął głową.

— Kolano... nie mogę chodzić — odezwał się ochryłym głosem w języku ąhalskim.

Przeraziło ich to. Ludzie z Shiuanu nigdy nie używali mowy swych władców, choć sami khalowie mówili językiem Ludzi; przypomniał sobie, że to są Shiua, gdy jeden z nich wymierzył mu policzek za takie zuchwalstwo.

— Dosiądzie konia — powiedział przywódca. — Alarrhu, twój wierzchowiec uniesie tego Człowieka. Zbierzcie wszystkich, co leży tu dookoła rozsiane; istoty ludzkie pozbawione są zmysłu porządku. Zostawiliby to, pozwalając, by nie przyjaciel mógł się o nich wszystkiego dowiedzieć. Ty — po raz pierwszy przemówił wprost do Vanye, który podniósł na niego posępne spojrzenie — ty jesteś Nhi Vanye'i'Chya.

Kiwnął głową.

• To znaczy „tak”, jak sądzę — rzekł khal.

• Tak. — Ten khal przemówił w języku Ludzi, lecz on ponownie odpowiedział w mowie ąhallow. Na bladej, wrażliwej twarzy przywódcy odmalował się gniew.

• Ja jestem Shien, syn Nhinna, księżę Sotharrnu; pozostali moi ludzie ścigają twą panią. Strzała, która ją ugodziła, jest jedyną przysługą, za którą możemy podziękować temu hiuañskiemu bydłu, lecz kiepski to los dla wysoko urodzonego khala. Postaramy się to naprawić. A ciebie, Vanye z Chya, chętnie ujrzymy w naszym obozie. Pan Hetharu bardzo chciałby ponownie cię spotkać... a jeszcze bardziej twą panią, lecz sam stwierdzisz, jak uraduje się na twój widok.

• Nie wątpię — mruknął, ale nie opierał się, gdy związali mu ręce i wsadzili go na siodło, tym razem w pozycji wyprostowanej. Ból ran niemal przyprawiał go o utratę zmysłów, zakołysał się oszołomiony, kiedy koń spłoszył się, a Shiua rozpoczęły kłótnię, kto powinien zbrukać swe dłonie pilnując, by on nie spadł z siodła; półnagi, okrwawiony człowiek.

— Jestem Kurshinem — wycedził przez zęby.

Nie

spadnę z konia, chyba że to on pode mną padnie. Niech żaden khal nie waży się położyć na mnie swej ręki.

Poruszyło ich to i zaczęli mówić coś o nauczce, wskazaniu mu jego miejsca, lecz Shien rozkazał im dosiąść koni. Ruszyli wzdłuż piaszczystego brzegu co koń wyskoczy, ze złej woli raczej niż z konieczności, lecz po jakimś czasie zwolnili. Wyczerpany, z opuszczoną głową, Vanye poddał się rytmowi kroków wierzchowca. Ocknął się tylko na chwilę, gdy przeprawili się przez Narn brodem i stanęli na na skraju rozpościerających się przed nimi szeroko równin Azeroth. Odtąd kopyta koni deptały gładką i miękką trawę i jazda stała się łatwiejsza.

Żył, a to było teraz najważniejsze. Powściągnął gniew i pochyłał głowę, tak jak tego oczekiwali od Człowieka, którego przejmowali grozą. Nie spodziewali się jakichkolwiek kłopotów z jego strony; wywodzili się z ludu, który twarze swych służących oszpecał znakami, by odróżnić ich od innych

Ludzi — wszystkich uznając za niewiele lepszych od zwierząt. Jednak, co nie było dla nich niczym szczególnym, umieścili mu nogę w łubkach, obchodząc się z nim z troską i obojętnością, jaką poświęciliby okulałonemu zwierzęciu — ani delikatniej, ani brutalniej. Niemniej jednak żaden z nich go nie napoił, gdyż przez to jego usta dotknęłyby rzeczy, której oni musieli używać. Gdy jedli, jeden z nich cisnął mu kęs pożywienia, który upadł w trawę i leżał nietknięty, ponieważ nie rozwiązali mu rąk, ja on wzbraniał się przed jedzeniem w sposób, do którego oni chcieli go zmusić. Pośpny, odwrócił od nich twarz. I ten postój nie przyniósł mu wielkiej ulgi, tyle jedynie, że mógł ustać, gdy go stawiano na nogi. Zatrzaszczyli się o to tylko dlatego, by oszczędzić sobie wysiłku przy wsadzaniu i zsa-dzaniu go z siodła.

— Prócz twej pani był tam z tobą jakiś khal — Shien zwrócił się doń z pytaniem, jadąc tego popołudnia tuż obok niego. — Kto?

19.1

Nie podniósł oczu ani w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że słyszy.

— Ha, zobaczysz, że nie zabraknie ci czasu, by pomyśleć o tym — powiedział Shien i spiąwszy konia ostrogią, wysforował się, ustępując z łatwością dziwną dla jego rasy i zostawiając pytanie bez odpowiedzi.

To „kto” zdawało się pytaniem o imię, tak jakby wziął Lellina za jednego z nich, jakiegoś renegata; jakby — obudziła się w Vanye nadzieja — nie zdali sobie jeszcze sprawy z istnienia arrhendów ani nie wiedzieli, że na tej ziemi żyje jeszcze ktoś poza Ludźmi. Być może Eth ukrył więcej, niż to wydawało się możliwe, albo jego zabójcom nie udało się ująć z Shathanu z życiem.

Wbrew sobie uniósł głowę i błędził wzrokiem po linii horyzontu, jak okiem sięgnąć trawiastej i płaskiej polaci, nie skażonej niczym z wyjątkiem kilku kolczastych krzewów. Nienaturalny kształt Azeroth był niewidoczny dla oka człowieka stojącego w samym jego środku; okrąg był zbyt olbrzymi, by można go objąć za jednym razem. Być może dla Shiua wiele jeszcze było tajemnic, co wskazywałoby na to, że nikt z ludu Lellina nie wpadł im w łapy i że mirrin-dianie mimo wszystko są jeszcze bezpieczni.

W tym pokładał jeszcze nieśmiałą nadzieję, gdyż dla siebie nie miał już żadnej.

*

Przed nocą rozbili obóz na otwartej przestrzeni. I tym razem postąpili praktyczniej: obstąpiwszy go w koło z mieczami i dzidami — tak jakby mógł, okulałoniony, uciec — oswobodzili go na krótko z jego pęt. Jadł niewiele. Jeden z khalów zniżył się i nalał mu odrobinę wody w jego złożone dłonie, w ten sposób przestrzegając czystości własnych naczyń. Jednak na noc ponownie nałożyli mu pęta na ręce i nogi, dodatkowo wiążąc go do jednego ze swych ciężkich, leżących na ziemi siodła, by nie mógł skryć się w ciemności. Na koniec, aby nie zmarzł, okryli go opończą, gdyż od pasa w górę nie miał na sobie żadnego odzienia, i ułożyli się do snu. Czując się zuchwale bezpieczni, nie wystawili ani jednego strażnika. Długo nie mógł zasnąć ze zgryzoty, zmagał się z więzami, chcąc skoczyć w stronę konia i skraść go, jednak węzły były poza jego zasięgiem, a powrozy zbyt mocno zadziergnięte. Wyczerpany zasnął. Rano obudził się od kopnięcia w żebra, mając pełne uszy przekleństw khalów.

Kolejny dzień był podobny do poprzedniego. Nic nie pił i nic nie jadł aż do wieczora; wystarczyło to, by utrzymać się przy życiu, lecz na niewiele więcej. Pielęgnował swój gniew, żywił się nim tak samo jak jedzeniem, lecz nie postradał przy okazji zdrowego rozsądku i znosił ich arogancję bez sprzeciwów. Raz jeden tylko, gdy strażnik chwycił go za włosy, zawiodło go opanowanie: nastąpił na mieszańca i gdy strażnik ujrzał wyraz jego oczu, puścił go. Powalili go na ziemię za to zaledwie, że odważył się podnieść wzrok na jednego z nich. Odtąd zaczęli traktować go gorzej, obrzucali obelgami przy lada okazji; wiedząc, że potrafi zrozumieć ich mowę rozmawiali o tym, co go spotka z ich rąk.

— Macie w sobie wdzięk swych przodków z Kurhanów — *
na koniec rzucił w ich własnym języku, za co jeden z nich wymierzył mu policzek. Jednak Shien zmarszczył brew i szorstkim głosem nakazał swym ludziom, by zamilkli i zostawili go w spokoju.

*

Następnej nocy, gdy stanęli obozem nad nowym dopływem Narn i wszyscy ułożyli się na spoczynek, Shien nie spuszczał z Vanye zamyślonego wzroku. To spojrzenie skupionych oczu zaczęło go niepokoić, zwłaszcza że Shien, obudziwszy swych ludzi, rozkazał wynieść się im poza zasięg głosu i, zbliżywszy się do niego, zajął miejsce u jego boku.

- Człecze — jedynie khal mógł nadać temu słowu taką odmianę. — Człecze, powiadają, że z ciebie bliski krewny półkrwi Chya Roha.
- To mój kuzyn — odparł, zaniepokojony takim podejściem. Dotychczas ani słowa nie starali się wydobyć z niego

pytaniem. Postanowił, że nic więcej nie powie. Ale we wzroku Shiena oprócz zaciekawienia można się było do

szukać jakiejś melancholii.

— Dzieło Fwara zamazało podobieństwo, jednak nie cał kowicie — ja je widzę. I ta Morgen-Angharan... — użył znanego im imienia Morgaine i zaśmiał się. — Czy śmierć może spotkać śmierć? — zapytał, gdyż ludy bagien Shiuanu czciły Angharan jak bóstwo, a taka była natura białej królowej.

Znał khalów — nie wierzących w nic i nie czczących żadnych bóstw — i zamknął uszy na obelgi. Shien jednak, dobywszy zza pasa sztyletu, przyłożył mu go do policzka i zmusił do odwrócenia głowy, starając się nie zbrukać sobie przy tym zbyt ręk.

— Cóż z ciebie byłaby za zdobywcą, Człecze, gdybyś wie dział to, co wie Roh. Czy wiesz, że mógłbyś żyć na wolności i w dostatku, jeślibyś posiadał to, co — jak podejrzewam — możesz posiadać? Człek, który zna naszą mowę. Nie wzbra niałbym się przed zajęciem obok ciebie miejsca przy stole i przed nadaniem ci innych przywilejów. O bogowie, twej postawie nie brakuje wdzięku, masz go więcej od wielu, którzy szczytą się ledwie kroplą khalskiej krwi w swych żyłach. Nie podobnyś do rasy Hiua. Czy jest w tobie odrobina rozsądku?

Vanye wbił wzrok w oczy Shiena — w świetle dnia jasnoszare, jakimi zaledwie nieliczna grupa mieszaićców mogła się poszczycić — ten książę był niemal pełnej krwi. Wstrząsnęła nim myśl, że mógł być tym, czym Shien go właśnie nazwał: zdobywcą, nabytkiem cennym dla władców. Posiadł przecież dawno przez nich zapomnianą wiedzę o Bramach, dzięki której Roh zdobył władzę nad tym ludem.

- A co z Rohem? — zapytał.
- Chya Roh popełnia błędy, które mogą się okazać dla niego fatalne. Ty mógłbyś uniknąć tych błędów; mógłbyś nawet oczekiwać, że uda się przekonać Hetharu, by puścił w niepamięć urazy, które żywi do ciebie.

— I to właśnie ty mógłbyś przedstawić Hetharu takie

itK',

rozwiązanie, nieprawdaż? Ja pozostaję pod twymi rozkazami, przekazuję ci wszystko, co wiem, a ty możesz odzyskać odebraną ci przez Hetharu władzę. Ostrze przekreśliło się odrobinę.

- Kimże ty jesteś, by mówić o naszych sprawach?
- Hetharu, mając u swego boku Roha, który dał mu potęgę, rzucił panów Shiua na kolana.

Miujecie go za to?

Błysnęła mu myśl, że Shien zabije go za te słowa. Istotnie, wyraz jego oblicza stał się obrzydliwy. Lecz Shien nagle wsunął sztylet do pochwy u pasa.

- Potrzebny ci jest opiekun, Człecze. Mógłbym ci pomóc, lecz ty chcesz się ze mną bawić.
- Jeśli istnieje dla mnie wyjście z tej sytuacji, mów jasno.
- To jasne jak słońce: przekaz mi zdobytą przez siebie wiedzę, a ja będę mógł ci pomóc, w innym wypadku nic z tego.

Wpatrzył się w oczy Shiena i to, co tam zobaczył, wziął za połowę prawdy.

• A kiedy zdobędziesz dostateczną wiedzę, by rzucić wyzwanie Hetharu i Rohowi, wtedy ja stanę się zbędny, nieprawdaż? Dać ci wiedzę, byś mógł jej używać w rozgrywkach politycznych i walczyć o wpływy ze swymi pana-mi-braćmi, a nie w grze z Hetharu? Więcej odwagi, mój panie Shiua, lub nie myśl, że możesz się mną posłużyć jak orężem. Zerwij z nimi obydwoje, a tylko wtedy będę ci służył i przekażę ci władzę, której pożądasz; w innym razie to niemożliwe.

- Ten khal, który z tobą jechał... kto to? •
- Tego ci nie powiem.
- Sądzisz, że w twojej sytuacji możesz odmówić?

• A twoi ludzie, na ile możesz im zaufać? Myślisz, że nie ma między nimi takiego, który licząc na nagrodę, zaniósłby wieści Hetharu? Jak zabijesz mnie tutaj, szukając wiedzy, której nie zaaprobowaliby u ciebie Hetharu — czyż nie dlatego odpędziłeś swych ludzi? Nie. Jeśli zamierzasz zerwać z Hetharu, potrzebny ci jestem żywy i zdrowy. Nic ci nie powiem, lecz pomogę ci osiągnąć upragniony cel.

Shien przysiadł na piętach, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Nie spuszczał oka z Vanye.

Vanye wiedział, że z tym khalskim księciem zabrnął bardzo daleko, ujrzał, jak jego oczy zakrywa nieprzenikniona zasłona. Jego nadzieje się nie ziściły.

• Powiadają — wymruczał Shien — że to ty zabiłeś ojca Hetharu. Czyżbyś zamierzał mieć z nim do czynienia po tym wszystkim?

• Kłamstwo. To Hetharu zabił swego własnego ojca i na mnie zrzucił winę, by ocalić swe dobre imię.

Rozległ się wilczy śmiech Shiena.

— A jakże, tak też nam wszystkim się wydawało! Lecz taki on już jest, ten nasz pan Hetharu; i tak to rozprawił się z tobą, gdy raz wszedłeś mu w drogę; tak postąpił ze swym panem i ojcem. Ty zaś powiadasz, że oddasz się na jego łaskę, jeśli odrzucę twój szalony spisek? Zaiste, tępy z ciebie uczeń, Człeczce.

Mród przebiegł mu po krzyżu, gdy sobie wszystko przypomniał, lecz mimo to potrząsnął przecząco głową.

— Zatem znasz go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie osiągniesz pożytku z wiernej służby dla niego. Zrób to, co ja, panie na Sotharnie, i zdobądź to, co pożądasz — lub odejdz z pustymi rękami. Uczeń ze mnie na tyle bystry, by zrzec się na rzecz khalu jedynej rzeczy, która sprawia, iż moje życie ma dla was jakąkolwiek wartość.

Białe brwi Shiena, zmarszczone, zbiegły się w jedną linię. Przez chwilę można było ujrzeć w jego oczach, jak przez głowę przebiega mu strumień intensywnych myśli, żadna nie dość dobra, by ją zachować.

— Wydaje ci się, że wiesz, jak z nami postępować, jak ja muszę postępować wobec innych panów. Nie znasz nas, Człeczce.

— Wiem, że umrę, jeśli dam wam to, czego chcecie.

Usta Shiena wygięły się i surowy grymas jego twarzy zamienił się w uśmiech.

— Ach, Człeczce, jesteś zbyt gruboskórny. Nikt nie *zar-mofi* swemu potencjalnemu dobroczyńcy kłamstwa. Ja

— Nie — odparł, choć w jego duszy zostały zasiane wątpliwości.

Wtedy Shien podniósł się i usiadł ponownie, lecz w nieco większej tym razem odległości. Vanye odwrócił głowę, nie chcąc spuszczać go z oka, lecz Shien nappełnił kubek ze swej podróżnej flaszki i usiadł z twarzą odwróconą, pijąc małymi łydkami.

Za nim, w pewnej odległości, rozłożyli się na odpoczynek pozostali: mieszańcy udający khalów, z wybielonymi włosami, w obejściu szorstcy i aroganccy, nienawidzący Ludzi z powodu domieszki ludzkiej krwi płynącej w ich własnych żyłach.

Shien odwrócił głowę i popatrzył na Vanye z nikłym uśmiechem na wargach, unosząc kubek w kpiącym toaście.

— Jutro — obiecał mu khal.

*

Przebrnęli jeszcze przez dwie płytkie rzeczki; jedną przekroczyli o brzasku, drugą w południe. Vanye wiedział dobrze, gdzie się teraz znaleźli: zbliżali się do Bramy stojącej w Azeroth. Poczul narastający niepokój, gdyż nie można było nie czuć strachu, zastanowiwszy się nad potęgą zdolną wsysać i motać wszelką materię. Dotychczas jednak, podczas długiej jazdy, którą odbyli po południu, nie ujrzeli ani śladu Bramy. Niewiele razy zatrzymali się dla złapania tchu; Shien obiecał, że dotrą do obozu Hetharu jeszcze tego samego dnia i wydawało się, że zamierza dotrzymać słowa nawet za cenę całkowitego ich wyczerpania. Vanye nie odezwał się do niego słowem, choć każde uderzenie kopyta w ziemię skracało odległość dzielącą ich od obozu. Shien zaś nie miał mu już nic więcej do powiedzenia, co rusz tylko, pogrążony w rozważaniach, posyłał w jego stronę zamyślane spojrzenia.

Vanye rozpatrzył ponownie szanse, przed jakimi by stanął, jeśli by przystał na warunki pana z Shiuanu, i odrzucił od siebie pokusę.

Nie zatrzymali się, gdy zapadł półmrok, nawet by odetchnąć. Noc była okrutnie chłodna. Poprosił ich o opończę, lecz odmówiono mu, choć strażnik, który ją uprzedni

121

nosił, nigdy już jej nie miał włożyć; odmawianie sprawiało im przyjemność. Opuścił głowę na piersi, próbując nie zwracać na nich uwagi. Uragali mu, rzucając groźby, których tym razem Shien nie uciszał, lecz on nic na to nie odrzekł, mając ich wszystkich za nic.

Nagle na horyzont wypełzła zimna, jakby księżycowa . luna, lecz księżyc stał wysoko na niebie, a i poświata była znacznie jaśniejsza.

Przed nimi stała Brama Azeroth, przez Ludzi zwana Ogniami.

Vanye uniósł głowę i objawszy wzrokiem ten straszliwy widok, ujrzał, dokąd zmiierzają, gdyż bliżej nich zarzyły się czerwono ciemniejsze światelka palącego się w ogniskach drewna oraz stały koślawe namioty i szałas.

Minęli strażników kryjących się w szałasach uplecionych z traw; przejechali obok koni, których było niewiele w porównaniu z ogromnym rozlewiskiem obozu Shiua, ludu rozsiadłego na olbrzymiej równinie u stóp Bramy; więcej niż narodu — okrucich świata, który wycelował w samo serce Shathanu.

Oto nasze wspólne dzieło, Morgaine i moje. Nie mógł się opędzić od tej myśli. Winny jestem tego tak samo, jak ona. Niebios, przebaczenie nam.

Wjechali w granice obozu. Nagle Shien zmusił całą grupę do galopu, omijając rozrzucone bezładnie szałas z trawy i płótna, które nagle zaroiły się dookoła nich.

Z ciemności wyłoniły się małe, ciemne sylwetki; to Ludzie przyglądali się ich przejazdowi — prawdziwi Ludzie z bag-nisk Shiuanu. Vanye ujrzał ich natarczywe spojrzenia i przebiegł go mróz, gdy ktoś cienkim, histerycznym głosem wniósł okrzyk:

— To jej człowiek. Jej!

Ludzie rzucili się, by zastąpić im drogę, lecz rozpięchli się tuż przed kopytami koni, gdy khalowie nie zwolnili tempa. Ludzie z bagien znali go i z radością rozerwaliby na strzępy, gdyby upadł pomiędzy nimi. Khalowie smagnęli swe wierzchowce i lekceważąc ludzkie życie, z grzotem końskich kopyt przedarli się przez tłum, docierając do spokojniejszej części obozu. Demoniczne szyszaki stojących tam strażników rozstąpiły się i wojownicy szybko zasunęli barykadę z krzewów i zaostrzonych pali, umacniając ją rzędem pik z zadziornymi.

Tłum zaniechał pościgu: wrota oparły się im. Zwolnili. Wyczerpane wierzchowce parskały, dysząc ciężko i szarpiąc za wodze, łapczywie szukały powietrza. Idąc stępa, zbliżyli się do bezkształtnego szałasu, największego w tej części obozu.

Szkielet tej budowli był łataniną różnorodnych skrawków płócien złączonych pęczkami trzciny, traw oraz kawałkami namiotu. Z wewnątrz, poprzez płótna przesączał się jasne światło i przebijały dźwięki muzyki, różniące się jednakże od granej przez arrhendów. Tam właśnie stanęli. Strażnicy, którzy pojawili się, by odprowadzić ich konie, unieśli Vanye i zsadzili z siodła.

— Ostrożnie — rozkazał Shien, gdy jeden z nich brutalnie go szarpnął. — Bo to bardzo cenny Człek.

I to Shien, ująwszy jego łokieć, poprowadził go w stronę wejścia do namiotu.

— Zabrakło ci roztropności — dodał Shien.

Vanye potrząsnął głową. Nie był pewny, czy uniknął pułapki, w której czyhała pewna śmierć, czy też zlekceważył jedyną nadzieję, jaka mu pozostała. To było niemożliwe: khal ledwie mógł dochować wierności khalowi; taki, który nie złamałby słowa danego Człowiekowi, nie mógł istnieć.

Raptownie wepchnięty w krąg światła i ciepła, gwałtownie zamrugnął powiekami.

ROZDZIAŁ VIII

Hetharu.

Vanye zatrzymał się, mając Shienu za plecami. Jakoś wsparł się na zranionej nodze. Pośród zgromadzonych rozpoznał wysokiego, odzianego na czarno pana. Struny zabrzęczały i muzyka zamarła, a na pół rozebrani szlachetni panowie i panie z Shiuanu oderwali się od rozrywek, którym się oddawali. Skupiając uwagę, znieruchomieli w wystudiowanych pozach na swych miejscach: na pfach

i poduchach pod ściankami namiotu ze splecionych trzcin.

Hetharu rozsiadł się na tronie z pufów i brokatowych opończy. Dookoła niego skupiła się garść mieszaińców, którzy byli jego gwardią przyboczną, niektórzy bardzo już otepiali, inni czujni, uzbrojeni i w pełnej zbroi. Naga kobieta kulila się w ciemnym rogu namiotu. Hetharu wlepił oczy w intruzów, na moment zdumienie sprawiło, że jego oblicze zrobiło się zupełnie puste, dopiero po chwili zaczęło wypełniać je zadowolenie. Miał wąską twarz o wielkich oczach, wstrząsającą tym bardziej, że owe ciemne, ludzkie oczy wyzierały z rysów, które pod każdym innym względem były ahalskie. Jego białe, gładkie, jedwabiste włosy spadały mu na ramiona. Miał na sobie nieco już znoszone szaty z czarnego brokatu, wystrzępione koronki, jednak wiszący u jego boku bogato zdobiony miecz wciąż wyglądał na zdalny do użytku. Hetharu uśmiechnął się, co jakby utorowało drogę zatrutym wyziewom Shiuanu, tonącego i gnijącego zarazem.

- Nhi Vanye — mruknał Hetharu. — A Morgaine?
- Do tej pory ta sprawa została z pewnością załatwiona — powiedział Shien.

Vanye zacisnęła zęby, patrząc na wszystkich hardo; próbował zebrać myśli, lecz grubiańska wzmianka odnosząca się do życia Morgaine raptownie ubodła go z większą siłą, niż mógł się tego spodziewać. Zabić Hetharu? Ta oto myśl,

z którą nosił się ostatnio, nagle wydała się bezużyteczna, gdyż takich jak on były tysiące. Zdobyc nad nimi władzę? Raptem zdało się to niemożliwe: on był Człowiekiem, a jedyna poza nim obecna tutaj istota ludzka kuciała naga i zawstydzona, szlochając w kącie namiotu. Postąpił krok do przodu. Choć ręce miał skrepowane, zaniepokoił tym strażników i piki pochyliły się odrobinę w jego kierunku.

— Doszły mnie słuchy — rzekł do Hetharu — że między tobą a Rohem doszło do zwady.

To ich osadziło. Momentalnie zapanowało milczenie, a twarz Hetharu stała się bielsza niż zazwyczaj.

— Wynosić się! — nagle rozkazał Hetharu. — Wsajscy, którzy nie macie tutaj czego szukać, wynosić się!

Wielu wypełniło ten rozkaz, byli wśród nich i naga kobieta, i większość oddających się igraszkom w namiocie khalów. Jedno z półprzytomnych paniątek ułożyło się na pufach i brokatkach u boku Hetharu. Jego błędne oczy i marzycielski uśmiech były jakby drwiną z wszelkiej rzeczywistości. Nie opuścili namiotu: khalka w średnim wieku, kilka panów i ani jeden z żołnierzy gwardii przybocznej, choć niektórzy z nich popadli w głęboki trans — klęcząc w pobliżu Hetharu i pozostałych panów, zabłądziwszy oczyma w odległe strony i dłonie opuściwszy luźno na swoją broń. Jednak dość było i takich, którzy zachowali pełnię władzy nad swymi zmysłami. Hetharu rozparł się na swym zaimprovizowanym tronie i mierzył Vanye spojrzeniem pełnym zadawnionej, jakże znajomej mu nienawiści.

— Shienie, co mówiłeś temu Człękowi?

Shien wzruszył ramionami.

— Wyjaśniałem mu sytuację, w jakiej się znalazł i potębną wartość jego osoby.

Mroczne spojrzenie Hetharu przesunęło się tuż nad Shie-nem.

- Wiedza, jaką posiada Roh? Czy to masz na myśli?
- Możliwe, że i jemu jest znana. Jednak jest mało mowny.
- On — nagle wtrąciła się kobieta — mógłby być rozsądniejszy od Roha. Przecież ten ludzki motłoch dyszy z niena-

wiści do niego i nie może znaleźć między nimi żadnych popleczników. To jedno stawia go wyżej od Roha.

- W grę wchodzi niechęć osobista. — Uwaga Hetharu wywołała grubiański śmiech kobiety.
- Znana jest nam jej prawdziwa natura; nie marnuj cennej okazji, mój panie Hetharu! Któż by tam liczył się z przeszłością... z popełnionymi lub nie popełnionymi uczynkami? Shiuan został za nami, ważne to, co jest tutaj. Nadarzyła ci się okazja pozbycia się tego tak zwanego mieszańca i jego popleczników? Nuże, skorzystaj z niej.

Hetharu nie był zachwycony tym wystąpieniem, lecz kobieta przemawiała tak, jakby przywykła, że ją słuchają; była potomkiem starej krwi, miała szare oczy i białe włosy, a żaden z jej strażników nie toczył wokoło zamglonym spojrzeniem. Była jednym z seniorów na grodach, ocenił ją Vanye; nie z Sotharmu, jak Shien, lecz możliwe, że z Domen albo z Maromu lub Arisith. Hetharu nie trzymał żelazną ręką swych panów z Shiuanu.

— Jesteś nazbyt łatwowierna, pani Halah — odparł Hetharu. — Ten Człek zdolny jest z łatwością obrócić się przeciw ręką, które go trzymają. Zaskoczył Roha, który

przecież powinien go dobrze znać, i mego nieodżałowanego brata Kithana. Czyż nie starałbyś się sprawić i nam podobnej niespodzianki, Człeczce?

Vanye nic na to nie odpowiedział. Sporami z Hetharu nie osiągnie niczego, należało raczej wiązać nadzieję z próbami wygrania przeciw niemu tego czy innego z jego podwładnych.

— Oczywiście, że tak — Hetharu sam sobie udzielił odpowiedzi i roześmiał się. — I taki jest twój plan. Nie należysz do tych, którzy podziękowaliby nam za to, jak cię potraktowaliśmy... to znaczy ja, a teraz Shien; Shienie, trzymaj się przed nim na bacności. Nie można go złamać, choć może on wywierać na tobie takie wrażenie. Jego kuzyn powiada, że nie jest on zdolny do kłamstwa. Doskonale za to umiesz dochować tajemnic, nieprawdaż, Vanye z Chya? Morgain Angharan... — Dalszych jego słów Vanye nie zrozumiał, lecz podejrzewał, co Hetharu ma na myśli, i mocniej zacisnął zęby, przesywając go spojrzeniem na wskroś. — Ach, gap się na mnie, proszę bardzo. Jesteśmy lepszymi znajomymi niż pozostali, ty i ja. A więc owa Morgaine zaginęła. Gdzie? Vanye nie odpowiedział.

- Za wielką rzeką — odparł Shien. — Podczas naszego najdalszego patrolu w głąb puszczy, trafiona strzałą Hiua. Nasi jeźdźcy idą jej tropem i jeśli nie odnaleźli jej do tej pory, trudno sobie wyobrazić, by odniósłszy taką ranę, mogła przeżyć. Mój panie, razem z nią był jakiś khal i jeszcze jakiś człek. Więzień także o tym nie chce mówić.

- Kithan?

Vanye pochylił głowę, by ukryć zaskoczenie. Zatem brat Hetharu jeszcze nie przybył, a on zrozumiał opacznie wypowiedziane przez niego słowa: „mój nieodżałowany brat”. Z zalem przyjął wiadomość, że Kithana nie było w obozie, gdyż wtedy miałby jakąś nadzieję. To, że Kithan przyłączyłby się do nich, było naturalnym dla Hetharu wnioskiem. Wzruszył ramionami.

— Znajdźcie go — rozkazał Hetharu. W jego głosie pojała się histeryczna nuta, oznaka większego zaniepokojenia, niż pragnął po sobie okazać.

Broń Morgaine — nagle nasunęło się Vanye. Oto człowiek, który kurczowo trzyma się swej pozycji.

— Mój panie — odezwał się Shien — moi ludzie właśnie próbują to zrobić. Być może już im się to udało.

Hetharu zamilkł na chwilę, zagryzając wargę. Łatwo można się było domyślić, co zachodziło między nim a Shie-nem.

- Tego oto przyprowadziłem tutaj żywego — powiedział Shien miękko. — Musiałem wydrzeć go z łap Hiua, gdyby nie to, znalazłby się w innych rękach, mój panie.

- Jesteśmy ci wdzięczni — rzekł Hetharu, lecz jego zimne oczy spozierały martwo. Powiódł nimi z powrotem i wbił wzrok w oczy Vanye. — Znalazłeś się w pożałowania godnym położeniu, nieprawdaż, Nhi Vanye? W obozie, na zewnątrz, nie ma takiego, który by cię z radością żywcem nie obdarł ze skóry, jeśli tylko mógł cię dostać w swe ręce — znają cię tam dobrze, rozumiesz to? Dodaj do tego tych psów Roha, Hiua. Twoja pani nie przyjdzie tu po ciebie, jeśli w ogóle jeszcze może dokądkolwiek pójść. Trudno, byś liczył na przyjaźń Chya Roha, a sam wiesz, jak my cię tutaj miłujemy.

— A jednak musicie się ubiegać o względy Roha, czyż nie tak, moi panowie Shiua?

Zebrani zapłonęli gniewem. Strażnicy zaczęli obmacywać drzewca swej broni. Hetharu jednak tylko się uśmiechnął.

— Ha — odparł — i na to moglibyśmy coś zaradzić, mam na myśli Chya Roha. Lecz skoro był on jedyną skarbnicą wiedzy, która jest nam potrzebna, no cóż, odnosiliśmy się do niego z największym szacunkiem. On jest niebezpieczny — oczywiście — i my o tym wiemy, jednak dzięki tobie uzyskaliśmy teraz pewną możliwość manewru, nieprawdaż? Wiesz to, co wie Roh, i nie jesteś na razie niebezpieczny. Jeśli tak się złoży, że stracisz życie w trakcie procesu, ha, wciąż będziemy mieć Roha. A więc możemy pozwolić sobie na hazard, co ty na to? Z naszymi podziękowaniami, Shienie, jesteś wolny.

Na chwilę w namiocie zapanował bezruch. Hetharu uniósł dłoń, pochyliły się piki i Shien, zabierając ze sobą swoich, wymaszerował. Jedno z paniątek wybuchnęło gru-biańskim śmiechem; pozostali odetchnęli z ulgą, rozluźnieni poczuli się swobodniej, zaś Hetharu uśmiechnął się nie-szczerze.

— Czy on próbował cię skaptować do swego obozu? —
zapytał.

Vanye nic na to nie odrzekł. Jego serce ścisnęło się na myśl, że odwrócił się od kogoś, kto mógłby dotrzymać złożonej obietnicy. Hetharu zrozumiał jego milczenie i z wolna pokiwał głową.

— Wiesz zatem, co masz do wyboru — powiedział. — Możesz dobrowolnie nam to powiedzieć... i może ocalisz życie... a Roh pewnego dnia odkryje, że nie jest nam już potrzebny. Jeśli to uczynisz, dowiedziesz, że jesteś roztropny. Albo wydobędziemy to z ciebie wbrew twojej woli, czego będziesz żałował. A więc dokonaj wyboru, Człeczce.

Vanye potrząsnął głową.

- Nie mogę wam niczego powiedzieć, jedynie pokazać a do tego muszę osobiście stanąć u Bramy. Hetharu roześmiał się, a za nim jego ludzie, gdyż ta próba była zanadto przejrzysta.

— Znalazłbyś się tam z ochotą, prawda? Nie, możesz
opowiedzieć o tym, co jesteś w stanie zademonstrować
I powiesz nam to.

Ponownie potrząsnął głową.

Dłoń Hetharu powędrowała na ramię khała, który śnił obok jego tronu z szeroko rozwartymi oczami. Potrząsał nim delikatnie, dopóki ów nie uniósł otepiełej twarzy.

— Hirrunie, daj no mi podwójną porcję tego co tam
masz... o tak, wiem, że masz tego przy sobie więcej. Daj mi
to, jeśli nie brak ci rozsądku.

Przystojna twarz Hirruna nabrała nikczemnego, obrzydliwego wyrazu, lecz — wzdrygnąwszy się pod ścisłymi go palcami Hetharu — zanurzył dłoń w mieszku wiszącym mu u pasa, by roztrzęsionymi rękami wręczyć coś swemu panu. Hetharu uśmiechnął się i podał to jednemu ze stojących obok niego strażników. Podniósłszy wzrok, rozkazał:

— Trzymać go.

Wtedy Vanye zrozumiał. Rzucił się wstecz, jednak za jego plecami stanęli inni i nie miał żadnych szans. Noga tkwiąca w łubkach straciła oparcie i runął jak długi razem ze strzegącymi go strażnikami. Przygnietli go do ziemi, siłą

rozwarli szczęki i wepchnęli mu pigułki do gardła, które ku uciechu zebranych — następnie ktoś zalał mulikworem. Ich śmiech zabrzmiał w jego uszach jak bicie dzwonów. Próbował wypluć wszystko, lecz przytrzymali go, aż stanął przed wyborem: przelknąć lub się udusić. Wtedy puścili go wolno, śmiejąc się hałaśliwie. Przetoczył się na bok. Próbował zwymiotować narkotyk, lecz na to było już zbyt późno. W kilka sekund poczuł, że ogarnia go oszołomienie. Akii — nałóg, któremu zbyt pospolicie ulegali i khalowie i mieszkańcy bagien, którzy im go dostarczali — okradł go ze zmysłów, wywołał budzącą groźną słabość, lecz — co dziwne — nie uspił lęków, jedynie zesłał je w jakieś odległe miejsce, skąd nie mogły mieć wpływu na jego postępowanie. Poczul skradające się ciepło i zadziwiający brak bólu, w tym stanie dotknięcie czegokolwiek sprawiło wielką przyjemność.

• Nie! — wyrzeszczał swą wściekłość, pobudzając ich tym do śmiechu, który tym razem był jak odległe, łagodne falowanie dźwięków. Krzyknął ponownie, starał się odwrócić od nich twarz, lecz strażnicy podnieśli go z ziemi i ustawili na nogach.

• Mamy tego więcej — powiedział Hetharu — jeśli działanie pierwszej dawki ustanie. Pozwólcie mu stanąć, pozwólcie stanąć.

Puścili go wolno. Nie mógł się poruszyć w żadnym kierunku. Obawiał się, że nie utrzyma równowagi. Serce biło boleśnie w jego piersi. W uszach rozlegał się nieznośny łoskot. Widział niewiele, poza centrum wszystko rozplywało się jakby w mgiełce, a od tego centrum oddzielała go czarna otchłań. Lecz najgorsze było uczucie pelzającego po jego skórze obezwładniającego ciepła; rzucił przeciw niemu do walki resztki zmysłów, jakich udało mu się jeszcze nie utracić.

— Kim jest ten khal, który jechał z wami?

Potrząsnął głową. Jeden ze strażników uchwycił go za ramię, rozpraszając jego uwagę tak, że nic sobie nie mógł przypomnieć. Strażnik wymierzył mu policzek, lecz cios poszedł na marne, jedynie go zdeorientował. Otchłań skupiona wokół Hetharu nagle poszerzyła się. Wydawało się, że za chwilę rozpadnie się i go pochłonie.

• Kto? — powtórzył Hetharu, a potem wyrzyczał: — KTO?!

• Lellin — odpowiedział ku swemu przerażeniu; wiedział, że robi to, czego nie wolno mu robić. Potrząsnął głową i przypomniał sobie Mirrind i Merira, wszystko, z czym mógłby się przed nimi zdradzić. Zalał się łzami, wyrwał się strażnikowi, zatoczył i złapał równowagę.

• Kim jest Lellin? — Hetharu pytał kogoś innego; echo głosów wypełniło pustkę. Pozostali stwierdzili, że również im to imię nie jest znane. — Kim jest Lellin? — dopytywał się Hetharu, lecz on tylko potrząsnął głową, a potem jeszcze raz — z rozpaczą, kurczowo uczepony lęku, który był jego życiem, chronił go przed szaleństwem.

— Dokąd zmierzaliście, gdy wpadliście w pułapkę Hiua?

Ponownie potrząsnął głową. O to nie pytali go dotąd, wiedział, że gdy na to odpowie, może sprowadzić śmierć, był również świadom że mogą z niego wydrzeć odpowiedź.

• Co wiesz o starożytnych mocach? — zapytała owa kobieta, Halah. Damski głos był jak dysonans, wprawił go w zakłopotanie.

• Dokąd szliście? — krzyczał na niego Hetharu. Wzdrygnął się. Uciekł przed tym potwornym dźwiękiem i potknął się o strażnika.

• Nie — odpowiedział.

Nagle podniosła się ściana namiotu. Pojawili się za nią Ludzie... Fwar oraz inni, z napiętymi łukami. Gwardziści Hetharu obrócili piki, by stawić czoła intruzom; łucznicy rozstąpili się odrobinę i z ciemności do kręgu światła wszedł Roh.

— Kuzynie — odezwał się.

Jego głos zabrzmiał łagodnie; zdawało się, że na twarzy krewnego odbija się szczerza troska. Roh wyciągnął dłoń i żaden khal nie odważył się mu tego zabronić.

— Chodź — powiedział Roh i natychmiast powtórzył: —

Chodź.

Przypomniał sobie, dlaczego powinien się obawiać tego człowieka. Jednak ludzka twarz Roha zdawała się obiecywać coś lepszego niż te, którymi był otoczony. Zrobił krok. Dłoń Roha chwyciła jego przedramię, podtrzymując go, gdy tymczasem łucznicy Fwara zwarli szeregi za jego plecami, by osłaniać ich odwrót, jak ludzka kurtyna odgradzająca ich od khalów.

Na zewnątrz, nagle, targnął nim lodowaty wiatr, lecz on tak dalece utracił kontrolę nad swymi członkami, że nie mógł nawet drzeć.

— Tędy, do mojego namiotu — rzekł Roh, podtrzymując So, by ustał na nogach. — Nuże, przeklęty.

Starał się, choć jedynie noga unieruchomiona w łubkach stanowiła dla niego pewne oparcie. Ogarnęła go ciemność, dopiero po długiej chwili stwierdził, że leży w szałasie Roha przy ścianie splecionej z trzciny, otoczony wianuszkami Hiua. Roh, oparty plecami o ich łuki, wpatrywał się w niego. Ich sylwetki jak cienie majaczyły w ciemnym świetle rzucałym przez ognisko, skąd dym, zwijając się w warkocze, uchodził przez otwór w dachu. Był tam i Fwar; stał wysunięty przed wszystkimi.

— Idzie, wyjdźcie stąd — Roh rozkazał Hiua. — Wszyscy.

Nie spuszczaście khalów z oka.

Wyszli. Na ostatku zrobił to Fwar, błysnąwszy w jego kierunku zębami w szerokim, niepokojącym uśmiechu, zanim zniknął u wejścia.

Roh przysiadł na piętach. Przyłożył Vanye rękę do twarzy i, odwróciwszy ją, zajrzał mu głęboko w oczy.

• Akii?

• Tak — ogarnęła go mgła, zbyt gęsta, by można z nią walczyć. Wstrząsany dreszczem odwrócił twarz od Roha, fala gorąca sprawiała, że każde takie dotknięcie parzyło; nie był obolały, jedynie zbyt wyczulony.

• Gdzie jest Morgaine? Dokąd mogłaby się udać?

To obudziło jego czujność. Pokręcił zapamiętałe głową.

• Gdzie? — powtórzył Roh.

• Rzeka... Fwar wie.

— Stamtąd można kontrolować Bramę, nieprawdaż?

Patrzył na Roha mrugając powiekami, uzmysławiając sobie poniewczasie, że tym samym zdradza prawdę.

• Tak — rzekł Roh — podejrzewaliśmy to. Przeszukiwaliśmy cały ten teren. Nie odważy się wrócić tutaj, choć to jest Główna Brama, a tak, wiem i o tym, zatem musi dotrzeć do miejsca, które kontroluje Bramę. Będzie go szukała, to pewne, chyba że spotkała ją śmierć. Myślisz, że nie żyje?

• Nie wiem — przyznał. Zaskoczyły i pokonały go łzy, które spłynęły po policzkach. Nie zdołał ich powstrzymać. Trudno mu było powiedzieć, ile zdradził z tego, czego nie powinien; zawodziły go

wszelkie zmysły i obawiał się, że wraz z nimi i pamięć.

- Jest ciężko ranna, tak twierdzi Fwar.
- Tak.
- Teraz nie daję mi spokoju myśl o tym jej mieczu: pomyśl o łagodnych dłoniach Hetharu. Nie można do tego dopuścić; nie można, Vanye. Musisz temu przeszkodzić. Dokąd by się udała?

Słowa były rozsądne, dotyk dłoni delikatny i przyjemny. Odsunął się, potrząsnął przecząco głową i zaklął. Dłoń Roha opadła, a on sam zamarł w przysiadzie, patrzył na niego, jakby miał jakiś trudny orzech do zgryzienia, jego tak podobną do brata twarz przecięła biegnąca pomiędzy ściągniętymi brwiami zmarszczka, świadcząca o tym, że jest zatroskany. Vanye zamknął oczy.

— Ile ci podali? Ile akilu?

•*—

Pokręcił głową, nie znał odpowiedzi.

- Zostaw mnie, zostaw. Od wielu dni nie zaznałem odpoczynku; Rohu, zostaw mnie w spokoju.
- Musisz być przytomny. Bałbym się o ciebie, gdybyś zasnął.

Wbrew pozorom nie było to bezsensowne. Nie po raz pierwszy miał przed sobą tę twarz, która niegdyś należała do jego kuzyna. Zamrugnął, jego otepiały mózg zdołał odebrać znaczenie słów, próbował je przemyśleć; wzdrygnął się, gdy Roh położył dłoń na opatrzonym w łubki kolanie.

- Fwar powiedział, że to koń przygniółł cię swym ciężarem. Czy to boli?
- Fwar to wie.
- Tak myślałem — Roh wyciągnął zza pasa sztylet, zawahał się widząc, że Vanye ujrzał go i rozpoznał. — Och, tak. Niosłeś go... by zwrócić go mnie, nie wątpię. Cóż, jak widzisz, powrócił. Dziękuję. — Rozciął więzy łączące łubki. Pomimo akilu przeszył go ból, sięgnął wszystkich nerwów, jednakże Roh obmacywał staw z wielką delikatnością. — Spuchnięte... naderwane, jednakże wygląda na całe. Zrobię, co będę mógł. Rozwiążę ci ręce... lub nie, to zależy od ciebie. Ty mi to powiesz.
- Nie sprawię ci kłopotu, na razie.
- Rozsądny człowiek. — Roh przechylił go do przodu

100

i rozciął powrozy, a potem schował sztylet za pas i masował jego poobcierane ręce, dopóki nie przywrócił nieco życia jego opuchniętym i zsiniałym palcom. — Czy masz umysł na tyle jasny, by zdać sobie sprawę, gdzie jesteś, czy nie?

Brama, przypomniał sobie i wraz z tym przyszło mu na myśl, co przydarzyło się Rohowi w takim miejscu. Ogarnęła go panika. Palce Roha wpiły się w jego nadgarstek, powstrzymując go przed nieopanowanym, dzikim gestem. Nogę przeszył ból, oblewając ogniem wygięte kolano; cierpienie i akii niemal pozbawiły go zmysłów.

— Tak okulawiony nigdzie nie pójdziesz — Roh syknął mu wprost do ucha. — Czegoś się spodziewałeś, że ktoś pokusi się na taką padlinę, jaką oni pozostawili? Nie mam takich planów. Ruszże głową, w innym wypadku nie puszczałbym cię wolno!

Vanye zamrugnął, próbował zebrać myśli, starał się tchnąć ponownie życie w swe zmartwiałe palce. Trząśł się, zlany zimnym potem.

— Nie ruszaj się — powiedział Roh. — Wierz mi, zamiana

ciała to nie przyjemnego, jedno mi na razie wystarczy... chociaż — zakpił z zimnym wyrazem twarzy — jakiś Hiua mógłby dojść do wniosku, że w twoim tylko by zyskał — na przykład Fwar. Na widok swej twarzy wpada w zły humor.

Milczał. Z powodu akilu nawet nad czymś takim można było przejść obojętnie. Ból zamierał, przemieniając się znów w falę ciepła.

— Spokojnie — Roh dodał łagodnie — zapewniam, że coś takiego ci nie grozi.

- Którym teraz jesteś? Liellem, prawda? Na twarz Roha wypłynął uśmiech.
- Bardziej nim niż kim innym.
- Roh... — rozpoczął błagalnie i uśmiech na twarzy Roha zamarł, ponownie zastąpiony surową zmarszczką, zaś oczy drgnęły w sposób niemal niedostrzegalny.
- Ja cię nie skrzywdzę, przyrzekłem.
- Kim jest „ja”, Rohu?
- Ja... — Roh potrząsnął głową i stanął na wyprostowanych nogach. — Nie rozumiesz; nie istnieje podział,

oddzielne istnienie. Ja... — Przemierzył szalas i po drugiej stronie nabrał pełen rondel wody, lecz, zmieniawszy widocznie zamiar, odlał nieco do kubka i wrócił z nim do jego boku. — Proszę — poczęstował go.

Łapczywie gasił pragnienie. Roh, który klęczał obok niego, odebrał puste naczynie, odrzucił na kopkę słomy, namoczył kawał płótna w rondlu i zaczął bardzo delikatnie obmywać jego rany, zaczynając od twarzy.

• Powiem ci, jak to jest — zaczął. — W pierwszej chwili to jest ogromny wstrząs... potem przez kilka dni żyje się jak we śnie — jesteś obydwojma na raz. Następnie część z tego snu zaczyna blednąć: wiesz, że niegdyś śniłeś coś takiego, lecz za dnia nie możesz sobie dokładnie przypomnieć, co. Niegdyś byłem Liellem, teraz jestem Chya Rohem; myślę, że podoba mi się ta postać, lecz pewnie lubiłem i tę poprzednią. Teraz jestem Rohem: wszystkim, co się na niego składa, co pamięta, kocha i nienawidzi. To, co nim jest lub nim było, zawarte jest teraz we mnie.

• Z wyjątkiem duszy.

Na twarzy Roha pojawił się ślad irytacji.

• Nic o tym nie wiem.

• Roh wiedziałby.

Ręce ponownie podjęły przerwane na moment delikatne zabiegi i Roh potrząsnął głową.

• Kuzynie, czasami jestem zepsuty, ale nic na to nie mogę poradzić. Nie skrzywdzę ciebie, lecz nie bądź uszczypliwy, nie lubię tego.

• Och, na niebiosy, jakże mi ciebie za!

Płótno trafiło na otarte miejsce i Vanye skrzywił się z bólu.

- Nie bądź uszczypliwy — powtórzył Roh, cedząc przez zęby. Dotyk ponownie złagodniał. — Sam nie wiesz, ile sprawiłeś mi kłopotu... Ten cały obóz... Wiesz, że za tą barykadą znajdują się ludzie z bagien, cały czas łamiący sobie głowę, jakby tu położyć na tobie swoje łapy.

Wlepiał w Roha nieruchome, odległe oczy.

— Obudź się — nalegał Roh. — Za dużo tego świństwa w ciebie wpełchnęli. Co im powiedziałaś?

Potrząsnął głową, zdezorientowany; przez chwilę naprawdę nie mógł sobie przypomnieć. Roh schwycił go za ramię i zmusił do skupienia uwagi.

• Niech cię licha! Pozwolisz, by oni wiedzieli, a ja nie?! Przemyśl to.

• Pytali, pytali mnie o to, co wiem o Bramach. Znużyło ich to, że muszą polegać na tobie.

Stwierdzili, że skoro Ludzie z obozu chcą mojej śmierci, to oni będą mieć większy wpływ na mnie niż na ciebie... to był pomysł Shiena... albo kogoś innego... nie pamiętam. Lecz Hetharu... zamierzał wydobyć ze mnie wszystko, co wiem, nic ci o tym nie mówiąc, póki nie nadejdzie odpowiednia dla nich chwila...

• Co wiesz... Co wiesz o Bramach? Czy przekazała ci dostateczną wiedzę, byś stał się niebezpieczny?

Pomyślał o ryzyku bycia szczerym z Rohem. Nie mógł skupić myśli.

• Czy dysponujesz tą wiedzą? — ponowił pytanie Roh.

• Tak.

• A co im wyjawiałeś?

• Nic. Nie wyjawiałem im nic, nadszedłeś ty.

• Słyszałem, kiedy cię sprowadzili. Domyśliłem się wszystkiego, co mi powiedziałeś.

• Oni poderzną ci gardło przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Roh wybuchnął śmiechem.

— Tak jest, zrobią to, i tobie także, tyle że — bez mojej opieki — wcześniej. Co wiesz, a czego im nie powiedziałeś?

Wpadł w panikę. Poplątane przez akii myśli zaczęły gmatwać się jeszcze bardziej. Rozpaczliwie pokręcił głową, nie ufając własnemu językowi.

— Powiem ci, co podejrzewam — powiedział Roh. —

Ktoś pomoże tej Morgaine pozostawać w ukryciu. Od wiedziała jakąś wioskę, tyle się dowiedziałem; Hetharu wie o tym także. Tutaj żyją Ludzie, na razie nieuchwytni, i są tu jeszcze inni mieszkańcy, nieprawdaż?

Milczał.

— Są, wiem o tym; i myślę, że to ąhalowie. Co na to powiesz, kuzynie? Macie tutaj przyjaciół. Być może to właśnie oni towarzyszyli jej w ucieczce: sprzymierzeńcy, krajowcy. Przyszło jej do głowy, by udać się w wysokie progi, zająć miejsce, skąd kontrolowana jest Brama, i zniszczyć mnie. Ha, czyż nie to ma na celu? To jest jej jedyne rozsądne wyjście. Jednak nie jestem tak zaniepokojony

tym, co Morgaine — w stanie, w jakim teraz się znajduje

zrobi lub nie, jak tym, w czyje ręce wpadnie ta jej broń. U jej boku widziano jakiegoś ąhala i

Człowieka, tak doniósł mi Fwar. Zatem — kim oni są, i co każdy z nich by uczynił, mając w swych

rękach oręż taką jak jej miecz?

W głowie miał chaos. Merir, pomyślał, Merir wykorzystałby go właściwie. Lecz nagle opadło go zwątpienie, przypomniał sobie, że cel Morgaine był sprzeczny z dążeniami arrhendów.

— Fwar coś mi przekazał — dodał Roh. — Och, nie chciał mi tego oddać, lecz Fwar czuje wielki respekt przed moim gniewem i jak najgorliwiej pozbył się tego, dbając o swe, zdrowie. — Wydobył zza pasa srebrną, okrągłą blaszkę wiszącą na łańcuchu... dar Merira. — Znaleźli to przy tobie. Osobliwe rzemiosło, nic znanego mi ze stron rodzinnych, ani nawet nie podobne do wyrobów z Shiuanu. Spójrz, o tu, wryte są runy ąhalów. „Przyjaźń”, taka to jest inskrypcja. Czyim przyjacielem jesteś, Nhi Vanye?

Pokręcił głową w odpowiedzi, mgła opadła mu na oczy. Był do cna wyczerpany. Nagle zaczęły go niepokoić odległe dotąd lęki; szły za nim w trop — coraz bliżej i bliżej.

— To nie honorowo... niepokoić cię, gdy pełno w tobie tego świństwa, prawda? Można w tobie czytać jak nowo zapisaną stronę. Ha, skończę z tym teraz; lecz powiem ci to, byś mógł nad tym pomyśleć później, na trzeźwo: nie pytałem cię z zamiarem wyrządzenia ci krzywdy. Nie możesz zasnąć, Vanye. Nuże, trzymaj oczy otwarte. Patrz na mnie rozumnie.

Starął się. Roh uderzył go w policzek, dostatecznie mocno, by zaszczypało, jednak nie z okrucieństwem.

- Nie śpij. Zmuszę cię, byś uniósł się na mnie gniewem, jeśli będzie trzeba. Twoje oczy w dalszym ciągu zamglone są od narkotyku i zrobię wszystko, by nie pozwolić ci zasnąć. Widziałem w tym obozie ludzi umierających od tego. Zasyпали na śmierć, a ja chcę, byś żył.

- Dlaczego?

— Ponieważ dziś w nocy ryzykowałem własną szyją w twojej obronie i należy mi się za to nagroda.

- Czego chcesz?. Roh zaśmiał się.

- Twojego towarzystwa, kuzynie.

- Ostrzegłem cię, ostrzegłem, że ci, do których się przyłączyłeś, nie okażą się wdzięczną kompanią. Ty jesteś Człowiekiem i za to cię nienawidzą.

- Naprawdę jestem? — Roh zaśmiał się ponownie. — Zatem przyznajesz, żeś moim kuzynem.

„Pewien ąhal... powiedział mi — omalże mu się wyrwało — czym to dla ciebie było”. Lecz nie był na tyle odurzony, by się z czymś takim wygadać, i w samą porę ugryzł się w język. Roh obrzucił go dziwnym spojrzeniem, a potem wzruszył ramionami i dał spokój, ponownie zajmując się opatrywaniem jego ran. Vanye skrzywił się z bólu pod jego dotknięciem i Roh zaklął cicho.

— Nic na to nie poradzę — stwierdził. — Podziękuj za to Fwarowi, staram się robić to najostrożniej, jak potrafię. Przez chwilę bądź wdzięczny, że zażyłeś akilu.

W istocie Roh okazał się bardzo delikatny i zręczny. Obmył rany, opatrzył je ciepłą oliwą i zajął się tymi, które były rozognione gorączką. Obłożył ciepłym kompresem obolałe kolano i zmieniał go często. Po pewnym czasie Vanye pozwolił, by opadła mu głowa. Roh przerwał jego drzemkę, by mu zajrzeć w oczy, lecz w końcu pozwolił mu zasnąć, budząc tylko przy zmianie kompresu. Przy jednej z takich okazji Vanye stwierdził, że panuje głęboka noc, a jednak Roh obudził go ponownie rozgrzewając kolano.

- Rohu! — wykrzyknął zaniepokojony.

- Nie mógłbym cię okulać.

- Ktoś inny mógłby się tym zająć.

- Kto? Fwar? Cierpię na brak służących w tej pysznej komnacie. Śpij, kuzynie.

Zapadł w spokojny sen — po raz pierwszy od opuszczenia Carrhendu. Ostatni i najlepszy skutek akilu był taki, że gdy już jego działanie ustało, on, wyczerpany, mógł wreszcie rozluźnić się i odpocząć.

ROZDZIAŁ IX

Kiedy Roh obudził go ponownie, światło dnia wlewało się szeroką strugą przez wejście do szałas i sączyło się delikatnie poprzez dym uchodzący otworem w dachu. W szałasie było już jedzenie: chleb, solona ryba i odrobina gorzkawego shiuańskiego napoju. Po raz pierwszy od kilku dni Vanye mógł się najeść do syta, choć skromny był to posiłek i zatruty wspomnieniem Shiuanu.

Przy jedzeniu bolała go szczęka — niewiele było części jego ciała, które nie byłyby poranione lub posiniaczone; mógł za to od samego rana poruszać swobodnie kolanem, a ból, który zagościł w nim na trwałe, tak że aż przestał go odczuwać, ustąpił nieco. Nie ubrał się, tylko usiadł otulony płachtą płótna, a Roh dopilnował, by gorący kompres otulał kolano nawet podczas śniadania — jedna szmatka zawsze leżała we wrzącym na ogniu rondlu.

- Dzięki — rzekł Vanye, mając to wszystko na myśli.
- Co, szczerą wdzięczność? To więcej, niż otrzymałem od ciebie podczas naszego ostatniego spotkania. Myślę, że zamierzasz poderżnąć mi gardło.

- Nie brak mi rozsądku, by zrozumieć, co ci zawdzięczam.

Roh uśmiechnął się krzywo i ponownie dopełnił wodą naczynie stojące na ogniu, a potem usiadł i wziął sobie kubek napoju z Shiuana. Wypił go do dna z grymasem na twarzy.

— Ponieważ nie wykorzystałem swej przewagi nad tobą, choć mogłem to zrobić? Karmiliby cię tym specyfikiem bez końca, aż całkiem straciłbyś świadomość tego, co robisz.

I gdyby mogli to robić dostatecznie długo, mógłbyś im wygadać wszystko, co wiesz i mogłoby to ocalić twoje życie... coś w tym rodzaju. Żyłbyś, być może... tak długo, aż poczuliby się znudzeni ciągłym upokarzaniem ciebie. God nie postępujesz, dziękując mi, lecz ja musiałem cię stamtąd

1 Aik

wydostać — to oczywiste — ze względów praktycznych; mógłbyś sprowadzić katastrofę na moją głowę. Co do reszty: no cóż, to rzeczywiście powód do wdzięczności, nieprawdaż? Przynajmniej zawdzięczasz mi tyle, by się przeciw mnie nie zwrócić.

Vanye obrócił naznaczoną blizną dłoń, znak Morgaine, przypieczętowany krwią i popiołem.

— Tego nie mogę powiedzieć, i ty wiesz o tym. Cokolwiek robiłem dotąd, i cokolwiek zrobię, ograniczone jest prawa mi *ilinów*. Nie mogę dać wiążącej obietnicy, która mogłaby być z nimi sprzeczna — ja nie mam honoru.

— Lecz zostało ci go na tyle, by przypomnieć mi o tym.

Wzruszył ramionami, zatroskany, ponieważ Roh zawsze potrafił ująć go za serce i wzruszyć.

• Powinieneś bacznie się przyglądać temu, co działo się w tamtym namiocie ostatniej nocy, oznajmił. — Nie mają odwagi podnieść na ciebie ręki, na razie. Lecz nadejdzie dzień, w którym wpadnie im coś do głowy.

• Wiem. Znam granice zaufania, jakim mogę obdarzyć Hetharu. Już dawno zostały one przekroczone.

• Dlatego otoczyłeś się takimi typami jak Fwar. Musisz wiedzieć, że niegdyś i on, i jego krewni służyli Morgaine. Podnieśli bunt, gdy ich żądze nie zostały zaspokojone. Spotkasz się z tym samym w chwili, gdy coś pójdzie wbrew ich woli. To prawda przemawia moimi ustami, a nie nienawiścią.

• Liczę się z tym każdego dnia. Jednak fakt pozostaje faktem: Fwar i jego ludzie będą raczej służyć mnie niż khalom, zważywszy „miłość”, jaką khalowie czują do nich. Khalowie zrazili do siebie wszystkich Ludzi w tym obozie, co do jednego, Hiua, ludzi z bagien, wszystkich, którzy zakosztowali wolności. Jednak tym z moczarów Fwar ani trochę się nie podoba. Wie on dobrze, że choć jego Hiua to twardzi ludzie, to jednak stanowią zaledwie garstkę, i jeśli powinie mu się noga, to poniesie śmierć z rąk ludzi z bagien. Fwar uwielbia władzę i musi ją zdobyć, choć robi sobie tylu wrogów. Przystał do Morgaine myśląc, że otrzyma ją od niej, gdy wydawało się prawdopodobne, iż może być porucznikiem i panem na podbitych ziemiach; sprzymierzył się ze mną, gdy pojął, że samodzielnie nie da sobie rady z khalami, i kiedy uświadomił sobie, że i ja dysponuję w tym obozie władzą. Fwar trzyma pod butem ludzi z bagien z pożytkiem dla mnie, moje przetrwanie w decydującym stopniu opiera się na jego osobie; z kolei beze mnie jest nikim, i wie o tym... Lecz tak długo, jak długo on jest na moich usługach, khalowie nie mogą zmusić do poddaństwa ani Hiua, ani ludzi z mokradel z tego obozu. Choć ich arogancja jest niewyobrażalna, to jednak uzmysławiają sobie naszą przewagę liczebną, a Ludzie, którzy wciąż im służą, to bydlę, dzieło ich własnych rąk. Żaden Shiua nie sprostą nikomu z bagien lub Hiua, no i przecież nie wszyscy poddani khalów odnoszą się do swych panów z miłością, nawet nie wszyscy z tych, na których twarzach widnieją ich znaki. W istocie khalowie poważnie obawiają się swej własnej służby i odnoszą się do nich z okrucieństwem, by utrzymać ich w ryzach strachu... Lecz nie jest to rzecz, z którą można by się otwarcie obnosić. Z jednego, jedyne go powodu: byłoby niezręcznie, gdyby się o tym dowiedzieli Ludzie, nieprawdaż...? Jeszcze kawałek chleba?

- Już nie mogę.

- Zaszły między nimi zmiany, od kiedy Hetharu dobrał się do władzy — Roh kontynuował, kręcąc głową. — Byli wśród nich i tacy, którzy odczuwali potrzebę dobroci, ale z przepawy cało wyszli jedynie ci najmocniejsi; tamci, na ogół, nie byli najlepiej przygotowani do trudów życia.

- Obrależ Hetharu za sprzymierzeńca, choć mogłeś dokonać innego wyboru.

- Istotnie, to prawda — Roh ponownie napełnił ich kubki. — Ku memu wielkiemu żalowi, zawsze miałem pecha do swych sprzymierzeńców. Kuzynie... jak myślisz, gdzie jest Morgaine?

Vanye przełknął ślinę, raptownie zaschło mu ustach. Sięgnął po kubek i zdrowo z niego pociągnął, ignorując pytanie.

— To miejsce za rzeką, do którego zamierza dotrzeć — ciągnął Roh — z pewnością jest kontrolowane... Ja w to

wierzę, a Hetharu z pewnością także. Jego patrole zryją cały ten obszar — szukając jej, zrobią to na pewno. Hetharu żąda, by Hiua wrócili na jej trop. Z niechęcią odesłałbym Fwara — z oczywistych przyczyn. A i jemu wcale się to nie uśmiecha, bo nawet on rozumie jak będzie niebezpiecznie, gdy jej broń zdobędą ludzie Hetharu. Nie ulega wątpliwości, że i sam Hetharu żyje w ciągłym strachu — przed kimś takim jak Shien, a nawet przed dostaniem się w ręce kogoś ze swego własnego ludu. I mnie, przyznam ci się, nie podoba się myśl, że jej właścicielem mógłby zostać Fwar. Oczywiście mógł on zostawić cię przygniecionego do ziemi i pogonić za nią — uzmysławia sobie to teraz, na chłodno — ale... on się jej boi, już raz miał do czynienia z jej bronią, i to właśnie lęk przeszkodził mu pomyśleć rozsądnie — lęk i obsesyjna nienawiść do ciebie. Odważył się posłać jej strzałę z daleka, lecz stanąć twarzą w twarz z „Odmieńcem"... Ha, to zupełnie co innego, przynajmniej tym się wtedy kierował. Czasami potrzebuje on czasu do namysłu, by odkryć, gdzie tkwi jego przewaga, bo instynkt przetrwania na krótką metę przesłania mu zdolność ocenienia możliwości przeżycia przez dłuższy czas. Teraz żałuje swego wyboru, lecz okazja została stracona, chyba że okażesz pomoc.

- Zatem utraciliście ją bezpowrotnie — powiedział, słowaomalże uwięzły mu w gardle. — Ja wam nie pomogę.

- Spokojnie, spokojnie! Radzę, byś zrezygnował z napaści na mnie. I oby nie przyszła ci do głowy taktyka khalów; ostatniej nocy mogłem uczynić to samo, co oni, gdybym chciał. Nie, jedynie dzięki mnie nic ci tutaj nie grozi.

- Liell miał skłonność do takich sprzymierzeńców jak Fwar: zbójów, rzeźmieszków — świta, która by świetnie pasowała do Shuanu, choć złożona wyłącznie z Ludzi. Stwierdzam, że nic a nic się nie zmieniłeś, a moje szanse są równe, czy to u nich, czy u ciebie.

Oczy Roha zachmurzyły się.

— Nie winię cię, moi kompani budzą we mnie wstręt — przestrzegałeś mnie przed tym; lecz to ja narzuciłem im siebie. Przy pierwszej sposobności zabiją mnie; oczywiście, że to zrobią. Jesteś tutaj tak bezpieczny jak ja tylko dlatego, że Hetharu wciąż lęka się rebelii w obozie Ludzi, która wybuchłaby, gdyby podjął próbę wydostania cię stąd. Mógłbym do tego doprowadzić i on się tego boi. Prócz tego ma powody, by czekać.

- Cóż to za powody?

- Nadzieja, że lada godzina wróci któryś z jego patroli, wioząc oręż Morgaine... a wtedy, przyjacielu, obaj jesteśmy martwi. Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo: że ty, ja i Morgaine nie jesteśmy jedynymi na tej ziemi, którzy wiedzą, co począc z potęgą Bramy; być może tę wiedzę posiada ktoś jeszcze. A jeśli tak jest... Czy tak jest, Vanye?

Milczał, próbując utrzymać niewzruszoną twarz.

- Podejrzewam, że to możliwe — ciągnął Roh. — Jednak miecz, ponad wszelką wątpliwość, jest czymś, czego musimy się bać — wykucie go było szaleństwem; jestem pewny, że Morgaine zdaje sobie z tego sprawę. I owa myśl... Wiem, co wyryto w runach na klindze, przynajmniej treść tego nie jest dla mnie tajemnicą. I tego nigdy nie powinno się wyrażać na piśmie.

- Ona wie o tym.

- Możesz chodzić? Zbliź się, coś ci pokażę.

Podniósł się z wysiłkiem, a Roh podpierał go, gdy kulejąc przemierzył cały szalas w najdalszy jego kąt, dokąd Roh chciał go zaprowadzić. Odrzuciwszy na bok wystrzępioną kotarę, Roh odsłonił przed nim horyzont.

Stała tam Brama — cała w płomieniach, rozsiewająca poświatę zimniejszą niż księżyc. Vanye wlepił w nią szeroko otwarte oczy i zadrzał przejęty bliskością potęgi, której nauczył się bać.

— Niezdrowo jest na to patrzeć, prawda? — zapytał

Roh. — Wysysa mózg jak wodę; krąży nad nami wszystkimi.

Wiem, jak to jest żyć w jej pobliżu, dopóki nie przepali

zasłon i ścian. Obok niej nikt nie zazna spokoju; czują to i Ludzie żyjący tutaj, i khalowie. Z jej powodu obawiali się odejść stąd, a teraz boją się tutaj pozostać. W szaleńców zamienią się ci, którzy stąd nie odejdą.

Vanye odwrócił się plecami, zrezygnowałby z pomocy Roha i zaryzykował upadek, ale ten poszedł za nim i pomógł

■laq

wrócić na matę obok-ogniska. Roh przysiadł na piętach, złożył ręce na kolanach i rozsiadł się ze skrzyżowanymi nogami.

- Teraz rozumiesz, jakie jest jeszcze źródło szaleństw w tym miejscu, śmiertelnie niebezpieczne, groźniejsze niż akii i znacznie potężniejsze. — Wziął swój kubek i wychylił go do dna. Wstrząsnęły nim dreszcze, gdy ciężko przełykał. — Vanye, chcę, byś przez jakiś czas strzegł moich pleców, jak strzegłeś jej.

- Jesteś szalony.

- Nie. Znam ciebie. Nie ma człowieka, na którym by można bardziej polegać. Zatrzymaj dla siebie złożone przysięgi, wiem, że dobrowolnie złożonej obietnicy nie złamiesz nigdy. Vanye, jestem znużony — głos Roha nagle załamał się, a w jego brązowych oczach pojawił się ból. — Proszę, byś robił to, dopóki nie będzie to sprzeczne z przysięgą złożoną jej.

- To zależy tylko ode mnie i może stać się w każdej chwili i bez ostrzeżenia.

- Wiem. Mimo to, proszę. Tylko tyle.

Vanye był zdumiony. W myśli rozważał raz jeszcze cały pomysł, lecz nie udało mu się odkryć podstęp. W końcu kiwnął głową na zgodę.

- Zatem aż do tej pory zrobię, co będę mógł. W tym stanie — niewiele. Nie rozumiem cię, Rohu. Wydaje mi się, że coś chodzi ci po głowie. Nie ufam ci.

- Powiedziałem wszystko, co zamierzałem, teraz muszę wyjść na chwilę. Śpij, zajmij się czymś, na co będziesz miał ochotę — byłeś nie wychodził z szałas. Znajdziesz tutaj odzienie, gdybyś nie mógł bez niego zdzierzyć, lecz nie spaceruj na tej nodze — i nie zapomnij o kompresach, jeśli zachowałeś odrobinę rozsądku.

- Jeśli Fwar znajdzie się w zasięgu moich rąk...

- Nie przyjdzie sam, znasz go. Nie szukaj kłopotów. Będę starał się mieć go na oku, nie musisz się obawiać. — Wstał i przypasał swój miecz, zostawiając jednakże luk i kołczan pełen strzał, po czym wyszedł opuszczając za sobą wejściową zasłonę, odcinając tym większość dziennego światła.

Vanye nie ruszył się z miejsca, gdzie leżał, lecz układając się do snu, skulił się i okrył kocem. Nikt nie zakłócił mu odpoczynku. Minęło sporo czasu, nim powrócił Roh. Ani słowem nie zdradził, co dotąd porabiał, choć na jego twarzy znać było znużenie.

— Zamierzam przespać się odrobinę — oznajmił i rzucił się na swoje nie tknięte dotąd łóżko. — Obudź mnie w razie potrzeby.

Dziwnie było czuwać — mając po jednej ręce Bramę, a wrogich im khalów po drugiej — nad śpiącym krewniakiem, którego ślubowało się zabić. Znalazł teraz wolną chwilę, by pomyśleć o Morganie, policzyć dni, które upłynęły od ich rozstania — mijał już czwarty, kryzys zapewne już minął, rozwiązany w tę lub w tamtą stronę. Przez cały dzień samodzielnie zmieniał kompresy na nodze, a późnym wieczorem Roh na nowo opatrzył mu rany i wyszedł, by jednak szybko powrócić z jedzeniem. Potem Roh pozwolił mu spać, lecz zbudził go w środku nocy i zażyczył sobie, by teraz on czuwał. Popatrzył na niego głowiąc się, na co się zanoszą, gdyż Roh nie odważył się by obaj spali na raz. Leżał teraz twarzą w dół, jakby opanowany znużeniem nie do zniesienia, jakby nie sypiał bezpiecznie już od wielu nocy, a nie tylko przez tę ostatnią. Vanye nie zmrużył oka aż do świtu. Zdrzemnął się dopiero rano, gdy Roh wyszedł, by załatwić swe sprawy.

*

Zbudził się gwałtownie, na odgłos kroków. To był Roh, w obozie panowało zamieszanie. Spojrzał pytającym wzrokiem w tamtą stronę. Roh usiadł, położywszy na macie obok siebie miecz, i napelnił kubek napitkiem. Trzęsły mu się ręce.

— Uspokoi się — stwierdził po dłuższej chwili. *- Samo bójstwo: mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci. To się tutaj zdarza.

Vanye popatrzył na niego przerażony, bo coś takiego nie zdarzało się w Andur-Kurshu. Roh wzruszył ramionami.

— Niedobitki służących khalów. Zmusili ich do tego, to

zaledwie wierzchołek tego, co się tu złego dzieje. To Bra-
ma... — wzruszenie ramion przeszło w dreszcz — ...jest wylegarnią wszystkiego tutaj.

Rozchyliła się szarpnięta do tyłu zasłona i Vanye ujrzał gości: Fwara i jego ludzi. Sięgnął po naczynie z napojem, bynajmniej nie po to, by się z niego napić. Ręka Roha zacisnęła się na jego nadgarstku, przywracając mu rozsądek.

— Uspokoilo się — powiedział Fwar, wpatrując się w Roha i unikając wzroku Vanye. — Khalowie obdzielili ich ziarnem, krewni rozpoczęli grzebanie zmarłych. Lecz spokój nie zapa-
nuje na długo, dopóki podnieca ich coś innego. Hetharu pod-
judza ich na nas. Nie starcza nam ludzi, aby byli i tu, i tam.

Roh milczał przez chwilę.

• Hetharu przystąpił do niebezpiecznej gry — stwierdził spokojnym tonem. — Usiądźcie, ty i twoi ludzie.

• Nie siadę obok tego psa.

— Fwar, siadaj! Nie wystawiaj mej cierpliwości na próbę.

Ponury Fwar po długim wahaniu zajął w końcu miejsce obok ognia, a wraz z nim jego kuzyni.

— Za wiele ode mnie żadasz — wymamrotał Vanye.

— Zawrzyj z nimi pokój — poprosił Roh. — Daj mi słowo, to należy do umowy.

Sklonił głowę z posępną miną i zmierzył Fwara spojrzeniem.

• Pokój Roha zatem.

• Niech tak będzie — odparł Fwar bez wdzięku, lecz Vanye dawał temu tyle wiary, co słowu Hetharu... mniej, jeśli to możliwe.

• Powiem wam, dlaczego dochowacie pokoju — rzekł Roh. — Dlatego, że nad nami wszystkimi wisi zguba, zginiemy między khalami a ludźmi z moczarów. Z powodu tego... — wskazał przez ramię na ścianę, za którą ukrywała się Brama, wywołując tym niespokojne spojrzenia w tę stronę. — To doprowadzi nas do szaleństwa, jeśli się tu dłużej zatrzymamy. Nie musimy tego robić; nie wolno nam.

• Zatem dokąd? — zapytał Fwar.

Vanye zacisnął zęby, wpatrując się w matę, by ukryć niepokój. Nagle przeląkł się, gdyż wniosek, jaki się nasu-

wał, był nieunikniony. Cokolwiek Roh robił, on mu nie ufał, lecz nie miał wyboru i musiał się z tym pogodzić. Alternatywą był Fwar lub tamci.

• Nhi Vanye przyda się nam do czegoś — powiedział miękko Roh. — Zna kraj, zna Morgaine i wie, jakie byłyby jego szanse w tym obozie.

• Iz takimi jak oni — dodał Vanye.

O mało co nie błysnęły sztylety, ale Roh chwycił swój miecz i nie wyciągając go z pochwy, wepchnął Trinowi w brzuch. Niedwuznaczna groźba położyła kres waśni.

— Pokój, powiadam, albo nikt z was nie wyrwie się z tego obozu... lub nie przetrwa podróży, która jest przed nami.

Fwar skinął na Trina i sztylet zniknął na powrót w pochwie.

• Stawka jest większa — powiedział Roh. — Zrozumiecie to później. Przygotujcie się do drogi. Bądźcie gotowi dziś w nocy.

• Shiua pojedą za nami.

• Niech jadą. Ręce was swędzą, by ich zabić, będziecie mieli okazję. Ale mój kuzyn to inna sprawa, wara waszym sztyletom od jego pleców. Słuchaj uważnie, FwarzeTMrja: on jest mi potrzebny i tobie też. Zabij go, a znajdziesz się między Shiua z jednej i ludem zamieszkującym tę krainę z drugiej strony. Nie będziesz w lepszej sytuacji jak tutaj. Rozumiesz mnie?

• Tak — odrzekł Fwar.

• Po cichu dopilnuj wszystkiego. Co do mnie: ja nie wezmę udziału w twoich przygotowaniach. Shiua nalegają, bym wysłał was w pewnej misji. Zapytany odpowiedz, że wyjeżdżacie. Jeśliby zaczęły się jakieś kłopoty, no cóż, unikaj ich! A teraz do dzieła.

Wstali i wyszli. Vanye utkwiał wzrok w ognisku i nie podniósł oczu, dopóki nie usłyszał, jak ostatni z nich odchodzi.

• Kogo ty zdradasz, Rohu? Wszystkich? Ciemne oczy Roha poszukały jego źrenic.

• Wszystkich prócz ciebie, mój kuzynie.

To była kpina mrożąca krew w żyłach. Vanye znów

opuścił wzrok, nie mogąc wytrzymać tego spojrzenia, które budziło zwątpienie, ale i pobudzało do czynu.

- Pojadę z tobą.
- I będziesz strzegł moich pleców? Spiorunował Roha wzrokiem.
- To przed Fwarem potrzebuję ochrony, kuzynie. Ja będę strzegł ciebie, a ty mnie, kiedy Fwar i jego ludzie obejmą wartę w nocy. Jeden z nas będzie czuwał udając, że śpi.
- Planowałeś tę wyprawę od chwili, gdy zabrałeś mnie Hetharu.
- Tak. Dotychczas nie mogłem odejść od tej Bramy z obawy przed Morgaine. Teraz z tego samego powodu nie mogę pozostać tu dłużej... Teraz wiem, co mi było trzeba wiedzieć, a ty mi pomożesz, Nhi Vanye'i'Chya. Jadę do Morgaine.
- Nie będę twoim przewodnikiem.
- Wyczerpali mi się sprzymierzeńcy, drogi kuzynie. Pojadę do niej. Możliwe, że ona już nie żyje — zobaczymy. My obaj przekonamy się, co przyjdzie nam w takim wypadku uczynić; jednak — ona tak łatwo nie umiera, ta wiedźma z Aenor-Pywn, i jeśli żyje, no cóż, zobaczymy, jakie mam z nią szanse. Vanye wolno pokiwał głową czując, jak zaciska mu się żołądek.
- Tobie marzy się Fwar — powiedział Roh. — Bądź cierpliwy.
- Broń.
- Dostaniesz ją, swoją własną; odebrałem Hiua wszystko. Unieruchomię ci kolano w łubkach, bo inaczej nie zniesiesz jazdy, która nas czeka. Tam jest odzienie, lepsze od łachmanów Hiua, w których będziemy musieli opuścić to miejsce.

Pokuśtykał do sterty wskazanej przez Roha, wybrał z niej swe własne buty i wszystko, czego potrzebował; obaj byli tego samego wzrostu. Starannie omijał wzrokiem swego kuzyna, mając w głowie to, o czym Roh dobrze wiedział: że zamierza się przeciw niemu zwrócić; Roh wiedział o tym, wynikało to jasno z jego ostrzeżeń, a mimo wszystko zbroił go. Nie był tym zachwycony.

Roh leżał oparty o trzciniową ścianę, spoglądając na niego spod na pół przymkniętych powiek.

- Nie wierzysz mi — rzucił.
- Nie bardziej niż diabłu.
- Uwierz przynajmniej na tyle, by po wyjeździe z tego obozu ufać mi i dotrzymywać złożonej przysięgi, bo w przeciwnym razie Mija Fwar obu nas obedrze ze skóry. Możesz mnie zabić... lecz obiecuję ci, że nic ci z tego nie przyjdzie.

*

Tumult w obozie nie ustał, nie minęła godzina, a urósł ponownie. Zdyszany Trin wetknął głowę do szałasu i stanął przed wejściem.

• Fwar mówi, że już teraz nadszedł czas i nie można ociągać się do nadejścia ciemności. Tam znów gadają o przyjsciu tutaj. Ludzie z bagien chcą go ugotować na wolnym ogniu i jeśli o mnie chodzi, mogą to zrobić. Jednak raz przekroczywszy nasze stráže, z khalami po tej stronie... hmm... Jeśli chcesz sprowadzić tu konie, teraz nadarza się okazja. Szybko, póki zajęci są gadaniem, bo kiedy słowa zamienią się w coś więcej, sytuacja stanie się beznadziejna.

- Zróbcie to — polecił Roh.

Trin splunął w kierunku Vanye i zniknął. Vanye siedział nieruchomo jak posąg, gniew zdusił mu oddech.

- Jak długą będą nam potrzebni? — zapytał.
- Możliwe, że będziesz musiał znieść gorsze rzeczy — Roh rzucił w niego stertą odzienia; chwycił je w locie, lecz zaślepiiony wściekłością nie zrobił nic więcej. — Mówię serio, kuzynie — możesz być sobie uzbrojony, ale nie zrobisz nic. Dałeś mi słowo i zakładam, że dotrzymasz go. Poskrom ten swój sławetny temperament Nhi i trzymaj nisko pochyloną głowę. Zostaw swą zemstę mnie, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, i wypełniaj co do joty obowiązki *ilina*. Nie wyszedłeś z wprawy, nieprawdaż?

Trząsał się, oddychając krótko i nierówno.

— Nie jestem twoim *ilinem*.

— Bądź na kilka dni, gorzkich dni, a może i ty przeżyjesz, i ja. Czyż chronienie swego życia nie oznacza, że służysz jej?

Uwaga okazała się trafna.

— Uczynię tak — powiedział i zaczął naciągać odzienie Hiua na własne; Roh zrobił to samo.

W szałasie były jeszcze dwa toboły. Roh wręczył mu jeden, który okazał się niezwykle ciężki.

— Twoja zbroja — powiedział Roh — i pozostałe rzeczy, tak jak obiecałem: oto miecz. — Rozwiązał toból i rzucił mu

jego pas, a potem całą resztę.

Vanye dociągnął sprzączki jedynie w pasie. Nie mógł tego zrobić w ramionach, bo zniekształcało to odzienie Hiua, a na dodatek urażało rany. Pomyślał, że Roh mniej przypomina Hiua niż on: z włosami związanymi w warkocz na karku jak nadworni panowie z Anduru i gładko ogoloną twarzą. Jego własne posiniaczone oblicze nie było tknięte brzytwą od wielu dni, a włosy, ucięte na znak utraty honoru, urosły, spadając odrobinę poniżej ramion. Zwykle schowane pod hełmem nie opadały mu na twarz, lecz teraz, wyswobodzone, spływały swobodnie. Pozwolił na to, bo przynajmniej częściowo zakrywały odniesione rany. Przypomnił sobie zachowanie Hiua, maniery godne szubienicznika. Wydawało mu się, że przekroczywszy próg szałas, stanie na zewnątrz jak nagi. Taka perspektywa mroziła krew w jego żyłach.

Roh zebrał swój własny oręż, którego najważniejszym elementem był wspaniałej roboty łuk z Anduru i kołczan, w większości wypełniony strzałami Chya — długimi, zakończonymi zielonymi piórami lotek. Zza pasa wystawał mu Miecz Honoru, z kościaną rękojeścią, a w rękę niósł miecz do walki i topór, które miały zawisnąć przy siodle.

Nadworny pan, pomyślał zirytowany Vanye, nie może wyglądać inaczej.

Przed frontem szałas z grzmiotem kopyt stanęły konie. W dalekim tle słychać było pokrzykiwania Ludzi. Od niewysokich wierzchowców Shiua odróżniała się wyraźnie ogromna, czarna klacz Roha. Nie było nadziei, żeby ją ukryć, z pewnością wszczęto już alarm. Vanye, klnąc w głos szaleńczą zuchwałość Chya, przyskoczył do gnidosza z wygiętym nosem, który mu przypadł w udziale i... ponownie zaklął szpetnie, gdy — przerzuciwszy nogę nad siodłem — poczuł, że ogarnia ją płomień bólu. Strząsnął włosy sprzed oczu i rozejrzał się wokoło. Ujrzał następującą na nich ze środka obozu grupę khalskich jeźdźców.

— Rohu! — zawołał.

Jego krewniak zobaczył ich także i, zawróciwszy czarną klacz, skoczył w gęstwinę Hiua; zmusił tym niemal czterdziestu konnych do całkowitej zmiany kierunku, a renegatów z bagien do rozproszenia.

— Strząśniemy ich z naszych karków! — wykrzyknął

Roh. — To dla nich niefortunny kierunek.

Ruszyli na obóz Ludzi, w którym panował nieład i zamieszanie, i na cienką linię upiornych hełmów, których właściciele pilnowali barykady, odgradzając ich od problemów, które mogły ich za nią spotkać.

Strażnicy zobaczyli, jak nadjeżdżają, i zawahali się zdezorientowani. Roh ściągnął wodze i wydał rozkaz otwarcia wrót, Hiua skoczyli, by go wykonać. Roh wypadł przez ledwie uchylone wierzeje, a Vanye tuż za nim, zaczepiając nogą o bariery. Wszystko odbyło się bardzo szybko; wartownicy, nie otrzymawszy żadnych rozkazów, nie stawili oporu. Przez wrota wylali się Hiua i wszyscy runęli galopem, na złamanie karku, w sam środek obozu — wprost na gromadzący się tłum. Błysnęły miecze. Zbity z tropu motłoch rozpierzchnął się przed szarżą, posławszy w ich stronę niewiele pocisków. Jakiś jeździec — trafiony — spadł z konia. Rzucili się na niego, by zgotować mu los, o którym lepiej było nie myśleć. Jednakże pozostali przebili się, już sam impet i wstrząs natarcia wystarczył. Wypadli na szeroko ścielące się przed nimi równiny; za ich plecami daremnie grzechotał rzadki grad kamieni. Vanye jechał skurczony w siodle, chowając głowę; nie zboczył swego miecza krwią, nigdy nie wymierzyłby miecza w plecy człowieka; nigdy u boku Hiua.

Roh wybuchnął dzikim śmiechem.

— Khalowie wjadą w sam środek rozbitego ula.

Obejrzał się, lecz jak okiem sięgnąć nie widać było ani jednego Człowieka, nie spadł żaden kamień — ani śladu po walce; Ludzie ukryli się, uzbrojeni. Nie widać też było, by ścigali ich jacyś jeźdźcy Shiua. Albo szukali przejścia, którym mogliby ominąć obóz Ludzi, albo popełnili błąd, próbując przedrzeć się przez środek. Jakkolwiek by było, musieli stracić czas.

- Kiedy Hetharu dowie się, że nas nie ma — powiedział Roh — a z pewnością już się o tym dowiedział, wtedy nic go nie powstrzyma przed pościgiem za nami.

- Tak — stwierdził Vanye — nie sądzę, by coś go mogło powstrzymać.

Obejrzał się jeszcze raz, sięgnął wzrokiem ponad głowami jeźdźców Hiua, zbitych za nim w czarną masę, i zaświtała mu myśl, która powinna przyjść mu do głowy już dawno: że ich ucieczka zmusi obóz do działania i cała armia wymaszeruje.

Zamilkł, ujrawszy wreszcie siadła, w które dał się wciągnąć — zaślepiony żądzą przżycia, nie widział niczego poza własnym ocaleniem.

Mirrind — rozpaczliwie zakolatało mu w głowie. Mirrind i cała ta ziemia.

ROZDZIAŁ X

Doprowadzili wierzchowce do kresu sił. Było już ciemno, gdy zatrzymali się, by odpocząć nie rozpalając ognia, na biwaku, który mieli zwinąć jeszcze przed brzaskiem. Vanye zsunął się z siodła, przytrzymując się uprzęży i stwierdził, że ledwie może chodzić, jednak zatroszczył się o swego konia i zebrawszy swą uprzęż, pokuśtykał do boku Roha, opuszczając głowę, gdy przechodził pomiędzy Hiua. Pomyślał, że jeśli ktokolwiek odważy się go dotknąć, zabije intruza; to było szaleństwo i zdawał sobie z tego sprawę. Zniósł to, że jeden z nich umyślnie potrącił go koniem przejeżdżając tuż obok niego. Pochylił głowę, tak jak kazał mu Roh — okryty pokorą *ilina* jak opończę.

Kiedy stanął u boku Roha, rzucił swe rzeczy na ziemię, lecz sam nie spoczął, z obawy przed bólem, gdyby musiał ponownie stanąć na nogach.

- Chciałbym zmienić odzienie — powiedział.
- Tak jak i ja. Do dzieła.

Z niesmakiem zrzucił z siebie rzeczy Hiua i stanął jedynie w koszuli i bryczesach, z delikatnej shiuńskiej tkaniny. Dla ochrony przed chłodem nałożył kaftan, zastanowił się, czy wdziać kolczugę, lecz sztywność barków przeszkodziła temu, a więc narzucił na siebie tylko opończę. I Roh zrzucił przebranie, poprzestając na tym na chwilę, by wydać Fwa-rowi rozkaz.

— Rozstawimy strażników, aby baczyl na całą linię horyzontu. Mamy za sobą konnych Shiu — nie ma co do tego wątpliwości — lecz możemy się natknąć na jakichś powracających znad obrzeży puszczy, a na spotkanie z nimi nie możemy już sobie pozwolić.

Fwar wydał chrząknięcie, które mogło oznaczać zgodę, odwrócił się i stopą zawadził o zdrową nogę Vanye.

Runął jak długi, zalała go fala bólu. Przekreślił się, próbując jakoś się pozbierać z ziemi. Roh zerwał się na nogi jak błyskawica, z obnażonym mieczem w dłoni.

- Zrób jeszcze raz coś takiego — syknął. — Dotknij go palcem, a będę miał twoją głowę.
- Za coś takiego?

Vanye z trudem podniósł się z ziemi, lecz Roh położył mu rękę na ramieniu i odepchnął w tył. Kiedy stawiał mu opór, odwrócił się i wymierzył policzek.

— Zapominasz się. Morgaine była widocznie cierpliwsza ode mnie. Spraw mi jeszcze więcej kłopotu, a wydam cię w ich ręce.

Przez chwilę stał oślepiiony wściekłością, lecz nagle zrozumiał, schylił głowę i opadł na ziemię, odgrywając rolę całkowicie posłusznego *ilina*. Z usztynioną nogą wypadło to bardzo niezgrabnie. Potem usiadł z nisko pochyloną głową. Rozbawiło to Hiua ogromnie. Nie zwrócił uwagi na niewybredny rechot, który mimo wszystko rozluźnił atmosferę.

— On jest *ilinem* — wyjaśnił Roh. — Czy tak napisano w starych pieśniach? Być może wyleciał wam z głowy ten obyczaj: on nie jest wolnym człowiekiem. On jest banitą... sługą Morgaine, niczym więcej. Zgodnie z prawem Anduru jego rąk nie broczy rozlana przezeń krew, lecz obciąża jej sumienie. Teraz on jest u mnie na służbie i pozostanie w niej, Myya Fwar. Czyżbyś wolał go zabić i zaprzepaścić ostatnią szansę na ocalenie? Twój wybór: bawisz się, a stawką jest życie nas wszystkich! Jeśli go zabijesz lub zrobisz z niego kalekę, stracimy przewodnika i szansę na bezpieczną przeprawę. Za nami jest Hetharu. Jak sądzicie, dlaczego? Ściga mnie? Nie. Mógłbym odjechać i Hetharu przełknąłby to tak, jak wszystko, co zrobiłem do tej pory, bo nie śmie

podnieść na mnie ręki. To ja posiadam wiedzę, która sprawia, że jest na tej ziemi bezpieczny... Wiedzę o Bra mach i potędze Myya, moi przyjaciele, która przewyższa wszystko, co może się przyśnić nawet samemu Hetharu; a ponieważ wy służycie mnie, Hetharu obawia się nas wszystkich. Jednakże słuchajcie mnie teraz uważnie, a po wiem was, co przywiodło mnie i Hetharu na rozstajne drogi, dlaczego wystąpił zbrojnie przeciw nam, a jeśli któryś z was ma ochotę się przekonać, niech zawróci i sprawdzi. piątego, że nadarzyła mu się okazja przesłuchać tego człowieka i teraz lęka się, że to ja dostanę go w swoje ręce. Wie on, że razem z nim mogę obalić khalów... i panować na tej ziemi.

Zaległa śmiertelna cisza. Rona słuchali wszyscy. Vanye odwrócił twarz, cały czas trzymając głowę spuszczoną, ściskając w dłoni rękojeść miecza.

- Jak? — zapytał Fwar.

- Ponieważ ten człowiek poznał puszcę, krajowców i Morgaine. Khalom nie udało się jej odnaleźć, lecz on może tego dokonać. Dzięki niemu możemy zdobyć jej broń i całkowitą kontrolę nad Bramą. Chcielibyście złupić wioski. Lecz czy myślicie, że khalscy panowie nie wiedzą, kim będziecie, mając taką potęgę w ręku? Pójdą na każde ryzyko, by was powstrzymać. Raczej nie spieszo im do tego, by Ludzie nimi rządzą, lecz my dojdziemy z nimi do porozumienia. Nikomu, żadnemu z was nie wolno tknąć palcem tego człowieka, gdyż obiecałem mu życie w zamian za jego pomoc. Khalowie nie wydobyli z niego niczego i wam też się to nie uda, przyjaciele. Lecz mnie on wysłucha. Wie on, że dotrzymam danego słowa. A teraz, jeśli czujecie, że to dzieło was przerasta, zawracajcie, ryzykujcie powrót do Hetharu, ale jeśli zostanieie ze mną, niech nikt nie waży się podnieść na niego ręki, bo będzie musiał w życiu radzić sobie tylko jedną ręką. On jest dla mnie zbyt cenny.

- Nie na wieczność — rzucił ktoś.

- Przysięgam — Roh ryknął na niego. — Zapomnij o tym, Derth. Zapomnij o tym!

Ponuro przystali na to. Derth splunął na ziemię, lecz skinął głową. Reszta burkliwie wyraziła zgodę.

- Za cztery dni — rzekł Roh — za cztery dni znajdzie się w waszym zasięgu to, co sprawiło, że przystaliście do mnie na służbę. Czy to was nie zadowala? Cztery dni.

- Tak — raptownie odezwał się Fwar i reszta sfory poszła za jego przykładem. — Tak, panie. — Zgodzili się i w obozie zapanował spokój, szeptało jedynie, jaki los spotka khaliskich panów, gdy oni zdobędą nad nimi władzę.

1 £*1

Vanye przelknął ciężko ślinę patrząc, jak Roh siada obok niego. Przez chwilę trwali w milczeniu.

— Boli cię? — zapytał Roh.

Potrząsnął w odpowiedzi głową, przyglądając się mu z niepokojem, którego nie mógł się wyzbyć. Nie miał odwagi pytać — kuzyni Fwara znajdowali się w zasięgu głosu. Tak miało być podczas całej tej wyprawy, nie można się było spodziewać, że Roh będzie go wspierał, ani że zrobi cokolwiek, co mogłoby zdradzić ich porozumienie. On sam nie mógł się oprzeć wrażeniu, że właśnie usłyszał z ust Roha całą prawdę.

Roh ścisnął go za ramię.

— Odpocznij nieco, kuzynie.

Vanye otulił się opończą i ułożył się na rozścielonym kocu; zasnął, ale nie natychmiast.

*

W środku nocy Roh zbudził go, potrząsając za ramię. Uniósł powieki i czuł, podczas gdy Roh przymykał już oczy, tak jak to uzgodnili. Dookoła rozlegały się oddechy śpiących, czasami odgłos przesuwających się koni. Dziwaczna kombinacja ludzi i ich dążeń.

Jeszcze przed brzaskiem w obozie nastąpiło poruszenie. Strażnicy weszli pomiędzy okutane w pledy kształty, kopiąc od czasu do czasu w ten czy ów. Wobec siebie byli równie grubiańscy w obejściu, jak względem obcych. Vanye nie podporządkował się takiej metodzie budzenia, lecz wyciągnął rękę i potrząsnął Rohem, czym rozczarował Hiua, który szedł w ich stronę. Usiadł i zaczął nakładać zbroję. Niektórzy jeźdźcy przeklinając ciemności i ziąb już zaczęli siodłać konie, ponieważ z wyjątkiem garstki, której udało się ukraść coś khalom, Hiua nie posiadali zbroi. Fwar nosił łuskową półzbroję pod ubiorem z tkanin Shiua; Vanye dawno już to zauważył i zapamiętał. Wbrew protestom pokrytych strupami barków naciągnął przez głowę swoją kolczugę i przepasał się. Na głowę nałożył — oprócz hełmu — kofję, by włosy nie spadały mu na oczy. Roh przywiesił mu do pasa puginał; nie był to właściwy Miecz Honoru, lecz nóż Shiua.

- Niosłeś mój tak długo i z takim oddaniem — usłyszał Vanye jego kpiący głos z ciemności — że

za nic nie chciałbym cię go pozbawiać.

- A kysz! — powiedział, gestem gorączkowo odczyniając urok.
- A kysz! — zawtórował jak echo Roh, powtarzając gest, i roześmiał się, czym wcale nie podniósł go na duchu.

Wsunął wrogie ostrze na swoje miejsce za pasem i ruszył na poszukiwanie koni, wchodząc pomiędzy Hiua. Musiał z nimi jechać ramię w ramię, spać i znosić ich obecność w ciągu nadchodzących dni. Nie przepuścili żadnej okazji, by dać się mu we znaki. Schylił głowę i znosił obelgi, dławiąc się z gniewu, przypominając sobie, że stał się zbyt dumny. To były tylko złośliwości, jednak za nimi kryły się obrzydliwsze życzenia. Mieli nadzieję, że da się sprowokować, czym ściągnąłby na siebie gniew Roha. „Spraw jeszcze więcej kłopotu — powiedział przy nich — a wydam cię w ich ręce”. Marzyli o tym. Jednak ich złośliwe zachowanie nie było niczym, z czym nie mógłby się spotkać *ilin* w An-dur-Kurshu, trafiwszy na służbę do okrutnego pana. Cokolwiek by powiedział o trudach służenia Morgaine, było to zupełnie co innego, nawet na samym początku. Nagle przypomniał sobie jej twarz i głos, łagodność, z jaką go traktowała, lecz natychmiast odegnał te wspomnienia, gdyż nie mógł sobie pozwolić na żal.

Ona nie umarła, a on nie był na wieczność skazany na towarzystwo takich jak ci, w świecie, w którym jej już nie było. Zdrowy rozsądek upierał się przy tej wierze.

- Panie — powiedział ktoś, wskazując na południe — tam, gdzie znajdowała się Brama. Zza horyzontu wstawał tam drugi świt, migotliwa czerwień, jaśniejsza od prawdziwej.

- Ogień — poszedł szept po całej kompanii.

Roh popatrzył i raptownym gestem nakazał wyruszyć w drogę.

— Khalowie widać uporali się z zamieszaniem w obozie, którego byliśmy sprawcami. Ten ogień to sposób wypędzenia Ludzi z dolnego obozu i zmuszenia ich do drogi, widzieliśmy już tę taktykę. Teraz idą za nami, a ich szpica już od dawna musi być w siodle. Odtąd musimy poruszać się szybciej, bo oni już nadciągają — wszyscy, co do jednego.

*

Nad horyzontem wyraźnie można było dostrzec brudną plamę dymu, wkrótce jednak rozproszyły go wiatry wiejące ciągle z północy. Gdyby nie to, ogień mógłby okazać się dla nich śmiertelny.

- Utknął nad rzeką na południu — zauważył w pewnej chwili Roh, obracając się w siodle, by spojrzeć za siebie. — Co za ulga! Ich szaleństwo mogłoby zmieść nas na tych otwartych równinach.
- Ich jeźdźcy nie będą dużo wolniejsi od ognia — powiedział Vanye, także oglądając się za siebie. Ujrzał tam jednak tylko żołnierzy Fwara, a widok ich twarzy obchodził go tyle, co widok samego Hetharu. Wyprostował się w siodle i niewiele się odtąd odzywał do Roha, uważając, że oznaki zbytnej zażyłości utrudniłyby jego sytuację.

Na postojach troszczył się o wierzchowca kuzyna i spełniał te same obowiązki, co wobec Morgaine. W dzień, kiedy Roh mógłby być świadkiem wszystkiego, Hiua zaniechali swych złośliwości. Ograniczyli się jedynie do pogardliwych spojrzeń, a Fwar raz jeden uśmiechnął się do niego szeroko, wybuchnął uśmiechem i powiedział:

— Poczekaj!

To wszystko. Vanye spiorunował go wzrokiem myśląc, że gdy nadejdzie pora, musi zważać, by nie dostać nożem w plecy. Fwar należał do ludzi, którym trzeba zawsze patrzeć w twarz. Raz udało mu się nawet ujrzyć, jak wpatruje się w plecy Roha w sposób, w jaki nigdy by się nie odważył stojąc z nim twarzą w twarz.

Oto człowiek, pomyślał Vanye, który nigdy nie przebacza; do mnie czuje urazę za jedno, a do Roha, być może, za co innego.

„Strzeż moich pleców” — poprosił go Roh. Doskonale znał ludzi, którzy mu służyli.

Przebyli dwie rzeki, jedną rano, a drugą w południe.

Posuwali się na północ, lekko ku wschodowi — w kierunku brodu Narn. Marszrutę ustalał Vanye. Jechał na czele całej partii u boku Roha, Fwara i Trina, obierając dowolny kierunek, a Roh zmieniał go przy byle podskoku konia. I tak to Fwar i jego ludzie podążali tam, gdzie chciał ich zaprowadzić.

Vanye pamiętał, że na północy rozłożyli się obozem ludzie Hetharu, a może Fwara. Nie miał ochoty natknąć się na nich, jeszcze mniejszą żywił chęć wyjścia nad bród. Lecz pomiędzy tymi dwoma punktami, na odległość nocnej jazdy na koniu, rozciągał się skrawek puszczy. To tam właśnie zmierzał wiedząc, że nie kochają tam Ludzi. Usłyszawszy jednak przemowę Roha do Hiua, był zdecydowany zaprowadzić ich raczej w tamte okolice, niż zawieść ich w pobliże Morgaine. Spodziewał się z godziny na godzinę, że Fwar odkryje, dokąd zmierzają i kto tak naprawdę im przewodzi, gdyż był już w tej okolicy i powinien doskonale orientować się w niebezpieczeństwie... lecz tak sienie stało. Na ile to było możliwe, starał się nie rzucać się w oczy, spuściwszy głowę na pierś, pozornie wyczerpany i

cierpiący od ran. Prawdę mówiąc, zdarzyło mu się zdrzemnąć podczas jazdy, lecz nie na długo; udawał, że się ledwie orientuje, dokąd zdążają.

- Jeźdźcy — nagle ostrzegł ich Trin.

Vanye uniósł głowę i spojrzał w stronę, w którą wymierzona była ręka Trina. Niepokój na widok tumanu na północno-zachodnim horyzoncie spowodował, że serce raptownie załomotało mu w piersi.

• Tam znajdował się obóz Shiena - powiedział do Roha. - Jednak nie mogli się jeszcze dowiedzieć, że ze-rwałeś z Hetharu.

• Rozpoznają go w mgnieniu oka - rzucił Fwar. - Szybko, okryjcie czymś tę zbroję.

Choć to Fwarowi przyszło do głowy, rada była dobra. Vanye zsunął hełm, rozsznurował kotję i rozpuścił włosy, tak jak to robili Ludzie Kurhanów. Fwar zrzucił szybko tunikę z szorstkiej wełny i podał mu ją.

165

— Narzuc to na siebie, bękarcki kuzynie Roha, i trzymaj się z tyłu za nami.

Uczył to, naciągając tę nie praną część garderoby na swe skóry i kolczugę, i skróciwszy wodze, cofnął się pomiędzy sforę wilków Fwara, gdzie mniej się wyróżniał. Jego twarz oblał gorący rumieniec gniewu na uzbijającą uwagę Fwara. O właściwym stopniu łączącego ich pokrewieństwa mógł się dowiedzieć jedynie od Roha. Był tym zaniepokojony — tym bardziej, że Roh, którego znał, był bliskim krewnym jego matki, a obelga nie przynosiła honoru klanowi Chya ani domowi Roha.

Ludzie Fwara otoczyli go zwartą grupą. Mieli ciemne włosy i żaden nie dorównywał mu wzrostem. Starał się skurczyć w sobie, by jego postura nie rzucała się tak bardzo w oczy. Niewiele więcej można było zrobić, jeźdźcy — sądząc z wzbitego przez nich kurzu — zbliżali się teraz do nich wielkim pędem. Nie ulegało wątpliwości, że zamierzają się z nimi spotkać.

— Obóz Sotharra — wymamrotał człowiek po jego lewicy. — To są ludzie Shiena.

Roh z Fwarem u boku ruszyli naprzód, by spotkać się z nimi w pewnej odległości od własnego oddziału; zręczny manewr na wypadek, gdyby to w istocie był Shien. Nadjeżdżający jeźdźcy zwolnili kroku swych koni i w końcu osadzili wierzchowce w miejscu; trzech z nich, zapewne przywódców, wysforowało się do przodu. W oddziale Fwara po kryjomu naciągnięto cięciwy na łuki i chwycono za strzały.

Rzeczywiście był to Shien. Vanye rozpoznał młodego khala i złożył niebiosom dzięki za to, że dzieliła ich tak duża odległość. Konie parskały i znużone tańczyły niespokojnie pod nimi. Początek rozmowy wydawał się nader pokojowy, lecz po chwili rozległy się podniesione głosy. Shien żądał, by pod jego dowództwem zawrócili do jego obozu.

• Nie chcę, by te szumowiny z Kurhanów jeździły, gdzie im się podoba, i wkraczały na nasze terytorium. Tyle zawadzają, co pomagają. Nie słuchają niczyich rozkazów.

• Moich słuchają — odparł Roh. — Z drogi, panie Shien, zastępujesz nam szlak.

— Nuże, jeźdźcie zatem, lecz wkrótce natkniecie się na puszcę. Śmierć twoich ludzi to niewielka strata, lecz jeśli chodzi o ciebie... Nikt nie wyszedł żywy z tego rejonu i siłą cię powstrzymam, panie Rohu. Zbyt wielkie grozi ci niebezpieczeństwo.

Roh podniósł rękę, a Hiua unieśli napięte łuki.

— Odjeżdżajcie — rzucił Roh.

Shien spojrzał z niedowierzaniem, oszołomiony nieposłuszeństwem Ludzi.

• Zupełnie oszalałeś.

• Odjeżdżajcie albo dowiedcie się, jakie są granice mojego szaleństwa.

Shien cofnął wierzchowca, a wraz z nim jego eskorta, i zawróciwszy nagłym szarpnięciem, odjechał do swych wojów połyskujących łuskami zbroi i ostrzami dzid. Jeden z Ludzi z Kurhanów szeptem wzywał imiona kilkunastu bogów, polecając się ich opiece.

Roh ruszył do przodu, Fwar z Trinem obok niego, a za nimi cała kompania, mijając stojących nieruchomo i przyglądających się im jeźdźców Shiua. Najpierw odstonili się przed nimi z boku, a później odwrócili do nich plecami, jednak Shiua nie drgnęli. W końcu postacie zmały wraz ze zwiększającą się coraz bardziej odległością i Roh poderwał swych ludzi do galopu, którym jechali,

póki starczyło wytrzymałości koniom. Mimo to w drodze zastał ich zmrok. Zatrzymali się dobrze po zapadnięciu ciemności i wyczerpani zeskoczyli z siodeł.

Fwar zażądał zwrotu swej tuniki. Vanye chętnie mu ją oddał i zajął się zarówno koniem Roha, jak i Fwara, bo Człowiek z Kurhanów rzucił mu wodze dokładnie tak, jak uczynił to Roh, ku ogólnej uciechu całej kompanii. Kpili z niego na każdym kroku. „Bękart” stało się ogólnie przyjętą obelgą, gdy stwierdzili, że można go nią kłuć jak sztyłem.

Starął się nie zwracać na to uwagi. Uporał się z końmi i wrócił, przechodząc przez całą kompanię Hiua do Roha, obok którego siedział Fwar. Ledwie usiadł, Fwar schwycił go za ramię i brutalnie ciągnąc, odwrócił w swoją stronę.

107

— Ty jesteś naszym przewodnikiem, prawda? Tak po wiada pan Roh. A zatem, co mieli Shiua na myśli, mówiąc o niebezpieczeństwie grożącym w puszczy?

Stracił rękę Fwara.

• W puszczy — odezwał się ostrożnie — w puszczy wszędzie grożą niebezpieczeństwa. Mogę was przez nie przeprowadzić.

• Co za niebezpieczeństwa?

• Inni. Qhalowie.

Fwar zasepił się i spojrzął na Roha.

• Morgaine ma sprzymierzeńców — odezwał się cicho Roh.

• W jaką to pułapkę nas zawiodłeś? Raz jej zaufaliśmy i dostaliśmy nauczkę. Teraz budzi się we mnie nieufność.

• Zatem znalazłeś się w kiepskim położeniu, nieprawdaż? Z jednej strony Hetharu, Shien z drugiej, a do tego puszcza, w której żaden z nas jeszcze nie znalazł drogi, którą można by przebyć bezpiecznie...

• Twoja umowa.

• Porozmawiajmy na osobności; odejdz, Vanye.

• Dopilnuj tego, Trin.

Vanye podniósł się z trudem z ziemi, lecz Trin był szybszy i schwycił go za ramię, by odciągnąć daleko na drugą stronę obozu, gdzie spętano konie. Tam się zatrzymali.

Fwar i Roh rozmawiali poza zasięgiem głosu, jak dwa cienie w ciemności. Vanye wpatrywał się w nich, próbując mimo wszystko złowić jakieś słowo, starając się lekceważyć swego strażnika. Nagle Trin złapał go od tyłu za kołnierz i na siłę odwrócił.

— Siadaj.

Vanye postąpił tak, jak sobie życzył jego strażnik, a Trin stanął nad nim i kopnął go lekko w jego unieruchomioną łubkami nogę; taka drobna złośliwość od niechcenia.

— Pędzej czy później rozłączymy was — dodał Trin.

Nic na to nie odpowiedział, na własną modłę planując przebieg tego spotkania.

— Jest nas trzydziestu siedmiu i wszyscy mają z tobą porachunki do uregulowania.

Wciąż siedział milczący i Trin ponownie zamachnął się nogą. Uchwycił go za stopę i przekręcił. Trin upadł, płosząc konie i wzywając pomocy. Ludzie skoczyli w jego kierunku. Vanye zadał Hiua cios i chwycąc się stanął nad jego rozciągniętym na ziemi ciałem. Skacząc na jednej nodze, dobył pugnału zza pasa i przeciął postronek. Koń spłoszył się i przysiadł na zadzie; złapał go za grzywę i wskoczył na jego grzbiet w chwili, gdy uderzyła w niego czarna fala. Wierzchowiec zarżał, potknął się i zrolował, pokonany przez ludzi. Przerażone konie szarpały się na postronkach, rżąc głośno. Vanye uwolnił się od padającego zwierzęcia, spadając wprost w falującą masę Hiua, prawie pod kopyta innego. Ciął na oślep, lecz stracił sztył, wykręcone ramię niemal mu pękło. Postawiono go na nogi; ktoś chwycił go za ramię na piersi i szarpnął do przodu. Zamierzyły się na niego, ale spostrzegł lśniąca łuski, po których rozpoznał właściciela zbroi. Roh zaklął szpetnie i potrząsnął nim. Odrzucił włosy sprzed oczu, gotowy stawić czoła im wszystkim. Jeden nawet próbował skoczyć na niego — Trin, żywy, z okrwawioną twarzą i ze sztyłem w dłoni. Fwar powstrzymał napastnika, odebrał mu nóż i odegnął pozostałych od Vanye.

— Me — rzucił. — Nie. Zostawcie go w spokoju.

Hiua odstąpili zasepieni i zaczęli się rozchodzić. Vanye, ogarnięty gniewem, dygotał konwulsyjnie. Koniec końców udało mu się zacerpnąć tchu. Roh dotąd go jeszcze nie puścił, więc złapał go za rękę i uwolnił się z uchwytu.

— Próbujesz zbiec? — zapytał Roh.

Milczał; było oczywiste, co zamierzał zrobić.

Roh chwycił go za nadgarstek i — obróciwszy dłoń w górę — z rozmachem wsadził mu w nią rękojeść pugi.

— Schowaj go i dziękuj mi za to.

Opadł na ziemię i dopełnił obrządku posłuszeństwa. Roh stał, przez chwilę mierząc go wzrokiem, a potem odwrócił się i odszedł. Na dłużej zatrzymał się Fwar. Vanye, gramoląc się z ziemi, spodziewał się złości z jego strony, lecz nagle przypomniał sobie zmieszany, że to Fwar obronił go przed swymi ludźmi.

i en

— Niech ktoś schwyta konia — rozkazał w końcu Fwar, na co jeden z Ludzi z Kurhanów ruszył w kierunku zwierzęcia, które zakończyło swą ucieczkę, zatrzymując się niedaleko spętanych koni.

Vanye zrobił krok, by wrócić za Rohem, lecz Fwar ujął go za rękę.

— Chodź — powiedział i przeprowadził go przez tłum ziomków.

Nikt nie podniósł na niego ręki. Trina, który wciąż mu groził, Fwar odciągnął na stronę i pomówił z nim. Rozmowa uspokoiła Trina i w całym obozie zapanował spokój.

Zaskoczony tą tak nieoczekiwaną tolerancją Vanye rozejrzał się wokół z niedowierzaniem. Rzucił okiem na Roha, lecz ten odwrócił od niego swą twarz i rozpoczął przygotowania do wypoczynku.

ROZDZIAŁ XI

Wyruszyli jeszcze przed brzaskiem i ciemna linia Shat-hanu wygięła się na północnym horyzoncie, zanim dzień zdążył rozpocząć się w pełni. Przez cały czas w kompanii panowała dziwnie napięta atmosfera. Parami, trójkami jeźdźcy zostawali z tyłu, by porozmawiać przez chwilę przed dołączeniem do reszty.

Nie uszło to uwagi Vanye, lecz pomyślał, że Roh nie ma odwagi zapytać ich o to, gdyż jak zwykle na krok nie oddał się od jego boku Fwar. Chyba jestem szalony — myśl ta nieprzerwanie kołatała się w jego głowie — by mieć do niego jeszcze choć krzynek zaufania. Bał się. Gnębiła go obawa, której nie mogło uśmierzyć to, że zbliżali się do Shathanu, bo lękał się wjazdu i w tę czeluść...

Napiął unieruchomione łódkami kolano i doszedł do wniosku, że mając wierzchowca pod sobą, jest zdrowym człowiekiem, a bez niego — martwym. Jazda na koniu, nieważne jak szybko, w tym mrocznym labiryncie korzeni i wykrotów była niepodobieństwem; ucieczka pieszo, kulejąc, nie dawała lepszych nadziei. Stał przed otwartą kwestią: jak długo uda mu się stać na czele tej bandy, zanim ktoś nie zagrozi mu drogi.

Jednakże Roh wciąż pozwalał mu ustalać kierunek, nawet po ostrzeżeniu Shiena, zamykając usta gderającemu Fwarowi. Uciszone wszelkie sprzeciwy; jedynie na tyłach maszerującej kolumny pozwalano sobie na szept.

Po południu zatrzymali się i usiedli na ziemi z postronkami w dłoniach, pozwalając wytchnąć wierzchowcom, racząc się odrobiną żywności i wody. Juki rozpakowano na tyle tylko, by można je było szybko z powrotem zwinąć i ruszyć co koń wyskoczy. Przystąpili do gry — starczyły noże i zręczność — a wyimaginowaną stawką były domniemane łupy zdobyte na khalach. Szybko podniósł się pełen plugastwa zgiełk. Roh usiadł z poważną twarzą. Jego

oczy spoczęły na Vanye, jednak nie przerwał milczenia. Nagle pojawił się w nich błysk i Roh wbił wzrok w coś za jego plecami. Vanye odwrócił się i ujrzał mgiełkę pyłu na południowym horyzoncie.

- Myślę, że powinniśmy ruszać — powiedział Roh.
- Tak — mruknął.

Nie było wątpliwości, kto to mógł być. Stamtąd mógł ciągnąć jedynie Hetharu. Hetharu ze swoimi jeźdźcami i horda Shiua w trop za nimi.

Fwar zaklął grubiańsko i rozkazał swym ludziom dosiąść koni. Skoczyli na równe nogi, zapominając o grze, dociągnęli popręgi, sprawdzili wędzidla i wskoczyli na konie w gorączkowym pośpiechu. Vanye, znalazłszy się w siodle, zawrócił wierzchowca, by rzucić jeszcze jedno spojrzenie.

Nie był to już tylko jeden punkt na widnokręgu, lecz łuk wyginający się od południa na zachód, na poły ich osaczający.

- To Shien — krzyknął. — Shien przyłączył się do nich.

• Tuman będzie widoczny w obozie Sotharrów — ocenił Fwar, klnąc szpetnie. — I tam, i wśród zebranych w pobliżu Narnu. Nie omieszkają natychmiast wyruszyć w tę stronę.

Roh nic na to nie odrzekł, tylko dźgnął ostrogą bok karej klaczy. Cała kompania, nie ociągając się, ruszyła za nim, zmuszając wierzchowce do desperackiej ucieczki. Ani ostrogi, ani knut nie mogły pomóc najsłabszym dotrzymać kroku i od razu rozciągnęły się w łańcuch. Vanye troszczył się o swego gniadego wałacha od samego początku. Niezgrabne zwierzę — któremu przyszło nieść jeźdźca postawniejszego od Hiua i do tego w zbroi — podczas całej wędrówki nie cierpiało przynajmniej na brak troskliwości ze strony jeźdźcy. Vanye zajął teraz miejsce w ogonie, bo na razie nie trzeba było pędzić w czołówce — najważniejsze, by nie odstawać od reszty. Khalscy jeźdźcy doganiali ich. Spojrzał za siebie i dojrzał błyski metalu przebijające przez pył wzbity kopytami ich własnych rumaków. Nie ulegało wątpliwości, że khalowie — dosiadający lepszych rumaków — zajeżdżają je na śmierć, byle przeciąć im drogę; tak samo wyraźnie jak i oni widzieli rozciągającą się z przodu puszcę.

Roh wysforował się znacznie przed pozostałych, jedynie garstka Hiua mogła dotrzymać mu kroku. Jeździec przed Vanye przesadził krzew, który wyrósł nagle przed nimi lecz on, pamiętając o wykrotach, poszukał łatwiejszej drogi i ominął przeszkodę. Zagryzł wargę i nie przynaglił wierzchowca, utrzymując obrane tempo, a mimo to wyprzedził trzech Hiua.

Obłoki kurzu wzbijały się nie tylko za nimi, lecz i od strony wschodniej, te były bliżej nich, co nie wróżyło nic dobrego.

Inni również ujrzeli ten skrzący się jasno na równinie tłum zbrojnych, który tak nagle pojawił się na ich drodze, jakby za sprawą magii. Hiua wrzasnęli ostrzegawczo; kluli i chłostali swe konie, wyczerpując je niemal do cna, tak jakby przez to mogli coś zyskać, pędząc po terenie, gdzie mogliby je okulać nawet idąc stępą. Jakies zwierzę potknęło się i upadło, tarasując sobą przejście następnemu. Vanye spojrzął za siebie; jeden z jeźdźców wywodził się z bagien, jego towarzysz zawrócił, by wziąć go na siodło, nie zwracając uwagi na drugiego — jednak wkrótce przeciążony wierzchowiec zgubił rytm kroku i zaczął coraz bardziej odstawać.

Vanye zaklął; był Kurshinem, kochał konie i ze smutkiem przyjmował to, co się działo. To sprawa Roha, pozbawionego serca, jak to u Andurina, pomyślał; lecz tylko dlatego, że na kimś musiał wyładować swą złość za takie okrucieństwo. Pogodził się z tym i dotrzymywał im kroku, choć drobny wałach spływał potem, a jego własne wnętrzości i stawy przypominały mu boleśnie każdą zadaną mu na tej ziemi ranę.

Przed nimi rozpostarła się szeroko puszcza, jednak qhals-cy konni zbliżyli się prawie na odległość strzału z łuku. Zafurkotały strzały, jednak nie dosięgły ich i poszły na marne. Łucznicy opóźniali jedynie swój pościg, niczego nie zyskując na taką odległość.

Vanye już nie trzymał się w tyle: trzy, cztery wierzchowce, które biegly najbliżej czołówki, zgubiły krok i zostały za nim tuż przed skrajem puszczy, która być może leżała jeszcze w ich zasięgu.

T70

— Hai! — krzyknął, nagle spinając ostrogi. Wystraszony wałach odsądził się od wyprzedzanych i począł zmniejszać dystans dzielący go od czołówki, ścigając karą andurską klacz Roha. Vanye pochylił się głęboko, pomimo że strzały wciąż padały wkoło, niecelne. Puszcza otwierała się na wyciągnięcie ręki. Roh już wtopił się w zielony cień, a za nim Fwar i Trin; on dotarł tam czwarty, a dopiero za jego plecami pozostali, momentalnie zwalniając w splątany gąszczu. Jednemu z jeźdźców się to nie udało i koń popędził dalej samotnie.

Vanye uniknął nisko wiszącego konaru i przymusiwszy wyczerpanego wałacha, wysunął się do przodu.

— Chodźcie — rzucił, dysząc ciężko, i nikt nie zaprotes tował.

Pomimo wyczerpania wałach stał pewnie na nogach. Zważając i na ziemię, i na wiszącą nad głową gęstwina gałęzi, Vanye prowadził ich krętą ścieżką tak szybko, jak na to pozwalały wyczerpane zwierzęta; skręcał to tu, to tam — zszedł w dół zasypanego liśćmi zbocza i wspiał się pod górę innego. Za nimi, z trzaskiem tratowanych roślin, torując sobie drogę tam, gdzie jej nie było, do puszczy wjechało więcej jeźdźców. Byli to ich towarzysze lub co nieostroż-niejsi ze ścigających. Gdzieś z tyłu dobiegł go jęk człowieka, lecz Vanye nie obejrzał się za siebie; nie obchodziło go, kto go wydał. Oddech jego wałacha przypominał sapanie miechów kowalskich. Odczuwał całym ciałem, gdy zwierzęciu od czasu do czasu zatrzęsły się nogi z wyczerpania. Lekko trącał go obcasami, przemawiając doń w swym ojczystym języku, tak jakby zwierzę mogło zrozumieć mowę Morij.

Obejrzał się. Roh wciąż trzymał się niedaleko, tuż za nim Fwar i Trin, a potem jeszcze dwóch konnych. Gdzieś poza polem widzenia zatrzeszczały krzewy. Na jego oczach z gęstwiny wyłonił się jeździec, który z trudem zszedł w dół zbocza — był to Minur; jego koń z ledwością stawiał kroki na łagodnym zboczu.

Dotarł nad strumień tak płytki, że woda ledwie przykrywała kopyta koni. Jego koń chciał przystanąć, nie zezwolił mu jednak na to i zmusił do wejścia pod górę, gdzie — zgodnie ze swoimi przewidywaniami — natknął się na ścieżkę. Nie zmuszał wałacha do zwiększenia wysiłku, dbał jedynie o to, by szedł równym krokiem. Cienie stały się mroczniejsze, nie tylko z powodu gęstwiny, lecz i dlatego, że słońce chyliło się coraz niżej. Obrócił się w siodle i ujrzał, iż wciąż dotrzymują mu kroku Roh, Fwar, Trin, Minur i jeszcze kilku. Trzech z nich jechało najbliżej. Fwar także się obejrzał i gdy się ponownie odwrócił, z jego wzroku można było wyczytać, że w końcu zrozumiał.

Vanye wbił ostrogę, schylił się nisko i ruszył ścigany okrzykami, tuż za sobą słysząc wciąż tętent kopyt. Ścieżka znów biegła w dół, obok powalonego drzewa. Wałach zmierzył skłon wzrokiem i spłoszył się. Vanye płynnym ruchem skrócił mu wodze i zawrócił w miejscu, ze świstem dobywając miecza.

Fwar wjechał prosto na niego, także z nagim mieczem w dłoni. Vanye przypomniał sobie jego łuskową zbroję pod tuniką i ciął wysoko. Fwar odparował cios. Vanye wbił ostrogę, obronił się przed atakiem i ciął w dół, gdy jego wałach przysiadł na zadzie. Fwar krzyknął, zwalając się pod kopyta swego wierzchowca, który zaczął się cofać, gdy obok przebiegł inny koń bez jeźdźca. Zwierzęta zderzyły się i stoczyły po zboczu, zabierając ze sobą zaplątanego między nimi Fwar a.

Trzeci był Minur. Vanye zawrócił potykającego się wałacha i odparował cios. Od wstrząsu aż zdrtwiała mu palce i ciął na ukos. Rozpacz dodała mu sił. Minur powinien próbować zasłony; nie zrobił tego. Długa klinga natrafiła na swej drodze jedynie na głowę. Człowiek z krainy Kurhanów umarł w milczeniu i zwałił się z konia.

— Hai! — zawył Vanye i spinając konia ostrogą, na oślep rzucił się na pozostałych. Ciął w prawo i w lewo, zostawiając dwa puste siodła; nie wiedział nawet, kto to był. Wałach stanął, gdy zderzył się z nim jakiś koń i zachwiały się pod nim nogi. Ściągnął wodze i ujrzał "a swej drodze Roha — w siodle, jednak odwróconego twarzą w inną stronę, z napiętym łukiem i jedną ze swych zielono upierzonych strzał wycelowaną w mroczny przesmyk między drzewami, gdzie znajdowali się wyłącznie zmarli.

— Rohu! — zawołał do niego Vanye.

Strzała zerwała się do lotu. Roh ściągnął wodze i zawrócił konia w jego kierunku, za nim poleciał grad strzał o białych piórach, lecz żadna z nich nie była celna. Vanye także zawrócił i popędził wałacha z powrotem na pochyłość. Kara klacz trzymała się tuż za nim.

Za ich plecami rozległ się okrzyk, pełen gniewu i rozpacz. Vanye wprowadził wierzchowca na przeciwny skłon, słysząc za sobą trzask łamanych krzewów. Potykając się, wałach wspiał się na łagodne zbocze, zrobił jeszcze kilka kroków i nogi się pod nim ugięły. To był kres jego sił. Vanye ześliznął się na ziemię i przeciął popręg, uwolnił go od siodła, zerwał uździenicę i dał mu siarczystego klapsa, by pobiegł dalej. Roh uczynił to samo z karą klaczą, choć ona mogła go ponieść, odwrócił się i nasadził na cięciwę jedną ze swych dobrych strzał Chya.

— Nie wygubiliśmy ich dostatecznie wielu — powiedział Vanye ostatnim tchem, ścisnął swój okrwawiony miecz i z żalością pomyślał o łuku utraconym wraz z Mai.

Trzask łamanych gałęzi pod nogami ścigających rozlegał się coraz bliżej. Nagle zamarł, po prostu ucichł. Nastąpiła cisza, zakłócana jedynie ich ciężkim sapaniem.

Roh zaklął miękko.

Rozległ się jęk, a potem drugi. Puszcza wypełniła się cienkimi pojękiwaniami i raptem tuż obok nich rozległ się głośny trzask w zaroślach, który tak Roha wystraszył, że o mały włos nie wystrzelił. Wypadł na nich koń bez jeźdźca, oszalały z przerażenia. Ze wszystkich stron słychać było rżenie koni i trzask gniecionych gałęzi.

A potem zaległa cisza.

Liście na krzewach cicho szeptały wokół nich. Vanye upuścił miecz na zeszcłe liście, wbijając oczy w ciemność, czując jak jeżą mu się włosy na karku.

— Odłóż swój łuk — syknął do Roha. — Rzuć go, bo nie wyjdziemy z tego z życiem.

Roh uczynił to i stanął bez ruchu jak posąg — bez żadnych pytań.

To tu, to tam poruszył się jakiś cień. Rozległo się ciche ćwierkanie.

— Ich broń jest zatruta — wyszeptał Vanye. — Ludzie naszej rasy gorzko tego doświadczyli. Nie ruszaj się; nie porusz się bez względu na to, co zrobią. — Z szeroko rozłożonymi rękami, kulejąc, odsunął się nieco od Rona. Na chwilę stanął nieruchomo, a potem ostrożnie odwrócił się, po kolei zwracając się twarzą we wszystkie cztery strony, badając wzrokiem każdą ćwiartkę puszczy, dopóki nie spostrzegł osobliwego cienia, przycupniętego jak gniazdo mchu w rozwidleniu drzewa. Ogromne, żywe oczy skupiły się na nim, osadzone w tułowiu o niespotykanym kształcie.

Zrobił w jego stronę znak taki sam jak Lellin, a kiedy nie było żadnej reakcji, zgiął swą zdrową nogę i niezgrabnie uklęknął, cały czas trzymając ręce daleko od siebie, by widać było, że nie jest uzbrojony.

Istota poruszyła się. To niesamowite, jak zsunęła się z drzewa, przylegając tylko do pnia, tak jakby do niczego jej nie były potrzebne gałęzie, i stanęła nad nim, uważnie go obserwując, wysoka, o kończynach jak szczudła. Nagle ze wszystkich stron zerwały się przypominające ćwierkania głosy i w zapadającym zmierzchu zaczęły się pojawiać cienie, majestatycznie wychodzące zewsząd na ścieżkę.

Istoty stanęły nad klęczącym. Vanye ani drgnął, gdy kładli mu ręce na ramionach, dotykali rąk. Szczupłe mocarne palce szczypały jego ubranie i zbroję. Zbliżyli się i postawili na nogi, a on odwrócił się i zajrzał im w ich dziwaczne twarze, drżąc na całym ciele.

Przemówili do niego, szarpiąc za ubranie; cienki ton błyskawicznego terkotu ich mowy zabarwił się gniewem.

— Nie — wyszeptał i kładąc dłoń na sercu, zasygnalizował powoli: „przyjaciel, przyjaciel”.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Powoli podniósł rękę i wskazał ścieżkę wiodącą w stronę, w którą chcieli iść. Ujrzał, że druga grupa przygląda się Rohowi, zachowującemu śmiertelny spokój pod dotykiem ich nieludzkich rąk. Vanye chciał podejść do niego, lecz nie pozwolili mu zrobić tego samodzielnie: przywiedli go do Roha, mocno trzy-

177

mając. Przeczesał wzrokiem okolicę i stwierdził, że jest ich dziesięciu, może dwudziestu. Ciemne twarze o niezgłębionych oczach wydawały się wyprane z wszelkiego uczucia czy oznak rozsądku.

- To są harilowie — powiedział cicho do Roha. — Należą do puszczy... są jej częścią, całkowicie.
- Sprzymierzeńcy Morgaine.
- Niczyi sprzymierzeńcy.

Zmierzch przechodził w noc, cienie stały się bardzo gęste. Pojawiało się coraz więcej harilów.

Wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Ich ćwierkające głosy zlały się w prawdziwą, ogłuszającą kaskadę. Być może była to dysputa, a może śpiew. Lecz w końcu na scenę majestatycznie wstąpiły jeszcze jakieś cienie, które dotychczas milcząco obserwowały rozwój akcji. Ćwierkanie ustało jak nożem uciął, zapadła odrętwiająca cisza.

— Amulet — rzekł Vanye. — Rohu. Amulet. Czy wciąż jeszcze masz go przy sobie?

Roh bardzo wolno sięgnął dłonią kołnierza i wydobyl amulet spod odzienia. W świetle gwiazd na drżącej ręce Roha załśnił srebrny krążek. Jeden z harilów dotknął go i zaczął cichutko.

Jedna z wysokich istot, które przybyły na końcu, wysunęła się do przodu, godnie krocząc jak czapla, niespiesznie, przystając co chwilę. I ona obmacała amulet, a potem dotknęła twarzy Roha. Gdy się odezwała, jej głos zabrzmiał głębiej — przypominał rechotanie żaby.

Vanye ponownie uniósł ostrożnie rękę, wskazując na ścieżkę, którą chcieli się udać.

Nie było odpowiedzi. Postawił krok i nikt go nie powstrzymał; jeszcze jeden i jeszcze jeden. Schylił się bardzo wolno i podniósł z ziemi swój miecz, by wsunąć go do pochwy. Wolno ruszył dalej. Wtedy Roh, poruszając się ostrożnie, podniósł swój łuk. Harilowie milczeli, stojąc w zupełnej ciszy, której nie zmącił nawet żaden dźwięk dobiegający z puszczy. Puszczono ich wolno.

Z drzew posypał się deszcz gałązek. Nie zatrzymali się i szli dalej, nikt nie zagroził im drogi. Poszli ścieżką w dół

ich plecami zaszeleściły trawy. W koronach drzew odezwało się ćwierkanie.

— Zaplanowałeś to — rozległ się ochryply głos Roha.

Shien wiedział o tym. Mam, czegom chciał.

• A co miało mnie spotkać? — odparł Vanye niemal szeptem, gdyż zakłócenie głosem ciszy tego miejsca napawało lękiem. — Obiecałem jedynie iść razem z tobą i strzec twych pleców, kuzynie. Co takiego uknułeś z Fwarem, że poczuł się tak ukontentowany?

• Myślisz, że coś mu przyrzekłem? Co?

Nic nie odpowiedział. Szedł kulejąc *mocno*, potykając się o płataninę korzeni i ślizgając na mulistej, porośniętej mchem ziemi. Płynący obok nich strumień kusił wodą. Nie mieli jednak odwagi się zatrzymać, by ugasić pragnienie, dopóki oddech nie zaczął palić ich gardel.

Vanye przyklęknął na jedno kolano i przytknął do ust złożone dłonie wypełnione zimną wodą. Roh uczynił podobnie. Napili się tyle, ile zdołali. Zaszeleściły liście. Dookoła nich sypnął grad gałązek, liście i kawałki kory uderzyły w wodę. Podnieśli się, gdy zaczęły spadać większe fragmenty. W puszczy poruszyły się jakieś cienie. Zaczęli iść i gałęzie drzew znieruchomiały. Nadeszła chwila, kiedy musieli odpocząć. Vanye upadł na ziemię, zaciskając rękami obolałe kolano, a Roh rozciągnął się pośród liści, zdyszany. Opuścili brzeg strumienia ścieżką, która się przed nimi otwarła. Wokół mieli jedynie mrok.

Nagle znów zatrzęsły się gałęzie. Rozległ się trzask łamanego drzewa, niebezpiecznie blisko spadł gruby konar, łamiąc młode drzewo. Vanye poszukał oparcia i z wysiłkiem stanął na nogach, a Roh nie zwlekając skoczył na równe nogi. Obsypały ich gałązki. Ruszyli i wszystko ustało.

— Jak daleko będą nas gnać? — zapytał Roh, drżącym ze zmęczenia głosem. — Czy chodzi im o jakieś szczególne miejsce?

— Do rana, dopóki nie wypędzą nas ze swojego lasu.

Zaczeplił o coś chorą nogą i upadł. Dźwignął się z ziemi

i nn

«

z wysiłkiem, od którego pociemniało mu w oczach. Omalże nie zbuntował się i nie rozciągnął na ziemi, by przekonać się, co warte są ich groźby, jednak zbyt dobrze wiedział, co by zrobili. Harilowie już i tak uczynili wiele, nie zabijając ich razem z pozostałymi. Możliwe, że przynajmniej jeden lub dwóch przypomniało sobie, iż spotkali go u boku aħala. Jeśli w ogóle posiadali pamięć, jeśli za tymi ogromnymi oczami kryła się jakakolwiek myśl przypominająca ludzką. Okrutni jak siły natury, bezwzględni. Dopną swego. Oczyszczą swą puszcę z obcych. Domyślił się, że zezwalając im na swobodny przemarsz, harilowie okazali im swą litość, i siedł oczadziały z wyczerpania. Raz natrafili na inną, szerszą ścieżkę i wstąpili na nią, lecz natychmiast spadły na nich gałązki, sypnęły im w twarze, a świergot przybrał gniewny ton.

— Wracaj — nakazał popychając Roha, który nie chciał się z tym pogodzić.

Zawrócili i powlekli się inną, trudniejszą ścieżką, która wiodła ich głębiej w las.

*

Upadł. Śliskie liście umknęły spod jego dłoni i przez chwilę leżał bezradnie. Usłyszał ostrzegawczy świergot, a Roh złorzeczając chwycił go pod ramię.

— Wstawaj — powiedział i postawiwszy go na nogi, złapał wpół i szedł podtrzymując go, dopóki jako tako nie przyszedł do siebie.

Wstawaj dzień i zaczęło szarzeć. Idące w ślad za nimi cienie zaczynały odcinać się wyraźniej, czasami błyskawicznie przesuwał się obok nich w gąszczu. Nie mógłby tego uczynić żaden człowiek.

W jasnym świetle dnia ucichły wszelkie szmery. Nic już nie zakłócało spokoju drzew, jakby ich pasterze stopili się w jedno z korą, mchem i liśćmi.

— Odeszli — Roh odezwał się pierwszy, zwolnił kroku i ciężko oparł się o drzewo.

Vanye rozejrzył się dookoła. Ponownie zaczął tracić przytomność. Roh złapał go za rękę i pomógł mu rozłożyć się na ziemi tam, gdzie stał, na posłaniu z uschniętych liści. Leżał tak, bez czucia, przez chwilę.

Obudził się, czując dotyk na twarzy. Stwierdził, że teraz leży na plecach, a zimna dłoń Roha obmywa mu czoło.

• Za tymi drzewami płynie strumień. Zbudź się, zbudź. Nie możemy pozwolić, by jeszcze jedna

noc zastała nas w tym miejscu.

- Tak — wymamrotał i poruszył się z głośnym jękiem, czując ból w całym ciele i kończynach. Roh podtrzymał go, gdy dźwigał się na nogi, pomógł mu zejść nad brzeg. Ugasił pragnienie i obmył obolałą głowę. Na rękach i zbroi zobaczył krew. Fwar, przypomniał sobie i zmył ją ze wstrętem.

- Gdzie jesteśmy? — zapytał Roh. — Co chcesz tutaj znaleźć? Tylko takich jak oni?

Potrząsnął głową.

- Zgubiłem się. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.
- Kurshin — rzucił Roh, jakby to było przekleństwo. Roh spędził całe swoje życie w Andurze i był wychowany w lesie, a Kurshinowie byli ludem zamieszkującym góry i doliny. — Drogę wskazuje przynajmniej strumień. — Machnął ręką w dół nurtu. — I bród, przy którym była ona.

- Który leży za lasami harilów. Jeśli masz ochotę obrać taką marszrutę, idź sobie; mnie ani się śni. To był twój pomysł, by zrobić ze mnie przewodnika. Nigdy nie mówiłem tego, co powiedziałeś Fwarowi.

Roh spojrział na niego przeciągle.

- To prawda, a jednak wiedziałeś, jak wprowadzić nas w pułapkę tych stworzeń i dotarłeś aż tutaj. Myślę, że ukrywasz przede mną prawdę, mój kuzynie z Kurshu. Może się i zgubiłeś, lecz wiesz, jak się odnaleźć. I Morgaine.

- Idźże, do krócsset. Oddałbyś mnie Hiua, gdyby taka godzina wybiła.

- Mego krewnego? Obawiam się, że zbyt dumny jestem, by dobić takiego targu. Czy twe myśli biegną tylko takim torem? Nie, obiecałem im ciebie, gdy pochwycimy Morgaine, lecz i ja potrafię nie mówić całej prawdy, kuzynie. Zgubiłbym ich po drodze. Słyszałem ostrzeżenia Shiena. Mogłem zawrócić. Ufałem tobie. Czy jeden Kurshin i An-

101

durin nie dorównują Hiua w lesie? Myślisz, że kiedykolwiek uważałbym ich za wygodnych sprzymierzeńców? Fwar nienawidził mnie niemal tak bardzo, jak ciebie. Zamierzał wbić mi sztylet w plecy w chwili, gdy Morgaine przestałaby być już niebezpieczna, a on dostałby ciebie w swe ręce — bezbronnego. Takie to oczekiwania przyprawiły słodczą jego zachowanie. Myślał, że ma wszystko, co chciał: mnie, bym uporał się z Morgaine i na tyle głupiego, by pozbyć się jedyne go człowieka, który mógłby mnie ostrzec, gdy on zamierzałby się na moje plecy. Fwar myślał, że musi nas jedynie ścierpieć przy sobie przez chwilę, a zostanie panem tej ziemi. To, że ja mogę zaufać swemu śmiertelnemu wrogowi, nigdy nie przyszło mu do głowy. Fwar nie był tego rodzaju człowiekiem i brak wyobraźni przypłacił życiem. Lecz ty i ja, Vanye, jesteśmy inni. I ty, i ja wiemy, co to honor.

Vanye przeknęła ciężko ślinę, myśląc z niepokojem, że w tym mogłoby tkwić ziarno prawdy.

- Obiecałem strzec twoich pleców, nic więcej. Dotrzymałem słowa. Ty powiedziałeś, że będziesz szukał Morgaine, by z nią porozmawiać. Ha, nuże, ale bez mojej pomocy. Tu kończy się nasza umowa. Ruszaj własną drogą.

- Jesteś nad wyraz zadufanym kaleką, że mnie odtrącasz.

Vanye niezdarnie zaparł się stopami w ziemię i szarpnięciem zerwał swój miecz z haka;omalże przy tym nie upadł, lecz wsparł się plecami o drzewo. Jednak Roh nie podniósł się z klęczek.

- Pokój — powiedział Roh, podnosząc puste dłonie. Na jego ustach zagrał kpiący uśmiezek. — Zaiste, tobie naprawdę wydaje się, że możesz się beze mnie obejść w tym lesie, i wiem dlaczego. Lecz skoro jesteś tak okaleczony... nie, kuzynie, brzydzę się opuścić ciebie.

- Odejdź.

Roh pokręcił głową.

— Oto nowa umowa zatem, bym mógł z tobą pójść. Chcę jedynie pomówić z Morgaine... jeśli ona żyje, a jeśli nie...

jeśli nie, kuzynie, wtedy razem powinniśmy ponownie

rozważyć sytuację. To jasne, że masz w tej puszczy sprzymierzeńców. Myślisz, że nie jestem ci potrzebny. No cóż tak jest z pewnością, lecz i tak pójdę za tobą. Poza tym wiesz, że przede mną żaden Kurshin nie ukryje swego śladu. I czy nie wolałbyś raczej wiedzieć, gdzie jestem?

Vanye rzucił przekleństwo i zacisnął kurczowo dłoń na mieczu, nie obnażył go jednak.

— Czy wiesz — odezwał się ochryplym głosem — że Morgaine kazała mi poprzysiąc sobie, że cię zabije? I czyż nie rozumiesz, że nie mam żadnego wyboru tam, gdzie w grę wchodzi to przyrzeczenie?

Te słowa wypląsły uśmiech z twarzy Roha. Zamyślił się nad nimi. Po chwili, wzruszywszy ramionami i luźno złożywszy dłonie na kolanach, odezwał się:

- No cóż, w tym stanie raczej nie pokonasz mnie w pojedynku na miecze, prawda? Chyba że stanąłbym nieruchomo, a to nie przypadłoby ci do gustu. Pójdę z tobą i podporządkuję się decyzji

Morgaine.

- Nie — powtórzył Vanye i na twarzy Roha pogłębił się wyraz troski.
- Czyżby to był przykład dotrzymania wierności swojemu suzerenowi? Ostrzeżenie jej wroga, że nie ma litości, jest nieugięta, że nie bierze pod uwagę żadnych argumentów, gdy w grę wchodzi jej bezpieczeństwo? Moje najdawniejsze wspomnienia są jak sen, kuzynie, a sięgają zamierzchłych czasów i pełne są jej osoby. Hiua nazwali ją Śmiercią, khalowi z Shiuanu śmiali się z tego. Dawno już zaprzestali. Znam ją. Wiem, jakie mam szanse. Jednak khalowie nigdy nie przebaczą mi tego, co uczyniłem. Nie mogę wrócić, uwieźliby mnie na zawsze. Widziałem, jak postąpili z tobą, a szybko się uczę, kuzynie. Musiałem stamtąd wyjechać. Ona jest moją jedyną nadzieją. Vanye, jestem zmęczony. Zmęczony. I dręcą mnie sny.

Vanye wpatrywał się w niego. Zniknęły pozory dumy, kpiarski ton; głos Roha drżał, a w oczach pojawił się cień.

— Czy widzisz w nich... co Liell uczyniłby z nią i ze mną?

Roh uniósł oczy, w których mignęło przerażenie, głębokie i odległe.

-i no

- Nie wzywaj takich rzeczy. Wracają do mnie w nocy. Wątpię, byś chciał znać odpowiedź.
- Kiedy ty... śniesz o tym, co wtedy czujesz?
- Budzi to w Rohu obrzydzenie.

Vanye zadrżał, obserwując szaleństwo malujące się na twarzy Roha, oznakę toczonych zmagania, i osunawszy się, usiadł na brzegu strumienia. Roh objął się ramionami, trząsł się jak człowiek chory na febrę. W końcu dreszcze opuściły go i Vanye napotkał spojrzenie jego ciemnych, spokojnych oczu, zaciekawionych i kpiarskich.

- Rohu?
- Tak, kuzynie.
- Czas, byśmy ruszyli w drogę.

*

Szli brzegiem strumienia, który w Shathanie był nie gorszym drogowskazem od dróg. Można było na nim polegać bardziej niż na ścieżkach, gdyż wszelkie osiedla ludzkie skupiały się wokół wody. Czasami musieli się przedzierać: napotkawszy zarośnięte odcinki, drzewa wyginające się nad wąskim korytem albo schodzące nad samą wodę, powalone, tamujące bieg strumienia pnie — tworzące głębsze stawki. Wody im nie brakowało, lecz choć głód doskwierał im do żywego, nie mieli odwagi przystanąć i wymyślić, jakby tu nałowić ryb, w które obfitował strumień. Nie byłby to ulubiony posiłek Kurshina, lecz Vanye nie był wybredny, a Roh w swym życiu jadał rzeczy znacznie mniej smaczne.

Vanye szedł kulejąc, z Rohem za plecami. Nie zdradzał, czym się kierował, wyszukując drogę, choć niewykluczone, że Roh sam się potrafił domyślić. Znalazł sobie kostur i podpierał się na nim idąc, choć kolano nie doskwierało mu tak, jak pozostałe rany, którymi pokryty był niemal każdy cal jego ciała i które bolały go czasami tak, że aż lzy ciekły mu po policzkach. Nieustanne cierpienie trawiło go jak gorączka.

Około południa upadł i w jednej chwili zasnął, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Obudziwszy się, zobaczył leżącego nie opodal Roha. Podzwignął się, potrząsnął nim i znów razem wyruszyli w drogę.

- Spaliśmy zbyt długo — odezwał się Roh, z niepokojem spoglądając w niebo. — Minęło popołudnie.
- Wiem — odrzekł przejęty takim samym lękiem. — Nie możemy sobie pozwolić na ponowny postój.

Starał się wykrzesać z siebie wszystkie siły i iść jak najszybciej. Kilka razy odważył się nawet głośno zagwizdać, naśladując — na ile to było możliwe — ton gwizdów Lellina, lecz nie uzyskał żadnego odzewu. Dookoła nich nie było śladu żadnej zwierzyny, od czasu do czasu rozlegał się tylko łopot ptasich skrzydeł, jakby byli jedynymi żywymi stworzeniami w tej części Shathanu. Nie było w pobliżu ąhalów, a nawet gdyby byli, to widocznie woleli zachować ciszę i trzymać się poza zasięgiem wzroku. Roh też to zauważył: kiedykolwiek Vanye odwracał się, widział, jak jego niespokojne oczy śledzą otoczenie. Podzielał ten niepokój. Wędrowali przez okolicę zupełnie niesamowitą.

Dotarli do odwiecznego drzewa, którego pień, rozdarty błyskawicą i zżarty przez próchnicę, opleciono białym sznurem.

- Mirrind — powiedział głośno Vanye, czując przyspieszone bicie serca, gdyż teraz wiedział już doskonale, gdzie jest, dokąd zawiódł ich ten wąski strumień.
- Co to jest? — zapytał Roh.

• Osada. Powinieneś ją znać. Shiua zamordowali jednego z jej mieszkańców. — Pożałował swych słów, gdyż obaj byli u kresu sił, odchodzili od zmysłów i nie trzeba mu było wzniecać kłótni z Rohem. — Chodź. Ostrożnie.

Szukał zrytej koleinami drogi i odnalazł ją, choć starano się ją zatrzeć. Szedł kulejąc jak mógł najszybciej, gdyż noc ich doganiała. Być może idąc tą drogą zdoła odnaleźć obóz Merira... Nie był jednak jej pewien, a niewykluczone, że Merir zwinął obóz i nie znalazłby go na starym miejscu, nawet gdyby tam trafił. Teraz zależało mu tylko na tym, by zostawić harilów za plecami, bo ponownie ogarniały ich ciemności.

Poprzez drzewa nagle zaczęła prześwitywać pusta przestrzeń. Kiedy dotarli na skraj lasu, tam, gdzie niegdyś stał Mirrind, ich oczom ukazały się jedynie puste kamienne skorupy i wypalone szkielety z bali. Przeklął ten widok i ciężko oparł się o jedno z przydrożnych drzew. Roh rozsądnie nie powiedział nic i Vanye, pokonawszy wzruszenie ściskające mu gardło, ruszył, trzymając się cienia rzucanego przez drzewa i ruiny.

Zboże zostało na polach, choć rozpleniły się w nim chwasty, a ruiny wielkiej chaty pozostały nietknięte. Jednak zniszczenie w tym niegdyś tak pięknym miejscu było zupełne.

— Nie możemy się tu zatrzymać — odezwał się Roh. Jesteśmy w zasięgu obozu Sotharrów, ludzi Shienu. Zaszliszmy za daleko. Rusz głowę, kuzynie. Musimy unikać otwartej przestrzeni.

Vanye jednak ociągał się jeszcze, wodząc dookoła wzrokiem; dopiero po chwili odwrócił się z żalem i poszedł za radą Roha.

W ziemi przed ich stopami utkwiała rozedrgana strzała zakończona brązowymi piórami.

ROZDZIAŁ XII

Roh odskoczył w tył, jakby na widok węża i sięgnął po łuk.

- Ni: ie — powstrzymał go przed ucieczką Vanye.
- T«o twoi przyjaciele?
- Kiedyś. Być może są nimi jeszcze. Arrhendim, lher nthim ahallya Meriran!

Nie t>yło odpowiedzi.

- Zaskakujesz mnie na każdym kroku — powiedział Roh.
- Zachowaj ciszę — odparł Vanye. Jego głos drżał z ogromnego zmęczenia, milczenie było dla niego rozczarowaniem. Jeśli również arrhendowie obrócą się przeciw niemu, nie będzie nadziei.

— Ichemeisie — dobiegło zza jego pleców.

Odwrócił się. Za nim stał Człowiek — khemeis. Nie był to żaden z jego znajomych.

— Chodź.

Poszedł śladem nieznanego, ciągnąc za sobą Roha. Khemeis wtopił się w puszcę i kiedy dotarli w to samo miejsce, nie było po nim śladu. Weszli głębiej w cień drzew.

Nagle przed nimi ukazał się białowłosy qhal z napiętym łukiem w dłoniach, zakończona brązowymi piórami strzała była wycelowana w ich kierunku.

— Jestem przyjacielem Lellina Erirrhena — powiedział Vanye. — I khemeisem Morgaine. Ten człowiek to mój kuzyn.

Strzała ani drgnęła.

— Gdzie jest Lellin?

Serce zamarło mu w piersi. Ciężko wsparł się na swym kosturze, nie dbając, czy qhal wypuści strzałę, czy nie.

- Gdzie jest Lellin?
- Z moją panią... Nie wiem gdzie. Miałem nadzieję, że wiedzą to arrhendowie.
- Twój kuzyn ma glejt lorda Merira, lecz obejmuje on tylko tego, który go nosi.
- Zabierz nas do Merira. Muszę mu opowiedzieć o jego wnuku.

Qhal wolno opuścił strzałę i zdjął ją z cięciwy.

- Zaprowadzimy was, gdzie nam się podoba. Jednemu z was nie wolno tutaj przebywać. Któremu?
- Mnie — przyznał Roh, zdejmując amulet z szyi. Wcisnął go w dłoń Vanye.
- Pójdziecie za mną.

Vanye kiwnął głową, gdy Roh spojrzał na niego pytająco; zawiesił amulet na szyi i ociężale kulejąc, podążył śladem qhala.

Nie zatrzymali się, dopóki nie zapadły całkowite ciemności. Arrhendowie przysiedli w korzeniach wielkiego drzewa. Vanye osunął się na ziemię, a Roh obok niego, oparty o jego zdrową nogę, wyczerpany do cna. Jednak po chwili Roh potrząsnął nim.

— Częstuj nas jadłem — powiedział.

Vanye drgnął i odebrał poczęstunek, w tej chwili jego apetyt nie był wielki. Oparł się o pień drzewa i patrzył nieruchomo na arrhendów, dwóch, gdyż do qhala dołączył jego khemeis.

- Nie wiecie, gdzie jest Lellin i moja pani? — zapytał Vanye.
- Nie odpowiemy na to — odparł na to qhal.
- Czy uważacie nas za wrogów?
- Nie odpowiemy na to.

Vanye potrząsnął głową i porzuciwszy wszelką nadzieję dowiedzenia się od nich czegokolwiek, odpoczywał z opartą o pień głową.

— Śpijcie — powiedział qhal i owinięty opończą stopił się w jedno z drzewem, o które się oparł; lecz jego khemeis zniknął bez szmeru w zaroślach.

Rano był z nimi inny qhal i inny khemeis. Vanye spojrzął na nich, przecierając oczy; zaniepokoiło go to, że potrafili

dokonać zmiany tak bezszelestnie. Widać było że Roh gdy Vanye spojrzął na niego spod oka — był równie zaniepokojony.

— Jestem Tirrhen — odezwał się qhal. — A to mój khemeis Haim. Poprowadzimy was dalej.

- Nhi Vanye i Chya Roh — odparł Vanye. — Dokąd? Qhal wzruszył ramionami.
- Chodźcie.

• Jesteście dworniejsi od waszych poprzedników — zauważył Roh i ujął Vanye za ramię, pomagając mu stanąć na nogi.

- Oni są obrońcami Mirrindu — rzekł Tirrhen. — Czy można oczekiwać od nich radości?

Powiedziawszy to, Tirrhen odwrócił się do nich plecami i zniknął, więc tylko Haim towarzyszył im przez jakiś czas.

— Milczcie — nakazał im khemeis, gdy Roh odważył się otworzyć usta. Więcej nie powiedział ani słowa. Szli przez cały dzień, przystając tylko na krótko. Vanye położył się na ziemi, gdy zatrzymali się późnym popołudniem na odpoczynek, i długo ciężko dyszał, łapiąc oddech; na poły przymykając zamglone oczy.

Poczuł dotknięcie ręki Roha.

— Zdejmij zbroję, bo jej ciężar cię zabije. Ja ją poniosę.

Podniósł się i z pomocą Roha zrzucił kolczugę. Khemeis obserwował ich uważnie i w końcu podał im coś do jedzenia i picia, choć już byli po południowym posiłku.

— Posłaliśmy po wierzchowce — powiedział Haim.

Vanye tylko pokiwał głową z ulgą.

- Czy nie dotarła żadna wieść — zapytał znów — co stało się z moimi towarzyszami?
- Nie. Przynajmniej nie do nas, a my wiemy o wszystkim, co dzieje się w tej części Shathanu.
- Lecz inni mogliby się dowiedzieć czegoś gdzie indziej — nagle odżyła w nim nadzieja, która jednak szybko zgasła pod posępnym wzrokiem Haima.
- Te, które dotarły, nie są dobre, khemeisie. Rozumiem

twą rozpacz; powiedziałem zbyt wiele. Wstawajcie, ruszamy w drogę.

Vanye podniósł się przy pomocy Roha. Brak przygniatającego ciężaru zbroi przyniósł mu ulgę. Dopiero o zmroku przyszło zupełne wyczerpanie i stanął nie mogąc zrobić kroku.

Tym razem to Tirrhen ich prowadził i ani mu się śniło zatrzymywać.

— Chodźcie — ponaglił ich. — Prędeż.

Roh otoczył go ramieniem i pomógł odzyskać równowagę. Szli za Tirrhenem, dopóki wyczerpany Roh sam nie zaczął się ślaniać.

Nagle w świetle gwiazd otworzyła się przed nimi polana, gdzie czekało czterech arrhendów z

sześcioma końmi.

— Oni nie żartują twierdząc, że powinniśmy iść dalej — odezwał się Roh. Głos niemal mu się załamał.

Vanye rozejrzał się, lecz nie zobaczył nikogo znajomego. Pomogli mu dosiąść nie osiodłanego wierzchowca. Funkcję wędzidła sprawował postronek, za który prowadził konia jeden z arrhendów. Roh obszedł się bez niczyjej pomocy i cała grupa ruszyła w milczeniu w drogę.

Vanye pochylił się i przytulił do szyi wierzchowca. Instynkt oraz wprawa pozwoliły mu utrzymać się w siodle na wykrotach i krętych ścieżkach. Ból ustąpił na tyle, że stał się znośny. Cierpliwe, silne zwierzę podziało na niego pokrzepiająco. Czasami zapadał w drzemkę, choć raz odbyło się to za cenę guza, nabitego na nisko zwieszającej się gałęzi. Pochylił się bezwładnie w przód. Było mu wszystko jedno, jego ciało miało na sobie zbyt wiele ran. Poruszali się w ciemnościach jak cienie i rano dotarli do drugiej polanki, gdzie także oczekiwały ich konie, i inna eskorta.

Nawet nie zsiadł na ziemię; pochylił się, złapał końskiej grzywy i wciągnął na grzbiet drugiego zwierzęcia. Ruszyli od razu, nikt im nie dał ni jadła, ni wody. Vanye nie miał nawet siły się tym przejąć, choć w końcu w południe zjedli coś, nie przerywając jazdy. Jechał zupełnie odrętwiały, milczeniem idąc w zawody z małomówną eskortą. Roh wciąż był razem z nim, tyle że jechał w pewnej odległości za

nim; Vanye mógł go dostrzec, gdy spoglądał za siebie. Rozdzielali ich jadący pomiędzy nimi arrhendowie, więc nie mogli ze sobą rozmawiać. Nie odebrano im broni, uzmysłowił to sobie w końcu, i poczuł przyływ otuchy; wierzył, że skoro Roh wciąż ma swą broń, to nie pozbył się także jego zbroi i miecza. Nie byłby jednak w stanie jej użyć, teraz marzył jedynie o opończy, bo było mu zimno, nawet w dzień.

W końcu zdobył się na prośbę, przypomniawszy sobie, że nie są to mieszkańcy Hetharu, lecz ąhalowie, którzy nie mieli okrucieństwa we krwi. Dali pled, którym mógł się okryć podczas jazdy, a na dodatek nakarmili go i napoili, choć opóźniło to nieco ich jazdę. W ciągu dnia zaledwie dwa razy na krótko postawił nogę na ziemi.

Z nadejściem nocy nastąpiła kolejna zmiana koni i przewodników. Vanye chciał oddać pled, lecz ąhal tylko go nim delikatnie otulił i wysłał w noc pod opieką nowej eskorty.

Arrhendowie, którzy teraz objęli nad nimi opiekę, byli nadzwyczaj delikatni, jakby położenie, w jakim się znajdowali, wzbudziło w nich litość. Jednakże o świcie nieubłaganie przekazali ich w ręce innych i teraz już obydwaj musieli skorzystać z pomocy przy dosiadananiu koni.

Vanye stracił rachubę, ile było owych zmian, wszystkie stopiły się w jeden koszmar. Teraz jechali otoczeni dźwiękami, gwizdami, jakby posuwali się dobrze oznaczonym i pilnowanym gościńcem, choć obserwatorzy cały czas byli niewidoczni.

Otoczyły ich drzewa monstrualnych rozmiarów, odmienne od tych, które dotąd widzieli. Ich pnie przesuwwały się obok nich jak ściany, wszystko tonęło w cieniu, jakby panował nieprzerwany zmierzch. Zaskoczyła ich noc, bezgwiezdna pod gęstym baldachimem gałęzi. Powietrze przyniosło ze sobą zapach dymu, a jeden z ich koni zarżał, witając się z innym.

Zalśniło światło. Vanye ścisnął rękami łopatki konia i wpatrzył się w ten miękki blask, w gromadę zabarwionych poświata z ognisk namiotów, stojących u stóp olbrzymich pni. Zamrugał, we łzach wyczerpania rozplywały mu się fragmenty obrazu.

1 ni

- Obóz Merira? — zapytał Człowieka, który prowadził jego konia.

- To on posłał po was — odparł zapytany, lecz nie powiedział nic więcej.

Dotarli do nich dźwięki muzyki — pięknej, ąhalskiej. Ucichła, gdy wjeżdżali. Lud odszedł od wspólnego ogniska i ustawił się wzdłuż drogi, którą jechali — długa linia cieni.

Arrhendowie zatrzymali się i poprosili ich o zejście z koni. Vanye ześliznął się, trzymając się grzywy. Był tak osłabiony, że dwóch arrhendów musiało pomóc mu utrzymać się na nogach, zaś zmysły miał tak otumanione nieustannym ruchem konia, że ziemia jakby zachybotwała pod jego stopami.

— Khemeis! — rozległ się okrzyk.

Mały chłopiec wpadł na niego i przytulił się całym ciałem. Vanye przystanął i roztrzęsioną ręką pogłaskał ciemnowłosą głowę. To był Sin.

— Jak się tutaj znalazłeś? — zadał jedno z tysiąca pytań, jakie cisnęły mu się do głowy.

Małe dłonie zacisnęły się po bokach jego koszuli, lecz żyłaste ręce nie puściły Vanye i arrhendowie przynagli go, by ruszył do przodu, ciągnąc Sina za sobą.

- Carrhend przeniósł się — odparł Sin. — Zjawili się jeźdźcy. Spłonął.

- Odejdź, chłopcze — łagodnie powiedział stojący po prawej stronie khemeis. — Odejdź.

- Przyszedłem — oznajmił Sin, nie puszczając koszuli Vanye. — Odszedłem w puszcę, by

znaleźć qhalów. To oni przyprowadzili mnie tutaj.

- Czy Sezar powrócił? A Lellin?
- Nie. A powinni? Gdzie jest pani?
- Zostaw go w spokoju — przerwał khemeis. — Chłopcze, zróbże, o co cię proszą.
- Odejdź — ciężko westchnął Vanye. — Sinie, nie jestem w łaskach u twych ziomeków. Zrób tak, jak on mówi.

Dłonie rozwarły się i puściły jego koszulę. Sin został z tyłu, lecz Vanye ujrzał, że idzie za nimi niepokieszony.

Vanye szedł do namiotu Merira, gdyż jego przewodnicy nie zostawili mu wyboru. Od razu wprowadzili go do środka, jednak Roh został z tyłu. Nie uzmysławiał sobie tego, dopóki nie obrócono go twarzą do krzesła Merira.

Stary qhal siedział otulony zwykłą, szarą opończą. Jego oczy patrzyły smutno, lśnią w świetle lamp.

- Puście go wolno — powiedział łagodnym głosem i Vanye opadł na jedno kolano, składając starcowi głęboki ukłon szacunku.
- Jesteś bardzo cierpiący — zauważył Merir.

Nie takich słów spodziewał się usłyszeć z ust starego pana, którego wnuk zaginął, którego ród był w niebezpieczeństwie i którego ziemie zalali najeźdźcy. Vanye uklonił się ponownie, drżąc z wyczerpania, i usiadł.

— Nie wiem, gdzie jest Lellin — odezwał ochryplym głosem. — Proszę o pozwolenie, by wyruszyć, panie, bym mógł znaleźć i jego, i mą panią.

Brwi Merira ściągnęły się. Stary pan nie był sam w namiocie, otaczali go uzbrojeni, posępni Ludzie i qhalowie — siła na czas wojny. Byli tam i starcy o pociemniałych z gniewu oczach. Jednak z twarzy Merira bardziej przebijał ból niż gniew.

- Nie wiesz, jak się tutaj teraz mają rzeczy. Wiemy, że przekroczyliście Narn, lecz potem harilowie, ciemny lud, odcięli nas od tej okolicy. Czyż nie wybraliście się tam, by odszukać Nehmin?

- Tak, panie.

• Ponieważ takie było życzenie twej pani, wbrew moim prośbom; dążyła do tego uporczywie i żadne przestrogi nie mogły jej od tego odwieść. A teraz Lellin przepadł, i Sezar, i ona zaginęła, a my mamy wojnę. — Ogarnął go gniew, który jednakże opuścił go po chwili. Szare oczy zadumały się w świetle lamp i powoli jeszcze raz się uniosły. — Dostrzegłem w niej to. Ujrzałem w was właśnie to, co widzę teraz. Opowiedz mi, khemeisie, o wszystkim, nie szczędź żadnych szczegółów. Możliwe, że jakiś mały fragmencik wiedzy pomoże nam zrozumieć resztę.

Uczynił to. Głos zawiódł go w połowie opowieści i dali mu się napić, by mógł, w zupełnej ciszy, snuć ją dalej. Milczeli nawet wtedy, gdy jego opowieść dobiegła kresu.

1Q3

— Błagam — prosił Merira — dajcie mi konia, a drugiego memu kuzynowi. Naszą broń. Nic więcej. Pójdziemy i od najdziemy ich.

Nic nie zmąciło ciszy. Czując na sobie jej brzemię, sięgnął i zdjął z szyi łańcuch, na którym wisiał amulet, oddając go Merirowi. Gdy Merir nie drgnął, by wziąć go z jego rąk, położył go przed sobą na macie, bo nie mógł już go dłużej utrzymać w drżącej ręce.

- Zatem pozwólcie nam iść tak, jak stoimy — powiedział. — Moja pani zaginęła. Pragnę tylko wyruszyć, aby odnaleźć ją i jej towarzyszy.

- Człeku — odezwał się w końcu Merir — dlaczego ruszyliście na poszukiwanie Nehminu?

Pytanie wywołało u Vanye konsternację, gdyż trafiało w sedno poczynań, które Morgaine chciała utrzymać w tajemnicy przed nimi.

- Czyż on nie kontroluje Azeroth? — odparł. — Czyż nie kontroluje miejsca, gdzie są nasi wrogowie?

- Byli — odezwał się inny.

Przelknął to i zacisnął dłonie na udach, by powstrzymać ich drżenie.

• Cokolwiek złego się tam dzieje, za moją stało się sprawą i odpowiedzialność za to spada na mnie. Powiedziałem wam, dlaczego oni tutaj przyszli: ścigają mnie i Nehmin nie ma nic do tego. Moja pani jest ranna i nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Przysięgam, że to nie ona ściągnęła wam na głowę ten najazd.

- Nie — powiedział Merir. — Może to prawda. Wszelako dotąd nie powiedzieliście nam całej

prawdy, a ona zażądała jej ode mnie. Prosiła o zaufanie. I ja jej zaufałem, co zaprowadziło nas na krawędź wojny, sprowadziło śmierć na naszych ludzi i zagładę ich domów. O tak, wiem, kim są wasi wrogowie: złem. Wszelako nigdy dotąd nie powiedzieliście nam całej prawdy. Ty i ona przeszliście przez harilów. Nie jest to błaha rzecz. Ty odważyłeś się wykorzystać harilów w ucieczce przed swymi wrogami i udało ci się przeżyć... a to mnie zdumiewa. Ciemny lud ma was w niespotykanym poważaniu, Człeku, którym jesteś. A teraz

ioa

prosisz nas, byśmy ci raz jeszcze zaufali. Życzysz sobie, byśmy wysłali cię w drogę, choć nie pisnąłeś ni słówka prawdy. Nie skrzywdzimy was; nie obawiaj się o to. Lecz puścić was wolno, byście sprowadzili na naszą ziemię jeszcze większy chaos? Nie! Nie, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na moje pytania.

• O co prosisz, panie? — Drżąc, ponownie uklonił się nisko, czołem dotykając maty. — Pytaj mnie jutro. Myślę, że powinienem ci odpowiedzieć, lecz jestem znużony i trudno mi zebrać myśli.

• Nie — sprzeciwił się inny qhal i wsparł się na krzesło Merira, by zwrócić się do starego pana. — Czyż nocny odpoczynek zmieni prawdę? Panie, pomyśl o Lellinie.

Merir rozważał to przez chwilę.

• Proszę — odezwał się w końcu, choć jego oczy nie były nieżyczliwe, a raczej stroskane. — Proszę, khemeisie. Waszemu życiu nic nie grozi, lecz nie jest tak z waszą wolnością.

• Czyż można żądać od sługi, by zdradził zaufanie swego pana?

To wywarło na nich wrażenie; wysoko cenili sobie honor. Wymienili między sobą zatroskane spojrzenia, ale Merir tylko przygryzł wargę i spojrzął na niego ze smutkiem.

— Zatem jest co zdradzać, khemeisie?

Vanye powoli zamrugnął powiekami, przepędzając sprzed oczu mgłę. Potrząsnął głową.

• Nigdy nie chcieliśmy was skrzywdzić.

• Khemeisie, dlaczego Nehmin?

Próbował znaleźć jakąś odpowiedź i nie był w stanie; potrząsnął głową po raz wtóry.

— Czy zatem mamy zgadywać, że zamierzacie wyrządzić

Nehminowi szkody? Takie muszą być nasze wnioski. Musi niepokoić nas to, że jesteście tak potężni, iż zdołaliście się przedrzeć przez terytorium harilów. Nie możemy puścić was wolno.

Na to nie można było wiele powiedzieć, nawet milczenie nie było bezpieczne. To był kres przyjaźni, którą się dotąd cieszyli.

1 nc

• Morgaine pragnęła opanować Nehmin — drażył Me-rir. — Dlaczego?

• Panie, nie odpowiem ci.

• Zatem ten czyn był wymierzony w nas, w przeciwnym razie nie wzbraniałbyś się przed odpowiedzią.

Spojrzął przerażony na starca, wiedząc, że musi coś na to powiedzieć, coś rozsądnego.

Zrezygnowany wskazał za siebie, w stronę Azeroth, skąd przybyli.

• Walczymy z tym. To jest prawda, panie.

• Nie sądzę, byśmy znali całą prawdę o tym miejscu. Morgaine miała zamiar dotrzeć tam do źródła potęgi. Jeśli nie, jakie mogłyby być jej zamiary? „Więcej światów jest w niebezpieczeństwie, nie tylko ten jeden...”, takie były jej słowa. Dotyczą one znacznie większego obszaru, nie tylko Azeroth, khemeisie. Czy mogę się zatem zdobyć na śmiałość i przypuszczać, że ona nosi się z zamiarem zniszczenia Nehminu?

Vanye pomyślał, że musi się poddać. Z twarzy, które widział dookoła siebie, wycierało przerażenie. Powietrze w namiocie stało się tak ciężkie, że aż trudno było zaczerpnąć tchu.

• Khemeisie?

• Przyszliśmy... by powstrzymać Shiua. Przeszkodzić im w zrobieniu tego, co was spotkało.

• Tak — powiedział po chwili Merir i wszyscy zamarli na swoich miejscach — zamykając przejście poprzez opanowanie i zniszczenie Nahminu.

• Próbujemy ocalić waszą ziemię.

• Lecz boicie się powiedzieć prawdę tym, którzy na niej

żyją.

— Ta rzecz tam... to... jest właśnie wynikiem stworzenia

Bramy. Chcecie tego więcej?

Merir patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Oczy Vanye zasłzyły mgłą, trząsał się konwulsyjnie. Gdzieś zgubił swój pled; nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. Ktoś okrył go opończą, otulił się nią

ciasno, drżąc na całym ciele.

— Ten człek, Roh — odezwał się nagle Merir. — Sprowadźcie go.

Upłynęła chwila, zanim wszedł Roh. Nie zrobił tego dobrowolnie, jednak był zbyt znużony, by walczyć. Kiedy stanął przed obliczem starca, Vanye podniósł głowę i wyszeptał do niego:

— Pan Merir, kuzynie, król Shathanu, godny szacunku.

Proszę. Ze względu na mnie.

Roh skłonił się. Był panem, głową klanu, choć pozbawili go broni i obrazili, zachował godność. Ukłoniwszy się, usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi. Z uprzejmości dla swego ziomka raczej niż z szacunku dla Me-rira, gdyż powinien zażądać miejsca na równi z ąhalem lub stać.

- Panie — odezwał się Roh. — Jesteśmy wolni czy nie?
- Oto pytanie, nieprawdaż? — wzrok Merira przeniósł się na Vanye. — Twój kuzyn. Wszakże ostrzegałeś nas uprzednio, kim on jest.

- Błagam cię, panie...

- Chya Rohu — oczy Merira błysnęły. — Budzi w nas odradzę czyn, któregoście się dopuścili. Morderstwo. Ilekroć popełniłeś coś takiego?

Roh nie odpowiedział.

- Panie — powiedział Vanye. — Połowa jego natury jest inna. Czyż nie będziesz łaskaw o tym pamiętać?

- To jeszcze musi być dowiedzione... gdyż jest on zarówno złoczyńcą, jak i ofiarą. Nie wiem, kogo mam przed oczami.

- Nie wyrządzaj mu krzywdy.

- Nie — rzekł Merir. — Jego krzywda jest w nim samym. — Merir, owinąwszy się ciałniej opończą, głęboko zamyślony, zamilkł. — Odprowadźcie ich — zdecydował w końcu. — Muszę o tym wszystkim pomyśleć. Odprowadźcie ich i ofiarujcie rzetelną gościnę.

Znów ujęły ich ręce, lecz łagodnie. Vanye podniósł się z maty z wysiłkiem, lecz przekonał się, że to było ponad jego siły; jedna noga zesztyniała mu zupełnie, a druga okazała się za słaba, by poradzić sobie z całym ciężarem. Dwóch arrhendów pomogło mu. Odprowadzono ich do namiotu rozbitego w sąsiedztwie, gdzie leżały skóry, ciepłe jeszcze od czyjegoś ciała. Zostawiono ich samych, zupełnie wolnych. Mogliby uciec, lecz nie mieli już na to sił. Padli tam, gdzie pozwolono im się położyć, i zasnęli.

Dniało. Światło u wejścia do namiotu przesłonił cień. Vanye zamrugał. Cień opadł w dół i stał się Sinem, który przysiadł na piętach objawszy rękami swoje nagie kolana i cierpliwie czekał.

Obok słychać było oddech jeszcze jednej osoby. Vanye odwrócił głowę i ujrzał ąhalskiego chłopca. Długie białe włosy i czyste szare oczy dziwnie wyglądały w zestawieniu z jego dziecięcą twarzą. Wsparł podbródek na długich, delikatnych rękach.

- Nie sądzę, byście powinni być tutaj — wyszeptał Vanye do Sina.

- Wolno nam — odezwał się mały ąhal z tą samą absolutną pewnością siebie, która charakteryzowała dorosłych z jego ludu.

Roh poruszył się na posłaniu i sięgnął po broń, której jednak nie było pod ręką.

— Leż spokojnie — powiedział Vanye. — Wszystko jest w porządku. Przy tych strażnikach nic nam nie grozi.

Roh opuścił głowę na ręce i powoli, głęboko odetchnął.

— Tam jest jedzenie — radośnie oznajmił Sin.

Vanye uniósł się i ujrzał wodę do mycia i płótno, tacę z chlebem, dzban i kubki. Sin włożył do środka i usiadł, by z powagą napęlić jeden z nich mlekiem i podać mu go. Drugi wręczył Rohowi, gdy i on wyciągnął rękę. Najedli się chleba z masłem i napili aż do przesyty koziego mleka. Od wielu już dni nie mieli okazji zasiąść do tak obfitej uczty.

— To jest Ellur — powiedział Sin, wskazując swego przyjaciela, który usadowił się ze skrzyżowanymi nogami tuż obok niego. — Może zostanie jego khemeisem.

Ellur poważnie skinął głową.

- Dobrze się czujesz? — zapytał Sin, bardzo ostrożnie dotykając jego unieruchomionego w łubkach kolana.

- O tak, goi się. Wkrótce będę mógł biegać.

- Czy to twój brat?

- Kuzyn — wyjaśnił Roh. — Chya RohTChya, młody panie. Wymienili z szacunkiem ukłony, jak na mężów przystało.

• Khemeisie Vanye — powiedział Ellur — czy prawdą jest, cośmy słyszeli, że liczni wrogowie pociągnęli za wami aż do Shathanu?

- Tak — odrzekł na to, gdyż nie można było okłamywać tych dzieci.
- Ellur słyszał — dodał Sin — że zaginął i Lellin, i Sezar, a pani jest ciężko ranna.
- Tak.

Przez chwilę chłopcy siedzieli w milczeniu, przygnębieni.

— I — ciągnął dalej Ellur — że jeśli odejdziecie wolno, to zanim zdążymy wejść w wiek dorosły, nie będzie już arrhendów.

Nie mógł odwrócić wzroku. Napotkał ich spojrzenia — ciemnych, ludzkich oczu i szarych ąhala — i poczuł się tak, jakby otrzymał śmiertelną ranę.

— To może się zdarzyć. Lecz nie chcę tego, nie chcę.

Zapadło długie milczenie. Sin przygryzł wargę niemal do krwi. W końcu kiwnął głową.

— Tak, panie.

• On jest bardzo zmęczony — powiedział po chwili Roh. — Młodzi panowie, może powinniście porozmawiać z nim później.

• Tak, panie — przyznał Sin. Wstał i delikatnie dotknął ręki Vanye, uklonił się i wyszedł z namiotu, mając za sobą Ellura, idącego za nim jak mały, blady duch.

Było to miłosierdzie dorównujące temu, jakie kiedyś okazał mu Roh. Poczul na sobie rękę Roha i położył się, nagle wstrząśnięty dreszczem. Roh okrył go pledem i usiadł obok, rozsądnie nie mówiąc ani słowa.

*

Drzemka przyniosła mu ukojenie. Nie trwała długo.

— Kuzynie — wyszeptał Roh. — Vanye.

Wejście zasłonił jakiś cień, pojawił się w nim na czworakach jeden z khemi.

— Nie śpisz — odezwał się. — To dobrze. Chodźcie.

Vanye skinieniem głowy odpowiedział na pytające spojrzenie Roha i wyszli z ciasnego namiotu. Zmrużyli oczy porażone jasnym światłem dnia. Na zewnątrz czekało na nich czterech arrhendów.

- Czy Merir nas teraz przyjmie? — zapytał Vanye.
- Być może jeszcze dzisiaj; nie wiemy tego. Chodźcie, przyszliśmy zatroszczyć się o waszą wygodę.

Roh ociągał się — nie dowierzał im.

— Mogą zrobić, co im się podoba — Vanye powiedział doń w jego własnym języku.

To go przekonało i Roh ruszył za nimi.

Vanye szedł silnie kulejąc, z niechęcią odnosząc się do przenoszenia się dokądkolwiek. Kręciło mu się w głowie, był obolały; lecz w słowach rzuconych Rohowi zawarta była wyłącznie prawda — nie mieli żadnego wyboru.

Dotarli do obszernego namiotu. Wszedłszy do wnętrza, zastali w nim starą ąhalkę, odzianą w szarą szatę. Kobieta zmierzyła ich od stóp do głów bystrym spojrzeniem surowych, szarych oczu, w którym odbiła się litość na widok ich nieszczęsnych i brudnych postaci.

— Na imię mi Arrhel — rozległ się władczy głos. — Opat ruję rany, nie zajmuję się brudem. — Wykonała gest w kierunku młodego ąhala, który stał w pobliskim kącie. — Nthien, zabierz ich do tyłu i zrób, co się da; arrhendowie, proszę pomóc Nthien.

Młodzieniec odsunął zasłonę, nie spodziewając się żadnych dyskusji. Vanye udał się w tamtą stronę, zatrzymując się tylko, by oddać ukłon starej kobiecie. Roh poszedł za jego przykładem, a w ślad za nimi ich strażnicy.

Gorąca woda już na nich czekała; wniesiono ją w kłębach pary od tyłu namiotu. Na znak Nhiena zrzucili odzienie i umyli się od stóp aż po włosy. Roh musiał rozpuścić swoje, co przynosiło ujmę każdemu mężowi, lecz i wstyd było chodzić brudnym, a więc tylko skrzywił się z niezadowoleniem. Vanye przestał być już aż tak dumny.

Rany szczypały od wody, Vanye poczuł, że ma gorączkę. Nhien stwierdził to samo, obrzuciwszy go badawczym spójrzeniem i przyłożywszy mu dłoń do ciała. Rozpoczął natychmiast niezbędne przygotowania. Vanye obserwował go, niepokojąc się, że najgorsze z ran trzeba będzie wypalać. Roh nie był tak bardzo poraniony, w jego wypadku wystarczyło trochę maści oraz lniane bandaże dla ochrony przed brudem.

Po opatrunku Roh usiadł na macie w kącie, splatając włosy w warkocz wojownika. Przyglądał się Nhienowi z nieufnością, dorównując w tym Vanye.

— Usiądź — powiedział do niego Nhien, wskazując mu ławę, przy której stały naczynia i narzędzia.

Nie było żadnego wypalania. Delikatne ręce Nhiena opatrzyły każdą ranę znieczulającą maścią. Niektóre trzeba było otworzyć. Bez przerwy musiał odsyłać arrhendów z narzędziami do mycia, lecz zadał mu niewiele bólu. Vanye tylko zamykał oczy i odprężał się, gdy opatrywał mu najcięższe rany, ufając jego zręczności i delikatności. Znieczulenie objęło wszystkie rany — od tych najcięższych po niewielkie zadrapania — krwawienie ustało i zakryły je czyste, ochronne bandaże.

Następnie Nhien zbadał kolano i wezwał, ku konsternacji Vanye, Arrhel. Stara kobieta położyła mu swe pomarszczone dłonie na nodze i zaczęła je obmacywać.

- Zdejmijcie łubki — powiedziała, a potem przyłożyła mu dłoń do czoła i zmusiła go, by na nią spojrział; królewska z postawy, o wdzięku podkreślonym wiekiem i niezrównanie dobrych oczach.
- Masz gorączkę, dziecko.

Zaskoczony, prawie wybuchnął śmiechem, gdy nazwała go dzieckiem, lecz ąhalowie żyli bardzo długo i kiedy spojrział w jej oczy, tak pełne spokoju, pomyślał, że niewykluczone, iż większość Ludzi w porównaniu z nią była dziećmi. Opuściła ich, a Roh, który już wstał ze swojej maty, spojrział za nią dziwnie stroskanym wzrokiem.

Z jego rasy, pomyślał Vanye i dreszcz go obleciał na tę myśl. Z rasy Liella... Starej Rasy. Nagle zaczął się obawiać o Roha, chciał, by szybko opuścił to miejsce.

— Skończone — oznajmił Nthien. — Proszę, znaleźliśmy dla was czyste odzienie.

Podali im je khemi. Miękkie, mocne ubrania w kolorach zielonym, brązowym i szarym — takie, jakie nosili arrhen-dowie — oraz buty i pasy. Ubrali się i dotyk czystych ubrań na skórze sam w sobie podzielał jak lekarstwo, przywracając im poczucie dumy.

Wtedy arrhendowie odsunęli zasłonę i ponownie zaprowadzili ich do Arrhel.

Kobieta stała teraz obok stolika na trzech nogach, którego przedtem nie było. Podała Vanye kubek, uprzednio wymieszawszy coś w nim.

- To na gorączkę. Gorzkie w smaku, lecz pomoże. — Podała mu mały, skórzany woreczek. — Tutaj jest więcej tego. Raz dziennie, dopóki gorączka nie ustąpi, napar z takiej ilości, jaką zmieścisz na środku dłoni. Musisz dużo spać i nie powinieneś dosiadać konia ani wciągać zbroi na te rany. Potrzeba ci też dużo zdrowego jada. Wygląda jednak na to, że nie leży to w niczyich planach. To zapas na podróż.

- Podróż, pani?
- Wypij to.

Wychylił kubek i zgodnie z tym, co mówiła Arrhel, poczuł gorycz. Skrzywił się i oddał jej naczynie. Serce niespokojnie zabiło mu w piersi.

- Podróż do miejsca, o którym mówiłem z panem Meri-rem, czy też z dala od niego?
- On ci to powie, obawiam się, że nie wiem. Być może zależy to od tego, co mu powiesz. — Ujęła jego dłoń w swoje, miękkie i ciepłe dłonie starej kobiety. Jej szare oczy spojrzały na niego tak, że nie mógł odwrócić wzroku.

Potem puściła go wolno i odwróciwszy się, usiadła na krześle. Postawiła swój kubek na stoliku obok siebie i popatrzyła na Roha.

— Chodź — powiedziała.

Zbliżył się do niej i ukląkł, gdy otwartą dłonią wskazała mu miejsce przed sobą — choć był panem na dworze, uczynił to — a ona pochyliła się do przodu i ujęła jego twarz w dłonie, zaglądając mu głęboko w oczy. Długo, bardzo długo wpatrywała się w niego i Roh w końcu, nie mogąc znieść tego spojrzenia, zamknął powieki.

Arrhel musnęła jego czoło ustami, lecz nie pozwoliła mu odejść od razu.

— Dla ciebie — wyszeptała — nie mam ziół do wypicia.

Moje ręce nie mogą cię uleczyć. Zrobiłam, co mogłam.

Opuściła dłonie i Roh odskoczył od niej, zrywając się na nogi. Powstrzymała go ostrzegawcza ręka khemeisa, który pilnował wejścia, i stanął nieruchomo.

Vanye rzucił spojrzenie na Arrhel, przypomniał sobie o dobrych manierach i z szacunkiem uklonił się, lecz kiedy starszka pozwoliła im odejść, pośpiesznie wyprowadził Roha.

Roh wrócił do ich namiotu nie oglądając się za siebie, bez słowa, i milczał jeszcze długo potem.

*

Po południu wezwał ich Merir. Poszli do niego pod eskortą tych samych arrhendów. Stary pan miał

na sobie swą szatę z piór i złoty diadem na czole. Wokół niego stali uzbrojeni Ludzie i ąhalowie.

Roh uklonił się Merirowi i usiadł na macie, a Vanye ukląkł i złożył mu hołd, zanim rozsiadł się na tyle, na ile pozwalała mu jego zraniona noga. Merir długo się im przyglądał z poważną i surową twarzą.

• Khemeisie Vanye — odezwał się w końcu — twój kuzyn odbiera mi resztki spokoju, jaki mi jeszcze pozostał. Co mam z nim począć?

- Pozwól mu iść razem ze mną.
- A więc Arrhel powiedziała wam, że wyjeżdżacie.
- Lecz nie powiedziała dokąd, panie.

Merir zmarszczył brew i odchylił się do tyłu, składając przed sobą ręce.

— Twa pani sprowadziła na tę ziemię wiele zła, wiele cierpień, a to jeszcze nie koniec. Nie można tego odwrócić na moje życzenie; życzenia wszystkich mieszkańców Shat-hanu nie mogą tego zmienić. Nawet teraz obawiam się, że nie powiedziałeś mi wszystkiego, co wiesz, jednak muszę cię wysłuchać. — Popatrzył przelotnie na Roha i ponownie spojrzął na Vanye. — Czy twoja pani przystałaby na sprzy mierzeńca, którego upierasz się zabrać ze sobą?

• Powiedziałem ci, jak staliśmy się sprzymierzeńcami.

• Tak. A jednak myślę, że powinniśmy cię ostrzec. Arrhel przysięga, że przez wiele dni nie zazna spokojnego snu z jego powodu i ona też cię ostrzega. Lecz ty nas nie posłuchasz.

• Roh dotrzyma danego mi słowa.

• Doprawdy? Być może; być może ty wiesz lepiej niż my wszyscy, lepiej to rozumiesz, khemeisie Vanye. Udamy się na poszukiwanie twojej pani Morgaine. I ty pójdziesz z nami, skoro nalegasz; ja powstrzymam się z własnym osądem. Dręczą mnie wątpliwości, lecz wyruszymy. Wasza broń i wszystko, co do was należy, zostanie wam zwrócone. Będziecie wolni, ty i twój kuzyn. Jednak musisz mnie zapewnić, że poddasz się mej władzy i moje słowo będzie dla ciebie prawem.

• Nie mogę — odrzekł grubym głosem Vanye i odwrócił w stronę Merira dłoń, którą przecinała blizna. — To znak, że jestem sługą wyłącznie swej pani, nikogo innego. Jednak będę ci posłuszny, póki to będzie jej służyć; błagam, byś uznał to za wystarczające.

• To wystarczy.

Z wdzięcznością dotknął czołem maty, dopiero wtedy ośmielił się pomyśleć, że naprawdę są wolni.

— Przygotujcie się — powiedział Merir. — Wkrótce ruszamy, jeszcze dzisiaj, późnym popołudniem. Wasze rzeczy zostaną wam zwrócone.

Taki pośpiech bardzo mu odpowiadał; otrzymał więcej, niż śmiałyby mieć nadzieję, że otrzyma od starego pana. Natychmiast obudziło to w nim podejrzenie. Jednak pokłonił się ponownie i podniósł się z maty, a obok niego stanął Roh, by także okazać szacunek.

*

Puszczono ich wolno, pilnujący ich dotąd arrhendowie odeszli, a w namiocie znaleźli wszystkie swoje rzeczy, jak im to Merir obiecał: broń i zbroje, oczyszczone i naoliwione. Roh ujął w dłonie swój łuk, jakby witał się ze starym przyjacielem.

— Rohu — zwrócił się do niego Vanye, nagle zaniepokojony jego pochmurnym spojrzeniem. Roh obrzucił go prze lotnym spojrzeniem. W jednej chwili stał przed nim obcy, oziębły, groźny; znać po nim było wszystkie upokorzenia! które spotkały go ze strony pana Merira.

Z wolna otrząsnął się z gniewu i odłożył łuk na skóry.

— Przynajmniej do jutra nie musimy zakładać zbroi — powiedział Vanye — nie ma potrzeby wciągać ich na nasze obolałe grzbiety. Wątpię, byśmy znajdowali się w pobliżu nieprzyjaciela.

— Rohu, mów do mnie, a ja będę mógł mówić do ciebie.

Roh spojrzął na niego hardo.

• Boisz się, co? Odraza, napelniam ich odrazą! Jakże uprzejmię z twojej strony, że stanąłeś w mojej obronie.

• Rohu...

• Czy nie powiedziałeś im o niej, o twoim suzerenie, półkrwi ąhalu? Kimże ona jest? Nie jest ąhalem czystej krwi. Ani istotą ludzką. Nie ulega wątpliwości, że uczyniła dokładnie to, co ja — nic

szlachetniejszego, zacniejszego. Myślę, że zawsze o tym wiedziałeś.

Prawie go spoliczkował. Uniósł dłoń. Zatrzął się od wysiłku. Na zewnątrz pojawili się arrhendowie — ich wolność była zagrożona.

- Milcz — syknął. — Milcz.

- Nie powiedziałem nic; mógłbym wiele zdradzić, a jednak nie zrobiłem tego — wiesz o tym. Nie zdradziłem jej tajemnicy.

To była prawda. Popatrzył na mizerną twarz Roha i pomyślał, że on rzeczywiście w to wierzy. A jednak ich nie zdradził.

- Wiem o tym — przyznał. — Odwdzięczę się za to.

- Lecz nie wolno ci tego powiedzieć, nieprawdaż? Zapominasz, kim jesteś.

— Moje słowo jest coś warte. Pośród nich, jak i u niej.

Twą twarz Roha stężała, jakby mu wymierzono policzek.

— Och, urosłeś w pychę, *Mnie*, skoro tak myślisz. Rozmawiasz z panem ąhalów w ich własnym języku i dyrygujesz mną do woli.

- Jesteś panem z klanu mojej matki. Nie zapominam o tym; nie zapominam, że ofiarowałeś mi schronienie, gdy wszyscy moi ziomkowie wzbraniali się przed tym.

- A, czy to znów jest mój „kuzyn”?

Był nieugięty w swej hardości. Pojawiła się w nim od chwili, gdy napotkał wzrok Arrhel. Vanye odwrócił się do niego plecami.

— Zrobię, co powiedziałem, Rohu. Postaraj się zrobić to samo. Jeśli zażadasz, bym cię przeprosił, jak pana mego klanu — uczynię to; jak mojego krewnego — uczynię to; lecz jeśli wpadasz w gniew, że ąhal traktuje uprzejmie mnie, a nie ciebie, znaczy to, że bierze nad tobą górę część twojej osoby, której nie mam powodów darzyć szacunkiem. Z nim układać się nie będę.

Roh nic nie odrzekł. W ciszy spakowali swe rzeczy, by łatwo można było je umieścić przy siodle; u pasa przywiesili tylko broń.

— Uczynię, co powiedziałem — w końcu odezwał się

Roh. Ponownie był sobą.

Vanye pochylił głowę z szacunkiem, którego dotąd ani mu się śniło okazać.

Niedługo potem zjawił się u nich khemeis, którego wysłano, by ich zawezwał.

ROZDZIAŁ XIII

Przed namiotem Merira uformował się oddział składający się z sześciorga arrhendów: dwóch młodszych i dwóch starszych — włosy khemeisów były niemal tak białe, jak ich arrhendów, a twarze głęboko poorane przemijającym czasem — oraz dwóch kobiet, które jednak nie były aż w tak podeszłym wieku, gdyż czupryna khemeini składała się na równi z włosów srebrzystych i czarnych, a jej arrheini wyglądała na jakieś trzydzieści lat, starzejąc się — jak wszyscy ąhalowie — znacznie wolniej od Ludzi.

Przyprowadzono konie. Vanye spojrzął z przyjemnością na przeznaczony dla niego cisego wałacha i gniadosza dla Roha, wierzchowce o szerokiej piersi i mocnej budowy, lecz pełne gracji. Nawet Morrja byłiby dumni, mając je w swoich stadninach.

Nie dosiedli ich od razu, jeden z koni — siwa klacz niezrównanej urody — wciąż stał, czekając na jeźdźca. Czekali. Vanye zawiesił swoje rzeczy przy siodle i znalazł przy okazji manierkę z wodą, sakwy oraz ciepły, szary pled — wszystko, o co poprosiłby, gdyby miał odwagę aż tak wykorzystywać ich życzliwość. Z otaczającego ich tłumu wyszli khemi i ofiarowali im opończe, jedną dla niego, a drugą dla Roha. Wzięli je z wdzięcznością i natychmiast narzucili na ramiona, gdyż dzień był zbyt chłodny jak na ich lekkie odzienie.

Nadal czekali. Vanye drapał uspokajająco swojego cisa-wego rumaka pod pyskiem. Nie wiadomo, czy zadziałało lekarstwo Arrhel, czy sprawiała to bliskość konia, a może ciężar broni wiszącej u pasa, ale poczuł się niemal zdrowy. Niecierpliwił się, by wyrwać się spod kurateli i wyruszyć w drogę, z której nie można by go już zawrócić, gdyby Merir pod wpływem jakichś okoliczności zmienił zamiary.

Jakiś khemeis przyniósł łańcuch z kwiatów i wplótł go w grzywę siwej klaczy; za nim podeszli inni z kwiatami dla każdego z arrhendów. Ellur ozdobił białymi kwiatami rumaka Rona, Sin zaś zjawił się z naręczem jasnoniebieskich. Chłopiec wyciągnął wysoko ręce, by wpleść je w czarną grzywę wierzchowca. Główki kwiatów zakołysały się jak długi łańcuch małych dzwoneczków. Sin podniósł oczy i spojrzął na niego.

Vanye opadło przeczucie, że patrzy na chłopca po raz ostatni, że nie wróci już z tej wyprawy. Wydawało się, że i Sin podziela tym razem jego odczucia. Jego oczy napełniły się łzami, lecz powstrzymał je — przecież przebył Shathan, przestał być zwykłym chłopcem z Mirrindu.

- Nie mam nic, co mógłbym ci ofiarować na pożegnanie — tłumaczył się Vanye, starając sobie przypomnieć, czy nie zostało mu jeszcze coś oprócz broni; nigdy nie doskwierało mu tak bardzo poczucie własnego ubóstwa, jak w tej chwili. — Pośród mego ludu wręczamy sobie podarunki, kiedy wiemy, że rozstajemy się na długo.

- Zrobiłem to dla ciebie — powiedział Sin i zza pazuchy wydobyl drewnianą, niewielką głowę konia, wyrzeźbioną z niezrównanym mistrzostwem, gdyż ręce chłopca były niezmiernie utalentowane. Vanye wziął ją od niego i w nagłym porywie odciął od pasa pierścień ze zwykłego, niebiesko-czarnego żelaza; niegdyś przywieszał sobie na nim zapasowe rzemienie, lecz nawet i je utracił. Położył pierścień na dłoni Sina i zacisnął na nim jego brązowe palce.

- To prosta rzecz, lecz jedyna, jaka została mi jeszcze z rodzinnego domu, z Morija w Andur-Kurshu. Nie przeklinaj pamięci o mnie, gdy już dorośniesz, Sinie. Moje imię brzmiało Nhi Vanye'i'Chya. Jeśli kiedykolwiek wyrządziłem ci jakąś krzywdę, to nie dlatego, że tego chciałem. Oby nigdy w Shathanie nie zabrakło arrhendów ani Mirrindian. Dbajcie o to, gdy ty i Ellur zostaniecie już nimi.

Objął mocno chłopca. Ellur podszedł uścisnąć mu rękę. Przez przypadek wzrok Vanye spoczął na Rohu, zobaczył jego smutną twarz.

— Tak było w Ra-koris — powiedział Roh, wymieniając nazwę swego dworu w Andurze. — Teraz, zobaczywszy to miejsce, walczyłbym z Shiua, nawet gdybym nie miał osobistych do tego powodów. Ocaliłbym je, miast pozbawiać jedynej rzeczy zdolnej je bronić.

Vanye, trzymany przez chłopców za obie ręce, patrzył na Roha, nie mając nic na swoją obronę prócz złożonej niegdyś przysięgi.

- Jeśli okaże się, że ona nie żyje — ciągnął Roh — z szacunku dla twego żalu, kuzynie, nie powiem o niej nic złego — będziesz wtedy wolny. Czy wówczas, mimo wszystko, dokończysz rozpoczętego przez nią dzieła? Czy pozbawisz ich tego? Myślę, że została ci jeszcze odrobina sumienia. Oni z pewnością tak myślą.

- Milcz. Oszczędzaj swe strzały na mnie, nie na nich.

- Zgoda — wymamrotał Roh. — Nie będę o tym więcej mówił. — Poklepał konia po szyi i rozejrzał się wkoło, spoglądając na ogromne drzewa, pod którymi stały namioty. — Pomyśl jednak o tym, kuzynie.

Nagle w tłumie podniosła się wrzawa. Ludzie się rozstąpili się i ukazał się Merir, jakim go jeszcze dotąd nie widzieli, gdyż ubrany był do podróży. U jego boku wisiał srebrny róg. Niósł torbę, którą zawiesił u siodła białego konia. Piękne zwierzę odwróciło głowę i wargami szczypanyło go po przyjacielsku w ramię. Merir poklepał klacz po pysku i ujął wodze. Nie potrzebował pomocy, by wspiąć się na siodło.

- Bądź ostrożny, ojczu — powiedział jeden z ąhalów.

- O tak — jak echo powtórzyli pozostali — bądź ostrożny.

Arrhel zbliżyła się do nich. Merir podał jej rękę, nie zsiadając z konia.

— Bądź ich przewodnikiem podczas mojej nieobecności — poprosił ją, ściskając jej rękę.

Pozostali dosiedli swych koni.

Vanye po raz ostatni uściskał chłopców na pożegnanie. Gniadosz ruszył z własnej woli, razem z innymi końmi. Nim obóz zniknął im z oczu, Vanye spojrzął za siebie: Sin i Ellur biegli za nimi, by móc jak najdłużej go widzieć. Pomachał im, gdy dotarli na skraj obozu. Powoli zaczęły ich zasłaniać drzewa. Po raz ostatni zobaczył ich stojących na granicy

209

puszczy: dwie smutne figurki chłopców, białowłosa qhala i ciemnowłosa Człowieka, a potem przesłoniła ich zielona kurtyna liści. Vanye wyprostował się w siodle.

*

Jechali rzadko przerywając milczenie. Do przodu wysforowało się dwóch młodych arrhendów, a dwóch starszych trzymało się boku Merira. Za nimi pozycję zajęli Roh i Vanye. Pochód zamykało dwóch arrhendów, którzy wyjątkowo nie byli uzbrojeni w miecze, a tylko w długie łuki; ich smukłe ręce chroniły, znoszone od długotrwałego używania, skórzane rękawice i opaski na kiściach dłoni. Khemeis z tej pary często zniknął im z oczu, zostając z tyłu — pełnił najwidoczniej funkcję straży tylnej i zwiadowcy. Podobnie człowiek jadący na przedzie, często zniknął, wysuwając się daleko do przodu, by wy badać drogę.

Imiona starszej pary arrhendów brzmiały Sharrn i Dev. Vanye dowiedział się od Perrin, qhalki, która jechała obok niego, że imię jej khemeini brzmi Vis. Najmłodszymi z nich byli pogodni przyjaciele Larrel i Kessun. Za każdym razem, gdy widział ich razem, Vanye z bólem przypominał sobie Lellina i Sezara.

W połowie dnia urządzili krótki postój. Przed tym Kessun znów zniknął, lecz nie wrócił o zwykłym czasie. Zdenerwowany Larrel nie mógł sobie znaleźć miejsca, chodząc niespokojnym krokiem. Khemeis pojawił się, gdy zbierali się już, by dosiąść koni, uklonił się przepraszająco i powiedział coś Merirowi szeptem na ucho.

Nagle gdzieś z oddali rozległ się sygnał arrhendów: cienki i wyraźny gwizd podobny do ptasiego tręlu, który niósł wiadomość, że na razie nic im nie grozi. Podniosło ich to na duchu, gdyż podczas tej wyprawy usłyszeli go po raz pierwszy, tak jakby strażnicy lasu w tej części puszczy byli nieliczni lub wystraszeni. Kamień spadł z serca arrhendom, smutne dotąd oczy Merira roześmiały się na chwilę. Larrel z Kessunem wysunęli się do przodu, oddzielili od pozostałych i nie wrócili nawet w nocy, kiedy nie można już było dostrzec drogi i trzeba było rozbić biwak.

9.1 n

Stanęli nad brzegiem strumienia. Merir ocenił, że nic im nie zagraża, odwagili się więc rozpalić ognisko. Usiedli ramię w ramię, blisko ognia i podzielili się żywnością. Vanye jadł, choć nie miał wielkiej ochoty. Po całym dniu jazdy ponownie wzrosła mu gorączka i musiał wypić nieco lekarstwa Arrhel. Chętnie otuliłby się pledem i ułożył do snu — doskwierały mu rany i wyczerpała go nawet tak krótkotrwała wędrówka — jednak nie chciał odejść od ogniska, by Roh nie zdradził się ze swoją wiedzą, by nie mógł wykorzystać swej przebiegłości, będąc sam na sam z arrhendami. Możliwe, że Roh dotrzymałby danego słowa, lecz wolał nie stwarzać mu okazji do pokusy. Nie ruszył się więc ze swojego miejsca, oparł głowę na rękach i grzał się w przyjemnym cieple.

Merir szeptem wydał swym arrhendom jakieś polecenie. Vanye uniósł głowę, by sprawdzić, co się dzieje. Perrin i Vis bezszelestnie odsunęły się od ogniska, wstały i zręcznie napięły swe łuki.

— Coś nam grozi, panie? — odezwał się zaniepokojony Roh, zmarszczywszy brew i odruchowo napiąwszy mięśnie.

Arrhendowie jednak nigdzie nie ruszyli się z miejsca.

Merir siedział nieruchomo, owinięty opończą. W świetle ogniska jego twarz wyglądała mizernie i zdawała się pocięta bliznami. Qhal czystej krwi sprawiał wrażenie delikatnego, niemal kruchego, jednak w istocie był on jak wyrzeźbiony z twardej kości, twardy i zimny.

— Nie — odrzekł cicho Merir. — Poleciałem tylko, aby byli czujni.

Starsi arrhendowie siedzieli obok Merira. Ich zachowanie nie świadczyło o tym, by ktokolwiek zagrażał im z zewnątrz. Arrhendowie cicho nałożyli strzały i nie napinając cięciw, skierowali łuki w środek kręgu.

• To przeciw nam — powiedział Vanye spokojnym głosem, choć zatrzęsł się z gniewu. — Zaufałem ci, panie.

• Tak jak ja zawierzyłem wam — odparł Merir. — Odłóżcie waszą broń na chwilę, nie życzyłbym sobie nieporozumienia. Zróbcie to — albo utracicie naszą życzliwość.

Vanye rozpiął pas, odłożył miecz i pugiwał. Roh zrobił to

samo. Dev zebrał ich broń i wróciwszy do boku Merira, położył ją po przeciwnej stronie ogniska.

— Wybaczcie nam — podjął po chwili Merir — zadam wam tylko kilka pytań. — Podniósł się, a wraz z nim Sarrn i Dev. Wskazał na Roha. — Chodź, cudzoziemcze. Chodź ze mną.

Roh wstał od ognia, a Vanye drgnął, chcąc pójść za nim.

— Nie — powstrzymał go Merir. — Nie postępuj pochopnie. Nie chciałbym wyrządzić ci krzywdy.

Łuki napięły się.

— Są nieco lepiej wychowani od Hetharu — cicho stwierdził Roh. — Nie mam nic przeciwko pytaniom, kuzynie. — I dłużej się nie ociągając, odszedł, mogąc wyjawic wszystko, co wiedział. Zniknęli między drzewami nad brzegiem strumienia.

Vanye ani drgnął w pozycji, w której zamarł, klęcząc na jednym kolanie.

— Proszę — odezwała się Perrin, wciąż napinając cięciwę. — Proszę, powstrzymaj się, sirrenie. Strzelając oddzielnie, rzadko zdarzy się nam nie trafić w cel; celując wspólnie — Vis i ja — nie mogłybyśmy chybić. Twemu krewniakowi nie stanie się nic złego. Usiądź proszę, byśmy wszyscy mogli odetchnąć z ulgą.

Tym razem posłuchał. Cięciwy przestały się napinać, lecz arrhendowie nie zaniechali czujności. Pochylił głowę i oparł ją na rękach. Cekał, owładnięty rozpaczą i gorączką, która rozpalala mu głowę.

W końcu arrhendowie przywiedli Roha z powrotem i usadzili go pod czujnym okiem łuczników. Vanye rzucił okiem na krewniaka, lecz napotkał jego wzrok tylko na krótko i nic nie udało mu się z niego wyczytać.

— Chodź — powiedział Sharrn i Vanye poszedł za nimi w ciemny las, nad strumień, którego wody z pluskiem omywały kamienie.

Tam, siedząc na powalonym na ziemię pniu, czekał na niego Merir, otulona w płaszcz biała sylwetka odbijająca światło księżyca. Arrhendowie zmusili Vanye, by zatrzymał się w odległości kilku kroków od niego. Stał nie okazując swego szacunku, który został sprzeniewierzony. Nie skorzystał też z zaproszenia, gdy Merir wskazał mu miejsce gdzie mógłby spocząć.

• Aha — zaczął Merir — uważasz, że źle cię potraktowano. Czy jednak tak jest w istocie, khemeisie, biorąc wszystko pod uwagę? Czyż nie wyruszyliśmy w drogę, tak jak nas o to prosiłeś, pomimo że nie byłeś z nami szczerzy?

• Nie jesteś panem, któremu składałem przysięgę ^{o.j.} rzekł Vanye, czując zamierające w piersi serce, gdyż teraz był już pewny, iż Roh dopuścił się najgorszego. — Nie mówiłem wszystkiego, to prawda, lecz nigdy cię nie oszukałem. Shiuu — dodał z gorczywą w głosie — starali się zmusić mnie do mówienia, użyli akilu. Bez wątplenia teraz ty zrobisz to samo. Sądziłem, że jesteście inni.

• Zatem dlaczego nie zachowałeś się inaczej?
 • Co ci powiedział Roh?
 • Ach, więc to jego słów się obawiasz?
 • Roh nie kłamie... przynajmniej w większości spraw. Jednak w połowie nie jest Rohem; ta druga jego połowa z chęcią poderżnęłaby mi gardło, wiem o tym. Powiedziałem ci, na czym to polega. Powiedziałem. Nie sądzę, by z jego ust padły przyjazne słowa o mnie czy o mojej pani.

• Czy to prawda, khemeisie, że twa pani nosi przy sobie źródło mocy?
 Gdyby to był dzień, Merir dostrzegłby, że krew odpływa mu z twarzy; Vanye poczuł i to, i lodowaty strach ściskający wnętrzości. Milczał.

— To prawda — ciągnął Merir. — Mogła powiedzieć mi o tym, lecz nie uczyniła tego. Odjechała, szukając rozwiązania na własną rękę. Pragnęła dotrzeć do Nehminu, ale wiem, że tam nie dotarła.

Serce Vanye zaczęło bić szybciej. Niektórzy Ludzie utrzymywali, że są jasnowidzami, tak było w Shiuanie, lecz coś w nieugiętości Merira przypominało mu bardziej Morgaine niż owych wróżbitów.

• Gdzie ona jest? — ostro zapytał Merira.

- Czy to groźba? Odważyłbyś się?
Skoczył, by wziąć starego qhala za zakładnika, zanirń

arrhendowie zdążą mu w tym przeszkodzić. Nagle jednak poczuł otepienie, które mogłaby wywołać w nim tylko Brama. W chwili, gdy pochwycił qhala, poczuł zawrót głowy, jednak — pełen determinacji — uczeplił się jego szat. Rozległ się krzyk Merira. Jeszcze bardziej zawirowało mu w głowie, przez chwilę pochłaniały go głębokie, lodowate ciemności.

Ocknął się leżąc na ziemi, z twarzą na śliskich od wilgoci liściach. Obok niego stał Merir. Arrhendowie pochwycili go — ledwo to poczuł — i odciągnęli na bok. Merir lekko drgnął.

— Nie — powiedział — nie róbcie mu krzywdy.

Stał skryty na powrót pochwy, a Sharrn ostrożnie pomógł Merirowi wstać i ponownie usiąść na pniu. Vanye pozostał na klęczkach, stracił czucie i w rękach, i nogach. Myśli wciąż ginęły mu w ziejącej, wirującej pustce pod czaszką. Nie ulegało wątpliwości, że również Merir musiał odczuwać to samo.

Moc Bramy. Stary pan qhalów znajdował się w centrum obszaru przesyconego lękiem, który tryskał z Bram jak ze źródła. „Ja wiem” — oświadczył Merir. I z pewnością nie było to czcze chępnienie się, gdyż Bramy były wciąż czynne, a Morgaine nie udało się jeszcze uśmierzyć mocy, która z nich promieniowała.

— Widzę — Merir w końcu odzyskał oddech — że nie brak ci odwagi, by się z tym zmierzyć, a nie tylko zniżyć się do zadawania gwałtu takiemu starcowi jak ja.

Vanye pochylił głowę, odrzucił włosy sprzed oczu i twardo spojrzął w oczy rozgniewanego starca.

- Honor mój szczęł dawno i daleko stąd, mój panie. Żałuję jedynie, że nie udało mi się ciebie utrzymać.
- Poznałeś już zatem tę moc. Dwakroć, co najmniej, przekroczyłeś Ognie, na próżno zatem staram się wzbudzić lęk w tobie. — Merir wydobył spod swej opończy małe puzderko i ostrożnie je otworzył. Wokół jego ręki, a potem całej postaci, zabłysła migotliwa poświata, choć mieniący się opalizującymi kolorami klejnot, który leżał w środku, był nadzwyczaj mały. Vanye wzdrygnął się na jego widok, znał to niebezpieczeństwo.

— Tak — rzekł Merir — nie tylko twa pani dzierży w swych rękach moc w tej krainie. I w mych rękach ona spoczywa. Wiem, że podobna rzecz pojawiła się w Shathanie, długo szukałem, by przekonać się, co to. Moc pozostawała w ukryciu. Przyszliście do Mirrindu, zniknęliście; chylę przed wami za to czoła. Przeraziło mnie, gdy odnalazłem was między nami. Posłałem po was i zgodziłem się was wysłuchać; choć wiedziałem, że podobna, nieznaną rzecz kryje się w Shathanie. Uwolniłem was, mając nadzieję, że ruszycie na waszych wrogów. Zawierzyłem wam, jak widzisz, lecz Morgaine ruszyła na poszukiwanie Nehminu, wbrew moim radom. Nehmin ma jednak obrońców potężniejszych ode mnie. Niektórych udało się jej pokonać i to mnie zdumiewa, lecz innych nie zwyciężyła. Być może nie żyje. Nie udało mi się tego dowiedzieć. Lellin powinien był do mnie wrócić, ale nie uczynił tego. Myślę, że zaufał wam, w przeciwnym razie szybko by powrócił. Nie wiem nawet tego, jak długo żył, opuściwszy Carrhend. Mam na to tylko twoje słowa. Nehmin stoi nietknięty. Być może przeszkodził jej Shiua, o których mówiłeś, albo ktoś inny. Oddałeś się w nasze ręce, jakbyśmy byli twymi krewnymi, kierując się pewnym zaufaniem, jak myślę. Zarazem jednak przyznałeś, że ukrywasz przed nami przyczynę, dla której twoja pani nawiedziła tę krainę: przybyła tu, by zniszczyć rzecz, która jej broni. To Morgaine dysponuje mocą, przed którą przestrzegł mnie mój instynkt. Upewniłem się o tym teraz ponad wszelką wątpliwość. Spytałem Chya Roha, dlaczego ona chce zniszczyć Nehmin. Odparł, że na tym polega jej zadanie, którego wszakże on także nie rozumie. Spytałem, dlaczego zatem chce ją odnaleźć, a on rzekł, że po wszystkim, czego się dopuścił, nikt inny go nie wysłucha. Ty

powiadasz, że on nie kłamie często. Czy to są kłamstwa?

Vanye zadrżał. Potrząsnął głową, czując gorzki smak żółci w gardle.

- Panie, on w to wierzy.
- Zatem ciebie pytam o to samo. W co ty wierzysz?
- Ja... ja nie wiem. Wszystko, co Roh uznaje za prawdę... Nie wiem; jestem jej sługą.

Powiedziałem jej pewnego razu,

że nie chcę nic wiedzieć, i ona pozwoliła mi na to, a teraz nie mogę wam niczego więcej wyjaśnić, powiedziałem wszystko, co mogłem. Mogę tylko dodać, że znam ją lepiej niż Roh i że ona nie pragnie was skrzywdzić. Nie chce tego.

- To prawda — osądził Merir. — Przynajmniej ty wierzysz, że tak jest.
- Nigdy wam nie skłamałem, ona też tego nie uczyniła. — Z wysiłkiem podniósł się z klęczek.

Arrhendowie na wszelki wypadek przytrzymali go, lecz Merir gestem polecił im puścić go wolno.

Vanye stał, górując nad kruchym starcem, wciąż oszołomiony. Czuł mdłości. — To Morgaine próbowała utrzymać Shiua z dala od waszej ziemi. Za ten najazd możesz obwiniać mnie, możesz obwiniać Rona; ona go przewidziała i starała się do niego nie dopuścić. Jedno wiem, panie: wykorzystywana przez was moc daje początek złu i prędzej czy później ulegniecie mu — tak jak ulegli mu Shiua. Dotknięcie tego klejnotu, który trzymasz w dłoni, wywołuje ból. O tak, wiem o tym, a ona wie najlepiej! Nienawidzi przedmiotu, który musi nieść; nienawidzi, ponad wszystko na tym świecie, czynionego przezeń zła.

Oczy Merira wpatrzyły się w niego badawczo, wyzierały z twarzy oświetlonej upiornym światłem. Nagle zatrzaskał wieczko puzderka i poświata zbladła, barwiąc jego ciało na czerwono, nim zgasło zupełnie.

- Ten, kto niesie rzecz opisaną przez Roha, musi odczuwać to najdotkliwiej, aż do szpiku kości. Ognie, którymi my się posługujemy, są łagodniejsze; jej — potrafią strawić właściciela. Nie ma tu dla niej miejsca. Oby się tutaj nigdy nie pojawiła!

- To, co z sobą przyniosła, już tu jest, panie. Gdyby ktokolwiek miał położyć na tym swą rękę — w wypadku jej śmierci — wołałbym, byś to był ty, panie, nie Shiua.

— A nie ty raczej niż ja?

Nic na to nie odpowiedział.

— To jest miecz, prawda? Oreż, którego nikomu nie pozwala dotknąć. To jest jej jedyna rzecz takich rozmiarów.

Ociągając się przytaknął.

— Oto, co powiem, Nhi Vanye, sługo Morgaine: ostatniej

nocy poczułem działanie mocy tak silne jak wtedy, gdy po raz pierwszy zjawiliście się w Shathanie. Co to mogło być, jak myślisz?

- Ktoś dobył miecza — odpowiedział opanowany nadzieją, że ona żyje, zarazem przeżywając agonię na myśl, że zmuszona jest sięgać po swą broń, znalazłszy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Tak i ja myślę. Zaprowadzę cię w to miejsce — niewielkie masz szanse na dotarcie tam samodzielnie. A więc nie zapominaj, khemeisie, że wciąż będziesz podlegał prawom ustalonym przeze mnie. Możesz jechać na własną rękę, jeśli chcesz; możesz zmierzyć się z Shathanem wbrew mej woli lub zostać i poddać się jej.

- Zostanę — rzekł.

- Pozwólcie mu odejść — zwrócił się Merir do arrhen-dów. Postąpili zgodnie z jego życzeniem, choć szli za nim aż do samego ogniska.

Roh siedział wciąż pod czujnym okiem łuczników. Arrhendowie dali im znak i strzały powróciły do kołczanów. Vanye zbliżył się do Roha, z gniewu pociemniało mu w oczach, tak że nie widział nic prócz niego.

— Wstawaj — powiedział i kiedy Roh tego nie zrobił, złapał go i zamachnął się na niego ręką.

Roh oddał cios. Vanye przyjął go na siebie i uderzył celnie. Roh przewrócił się na bok. Rozłączyli ich arrhen-dowie z obnażonymi mieczami; Vanye odskoczył zraniony, zaczynał odzyskiwać rozsądek. Roh próbował się podnieść i zaatakować, lecz arrhendowie i jego powstrzymali.

Roh wolno wstał z ziemi i wyprostował się. Otarł krew z ust, patrząc ponuro na Vanye. Splunął krwią i po raz drugi otarł wargi.

— Odtąd — Vanye powiedział do niego w języku Andur — będę strażnikiem własnych pleców. Sam bacz na swoje, panie klanu, kuzynie. Jestem *ilinem*, a nie twym człowiekiem, choćbyś nosił podobne do mojego nazwisko. Nadszedł

kres wszystkim umowom. Chcę, by moi wrogowie patrzyli mi w twarz.

Roh ponownie splunął i gniew zapłonął w jego oczach.

017

• Nic im nie powiedziałem, kuzynie. Lecz niech będzie, jak chcesz. Koniec naszej umowy. Zabiłbyś mnie bez słowa. Zgodnie z moją wolą, pana klanu, nie jesteś już Nhi. Wygnali cię Chya. Bądź *ilinem* do końca swych dni, bratobójco, dziękuj za to swej własnej naturze. Nie powiedziałem im nic, czego by już nie wiedzieli. Powiedz mu, panie Merirze; cóż takiego zdradziłem? Cóż rzekłem, czego bym pierw nie usłyszał od ciebie?

• Nic — odparł Merir. — Nie powiedział nam nic, oto jest prawda.

Gniew wyczerpał go, został jedynie ból. Nie miał argumentu, którym mógłby odeprzeć obelgi Roha. W końcu potrząsnął głową i rozwarł skrwawioną pięść.

• Znosiłem wszystko — rozległ się jego ochryply głos — by szukać rewanzu tam, gdzie nie mam racji. Oto przekleństwo, które na mnie ciąży. Wierzę ci na słowo, Rohu.

• Nie dałem ci żadnego słowa, bękarcie Nhi.

Zacisnął usta. Pokonał kolejny poryw gniewu zrozumiałwszy, jak przysłużył mu się poprzedni, i odszedł do legowiska. Położył się, lecz zbyt wzburzony, nie był w stanie zasnąć. Pozostali także ułożyli się do odpoczynku; ogień wypalił się, a Vis zastąpiła na warcie Perrin. Niedaleko leżał Roh, wpatrzony w niebo, z zaciętym wyrazem na twarzy, gniewny.

Vanye nie wiedział, kiedy i czy w ogóle udało mu się zasnąć.

*

Gdy nastał dzień, obóz z wolna przebudził się do życia, arrhendowie zaczęli pakować rzeczy i siodłać konie. Vanye, zbudziwszy się jako jeden z pierwszych, zaczął zakładać kolczugę. Roh ujrzał to i postąpił tak samo, obaj robili to w milczeniu, unikając rzucania na siebie otwartych spojrzeń. Merir wstał na samym końcu i zaprosił ich do posiłku. Zasiadli do śniadania i gdy zbliżało się ono do końca, Merir spokojnie rozkazał, by zwrócono im ich oręż.

• Nie zburzcie więcej pokoju — ostrzegł ich Merir.

• Nie nastaję na życie mego kuzyna — szept Vanye przeznaczony był tylko dla uszu Merira i Roha.

Roh nic na to nie powiedział, zapiął pas, wepchnął za niego swój Miecz Honoru i dumnym krokiem odszedł, by zająć się koniem.

Vanye popatrzył na niego, ukłonił się Merirowi i poszedł za kuzynem.

Milczeli. Roh spoglądał na niego gniewnie, co uniemożliwiało rozmowę, więc Vanye odwrócił się, by osiodłać konia i następnie poprowadzić go za innymi, którzy zaczęli już dosiadać swych wierzchowców. Pod wpływem nagłej, gorzkiej myśli zatrzymał się obok kuzyna i czekał na niego. Roh wskoczył na siodło, i Vanye poszedł w jego ślady. Gdy zajęli swoją pozycję w szeregu, kolumna wyruszyła w drogę.

— Rohu — odezwał się w końcu Vanye — czy opuścił nas wszelki rozsądek?

Roh popatrzył na niego zimno.

• Boisz się, prawda? — zapytał go w języku Anduru. — Co udało im się z ciebie wyciągnąć, kuzynie?

• Pewnie to samo, co z ciebie — odparł. — Merir jest uzbrojony, Rohu, tak samo jak ona.

Roh o tym nie wiedział. Powoli zaczynał rozumieć znaczenie tego faktu.

• A więc to cię tak przeraziło — splunął w drugą stronę, krzywiąc się boleśnie. — Zatem jest tutaj coś, co może stawić jej opór. Dlatego jesteś tak zdesperowany. Popełniłeś gruby błąd, żeś mnie do siebie wrogo nastawił; to ci teraz jest najmniej potrzebne. Nie powinienes mi tego mówić. To twój drugi błąd.

• Powiedziałby ci to w stosownej dla siebie chwili, a tak jestem spokojny, że już wiesz o tym.

Roh milczał przez jakiś czas.

• Nie wiem, dlaczego nie odpłacę ci za to, co jesteś mi winny. Sądzę, że to coś nowego, słyszeć Nhi przyznającego się, że źle postąpił — głos mu się załamał. — Powiedziałem ci, kuzynie, że jestem zmęczony. Pokój, kuzynie, pokój. Pewnego dnia zabijemy jeden drugiego, lecz... będziemy przynajmniej wiedzieli za co.

• Zostań ze mną, wstawię się za tobą. Obiecałem to i wciąż zamierzam tego dotrzymać.

• Nie wątpię. — Roh splunął ponownie w bok, otarł usta i zaklął szpetnie, potrząsając głową. — Naruszyłeś mi dwa zęby. Niech to zmaże zaciągnięte długi. Tak, zobaczymy, jak się rzeczy mają...

Przekonamy się, czy nie obce jest jej znaczenie słowa „rozsądek” i czy nie jest ono obce tym ludziom. Wymarzyłem sobie pogrzeb zgodny z obrządkiem Andurinów, lecz jeśli sprawy potoczą się inaczej, znam rytuał Kurshinów.

- A kysz — wymamrotał w odpowiedzi Vanye, żarliwie odczyniając zły urok.

Roh roześmiał się gorzko i skłonił głowę. Ścieżka zwężyła się nagle i odtąd już nie jechali obok siebie.

*

Wrócili Larrel i Kessun; po prostu wyrosli przed nimi na zakręcie ścieżki, czekając na Merira, by z nim porozmawiać.

• Dotarliśmy tak daleko jak Laur — oznajmił Larrel. — Przekazano wieści z Mirrindu: spokój, żadnych kłopotów. — I arrhendowie, i ich wierzchowce wyglądali na znużonych.

• Ta cisza jest osobliwa — odezwał się Merir, obracając się w siodle i rzucając za siebie spojrzenie. — Są ich tutaj tysiące.

• Nie wiem — powiedział Vanye, gdyż spojrzenie to skierowane było w jego stronę. — Spodziewałem się natychmiastowego ataku. — Nagle nowa myśl przyszła mu do głowy. — Ludzie Fwara. Jeśli którykolwiek z tych, którzy zostali z tyłu, nie zginął...

• Tak — podchwycił tę myśl Roh. — Mogli ostrzec przed niebezpieczeństwem tej puszczy, jeśli zdołali z niej wyjść. Mógł to też zrobić Shien. Być może jeszcze jacyś ludzie Fwara mogli nam zaszkodzić.

- Czy chcą się dowiedzieć, gdzie jest Morgaine?
- Wszyscy Shiua znają miejsce, gdzie zaginęła. A straciwszy nas...
- Zaatakowali Nehmin — dokończył Merir, mocno zaciskając usta.

Dwa dni temu miecz został wyciągnięty z pochwy, przypomniał sobie Vanye. Horda miała dostatecznie dużo czasu,

by zawrócić nad brzeg Narn. Poczuł, jak oblewa go pot, przejmujący zimnem w cieniu puszczy.

- Błagam o pośpiech.
- Jesteśmy w pobliżu lasu harilów — powiedział Merir

nie możemy pędzić na oślep, stawką jest nasze życie.

Jednak nie ociągali się zbytnio, przystawali rzadko, byle nie ochwacić koni. Dopiero późnym popołudniem zatrzymali się i odpoczywali aż do wieczora. Kiedy ponownie ruszyli w drogę, wjechali w gęstsza, starszą część lasu. Ciemności zapadały szybciej pod tymi ogromnymi drzewami. Od czasu do czasu konie płoszyło rozlegające się w zaroślach ćwierkanie.

Nagle na czele ich oddziału rozbłysła migotliwa poświata, co jeszcze bardziej spłoszyło klacz Merira. Przez chwilę koń z jeźdźcem wyglądali jak obraz zanurzony pod taflą wody i poświata zniknęła.

Na krótko zamilkły wszelkie odgłosy lasu, a potem pojawili się harilowie, ciemne, szybko poruszające się tym swoim sztywnym krokiem kształty. Pierwszy zaświergotał, na co konie podrzuciły łbami, walcząc z uździenicami, tańcząc to tu, to tam, ogarnięte gorączką ucieczki. Lecz Merir poprowadził ich do przodu, otoczony dziwnymi przewodnikami, którzy po kolei rozplywali się w ogarniających wszystko ciemnościach. W końcu zostało ich tylko trzech. Szli, trzymając się blisko Merira, cały czas cicho ćwierkając. Jasnym było, że pan Shathanu mógł podróżować wszędzie, nawet harilowie otwierali mu drogę, odnosząc się z czcią do mocy zaklętej w Ogniach, skupionej teraz w dłoni Merira, i ustępując przed nią. Nawet arrhendowie wydawali się przestraszeni. Nagle Vanye zrozumiał, jak naprawdę wyglądały jego szanse w spotkaniu z tymi istotami. Zadrzał, przypomniawszy sobie przeprawę przez ich terytorium. Oni byli, na swój przedziwny sposób, sługami Ognia, być może oddawali im boską cześć. Nic o tym nie wiedząc, wybrał się drogą, którą nawet władca Shathanu stapał ostrożnie i z lękiem... Któryś z harilów musiał sobie przypomnieć, że towarzyszył komuś innemu, kto był wysłannikiem Ognia. Z pewnością wiraż z Rohem zawdzięczali życie temu, że harilowie zapamiętali Morgaine.

001

Serce szybciej zabiło mu w piersi, gdy przebiegł wzrokiem po ciemnych sylwetkach idących na czele pochodu.

Mogliby wiedzieć, pomyślał. Mogliby wiedzieć, gdzie ona jest. Przez chwilę rozkoszował się szalonym pomysłem, że zaprowadzą go do niej jeszcze tej nocy. Żałował, że nie istnieje sposób, który by ich mowę ułożył w ludzki język lub pomógłby ich zrozumieć. A tak nawet Merir, chcąc się z nimi porozumieć, musiał to robić wyłącznie na migi.

*

Nadzieja opuszczała go. Harilowie nie prowadzili ich do sekretnej kryjówki, lecz tylko

przeprowadzali ich przez swoje terytorium, i gdy noc dobiegła końca, dotarli do Narn. Poprzez drzewa ujrzeli jej ciemne i szerokie wody, lecz musieli wychodzić prosto na bród, gdyż od nurtu wyraźnie odcinały się piaszczyste, garbate łachy. Najbliżej nich stojący haril wykonał taki gest, jakby się przeprawiał i zaczął się zbierać do powrotu.

Vanye zeskoczył z siodła, złapał równowagę przytrzymując się drzewa i spróbował zatrzymać jednego z harilów. „Trzy osoby” — gestykulował do niego. — „Gdzie?” Może i stworzenie coś z tego zrozumiało. Ujrzał ogromne, ciemne oczy, w których odbijało się światło gwiazd. Istota przystanęła, uniosła rozcapierzoną dłoń, wskazała na rzekę, zatrzepotała cienkimi palcami, a potem odwróciła się i odeszła tym swoim sztywnym, dostojnym krokiem, zostawiając go na pastwę rozczarowania.

— Ognie — przetłumaczył Sharrn. — Rzeka. Wiele.

Vanye spojrział na qhala.

- Żarzykowałeś — powiedział Sharrn. — Mogła cię za to spotkać śmierć. Nie dotykaj ich.
- Nie mogliśmy się od nich niczego więcej dowiedzieć — oświadczył Merir i skierował białą klacz ku brzegowi, nad wodę.

Harilowie zniknęli. Uwolnieni od deprymującej obecności arrhendowie szybko ruszyli jego śladem.

Vanye skoczył na siodło i jechał mając za sobą jedynie Roha i Vis. Skąpe wiadomości przekazane przez harila tylko zwiędziały dręczący go niepokój. Kiedy wjechali w wodę, rozejrzał się dookoła, bo choć nie w tym miejscu wpadli w pułapkę, to jednak sytuacja była podobna, a różnica polegała tylko na

tym, iż to harilowie osobiście przywiedli ich aż tutaj i być może — stanęli na straży, by strzec ich, gdy wstanie dzień

Przy przekraczaniu brodu w takich miejscach trzeba było dodatkowo wyteżać uwagę, by nie natknąć się na ruchome piaski, w które obfitowały takie miejsca. Kessun zaopiekował się koniem Larrela, gdy ten poszedł przodem. W jednym miejscu istotnie wpadł on w tarapaty, pośliznął się i upadł w wodę, ale pozostały odcinek okazał się już łatwiejszy. Za nim, wskazanym przez niego przejściem, podążył Kessun, a potem Sharrn, Merir i pozostali członkowie wyprawy, na samym końcu, jak zwykle, kobiety. Na drugim brzegu oczekiwał ich Larrel. Młody arrhend trząśnięty z zimna, przemoczony do nitki, wyczerpany po długiej podróży i zmaganiu się z piaskami. Choć był qhalem, wyglądał bardzo mizernie, szczuplejszy i bledszy niż zazwyczaj. Kessun owinał go suchym płaszczem, niespokojny, by nie opadła go gorączka, lecz Larrel szybko wspiął się na siodło.

— Musimy się stąd oddalić — powiedział dzwoniąc zębami. — Brody to świetne miejsce do ustawienia strażników.

Nikt nie miał zamiaru się z nim sprzeczać. Tym razem Merir skierował się na południe i jechali, póki koniom nie zabrakło sił w nogach.

*

W południe urządzili popas i zjedli posiłek, którego rano zaniechali, nie chcąc tracić czasu. Milczeli; nawet dumni qhalowie opadli z sił i siedzieli wyczerpani. Roh znalazł jedyną w tej okolicy słoneczną plamę i rozciągnął się jak długi na nagrzaną ziemię; Vanye zrobił to samo. Dręcząca go od wielu dni gorączka ustąpiła, jednak czuł się tak, jakby szpik wyciekł mu z kości, a siłę, która napędzała mięśnie, do cna wyczerpało gorąco. Jego ręka, którą miał przed oczami, wyglądała obco: kości widać było wydatniej niż zazwyczaj,

223

nadgarstki znaczyły strupy gojących się ran. Zbroja wisiała na nim luźno. Słońce prażyło mocno, pogarszając tylko jego samopoczucie, jednak był zbyt znużony, by odwrócić się i ułożyć wygodniej.

Coś wystraszyło konie.

Podniósł się. Arrhendowie i Roh skoczyli na równe nogi. Rozległ się gwizd, krótki, pytający. Merir wysunął się, by można go było zobaczyć, a Sharrn odpowiedział, wydając tak zawile trele, że Vanye, który znał co nieco ten system, nic z tego nie zrozumiał. Odezwał się nie mniej skomplikowany.

- Doniesiono nam — powiedział Merir, kiedy zaległa cisza — że Nehmin jest w niebezpieczeństwie. SIRRINDOWIE... Shiua, przed którymi uciekliście, pociągnęli w górę Nam w wielkiej liczbie.

- A Morgaine? — zapytał Vanye.
- O Morgaine, Lellinie i Sezarze ani słowa, jakby ukryto za jakąś kurtyną fakt ich istnienia. Żywi czy umarli, ich obecność nie została zauważona w Shathanie, choć może arrhendowie z tej strony nie mogli nam tego powiedzieć. Dzieją się tutaj bardzo dziwne rzeczy.

Vanye poczuł się zdruzgotany, ta wiadomość zgasiała ostatni promyczek nadziei.

— Ruszajmy — odezwał się Merir. — Nie mamy czasu do stracenia.

ROZDZIAŁ XIV

Kłopoty nie pozwoliły na siebie długo czekać. Ptactwo poderwało się do lotu, przestraszone jakimś ruchem w zaroślach na przeciwległym brzegu Narn. Po chwili ujrzeli jeźdźców, lecz szerokie koryto rzeki rozdzieliło obydwie oddziały od siebie, brak brodu nie pozwolił im się zbliżyć do siebie.

Wrogowie także ich dostrzegli i ściągnawszy wodze, zdeorientowani zatrzymali wierzchowce. To byli khalowie, w demonicznych hełmach, w łuskowych zbrojach, na niewielkich koniach z Shiuanu — uzbrojeni we włócznie byli okrutnymi przeciwnikami. Arrhendom zjeżył się włos na głowie na widok ich przywódcy, odróżniającego się rozpuszczoną na wietrze białą czupryną, który zatrzymał swego wierzchowca na skraju wody — tak podobnego do nich, a zarazem różniącego się tak bardzo w swej fantastycznej zbroi, dziele oczadziałej akilem sztuki.

— To Shien! — syknął Vanye, gdyż spośród zastępów Shiua nikt miał tak aroganckiej postawy, jeśli nie liczyć Hetharu. Khal rzucił im wyzwanie, wpędził konia po kolana do wody, lecz w końcu zawrócił swych zbrojnych i cofnął się.

Ich oddział nie przerwał jazdy, kierując się w stronę przeciwną do obranej przez hordę z Sotharry, jednak Shien zawrócił wierzchowca i rzucił się za nimi w pościg, oddzielony szerokim nurtem wód Narn. Jeźdźcy z Sotharry wystrzelili z łuków, jednak zaledwie garść strzał zagrzechotała na kamieniach na drugim brzegu, większość utonęła w wodzie.

Perrin ściągnęła wodze swojego wierzchowca, stanęła nad samym brzegiem i mierząc krótko, posłała śmiertelnie celną strzałę. Jeździec w upiornym hełmie krzyknął przenikliwie i pochylił się w siodle, tak że musiał go podtrzymać jeden z jego kamratów. Po wodzie poniósł się okrzyk wściekłości. Tym razem Vis zatrzymała swego wierzchowca tuż nad brzegiem rzeki i jej strzała trafiła w wybrany cel.

225

- Daj mi swój łuk — Vanye poprosił Roha — jeśli sam nie chcesz go użyć.
- Shien? Nie, mimo urazy, którą do niego czujesz. On należy do zacieklej wrogów Hetharu i do tego jest najlepszy z nich wszystkich.

I tak było już za późno. Shiua — zbadawszy zasięg swych łuków i przekonawszy się o śmiertelnie celnym oku mieszkańców Shathanu — zostali z tyłu, poza zasięgiem strzał arrhendów, i podążali za nimi utrzymując dystans, oni zaś nie chcieli się zatrzymywać. Perrin i Vis zdjęły cięciwy z łuków. Arrhendowie zwarli szyk wokół Merira, z niepokojem badając wzrokiem las z tej strony rzeki. Teraz zależało im na szybkości, dlatego nie oddalali się od brzegu, z rzadka tylko porośniętego krzewami, mogącymi opóźnić ich marsz.

Vanye, spojrzawszy przypadkiem przez ramię, zobaczył biały obłok dymu na brzegu, którym posuwali się Shiua.

Perrin i Vis podążyły za jego wzrokiem i twarze stężały im z gniewu.

- Ogień! — wykrzyknęła Perrin, jakby to była jakaś klątwa, i pozostali obejrzeli się za siebie.
- To znak Shiua — wyjaśnił Roh — wieść dla ich kamratów w dole rzeki, że jesteśmy tutaj.
- Nie lubimy dużego ognia — powiedział ponuro Sharn. — Jeśli mają trochę oleju w głowie, do zmroku zostawią las daleko za plecami.

Vanye ponownie obejrzał się za siebie, na koryto Narn, przecinające Shathan jak wyrwa w murze obronnym — drogę dla Ludzi, ognia i toporów. Harilowie spali, bezradni w dzień. Dojrzał odległy cień jeźdźców, błysk metalu w promieniach słońca; to Shien znów szedł trop w trop za nimi.

*

Urządzili kolejny postój, bo konie lśniły od potu. Vanye zajął się nimi, bo choć arrhendowie troszczyli się o swoje wierzchowce, to jednak byli ludźmi lasu, a zwierzęta otrzymali w darze i nie mogli wiedzieć o nich tyle, co Kurshin.

— Panie — zwrócił się w końcu do Merira — otwarta

kraina to nie to samo, co puszcza. Nie powinniśmy gnać naszych koni do ostatniego tchu,

zwłaszcza że możemy nagle ich potrzebować. Jeśli Shiua przedostaną się na ten brzeg i przyprą nas do rzeki, znużone wierzchowce nas nie uniosą.

- Nie obawiam się tego.

- Zajeżdżisz je na śmierć — powiedział zrozpaczony Vanye i zrezygnował z dawania rad staremu ąhalowi. Odszedł, poklepawszy siwą klacz po łopatce i pogłaskawszy ją po nozdrzach, usiadł ciężko obok Roha, oparłszy głowę na kolanach.

W chwilę później znów siedzieli w siodle, lecz mimo że Merir wydawał się być głuchy na wszelkie rady, tym razem jechali wolniej.

Tak jak Morgaine, pomyślał z goryczą Vanye. Dumny i uparty. Poczł jakby dźgnięcie nożem w nie zabliźnioną ranę. Jechał bezwładnie pochylony w siodle. Obejrzał się raz za siebie, by rzucić okiem na Shię i jego ludzi, którzy bez przerwy jechali w ślad za nimi, ostrożnie trzymając się poza zasięgiem ich strzał. Potrząsnął głową zrozpaczony — wiedział, co to oznacza: zamierzali spotkać się z innym oddziałem po ich stronie Narn przy następnym brodzie, tam Shien chciał zamknąć ich w sieci.

Roh zbliżył się tak, że ich konie otarły się o siebie. Vanye podniósł głowę. Roh podał mu jeden z placków przygotowanych przez arrhendów na drogę.

— Nic nie jadłeś, gdyśmy stanęli na popas.

Nie miał wtedy apetytu i nie czuł go teraz, lecz zrozumiał niepokój Roha. Zjadł placek i popił wodą, choć zaciążył mu w żołądku jak ołów. Drobną, czarnowłosa Vis zbliżyła się z drugiej strony.

— Weź — podała mu swoją manierkę.

Wypił. Zapięкло go jakby połknął ogień i poczuł szczypanie w oczach. Nie zdziwił się tym wcale, sądząc po zapachu, spodziewał się właśnie czegoś takiego. Pociągnął jeszcze kilka łyków i oddał manierkę Vis.

— Wciąż jesteś w żałobie. My khemi i arrhendowie rozu miemy to. I jest nam żal. — Wcisnęła mu manierkę z po-

997

wrotem. — Weź. To z naszej wioski, my możemy mieć tego więcej.

Nic nie mógł na to odpowiedzieć; kiwnęła głową, to także rozumiała, i została z tyłu. Zawiesił manierkę przy siodle, lecz w tej samej chwili pomyślał o Rohu. Roh przyjął poczęstunek i pociągnął łyk.

Na niebie zaczęły kłaść się nocne cienie. Nad ciemnym pierścieniem Shathanu, po drugiej stronie rzeki, płonęło słońce. Na wschodzie zapadła cisza. Z ciemnego lasu nie dobiegały pokrzepiające gwizdy.

Posuwali się, póki było jeszcze dostatecznie widno. Skręcili w puszcę, gdy natknęli się na dopływ Narn. Nie była to wielka rzeka, szybko zaczęła się zwężać, tak że wkrótce gałęzie drzew rosnących po obu jej stronach zaczęły sięgać z jednego brzegu na drugi. Nagle dookoła nich poruszyły się skradające się cienie, a cichy świergot oznajmił, że są to har iłowie.

Jeden oczekiwał na nich na brzegu, podobny do stojącego na płyciźnie wielkiego, brzydkiego ptaszyska. Zaśpiewał do nich, jakby zaintrygowany ich widokiem, i cofnął się, gdy zbliżył się do niego Merir. A potem pokiwał na niego palcem.

- Nie możemy odbyć jeszcze jednej takiej podróży — zaprotestował Sharrn. — Panie, nie możesz.

- Spokojnie — powiedział Merir, zwracając siwą klacz w stronę, którą wskazywało to dziwne stworzenie. Koń zabrnął aż po pierś w leniwie toczącej swe wody rzece, pozostali poszli jego śladem, kierując się na drugi brzeg, w jeszcze dziksz las.

Haril przynaglił ich, lecz nie byli w stanie przyśpieszyć przeprawy. Konie potykały się na kamieniach, ślizgały się, wchodząc po zboczach wąwozu. Po drugiej stronie rzeki drzewa były bardzo stare, rosły tutaj bardzo gęste zarośla. Harilowie, otoczywszy ich ze wszystkich stron, wynajdowali dla nich ścieżki, których nie mogły znaleźć konie. Nagle w ciemności przed nimi zamajaczyła jakaś sylwetka, ubrana na biało, a nie zielono, z rozpuszczonymi włosami, stojąca nieruchomo. W świetle gwiazd bardziej przypominała zjawę niż istotę z krwi i kości.

Lellin.

Młodzieniec uniósł rękę.

- Dziadku — powitał cicho Merira. Podszedł i uściśnął jego dłoń. Nie był zjawą, jednak zaszła w nim zmiana, był w nim jakiś smutek i spokój zupełnie nie pasujący do młodzieńca, którego znali. — Ach, dziadku, nie powinienes tu przyjeżdżać.

- Dlaczegoż to? — zapytał go Merir. Stary pan zdawał się być wystraszony. — Cóż to za

szaleństwo? Dlaczego tak wyglądasz? Dlaczego nie wysłałeś wiadomości, jak obiecałeś?

- Nie mogłem.
- Morgaine — powiedział Vanye, wysunawszy się przed Sharna. — Lellinie, co z Morgaine?
- Niedaleko — odpowiedział Lellin i wskazał ręką. — Kamienne wzgórze, po drugiej stronie...

Vanye wbił ostrogi w bok konia i pochylając się nisko, ruszył ostro do przodu, nie zwracając uwagi na ich protesty ani przestrogi harilów. Nie mógł pozwolić, by Merir spotkał się z Morgaine bez ostrzeżenia. Koń potknął się pod nim, lecz zdołał odzyskać równowagę. Zarośla utrudniały mu jazdę, gałęzie czepiały się go i chłostały jego zbroję. Przywarł do siodła i koń jakoś ustał na nogach, zbiegając i wspinając się po nierównościach, płosząc się tam, gdzie wyczuł obecność harilów. Pościg następował mu na pięty, doszedł do niego odgłos zbliżających się arrhendów. Nagle otworzyła się przed nim szeroka polana, oświetlona gwiazdami. Ujrzał białe szaty, rozwiane wiatrem białe, fosforyzujące włosy. Spozrzegł migotanie, w ostatniej chwili ściągnął wodze, lecz nie zdołał ominąć świetlistej przeszkody.

Potem zapadł się w ciemność.

*

— Khemeisie.

Poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Niedaleko słyszał konia. W powietrzu wciąż mógł wyczuć paraliżujące działanie mocy Bram.

— Khemeisie.

229

To był Lellin. Zaczął się podnosić, odpychając się dłońmi od szorstkiej trawy. Jeszcze jakaś ręka pomogła mu wstać. Zobaczył przed sobą twarz Sezara, ubranego w białą szatę, tak jak Lellin. On także nie nosił przy sobie broni. Potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem, po ubranych na białe ąhalach, z których dwóch niegdyś było arrhendami. Jeden z ąhalów trzymał wodze jego konia, który — zdawało się — też jeszcze nie przyszedł do siebie.

Byli tam i inni: Merir otoczony odzianymi w biel ąhalami, odróżniający się od nich swą szarą opończą; Roh wraz z arrhendami, którzy zbili się w gromadkę, jakby w wielkim strachu, utrzymując z szacunkiem dystans.

— Otrzymałeś pozwolenie — powiedział Lellin, wskazując na wzgórze. — Ona przysłała po ciebie. Idź teraz, szybko.

Przez chwilę, w zupełnej ciszy, jeszcze raz uważnie toczył spojrzeniem po białych postaciach. Wciąż kołysało mu się w głowie, moc Bramy drażniła jego zmysły. Nagle, pod wpływem ogromnego niepokoju, odwrócił się i ruszył. Ktoś poszedł za nim jak cień, wskazując mu drogę, którą powinien obrać wspinając się na wzgórze — ścieżkę zaczynającą się między porastającymi podnóże zbrocza drzewami. Nie biegł, choć bardzo tego pragnął.

Wzgórze nie było wysokie, niewiele wyższe niż pagórek, który można napotkać w puszczy, obrośnięte ze wszystkich stron starymi drzewami, powykręcany, wygiętymi wichrami mocy Bram — dziwnie rysującymi się na tle światła gwiazd. Wspinał się ostrożnie, serce zamierało mu w piersi ze strachu przed tym na co może się natknąć w tej duszącej ciszy.

Za zakrętem ścieżki, pomiędzy skałami, stała Morgaine — ubrana na białą tak jak Lellin i pozostali. Wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał cienkie szaty. Była bez broni i kolczugi, choć dotąd nigdy dobrowolnie nie rozstałaby się z „Odmień-cem”.

— *Livo* — powiedział stłumionym głosem i zatrzymał się. Był człowiekiem, w tej chwili dotkliwie to odczuł. Nie chciał zbliżyć się i stwierdzić, że się zmieniła; nie chciał utracić jej w ten sposób.

elrrri

Ona jednak nie pozwoliła mu na siebie czekać. Choć w innych szatach, wciąż była to ta sama silna i zuchwała Morgaine, którą znał. Wyglądała jak duch, to prawda, jednak ten duch — dziarsko jak Morgaine — zeskoczył ze skałek i podał mu dłoń na przywitanie. Złapał ją, jakby obawiając się, że mimo wszystko okaże się to jakąś iluzją i padli sobie w objęcia.

Nie powiedziała ani słowa, a jemu długo nic nie przychodziło do głowy. Nagle pomyślał o ranie, uzmysłowił sobie, jak bardzo jest szczupła, że być może zadaje jej ból, i usadowił ją na głazie, samemu przysiadając na niższym kamieniu.

- Żyjesz — odetchnął z ulgą.
- Widzieliśmy dym. Miałam nadzieję, że to przez ciebie wszczęto ten alarm. Wysłałam wiadomość — taką jaką mogą zrozumieć harilowie. Widziałam, jak nadjeżdżasz. Nie mogłam im przeszkodzić.

Krzyczałam, jednak wiatr porwał moje słowa albo oni nie chcieli mnie wysłuchać. Odnalazł cię Lellin?

- Tam, nad rzeką — zawiódł go głos i oparł głowę o głaz. — Och, niebiosa, nie wiedziałem, jak cię odnaleźć.
- Sezar znalazł na brzegu martwą Mai i ślady kopyt dookoła. Udali się na poszukiwania, jednak w tej okolicy roilo się od Shiua i musieli zawrócić. Co się z tobą działo?
- Wpadłem w tarapaty. — Mocno ścisnął jej rękę, by przekonać się jeszcze raz, że nie jest zjawą. — A co z tobą? Kim są ci ludzie? Gdzie trafiliśmy?
- Arrha. Gospodarze Nehminu. Są niebezpieczni, lecz bez ich pomocy nie przeżyłabym.
- Czy jesteś wolna?
- Tę kwestię trzeba będzie jeszcze poruszyć. Stąd nie ma dokąd pójść. Trzy dni temu ludzie z bagien próbowali w nocy przełamać naszą obronę. Wciąż są tam, gdzie z Lel-linem, Sezarem i arrha powstrzymaliśmy ich pochód. Próbowałam się w to nie mieszać, ukryć się przed nimi, lecz nie udało mi się to. Mimo wszystko, o mało nie zwyciężyli.

Miał mnóstwo pytań. Pogłaskał ją po dłoni, która teraz wydawała się niesłychanie krucha i szczupła.

— Czy dobrze się czujesz, twoja rana...

Dotknęła stawu biodrowego.

- Goi się. Arrha są zręcznymi uzdrowicielami. Rana była poważna, byłam bliska śmierci. Nie przypominam sobie, jak skończyła się jazda, to Lellin z Sezarem znali drogę lub wydawało im się, że znają. Arrha pozwolili nam przejść.
- Gdybyś nie utrzymała się w siodle... — wstrząśnięty nie dokończył myśli.
- Tak. To samo pomyślałam o tobie. Mimo wszystko dotarłeś do Merira, ale nie wysłałeś do mnie żadnej wiadomości.

Przez chwilę poczuł zmieszanie, uzmysławiając sobie, jak opacznie stworzyła sobie wyobrażenie.

— Gdybyż moje losy były tak proste — powiedział i nagle opanował go strach, niechęć przed wyznaniem, co się na prawdę wydarzyło, powiedzeniem jej, że wpadł w ręce nieprzyjaciela. Ludzie zmieniali się poddani działaniu mocy Bram, Roh był najlepszym tego przykładem; przypomniał sobie czasy, kiedy natychmiast zabiłaby towarzysza po dróży, powziąwszy cię podejrzenia. — Przebaczone, by do trzeciej tutaj, skorzystałem z pomocy sprzymierzeńców, za co teraz mnie przeklniesz. Merir zna prawdę o mieczu i powód twojego przybycia tutaj. Przebaczone, okazałem się zbyt łatwym wiarus.

Przez chwilę siedziała w milczeniu. W jej oczach pojawił się strach.

- Zatem teraz wiedzą o tym również arrha.
 - To nie wszystko, *liyo*. Jednym z ludzi, tam na dole, jest Roh.
- Odsunęła się.
- Przebyłem całą drogę do Bramy i z powrotem — głos zachrypł mu ze wzruszenia, nie pozwolił jej odejść. — *Liyo*, na mą duszę, nie miałem wyboru, i nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie Roh.
 - A co z przysięgą, którą mi złożyłeś? Miałeś nie pozwolić mu ujść z życiem, tymczasem przyprowadzasz go do mnie?
 - Pomógł nam obojgu, w zamian chciał się z tobą zobaczyć, to był jego jedyny warunek. Ostrzegałem go., wyznaję, że go ostrzegałem, próbowałem namówić do ucieczki. Jednak przyszedł aż tutaj. Stracił wszystkich przyjaciół! A bez niego... Czy go wysłuchasz?

• Chodź — powiedziała spojrzawszy na niego i wstała nie zabierając ręki z jego dłoni. Poszedł za nią pomiędzy skały, wzdłuż innej ścieżki biegnącej w dół przeciwnego zbocza. — Tutaj jest nasz obóz — wyjaśniła. — Zdziwiałe, nigdy siekiera nie tknęła Nehminu, jednak arrha ściągnęli drewno z zewnątrz i wybudowali to dla nas. W pewnym sensie byli wobec nas bardzo uprzejmi.

Drewniany szałas był pośród drzew niemal niewidoczny, obok pasła się zjawka konia. To był Siptah. Vanye z ulgą rozpoznał siwego ogiera z Baien, gdyż Morgaine kochała to zwierzę i bardzo przeżyłaby jego utratę, być może tak, jak śmierć swego *ilina*, wierzchowiec wcześniej rozpoczął z nią wędrówkę i razem przebyli dłuższą drogę. Niedaleko pasły się dwa inne konie, Lellina i Sezara, jeden odróżniał się swymi białymi pończoszkami w pęcinach. Wszystkie nabrały obłych kształtów, widać było, że otoczono je troskliwą opieką.

— Roh — mamrotała po drodze do szałasu. — Arrha zamierzali trzymać was z dala ode mnie przynajmniej

jeszcze przez noc, zapewne, aby was przepytać. Lecz szanu ją więź między khemeisem a arrhendem i kiedy zarzuciłam im, że wyrządzają ci krzywdę, zawstydzeni, jak myślę, pozwolili ci spotkać się ze mną. Martwi mnie obecność Roha. Wolałabym, by nie świadczył przeciw mnie.

— Możemy spróbować wyrwać się stąd.

Potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że nasz los leży w rękach Shiua. Otoczyli nas przynajmniej z dwóch stron. — Odsunęła zasłonę u wejścia do szałasu — szary, wielowarstwowy muślin, miękki jak stary mech i przypominający woale harilów. Przekraczając próg, Vanye poczuł na twarzy jego nieprzyjemny dotyk.

Morgaine pochyliła się i przytknęła trzcinę do kosza z węglami. Przeniosła płomynek do małej lampki. Otoczył ich krąg nikłego światła.

— Harilowie nie lubią ognia, lecz my jesteśmy bardzo ostrożni — powiedziała. — Opuść zasłonę. Zrzuć zbroję. Żaden wróg nie może nas tutaj najść, nie pokonawszy olbrzymich przeszkód, a jeśli chodzi o arrha... Oni są inni. Sprawdzę, co jest tutaj do zjedzenia...

Znieruchomiał w samym środku małego szałasu, podczas gdy ona przeszukiwała dzbany, które stały w kącie. Znajdowały się tutaj uprząże Siptaha oraz koni Lellina i Sezara, trzy legowiska, jedno z nich za zasłoną z szarego muślinu, starannie złożona w jednym z kątów zbroja Morgaine i oparty o nią, tak jakby był najwykleszszym mieczem, „Odmieniec”. Już to, że udała się na szczyt wzgórza nie zabierając go z sobą, było niewiarygodne, jakby instynkt, dzięki któremu dotąd wychodziła obroną ręką z opresji, uległ stepieniu; jakby mimo wszystko dokonała się w niej delikatna zmiana i pojawiło się w niej coś obcego. Poczul to, patrząc na nią na tle otaczających ją, znajomych mu rzeczy. W słabym świetle ciemnej lampki była szczupła i delikatna jak ahalowie w białych szatach. Gdy spojrzała na niego, dostrzegł w rysach jej twarzy napięcie wywołane ostatnim bólem. Byłem tak blisko, pomyślał z nagłą udręką, tak blisko utracenia jej; być może to wycisnęło na niej swe piętno.

— Vanye?

Sięgnął do rzemieni swej zbroi. Niezdarne palce nie chciały go słuchać, ale w końcu się z nimi uporał. Pomogła mu uwolnić się od ciężaru kolczugi. Rozsznurował skórzany kubrak i zrzuciwszy go z siebie, usiadł z westchnieniem ulgi. Podawała mu wodę, chleb i ser. Nie mógł jeść, uszczknął zaledwie parę kęsów. Było ciepło, ona była razem z nim, i w tej chwili, oparty plecami o ściankę szałasu, wołał najzwyczajniej odpocząć.

• Nie zaprzętaj sobie głowy pozostałymi — powiedziała. — Lellin i Sezar nas ostrzegą, gdyby miało nam coś zagrozić, a arrha wzbraniają się nawet przed dotknięciem nas ręką. Dobrze jest znowu cię widzieć, Vanye.

• Tak — wymamrotał, nie mogąc wydusić nic więcej przez zaciśnięte gardło.

Usiadła na matach w pobliżu kosza z węglami. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, jakby poddając szczegółowemu badaniu.

• Boli cię.
• To mija.
• Twój upadek tam, na dole...
• Jechałem na osłep. — Skrzywił się. — Chciałem ostrzec cię przed tymi, którzy mi towarzyszą.
• Udało ci się. — Na jej twarzy odbiła się głęboka troska. — Vanye, czy opowiesz mi, co się stało?

• Masz na myśli Roha?

• Roha i wszystko, co według ciebie powinnam wiedzieć.

Opuścił wzrok i podniósł go na nią.

• Postąpiłem wbrew twoim rozkazom. Wiem o tym. Nie mogłem go zabić. Wyznaję, że nie po raz pierwszy. Zgodziłem się, że z tobą porozmawiam... Nie prosił o to, lecz mu powiedziałem, że to zrobię. Mam wobec niego dług. On nie ma już sprzymierzeńców, zgasła w nim wszelka nadzieja poza tą, by tu przyjść.

• I ty mu wierzysz.

• Tak. Jeśli o to chodzi, wierzę mu.

Zacisnęła dłonie na kolanach, aż zbieleły jej kostki palców.

• I co, twoim zdaniem powinnam zrobić?

• Nie wiem. Nie wiem, *liyo*. — Pochylił się w czołobitnym ukłonie, czego zazwyczaj nie znosiła, lecz tym razem sytuacja tego wymagała. — Powiedziałem mu, że porozmawiam z tobą. Czy

wysłuchasz mnie? Dałem mu moje słowo.

- Nie ludź się, że to coś zmieni. Na moje decyzje nie ma wpływu to, czego sama chcę lub czego ty chcesz.

- Proszę jedynie, byś mnie wysłuchała. Nie łatwo to wytłumaczyć. Tak rzadko cię o cokolwiek proszę.

- Tak — przyznała cicho i głęboko westchnęła. — Słucham. Przynajmniej tego wysłucham.

- Długo?

- Tak długo, jak sobie życzysz. Do wschodu słońca, jeśli tego ode mnie chcesz.

Pochylił głowę, przez chwilę opierając ją na dłoniach, zbierał myśli. Musiał zacząć od samego początku, bo inaczej nie miałyby to sensu. Więc zaczął, bynajmniej nie od razu poruszając temat Roha. Zaintrygowało ją to, lecz słuchała go, tak jak mu obiecała. Gniew zniknął z jej oczu, a pozostało zainteresowanie jego nieskładną opowieścią o sobie, swoim rodzinnym domu, drobnostkach, o których nie wiedziała. Przeżywał katusze mówiąc o tym, jak to jest być półkrwi Chya w klanie Morija, o ciągłych wojnach, jak został bękartem pana Nhi. Wspominał o chwilach z ich wspólną wędrówką, o rzeczach, których ona nie zobaczyła, o Liellu i Rohu, nocy spędzonej na dworze Roha w Ra-koris i innej, w lesie w pobliżu Ivrel, kiedy ona spała, i o nie znanym jej Ohtij-in w Shiuanie. Obserwował ją, rozumiejąc przeblyskujący od czasu w jej oczach gniew, który jednak ustępował zaciekawieniu. Przez cały czas nie odezwała się ani razu.

Na koniec dopowiedział resztę: o Fwarze i obozie Het-haru, o Merirze i swojej drodze do niego. Nie oszczędził niczego, a zwłaszcza własnej dumy; odwrócił wzrok, by na nią nie patrzeć, słowa dźwięły go — w jego żyłach płynęła krew dumnych Nhi, którzy nie nawykli do takich spowiedzi.

Jego opowieść dobiegła końca. Morgaine siedziała z zaciśniętymi mocno dłońmi. Dopiero po chwili, jakby uzmysławiając sobie ten fakt, rozluźniła je i podniosła wzrok.

- Szkoda, że czasami o pewnych sprawach nie wiedziałam.
- Tak, wolałbym, byś o pewnych sprawach nie wiedziała i teraz.
- W twojej opowieści o sobie mnie nic niepokoi, lecz Roh... Roh. Nie pomyślałam o tym.

Przysięgam!

- Widziałas go. Ale... ale może... sam nie wiem, *liyo*.
- To nie może mieć żadnego znaczenia. Nie zmieni niczego.
- *Liyo*.
- Ostrzegałam cię, że to nie mogło sprawić różnicy... Roh czy Liell; co za różnica.
- Ale Roh...
- Zostaw mnie samą. Na chwilę. Proszę.

Omalże nie stracił panowania nad sobą. Posunął się za daleko. Powiedział zbyt wiele, zbyt bolesnych słów, i ona go odtrąciła.

- Tak jest — powiedział ochryple i zerwał się, by poszukać spokoju w chłodnym powietrzu na zewnątrz. Lecz ona podniosła się i przeszkodziła mu w tym, łapiąc go za nadgarstek. Uraziły ją, gdyby teraz dał się ponieść gniewnym uczuciom i stanął nieruchomo. Nie mogąc opanować łez, odwrócił od niej twarz.

- Pomyśl: co mam zrobić z przyjacielem, którego przyprowadziłeś do mnie?

Nic nie przychodziło mu do głowy.

- Nigdy nie weźmiesz od niego słowa — odparł w końcu — a wszystko opiera się tylko na tym... na jego słowie i mojej wierze, że ono jest coś warte. Lecz to nic dla ciebie nie znaczy.

- Jesteś niesprawiedliwy.
- Nie skarżę się na ciebie.
- Uwięzić go? Wie zbyt wiele. Więcej od ciebie, od Merira — być może nawet ode mnie. Nie mogę zaufać tak ogromnej wiedzy, biorąc pod uwagę instynkt Liella.

- Czasami wydaje mi się, że mam przed sobą samego Roha. On powiada, że tamten przychodzi jedynie w snach, które przybierają na sile, gdy obok siebie nie ma nic znajomego. Mówi, że mnie potrzebuje, lecz ja nic o takich rzeczach nie wiem. Mogę tylko zgadywać. Może to właśnie ja zmusiłem go do przyjścia tutaj, do ciebie, bo kiedy jest ze mną, jest moim kuzynem. Lecz to są jedynie domysły.

- Być może — powiedziała po chwili — wiedziony intuicją, nie popełniasz omyłki.

Tkwiała w nim bolesna zadra. Odwrócił się i spojrzał na nią, zajął jej szare oczy, wpatrzył się w jej twarz o czystych ąhalskich rysach.

— Roh powtarzał, wciąż i bez ustanku, że wiesz, jak to jest, bo sama przeżyłaś coś podobnego.

Nic nie odpowiedziała, lecz odsunęła się od niego. Tym razem nie zamierzał tego tak zostawić.

- Nie wiem — wyszeptala. — Ja nie wiem.
- Mówi, że jesteś tym, kim jest on. Pytam cię, *liyo*. Jestem zaledwie *ilinem*, możesz zakazać mi

zadawania tych pytań, a złożona tobie przysięga nie zależy od tego, kim jesteś. Lecz chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć.

- Nie sądzę, by tak było naprawdę.
- Powiedziałaś, że nie jesteś ąhalem. Lecz jakże mam w to uwierzyć? Powiedziałaś, że nigdy nie zrobiłaś tego, co Liell, lecz — dodał cicho, z wysiłkiem wymawiając słowa na widok jej nieufnych oczu — jeśli nie jesteś ąhalem, czyż nie jesteś tym innym, *liyo*!

- Mówisz mi, że cię okłamałam.
- Jak mogłaś powiedzieć mi prawdę? *Lyio*, kłamstwo, nawet poczciwe... mógłbym zrozumieć. Gdybyś nawet powiedziała mi, że jesteś ucieleśnieniem zła, nie uwolniłoby mnie to z danego przyrzeczenia. Być może robisz to z dobrego serca. Lecz po tak długim czasie, tylu przeżyciach... dla mojego spokoju...

- Czy wtedy zaznasz spokoju?
— Chciałbym cię zrozumieć. Tak, zaznam.
Zamigotały szare oczy, pojawił się w nich ból. Podała mu wąską dłoń o długich palcach. Ujął ją i mocno ścisnął, błagalnie.

- Prawda — powiedziała cichutko. — Urodziłam się tym, kim jest Hetharu: mieszkańcem, dawno temu w miejscu bardzo odległym od Andur-Kurshu... zamkniętym teraz, zagubionym, ale to nie ma znaczenia. Katastrofa spadła nie tylko na ąhalew; zmiotła nie tylko ich. Byli jeszcze ich przodkowie, którzy stworzyli Bramy. — Roześmiała się gorzko. — Nie rozumiesz tego, lecz Shiua są z mojej przeszłości, a ja jestem z ich. To paradoks, ale w światach Bram jest ich mnóstwo. Czy to, co powiedziałam, może cię uspokoić?

W jej wzroku pojawiła się obawa przed tym, co powie... jakby — ta myśl sparaliżowała go — obudziła się w niej potrzeba liczenia się z tym. Niejasno rozumiał, na czym polega szaleństwo czasu za progiem Bram. Ale że może być coś starszego od ąhalew... Takiego ogromu czasu nie był w stanie ogarnąć rozumem. Ujął jej twarz w dłoń i pocałował tuż obok ust, w jedyny znany sposób potwierdzając swe zaufanie. Wziął ją za kłamekę, oskarżył ją, był tego tak pewny, że mógł sobie pozwolić na wybaczenie kłamstwa rozumiejąc ją. Lecz ona nie kłamała.

Otworzyła się pod nim otchłań, w której przepaść miała cała jego zdolność pojmowania.
— No cóż — powiedziała — przynajmniej jeszcze tu stoisz.

Kiwnął głową, nie znajdując żadnych słów.

— Czasami mnie zaskakujesz, Vanye.

A kiedy wciąż nie mógł zdobyć się na odpowiedź, potrząsnęła głową i odwróciła się, z założonymi rękami i pochylonym czołem.

- Oczywiście doszedłeś do takiego wniosku, nie miałeś wyboru. Niewątpliwie i Roh w to wierzy. I choć niewielką to mogłoby wyrządzić szkodę, Vanye, błagam, byś zatrzymał to tylko dla siebie. Nie mów o tym nikomu. Nie jestem ąhalem, lecz to, kim jestem, nie ma już żadnego znaczenia, nie w tym czasie, nie w Shathanie. To się już nie liczy.

- *Lyio*...
- Nie wprowadziłam cię w błąd, co do natury Roha. Wiedząc o tym, nie pozwoliłabym, byś myślał, iż cię przeciw niemu wysyłam. Nie wiedziałam tego. Nie wiedziałam, Vanye.
- Teraz miotam się między dwoma przysięgami. Na, niebios, *liyo*! Myślałam o ocaleniu życia Rohowi, a teraz boję się, że mi się to uda. Przysięgam, że nie chcę cię zmusić, byś postąpiła wbrew sobie. Nie chcę tego. *Lyio*, chroń siebie. Nigdy nie powinienem cię o nic pytać; nie w ten sposób chciałem cię przekonać. Nie słuchaj mnie.
- Nie bierz wszystkiego na swoje barki, ja znam siebie — odrzuciła głowę do tyłu, mocno zacisnęła usta i spojrzała na niego. — To jest Nehmin. Zrozumiesz, co to za miejsce, tak jak ja rozumiałam. Nie spieszno mi, by rozlać tutaj krew. Jesteśmy daleko od Andur-Kurshu... daleko od powstałych tam uraz... i lituję się nad nim. Lituję się nawet nad Liel-lem — choć to jest trudniejsze, bo znałam jego ofiary.

Pozwól mi pomyśleć. Prześpij się, proszę. Mamy jeszcze przed sobą noc, a ty jesteś bardzo zmęczony.

— Tak — zgodził się, lecz raczej dlatego, że wolał nie wdawać się z nią w dłuższe dysputy, a nie dlatego, że nie mógł już ze zmęczenia ustać na nogach.

Oddała mu matę przy wschodniej ścianie, swoją własną. Położył się na niej, nie mając ochoty

zasypiać; lecz zrobił się nagle ociężały od nagłego odprężenia, tak że nie chciało mu się nawet poruszyć. Przykryła go kocem i usiadła obok, opierając plecy o słup, trzymając go za rękę. Zadrżał bez żadnego powodu; jeśli nawet zrobiło mu się zimno, był tak odrętwiały, że nawet tego nie poczuł. Westchnął, zamknął jej palce w swej dłoni i w mgnieniu oka zapadł w twarde, głęboki sen.

ROZDZIAŁ XV

Rano nie było jej przy nim, znalazł za to mleko, chleb, masło i plastry zimnego mięsa. Na boku dzbanka, masłem, wypisany był symbol w języku Kurshinów, którego początek znaczył „Morgaine”. Przekazała mu w ten sposób, że nic jej nie grozi. Zjadł więcej, niż się spodziewał. Ciepła, podgrzana na węglach woda czekała już na niego. Umył się i ogolił własną brzytwą, gdyż w szałasie leżały jego sakwy, które zostały przy martwej Mai i które udało im się uratować. Oprócz nich obok zbroi odnalazł jeszcze swój luk oraz wiele innych przedmiotów, które od dawna uważał za bezpowrotnie stracone. Jego radość psuło jedynie to, że Lellin, Sezar i Morgaine ryzykowali życie, by je odzyskać.

Jej broń wciąż stała w kącie i powoli zaczynał niepokoić go fakt, że wychodzi na tak długo, nie zabierając miecza. Tak jak stał, nie nakładając zbroi, wyszedł z szałasu, by zobaczyć, czy nie ma jej gdzieś w pobliżu. Siptah zniknął także, choć jego uprząż leżała nietknięta.

Nagle jakiś ruch na zboczu przyciągnął jego uwagę. Ujrzał, że wraca, jadąc na oklep na siwym ogierze. W białej szacie stanowiła dziwny widok. Zsunęła się na ziemię i owinęła postronek wokół gałęzi. Mignęła mu jej zaniepokojona twarz, jednak gdy spojrzała na niego, wyraz jej oczu zmienił się zupełnie. Napotkał jej wzrok i odpowiedział bladym uśmiechem, który jednak zgasł bardzo szybko.

- Od samego rana mamy kłopoty — powiedziała. — Próbują dobrać się do nas.
- Czy to nowy sposób radzenia sobie z nimi? — Choć nie chciał tego, zabrzmiało to jak reprimenda, lecz ona zbyła ten afront wzruszeniem ramion.

Przebiegła wzrokiem drogę, którą właśnie przyjechała, i oczy jej znieruchomiały. Ponownie pojawiło się w nich strapienie.

Spojrzał w tę samą stronę. Jej śladem szło trzech arrha i jeden Człowiek. Z cienia rzucanego przez drzewa wyłonił się wysoki mężczyzna w brązowo-zielonym ubraniu. Roh.

*

Doprowadzili go do drzwi szałasu. Prowadząc go, nie dotknęli go ani razu, jednak Roh nie miał przy sobie broni.

— Dzięki — Morgaine zwróciła się do arrha, odsyłając ich, lecz oni wycofali się tylko pod niedalekie skały.

Roh złożył jej ukłon, jak pan okazujący szacunek innemu panu, jednak z lekką ironią.

— Wejdz — powiedziała Morgaine.

Vanye odsunął przed nim zasłonę w drzwiach i Roh wszedł do szałasu. Był blady, nie ogolony. Bał się, choć starał się tego nie okazywać. Wyglądał, jakby nie zmrużył oka.

- Spocznij — zaprosiła go Morgaine, a sama wybrała miejsce na macie w pobliżu piecyka. Roh usiadł po drugiej stronie. Vanye zajął miejsce *ilina* — przykucnął tuż za plecami Morgaine. Pomyślał niespokojnie o „Odmieńcu”, który stał bez opieki w kącie, i o tym, że Morgaine jest bezbronna, a więc przynajmniej zasłonił go przed Rohem własnym ciałem.

- Chya Rohu — zagadnęła go Morgaine. — Jak się masz?
- Doskonale. — Roh zacisnął zęby, aż mu się napięły policzki.
- Trochę mnie to kosztowało, by cię tutaj sprowadzić. Arrha mieli wobec ciebie inne plany.
- Zwykle dostajesz to, czego chcesz.
- Vanye wstawił się za tobą, mówił o tobie dobrze. Nikt nie mógłby być bardziej przekonujący. Biorę to pod uwagę, a także moją wdzięczność za pomoc, jakiej mi udzieliłeś, ale, Chya RohTChya, czyż nie jesteśmy wrogami? Czy jesteś Rohem, czy Liellem — głęboko mnie nienawidzisz. Tak było w Ra-koris. Czy jesteś człowiekiem, który potrafi się aż tak zmienić?

- Miałem nadzieję, że nie żyjesz.
- Ach, jesteś ze mną szczery. To mnie zaskakuje. A zatem, co byś wtedy zrobił?
- To samo, zostałbym... — Jego oczy przesunęły się i spoczęły na Vanye, zmienił się ton jego głosu. — Zostałbym przy tobie i próbowałbym cię przekonać. Lecz nie tak się potoczyły sprawy, prawda, kuzynie?

— A teraz?

Roh uśmiechnął się nieznacznie, wykonał nieokreślony gest rękami.

• Znalazłem się raczej w smętnym położeniu, nieprawdaż? Oczywiście, jestem na twoje usługi, byłbym szalony, gdybym tego nie zrobił. Nie sądzę, byś zamierzała przyjąć moją propozycję. Rozmawiasz ze mną teraz, by uczynić zadość wrażliwości mego kuzyna, zaś mnie nie zostało już nic innego.

• Ponieważ Merir i arrha byli głusi na twoje słowa ostatniej nocy.

Roh zamrugnął oszołomiony.

• Ha, nie spodziewałaś się chyba, że nie spróbuję?

• Oczywiście, że nie. Czego jeszcze będziesz próbował? Sprawisz ból Vanye, który ci ufa? Może nie zrobiłbyś tego, niemal w to wierzę. Lecz mnie zawsze nienawidziłeś, pod każdą przybraną przez ciebie postacią. Kiedy byłeś Zri, zdradziłeś swego króla, swój klan, wszystkich swych ludzi. Będąc Liellem topiłeś dzieci, uczyniłeś z Leth miejsce przeklęte, ośrodek zepsucia...

W oczach Roha pojawiło się przerażenie, obezwładniający lęk. Morgaine zamilkła. Roh trząsał się cały, zniknęły wszelkie oznaki cynizmu. Vanye zrobiło się przykro i położył rękę na ramieniu Morgaine, chcąc by zlitowała się nad nim, lecz nie zwróciła na to uwagi.

• Nie podoba ci się to — mruknęła. — To właśnie powiedział Vanye: dręczą cię złe sny.

• Kuzynie — błagał Roh.

• Nie będę wywoływać upiorów — powiedziała. — Pokój, Rohu... Rohu... nie powiem o tym już nic więcej. Pokój tobie.

Roztrzęsione ręce Roha zakryły twarz. Przez chwilę trwał w takiej pozycji, kredowo błądy, wstrząśnięty. Zlitowała się nad nim.

— Podaj mu coś do picia.

Vanye wziął naczynie, które wskazała wzrokiem, ukląkł i podał mu go. Roh napił się, przytykając je do ust roztrzęsionymi rękami. Vanye nie odszedł od niego, lecz trzymał się blisko jego ramienia.

— Czy teraz czujesz się lepiej? — zapytała Morgaine. —

Rohu? — Lecz on nie podniósł na nią wzroku. — Skrzywdziłam cię bardziej, niż tego pragnęłam. Przebac mi, Chya Eohu!

Milczał. Wtedy uniosła się i wzięła w ręce „Odmieńca”, który stał w kącie szalasu, i wyciągnęła całkowicie z pochwy.

Roh nie popatrzył nawet na miecz, kryjąc się ze wzrokiem. — Mogę go zabić — wycedził przez zęby i zatrząsał się. — Mogę go zabić. Mogę go zabić.

Przez ułamek chwili nie miało to żadnego sensu, brednie szaleńca, lecz Vanye nagle zrozumiał.

— Kuzynie — powiedział Rohowi do ucha. — Rohu.

Zostań ze mną. Zostań ze mną.

Po jakimś czasie powrócił rozsądek. Roh ciężko westchnął i opuścił głowę aż na kolana.

• Rohu, ona już więcej tego nie robi. Widziała. Nie robi tego.

• Gdybym umarł, byłbym sobą. Czy ona może nie pozwolić mi na to?

• Nie umrzesz. Znam ją. Znam ją. Nie zrobiłaby tego.

• Dokona tego. Czy myślisz, że kiedykolwiek pozwoliłaby mi stanąć za swoimi plecami, tak jak tobie, lub odpocząć, gdybym był blisko niej?

Na muślin zasłaniający wejście padł cień. W drzwiach stanęła Morgaine.

• Obawiam się, że cię słyszałam — szepnęła. — Muślin nie zatrzymuje wiele.

• Powiem ci to w twarz — rzekł Roh. — Słowo po słowie, jeśli nie słyszałaś wyraźnie. Czy wyświadczysz tę samą uprzejmość mnie i jemu?

Morgaine zasepiła się, oparła „Odmieńca” szyćchem na podłodze przed sobą.

— Oto, co powiem: istnieje szansa, że to, co ja zrobię, czy

nie, okaże się nie mieć znaczenia — skinęła głową na zachód. — Jeśli przejdiesz się przez ten las i spojrzysz na brzeg rzeki, ujrzesz mrowie Shiua, których obecność tam czyni wszelkie nasze spory bezprzedmiotowymi. Powie-

I

działabym to, nawet gdyby nie dotyczyło to Vanye. Moja dobroć z reguły pociągala za sobą gorsze skutki niż moje najgorsze postęпки. Jednak brzydzę się morderstwem... Uniosła nieco „Odmieńca” i postawiła na powrót. — Nie mogę wybrać uczciwej walki, nie mam wszakże zamiaru obarczać tym Vanye. Masz rację, tobie nie mogę ufać tak jak jemu. Nie sądzę, by kiedykolwiek można mnie było do tego przekonać. Nie chcę, byś stał za moimi plecami. Lecz tam są nasi wspólni wrogowie. Dookoła roztacza się kraina, która nie zasłużyła sobie na to, by spadła na nią plaga, jaką wspólnie ściągnęliśmy na te ziemie. Ta horda jest dziełem twoim i moim. Czy weźmiesz udział w powstrzymaniu jej? Uśmiech wojennej fortuny, po cóż kłopotać się tym, co nas różni?

Roh wyglądał na oszalonego, lecz po chwili wsparł się dłońmi na kolanach i roześmiał się gorzko.

- Tak. O, tak. Podejmę się tego.
- Nie zażądam od ciebie przysięgi. To związałoby mnie z honorem, któremu nie ufam. Jednak gdybyś mógł mi dać po prostu słowo, Rohu... Ufam, że potrafi ono powstrzymać inne twoje zapędy.

— Daję słowo — powiedział Roh. Wstał, a Vanye razem z nim. — Dostaniesz ode mnie to, czego chcesz. Wszystko, czego ode mnie chcesz.

Usta Morgaine zacisnęły się. Odwróciła się, podeszła do ściany, gdzie leżała jej zbroja, i odłożywszy „Odmieńca”, zaczęła zbierać ją z mat.

— Zachowaj umiar. Chyba zostało jeszcze nieco jedzenia.

Vanye, czy mógłbyś dopilnować, by jego potrzeby zostały zaspokojone?

— Mój oręż — upomniał się Roh.

Spojrzała na niego posepnie.

— Tak, nie omieszkać zająć się i tym. — Odwróciła się i zaczęła nakładać zbroję.

245

— Morgaine kri Chya.

Podniosła oczy.

— Ty... ty nie ściągnęłaś mnie z Ra-koris; zrobiłem to sam. Ty nie skierowałaś tej hordy na te ziemie, zrobił to nie kto inny, jak ja. Nie wezmę od ciebie ani żywności, ani napoju, ani nie przyjmę gościny w twoim szałasie. Jeśli będziesz nalegać, będę musiał to zrobić, lecz jeśli nie, poszukam ich gdzie indziej, by dodatkowo nas nie krępować — ciebie i siebie.

Zawahała się. Wydawało się, że wprawiło ją to w zdumienie. A potem podeszła do drzwi, odsunęła muślin i skinęła na arrha. Roh wyszedł, przystając tylko, by skłonić się z kurtuazją. Morgaine puściła muślin, który opadł za jego plecami, zasłaniając wejście. Stała przez chwilę zamyślona, po czym zaklęła w swym ojczystym języku i odwróciła się, unikając wzroku Vanye.

- Dałaś mu wszystko, o co cię poprosił — w ciszy rozległy się jego słowa.
- Lecz ty oczekujesz więcej. — Spojrzała na niego.
- Zbyt cię szanuję, *liyo*. — Potrząsnął głową. — Ryzykujesz swym życiem. On mógłby cię zabić, choć nie myślę, by to zrobił, bo w innym razie nie przyprowadziłbym go do ciebie. Jednak jest niebezpieczny i wiem, co czujesz. On jest moim kuzynem i przywiódł mnie tutaj żywego. Jednak... jeśli... pokusa okaże się dla niego zbyt wielka, *liyo*, wtedy przegra. Ja to wiem; a co więcej — i on o tym wie. Postąpiłaś najlepiej, jak mogłaś.

Zagryzła wargę tak mocno, że aż zbielała.

— On jest Człowiekiem, twoim kuzynem.

Odwróciła się, podniosła z maty pozostałe części zbroi i włożyła na siebie. Było jej niewygodnie i aż się skrzywiła.

- Dostanie swoją szansę — powiedziała. — Zbroja i łuk na niewiele mu się przydadzą, gdyby stało się tak, jak ostatnim razem... dopóki nie dotrze do samej skały. Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie.

- Czy oni są przygotowani?

- Niektórzy posunęli się daleko z biegiem Silet, rzeki płynącej na południe. Armia stojąca nad brzegiem Narn o świcie zaczęła przeprować się na naszą stronę.

— Zezwalasz na to?

Roześmiała się gorzko.

— Ja? Zezwalam? Obawiam się, że nie ja tutaj rządzę Arrha zezwalali na to, krok po kroku, i teraz jesteśmy niemal okrażeni. Są potężni, lecz cała ich taktyka nastawio na jest na obronę. Nie chcą mnie słuchać. Ja postąpiłabym inaczej, to prawda, lecz nie byłam w stanie nic przedsięwziąć. Teraz znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że mogę im tylko pomagać utrzymać to miejsce. Nigdy nie miałam tutaj swobody wyboru.

Pochylił się i zebrał swą zbroję z maty, gdzie ją położył.

*

Osiadłali konie, nie tylko Siptaha, ale i wierzchowce Lellina i Sezara, zabrali wszystko, co mogłoby im być potrzebne w razie ucieczki. Morgaine nie zdradzała się ze swymi myślami, lecz Vanye rozważał to, co od niej usłyszał: że Nehmin jest izolowanym miejscem, chronionym przez wodę i las i że Shiua stanęli nad brzegami rzek, które okalały ich kryjówkę. Okolica była lesista, teren trudny, budziło to niepokój w jego duszy Kurshina, gdyż nie było miejsca do manewru, nie było dokąd uciec. Wierzchowce były beużyteczne, a wzgórze zbyt niskie, by zamienić je w fortecę.

Wjechali pomiędzy rosochate drzewa, krętą, wijącą się między głazami ścieżką, która wyprowadziła ich ponownie na łąkę.

- Nie ma po nich śladu — wymamrotał Vanye, spoglądając niespokojnie w stronę rzeki.
- Ach, dostali w tym miejscu małą nauczkę. Obawiam się jednak, że nie będą zbyt długo o niej pamiętać.

Zwróciła Siptaha w prawo i ostrożnie opuścili tę okolicę, zagłębiając się w las, przedzierając się przez zarośla do miejsca, gdzie wyrastały ogromne drzewa. Prowadziła ich ścieżka, którą niedawno przebyły jakieś konie. Wróg będzie następny, pomyślał przygnębiony Vanye.

— *Liyo* — powiedział po chwili. — Dokąd jedziemy? Co zamierzasz zrobić?

247

Wzruszyła ramionami, wydawało się, że jest zaniepokojona.

- Arrha wycofali się. Mogą nas zostawić na łasce nieprzyjaciela. Obawiam się o Lellina i Sezara, nie zameldowali się u mnie. Nie chcę zabierać ich koni z miejsca, w którym spodziewają się je znaleźć, lecz nie chcę ich także utracić.

- Poszli w tamtą stronę w kierunku nieprzyjaciela?
- Mieli tam pójść. W tej chwili obawiam się, że arrha nie są tam, gdzie powinni się znaleźć.
- I Roh.
- I Roh — powtórzyła jak echo — choć wątpię, by odgrywał w tym zasadniczą rolę. On sam może być w niebezpieczeństwie. Merir... Merir jest tym, na kogo trzeba uważać. Jest honorowy, lecz ty wiesz, Vanye, ty wiesz, że dobrzy i cnotliwi walczą z nami tak samo zaciekle, jak źli i zepsuci, może nawet bardziej, gdyż nie są samolubni, a odważni. To przed nimi musimy mieć się najbardziej na baczności. Czy nie rozumiesz, że Shiua nadali mi właściwą nazwę? Czyż zatem nie powinno się walczyć ze mną w imię własnego dobra, w imię tego, czego strzegą arrhendowie? Wybacz, ty wiesz dobrze, kiedy opadają mnie posępne nastroje, znasz je doskonale. Nie powinnam wyładowywać ich przy tobie.

- Jestem twym sługą, *liyo*.

Spojrzała na niego. Zaskoczenie spowodowało, że zapomniała na chwilę o uczuciu goryczy.

Za zakrętem ścieżki stała młoda arrha. Milcząca postać pośród paproci i drzew; jasna plama na tle zielonego cienia.

— Gdzie są twoi towarzysze? — zapytała ją Morgaine.

Arrha uniosła rękę i wskazała kierunek, w którym jechali.

Morgaine wolno ruszyła do przodu, gdyż ścieżka była bardzo kręta. Vanye spojrział za siebie. Arrha wciąż stała w tym samym miejscu — nazbyt odróżniający się od otoczenia wartownik.

Trafili na następne miejsce, gdzie rzadziej rosły drzewa i tam ujrzeli konie, siedzących, sześcioro przybyłych z Meri-rem arrhendów i Roha, który poderwał się na ich widok.

- Gdzie jest Merir? — zapytała Morgaine.
- Udał się tam — powiedział Roh i machnięciem ręki pokazał im kierunek. Mówił w języku Anduru. Ogolony i wymyty, wyglądał jak na dai-uyo, którym był przecież i miał u boku broń. — Nikt nic nie robi. Wieść niesie że Shiua idą na nas z dwóch stron, a starcy siedzą tam i gadają. Jeśli nikt nie kiwnie palcem, Hetharu dopadnie nas do zmierzchu.

- Chodźcie — rzuciła Morgaine i zeskoczyła z siodła. Tutaj zostawimy konie. — Zawiesiła wodze Siptaha na gałęzi, a Vanye zrobił to samo ze swoim wierzchowcem i z końmi, które za sobą prowadził.

Arrhendowie tylko się temu przypatrywali, żaden nawet nie drgnął.

- Chodźcie — poprosiła ich, a potem ostrzejszym tonem: — Chodźcie ze mną.

Nie wiedzieli, co zrobić. Larrel i Kessun podnieśli się z ziemi, lecz starsi arrhendowie się ociągali. W końcu zdecydował się Sharn, a za nim ruszyli pozostali, zabierając ze sobą broń.

Wydawało się, że Morgaine już tu kiedyś była. Vanye trzymał się blisko niej, za plecami, by Roh nie mógł się zbyt zbliżyć. Bacznie rozglądał się na boki, a czasami rzucał spojrzeniem za siebie, na arrhendów, którzy podążali za nimi nagle zwężającą się ścieżyną. Był zaniepokojony, gdyż łatwo mogli paść ofiarą zdrady, mimo potężnej broni, którą niosła Morgaine.

Poprzez płatyninę winorośli i gałęzi ujrzeli omszały, szary kamień, nadgryziony zębem czasu. Pomiędzy korzeniami drzew zaczęły się pojawiać następne kamienie. Było ich coraz więcej i coraz bliżej siebie ułożone, aż wreszcie w cieniu ogromnych drzew utworzył się kamienny, wąski korytarz.

Na końcu owego przejścia stała mała budowla przykryta kopułą. Otwartego wejścia strzegło dwóch arrha, jednak nie zagroździłi oni drogi wchodzącym.

Wewnątrz słychać było echo głosów, które jednak ucichło, gdy przybysze przekroczyli próg. Pod małym sklepie-

9AQ

niem paliły się pochodnie, oświetlając wnętrze budowli, pod ścianami niemal w zamkniętym kręgu siedzieli na kamiennych siedziskach arrha. Środek pomieszczenia był pusty. Tam właśnie stał Merir. Przemawiał, zwrócony do nich twarzą.

Niewiarygodnie leciwy ǫhał, wychudzony, przygięty pod brzemieniem lat, opierając się na swoim kosturze, wstał i zajął miejsce obok Merira.

- Jesteście obcy w tym miejscu — odezwał się. — Nigdy żaden zbrojny nie brał udziału w tej radzie. Żądamy, byście odeszli.

Morgaine ani drgnęła. Strach padł na wszystkich starców, którzy się tutaj zebrałi.

- Jeśli przeciwstawimy się potędze — powiedział inny — wszyscy umrzemy. Lecz też inni, którzy stoją na straży tej samej co my władzy. Odejdźcie.

- Merir ze, mój panie.

Morgaine podeszła do środka komnaty. Vanye podążył za nią. Za nimi poszli pozostali. Stanęli przed radą. Był bardzo zaniepokojony, że odeszła tak daleko od wejścia. Podejrzewał, że znajdują się tutaj arrha, którzy są strażnikami mocy Bram. Tym nie mógłby się skutecznie przeciwstawić. Gdyby była zmuszona użyć swej broni, musiał stać przy niej, by chronić jej pleców.

- Mój panie — zabrała głos, rozglądając się dookoła. — Nadciąga wróg, jakie są zatem wasze plany?

- Nie pozwalamy ci — odezwał się starzec — brać udziału w naszej radzie.

- Odrzucacie moją pomoc?

Zapadło głębokie milczenie. Kostur starca uderzył w posadzkę. Rozległo się echo leciutkiego stuknięcia.

- Moi panowie — ciągnęła. — Jeśli odrzucacie mą po moc, odchodzę, lecz to oznacza wasz upadek.

Merir wysunął się o pół kroku. Vanye wstrzymał oddech, gdyż stary pan wiedział bardzo dobrze, co ona przez to rozumie: opuszczenie ich świata i zniszczenie Bramy, skąd czerpali swą moc. Na pewno powiedział to innym.

- Miecz, który wisi u twego boku — powiedział Merir — jest potężniejszy od połączonej mocy wszystkich arrha. Jednak to oręż, a to jest... to jest szaleństwo. To zła rzecz. Nie może być inaczej. Przez tysiąc pięćset lat korzystaliśmy z naszej mocy ostrożnie: by chronić i leczyć. Dzięki temu stoisz tu — żywa, mówią nam, że jeśli nie ugniemy się przed twymi żądaniami, wtedy obrócisz miecz przeciw nam zniszczysz Nehmin i zostawisz nas bezbronnych na łasce wrogów. Lecz jeśli spełnimy twe życzenia, co wtedy? Jakie są twe warunki? Wysłuchajmy ich.

Zapadło milczenie, nic nie zakłócało ciszy.

Raptownie u wejścia rozległy się kroki.

To był Lellin i Sezar.

— Dziadku — odezwał się Lellin stłumionym głosem i pochylił się w ukłonie. — Pani... prosiłaś mnie, bym wrócił, gdy wróg się przeprawi. Tak się stało. Nadchodzą.

W kręgu rozszedł się pomruk, lecz szybko zamarł. W ciszy słychać było najlżejszy szmer.

- Byłeś tam na jej rozkaz — rzekł Merir.
- Powiedziałem ci dziadku, że to zrobię.

Merir wolno potrząsnął głową, podniósł wzrok, by spojrzeć na Morgaine, na wszystkich, na arrhendow, którzy z nimi przybyli. Jedyne Perrin nie spuściła oczu, unikając jego spojrzenia.

• Już rozpoczęłaś dzieło zniszczenia — powiedział Merir, w jego głosie słychać było, że wzbierają w nim łzy. — Chcesz, byśmy szli za tobą lub zginęli. Mogliśmy pokonać Shiua tak jak sirrinów, którzy uderzyli na nas dawno temu. Lecz doszło do tego, że uzbrojona armia załała to miejsce, gdzie dotąd nigdy nie pojawił się oręż, i są tacy, którzy w niego wierzą.

• Lellin Errirhen powiedział — odezwał się stary arrha — że należy do niej, panie Merirze. Zatem upiera się, by spełniać jej rozkazy, a nie nasze.

• Gdyby tak nie było — rozległ się głos Morgaine — rada spowodowałaby, że byłabym ślepa i głucha, a Lellin i Sezar powstrzymaliby mnie przed podjęciem akcji, moi panowie. Oni wiedzą to, czego wy nie wiecie. Służąc mnie... oddali przysługę wam.

951

Merir zacisnął usta tak mocno, że stały się cieniutką linią. Lellin spojrział na starego pana i pokłonił się mu bardzo powoli, a potem Morgaine, i ponownie stanął twarzą do swojego dziadka.

• To był nasz wolny wybór — oznajmił. — Dziadku, potrzebni są arrhendowie. Proszę. Chodź i sam zobacz. Pokryli cały brzeg rzeki jak nowy las. Chodź i popatrz na nich. — Wzrokiem pełnym bólesci powiódł po wszystkich arrha. — Wyjdźcie ze swojego zagajnika i rzućcie okiem na tę horde. Mówicie o wypuszczeniu ich do Shathanu, o zawarciu z nimi pokoju, jak się to nam udało z niedobitkami sirrinów. Chodźcie i sami zobaczcie.

• Najniebezpieczniejszy wróg — powiedział starzec — już przybył do nas.

Rozbłysła moc Bramy i powietrze naprężyło się jak struna — migotało dookoła starców. Światło stawało się coraz jaśniejsze. Po kolei arrha zaczęli dodawać swą moc, póki arrhendowie nie cofnęli się, opierając plecami o ścianę, i całą komnatę wypełnił przesywający uszy dźwięk.

• *Liyo* — wymamrotał Vanye i wy dobył miecz z pochwy, gdyż dwaj arrha zagroździłi sobą wyjście. Powietrze przed nimi załśniło od bariery, którą utworzyli.

• Zaprzestańcie! — krzyknęła Morgaine.

Starzec uderzył końcem kostura w posadzkę, stuknięcie niemal zginęło w brzęczeniu, które wypełniło powietrze. Jego na pół ślepe oczy patrzyły hardo.

• Sześciu z nas przywołało moc, a jest nas trzydziestu dwóch. Oddaj to, co przy sobie nosisz.

• *Liyo*...

Morgaine zwołniła pierścień „Odmieńca” i opuściła miecz do swego boku. Vanye potoczył wzrokiem dookoła, po starcach, po przestraszonych arrhendach. Zobaczył bladą twarz Roha, który jednak trzymał ręce z dala od swej broni.

— Jeszcze dwa — powiedział starzec.

Śpiew powietrza przybrał na sile, ogłuszał. Morgaine uniosła rękę.

- Wiecie, jaki będzie wynik — wykrzyknęła.
- Jesteśmy gotowi na śmierć. Przejście, które się tutaj

otworzy, może nawet pochłonie wrogów Shathanu Lecz ty nie kochasz tej krainy i być może niechętnie przyłożysz do tego ręki. Po kolei złączymy nasze siły. Nie wiemy, ile nas wystarczy, by dokończyć przejścia, lecz dowiemy się tego Nie możesz nas opuścić. Możesz spróbować użyć innej broni, lecz odpowiemy na to wszystkim, co mamy. o możesz dobyć miecza i dokonać przejścia, to nie ulega wątpliwości, jego moc w połączeniu z naszą wystarczy w zupełności. Moc wessie nas wszystkich i to, co nas otacza. Jednak oddaj tę rzecz, a będziemy z tobą rozmawiać. Nie łamiemy naszego słowa, nie musisz się niczego obawiać.

W powietrzu szalała moc Bramy. Przyłączył się kolejny arrha.

— *Liyo*... — powiedział Vanye. Jego głos zabrzmiał ci chutko. — Twa broń...

Nic na to nie powiedziała. Nie miał odwagi spojrzeć, co dzieje się przed nią, lecz nie spuszczał oka z arrhendów, którzy stali za nią. Roh, Lellin i Sezar stali oddzielnie, na ich twarzach malował się strach, jednak nawet nie drgnęli, stali z założonymi rękami.

- Moi panowie! — wykrzyknęła nagle Morgaine. — Arrha, moi panowie! Nic przez to nie zyskujecie. Jest to na rękę jedynie waszym wrogom.
- Dokonałiśmy wyboru — odparł Merir.
- Schowałeś się tu; ukryłeś się, bym zaniepokojona przybyła aż tutaj. Zastawiłeś na mnie pułapkę, panie Meri-rze? Bardzo sprytnie z twojej strony.
- Jesteśmy gotowi na śmierć — powtórzył Merir. — Jesteśmy starzy, zostaną inni. Lecz nie dojdzie do tego, chyba że przedkładasz władzę ponad wszystko inne, nawet nad życie. Jeśli dorzucimy więcej klejnotów do sieci, pani Morgaine, dokończymy dzieła. Ty wiesz o tym, i ja o tym wiem. — Uniósł dłoń, trzymając w niej puzderko z klejnotem. — Oto kolejne jądro potęgi, którą władasz. Może to już będzie koniec. Jesteśmy blisko. Czy mam je dorzucić do innych?
- Dość! Dość! Widzę, że jesteście zdolni posunąć się tak daleko. Dość tego!

— Oddaj miecz.

Odpięła go i oparła sztychem o posadzkę przed sobą.

• Moi panowie arrha! Pan Merir ma rację mówiąc, że to jest zła rzecz. Istnieje tylko jeden taki miecz, już w tym samym kryje się wielkie, acz subtelne zło. Wasza władza rozdzielona jest pomiędzy wielu z was, ktokolwiek dostanie go w swe ręce, stanie się potężniejszy od pozostałych. Który? Kto z was tego pragnie? — Nikt nie odpowiedział. — Nigdy nie widzieliście otwartej Bramy — ciągnęła Morgaine. — Nigdy nie wyzwoliliście całej mocy, gdyż uważaliście, że to jest niebezpieczne. Nie myliliście się. Czy mam wam teraz pokazać? Poskromcie waszą moc, a pokażę wam, o czym mówię. Pozwólcie, że ukażę wam, dlaczego Nehmin musi przestać istnieć. Wysoko cenicie mądrość, moi panowie, zatem słuchajcie mnie. Nie stawiam żadnych warunków; nie przybyłam, by grozić, że zniszczę to miejsce, lecz po to, by je zniszczyć, bez względu na to, czy wróg zostanie powstrzymany, czy nie. Nie chcę zdobyć nad wami władzy.

• Jesteś szalona — oświadczył starzec.

• Pozwól, że ci pokażę. Poskromcie moc waszych klejnotów. Jeśli nie przekonam was, przy obnażonym „Od-mieńcu” wystarczy odślonięcie ledwie kilku, byście osiągnęli wasz cel... i mój. Mylicie się sądząc, że chcę zginąć, byle osiągnąć swój cel.

Starzec cofnął się o krok, rzucając zdumione spojrzenie. Bezradnie rozłożył ręce.

— Zawsze zdążymy umrzeć — powiedział.

Moc zawirowała w powietrzu i znikła raptowniej niż narastała, w miarę jak klejnoty zniknęły ukryte. Kiedy zamarła zupełnie, Morgaine sięgnęła po „Odmieńca”.

Plomień strzelił wzdłuż runów na klindze i objął całe ostrze. Ciemność wytrysnęła ze sztychu i zawyły wichry. Ktoś krzyknął. Światłość bijąca od miecza oblała twarze wszystkich. Morgaine poruszyła klingą i wicher zahulał mocniej, smagnął palące się pochodnie, wczepił się w ich włosy i szaty, wyjąc pod sklepieniem kopuły. Vanye odsuwał się od niej, sam o tym nie wiedząc, póki nie znalazł się obok Lelllina.

- Oto przejście, które chcieliście otworzyć! - Morgaine przekrzykiwała ryk wichru. — Oto otwiera się przed wami Zajrzyjcie do wnętrza. Czy teraz odważycie się dorzucić waszych klejnotów? Jeden, dwa wystarczą, a kopuła znajdzie się w innym miejscu, a my wszyscy wraz z nią. Uderzenie powietrza przewróci okoliczne drzewa i — być może — tak iak powiedzieliście, zabierze z nami większość naszych wrogów a nawet więcej, jeśli moc znajdzie sobie ujście w teraźniejszości. To z tą potęgą igrali ojcowie waszych ojców. Postąpiliście słusznie unikając jej, lecz co uczynią wasze dzieci? Co się stanie, jeśli pewnego dnia ktoś mniej roztropny od was weźmie go w swe ręce? Co stanie się, jeśli oddam wam miecz i któryś z was wyciągnie go z pochwy? Na głowni wypisano całą wiedzę Bram i nie można go zniszczyć inaczej, niż z dobytym z pochwy przejść przez Bramę, przez Ogień. Kto z was pragnie zająć moje miejsce? Gdyż ten, kto prawdziwie kocha tę krainę i posługuje się tym orężem, a została mu odrobina cnoty, ma tylko jedno do wyboru: zabrać go z tego świata, wynieść go stąd i iść tułając się od świata do świata, na wieczność. Czy wasze legendy nie dają świadectwa katastrofie? To samo zdarzyło się wszędzie tam, gdzie była taka potęga, i będzie powtarzać się bez końca. Trzeba położyć kres tej mocy. Który z was chce dostać ten miecz? Który z was pragnie wziąć go na takich warunkach? — Wzniosła klingę wysoko. Z czeluści dobył się jęk.

Roh stał za plecami Morgaine. Vanye przez cały czas starał się nie spuścić go z oczu. Spostrzegł, że rysy Roha stężyły, a w jego oczach odbijał się opalizujący blask miecza. Nagle drgnął, uciekł, przedarł się pomiędzy Sezarem i Lel-linem, pognął obok arrha, którzy stali na warcie, lecz byli zbyt oszołomieni, by zareagować.

Vanye uzmysłowił sobie, że stoi wciąż z obnażonym mieczem w ręku. Popatrzył na pozostałych, na ich ściąg¹ nięte i blade twarze. Odwrócił się i zobaczył, że Morgaine drży ręka od siły, od której drętwiało i ciało, i dusza. Na jej twarzy zbierał się pot.

— Musicie ją zapieczętować — powiedziała. — Pozwólcie mi usunąć go z waszego świata i zamknąć za sobą przejście

na wieki. Shathan nie przetrwa, jeśli dokonacie waszych wyborów. To... to... nie znosi życia.

- Schowaj go — odezwał się ochrypłym głosem Merir. — Schowaj go, natychmiast.

- Czy to, co ujrzeliście, wystarczy wam? Zawsze podawałam w wątpliwość mądrość tego, kto go wykuł. Znam zło w nim tkwiące. Jego twórcy też nie było ono obce i może jego jedyną zasługą było to, że nadał mieczowi taki kształt, który od razu świadczy o tym, czym on jest. Nie ma żadnej wątpliwości. Ta rzecz nie powinna istnieć. Lecz wasze delikatne klejnoty nie są niczym innym. Zostaliście oszukani ich pięknem, tym, jak są użyteczne. Któregoś dnia ktoś połączy je i wówczas poznacie, że są tylko aspektami tego. Patrzcie. Patrzcie na to!

Zatoczyła mieczem wielki łuk. A potem drugi raz, i trzeci, coraz szybciej i szybciej. Wicher spotężniał, ogarnął ich, pociągnął. Rozbłysło białe światło, czeluść poszerzyła się tak, że wydawało się, iż z komnaty uszło całe powietrze. Od zimna drętwiała skóra. Arrha wczepili się w swoje kamienne siedziska, ci którzy stali, chwiali się pod ścianami, jakby nie mogli utrzymać się przy ziemi.

— Przestań! — krzyknął starzec.

Schowwała miecz do pochwy. Wicher zamarł, wycie ucichło, czarna czeluść i oślepiające światło zniknęły, w komnacie zapadły ciemności rozjaśniane tylko strumieniem światła wpadającego przez wejście. Oparła schowany w pochwie miecz przed sobą.

- Oto potęga, która jest w waszych rękach, arrha. Wystarczy, byście złączyli wasze klejnoty. Czy wiedzieliście o tym? Jesteśmy tak samo uzbrojeni. Przyjmijcie ode mnie tę wiedzę w podarunku, gdyż pewnego dnia i tak sami ją zdobędziecie i będziecie jej musieli użyć.

- Nie.

- Czyżbyście mogli zapomnieć, co wam powiedziałam? — zapytała cichym głosem. —

Czyżbyście mogli zapomnieć, co wam pokazałam? Czy możecie wziąć miecz i na wieczność utrzymać go w pochwie, nawet gdy sirrindowie rozmnożą się w miastach i wam zagrożą, kiedy rozmnożą się Ludzie,

a liczba was zmniejszy się? Ktoś zły, czy to qhal, czy Człowiek, pewnego dnia sięgnie po niego.

Lecz odmiennie do waszych klejnotów, które umrą wraz z zapieczętowaniem Bramy, w tym mieczu zaklęta jest wiedza, która może ją odbudować.

Zapadła grobowa cisza, przerywana tylko płaczem kilku arrha, którzy siedzieli z twarzami ukrytymi w dłoniach.

— Zaniechajcie go — zwróciła się do nich Morgaine — lub

wyruszcie z Nehminu drogą, którą ja podążam, przejściem, które muszę przebyć. Powiedziałam wam prawdę, pokazałam ją. Dopóki Nehmin będzie istnieć, będziecie w niebezpieczeństwie i pewnego dnia Brama was pochłonie. Zapieczętujcie przejście; zapieczętujcie Nehmin, a w kamieniach zgaśnie ogień i Shathan ocaleje... bezbronne, lecz tętniące życiem. Jeśli będziecie trzymać Nehmin otwarty, pewnego dnia padniecie jego ofiarą; lecz bez względu na waszą decyzję, ja nie mam wyboru i muszę usunąć miecz z tego świata. Nie tylko Shathan jest w niebezpieczeństwie, nie tylko wasze życie, nie tylko cały wasz świat. Zło zatacza krąg tak szeroki, jak wszystkie utworzone przejścia. Najbardziej groźne jest wtedy, gdy wydaje się pokonane, po skromione, bezpieczne. Te klejnoty są gorsze od „Odmieńca”... ponieważ nie widzicie w nich tego, czym są: okrucami Bram. Złączone pochłoną was i sprowadzą katastrofę nie tylko na wasz świat, sięgną po światy innych istot.

Starzec zatrzęsł się i popatrzył na pozostałych, na Merira. Lellin i Sezar płakali. Obaj klęczeli, dotykając czołem ziemi; kolejno, dwójkami, dołączyli do nich ich bracia arrhendowie.

— Usłyszeliśmy prawdę — rzekł Merir. — Myślę, że usłyszeliśmy prawdę, którą wcześniej zrozumiał mój wnuk.

Starzec przytaknął. Ręce trzęsły mu się tak, że koniec kostura grzechotał na posadzce. Spojrzał po twarzach zebranych dookoła niego arrha. Nikt nie wystąpił ze sprzeciwem.

— Postępuj zgodnie ze swą wolą — zwrócił się do Morgaine. — Odejdź. Zapieczętujemy Nehmin za tobą.

Morgaine wydała westchnienie, długie i powolne. Po-

chyliła głowę. Po chwili przyczepiła „Odmieńca” do boku i wciągnęła go sobie na plecy.

— Jest kilku Shiua, których trzeba usunąć z naszej drogi do Azeroth. Wróg, moi panowie arrha, wciąż następuje na nas od strony rzeki. Co zamierzacie zrobić?

Zapadła długa cisza.

- Musimy utrzymać to miejsce i Nehmin, który już jest otoczony. Wróg zajął wokół cały teren. Możemy porozumieć się z arrha, którzy znajdują się w samym Nehminie, oni mogą zrobić to, o co nas prosisz. Ty możesz stąd odjechać, dajemy ci siedem dni na dotarcie do Azeroth i przekroczenie progu. Potem zgaśnie moc.

- Padniecie. Shathan znajdzie się na łasce hordy z Shiu-anu.
- Pokonaliśmy sirrindów — powiedział Merir. — Ar-rhendowie odeprą i tych najeźdźców.

Morganie popatrzyła na nich, objęła wzrokiem wszystkich po kolei i na koniec, złożwszy ręce na piersi, wbiła wzrok w posadzkę, patrząc spod oka na Vanye, który próbował zachować kamienną twarz. W końcu odwróciła się do Merira.

— Czy przyjmiecie moją pomoc? Nie zostawiłabym wam takiego podarunku, jaki tam na was czeka. Tak, możemy się obok nich z Vanye prześliznąć, wybrać inną drogę, dotrzeć do Azeroth w ciągu siedmiu dni. Lecz to, co tam na was czyha, to moja sprawa. Nie chcę was tym obarczać.

Powoli zbliżył się do niej stary ąhal, mocno opierając się na swym kosturze. Ukłonił się jej głęboko, a kiedy podniósł głowę, wpatrzył się w nią szeroko otwartymi oczami, jak ktoś obserwujący Bramę.

- Wielu przejść musiałaś dokonać.
- Tak, starcze. Jestem starsza od ciebie.
- Podejrzewam, że o wiele starsza. — Krucho dłoń dotknęła ręki Vanye, spoczęły na nim ciemnoszare oczy. — Khemeisie, żal nam was obojga. — Spojrzał na Lellina i ukłonił się, a potem na Sezara i pozostałych arrhendów; na samym końcu oddał cześć Merirowi i ponownie Morgaine. — Jesteście doświadczeni w wojnie. My nie. Potrzebujemy was, jeśli zechcecie. Jesteście nam potrzebni.
- Przynajmniej to musi odbywać się na naszych warunkach. Naradzimy się.
- Zgadzą się — rzekł Merir.
- Powiadasz, że możesz dać znać strażnikom Nehminu. Przekaż im zatem, by się nas spodziewali, i to wkrótce. Wy zostaniecie i będziecie bronić się tutaj, a oni muszą utrzymać Nehmin, aż my nadejdziemy. Merirze, mój panie...

Skinęła, by poszedł za nią, i ruszyła do drzwi, nagle straciwszy pewność kroku. Vanye poczuł, że wspiera się na nim i ujął ją pod ramię, użyczając swej siły. Miecz osłabiał ciało i duszę. Trzymał go już w ręce i wiedział najlepiej, jaki to ból.

— Roh — odezwała się nagle. — Gdzie jest Roh?

On także się o niego obawiał, zbyt wiele zależało od przypadku, zbyt wiele się im wymykało.

Lecz Roh czekał na nich na zewnątrz, skulony u stóp głazu, obejmując się rękami. Zobaczył, jak wychodzą spod kopuły, i podniósł się z ziemi. W jego oczach widać było cierpienie.

- Pozwolili ci odejść — wyszeptał. — Pozwolili ci odejść.
- Zgodzili się — powiedziała Morgaine — sami zapieczętować Nehmin. To była ich decyzja. To nim wstrząsnęło i oszołomiło, lecz kiedy go minęli, poszedł za nimi.

ROZDZIAŁ XVI

Znaleźli swe konie bezpiecznie stojące na polance, pod opieką kilku arrha i młodych ąhalów — ubranych na biało kobiet i mężczyzn — którzy nie wiedzieli jeszcze, co wydarzyło się pod kopułą. Arrha nie odnieśli się do nich z przesadnym szacunkiem, lecz i nie stawiali oporu, po prostu usunęli się im z drogi. Z bliska wyraźnie widać było ich przygnębienie. Być może jest to piętno, którym wszyscy są dotknięci, pomyślał Vanye, gdyż i arrhendowie popadli w ponury nastrój, tę samą desperację, której doszukał się w Lellinie i Sezarze. Teraz rozumiał smutek ludzi, którzy zobaczyli granice swojego świata.

Ze wszystkich arrhendów najcięższe brzemie spoczywało na Merirze.

— Mój panie — powiedziała do niego Morgaine — trzeba sprowadzić tutaj arrhendów. Jeśli mamy ocalić to miejsce,

musimy ich tutaj wezwać. Czy możesz to uczynić?

Stary pan skinął głową i z wodzami swej kłaczy w ręce odwrócił się twarzą w stronę rzeki. Nawet poprzez szum lasu słychać było ryk mnóstwa głosów, krzyki maszerującej hordy.

— Dopilnuję tego — obiecał Merir.

To było szaleństwo, lecz nawet Morgaine nic na to nie powiedziała.

- Tak jest — odrzekła. — Lellinie, Sezarze?
- Wzgórze wciąż należy do nas — powiedział Lellin. — W każdym razie należało niedawno.

*

Na leśnej polanie nadal na straży stali arrha.

— Nie zostawajcie w lesie, kiedy horda nadejdzie — pora dziła im Morgaine. — Straciecie tylko życie. Schroncie się ze swymi starcami.

Uklonili się, tak jak to mieli w zwyczaju, w milczeniu. Nie wiadomo było, czy posłuchają rady, czy nie. Trudno jest dyskutować o czymkolwiek z ludźmi, którzy cały czas milczą.

Skierowali się na skraj polany w stronę kamienistego wzgórza i widniejącej między drzewami krętej ścieżki. Słychać było krzyki maszerującej hordy, tak jakby znajdowała się ona tuż za drzewami rosnącymi po drugiej stronie wzgórza. Pokonali skłon, siedząc w siodle, i pojechali dalej.

Przewodnikiem była Morgaine, która wiodła ich między wieńczącymi zbocze drzewami na drugą stronę. Pełno tutaj było skał, bazaltowych głazów, tworzących najwyższe wzniesienie w tej okolicy. Morgaine ściągnęła cugle i zatrzymała Siptaha. Pozostali zeskoczyli z siodeł, spętali swe wierzchowce przy starych drzewach i poszli za nią.

Vanye obejrzał się za siebie. Zostawiwszy swego konia, na samym końcu podązał Roh. Mógłby teraz uciec. „Uciekaj” — życzył mu w duchu, lecz w zakamarku swego serca przechował miłość do tego człowieka i rozumiał, dlaczego on tego nie robi, dlaczego zostaje: szuka własnej duszy. Jednak nie zaczekał na Roha, bo zmagania, które toczył, były jego osobistą sprawą, i bał się w nie wkraczać. Odwrócił się i ruszył za Sharnem i Devem, ścieżką pomiędzy skałami.

Ze wzgórza rozciągał się widok na całą polanę, gdyż było wyższe, niż wydawało się na pierwszy rzut oka, i wznosiło się ponad czubkami większości okalających je drzew. Na szczycie sterczały wyciągnięte do nieba połamane, kamienne palce — te skalne obeliski nie były dziełem ąhalów, lecz natury. Pomiedzy dwoma z nich stali Morgaine i Merir, znaleźli tam dogodną kryjówkę. Niedaleko zatrzymali się inni.

Vanye ostrożnie precyzyjnie przesuwał się obok Deva na sam brzeg urwiska, tuż przy Morgaine. Widok stąd obejmował rzekę aż po lasy harilów. Zewsząd otaczały ich drzewa, rozciągając się szarzieloną mgiełką aż po horyzont, gdzie widać było nawet kawałek zakrzywiającej się równiny. Lecz bliżej widok był obrzydliwy, jak go określały słowa Lelhna: nowa puszcza wyrosła na brzegach Nam, falująca masa, zjeżona żelaznymi grotami włócznie, ciemna i ohydna. Od czasu do czasu pojawiał się mały oddział khalów, wyrz-

9R1

nie odcinający się dzięki słońcu odbijającemu się od ich pancerzy, przeważnie byli to jeźdźcy. Horda, opanowawszy cały brzeg, powoli i niespiesznie wlewała się w wąski przesmyk, który prowadził na ich polanę. Nad nimi unosił się ryk, który jakby wyrwał się z jednej, wspólnej gardzieli.

• Jest ich tak wielu — szepnęła Vis. — W Shathanie nie znajdziesz tylu arrhendów. Nie znajdziemy tylu strzał.

• Ani czasu, by je wystrzelić.

Morgaine przysunęła się bliżej krawędzi urwiska. Vanye uchwycił ją za rękę, przestraszony, choć od wroga dzieliła ich duża odległość i trudno byłoby ją dostrzec, malutki punkcik ukryty pośród skał. Posłuchała jego ostrzeżenia i zatrzymała się.

• Tego miejsca — oznajmiła — nie można obronić, nawet gdybyśmy tego bardzo chcieli. Zbocza ze wszystkich stron są zbyt szerokie. To wzgórze mogłoby się okazać naszą pułapką. Jednak wróg nie zamknął nas jeszcze w okrążeniu. Gdybyśmy mogli sprowadzić arrhendów, zanim dobią do nas siekierą i ogniem, gdybyśmy przeszkodzili im wdrzeć się przez wrota Nehminu...

• To można zrobić — powiedział Lellin. — Dziadku, musimy.

• Nie możemy walczyć — sprzeciwił się Merir. — Nie tak jak oni, w zbrojach i konno. Nie jesteśmy tacy jak oni, nie dowodzi nami jedna głowa, jeden głos nie wydaje rozkazów.

• Nie ufajcie... — odezwał się Roh, wysuwając się do przodu.

Vanye sięgnął po sztylet i Roh zatrzymał się z dala od Morgaine, opierając się o pochyłą skałę.

• Posłuchajcie mnie. Nie wiercie pozorom stwarzanym przez Shiua. Byłem ich nauczycielem. Hetharu podbił cały północny Shiuan w kilka dni. Jest zdolniejszy od swojego nauczyciela.

- Ilu ich jest, jak myślisz?

Roh spojrział w kierunku rzeki, mrużąc powieki przed wiatrem i słońcem.

— Tam osiem do dziesięciu tysięcy, jeśliby rozciągnęli się dużo dalej poza tę linię drzew. Po drugiej stronie Nehminu trzy razy tyle. Pewnie z północy jeszcze więcej maszeruje wzdłuż tej rzeczki na północ stąd, by wziąć nas w kleszcze. Każdy nasz jeździec, który by próbował uciec z tego klina dostanie się w ich ręce. Siedzą ukryci po zaroślach ze wszystkich stron. Tutaj zrobili to przedstawienie, by odciągnąć naszą uwagę.

- A wyżej położone brody na Nam? Z iloma mamy do czynienia?

• Wierźcie mi, że Shiua przede wszystkim pomyśleli o tych brodach. Każda możliwa droga wyjścia będzie obstawiona. A ile liczy cała horda? Trudno powiedzieć, bo nikt jej nie przeliczył, nawet khalowie. Lecz oceniają ich na sto tysięcy wojowników, zabójców. Nawet młodzież jest z nimi. Złupili własną krainę, zabijali nawet swych braci, byle przybyć w to miejsce. Ten, kto wpadnie im w ręce, nawet dziecko, zostanie rozsiekany. Morderstwo jest u nich chlebem powszednim; morderstwo, kradzież, zbrodnia. Będą walczyć, robią to doskonale, zwłaszcza gdy wiedzą, że ich przeciwnik jest bezbronny.

- Czy mamy uwierzyć w rady, których on nam udziela? — zapytał Merir.

Morgaine skinęła głową.

— Wierźcie — powiedziała cicho — że ten człowiek życzy wam dobrze, mój panie. Jego własny kraj bardzo przypominał Shathan, jeszcze przed jego narodzinami, o czym być może pamięta w swych lepszych snach. Nie prawdaż?

Roh popatrzył na nią, zadrżał i wyciągnął rękę, by wesprzeć się o skałę.

— Mój panie — ciągnęła Morgaine — nie sądzę, by nawet arrhendowie walczyli z większą miłością do własnego kraju niż ten człowiek.

Przez chwilę Merir spoglądał na niego. Roh pochylał głowę, w jego oczach pojawiły się łzy.

— Tak — odezwał się Merir. — Tak, w istocie, myślę, że to prawda.

Na leżącej niżej łące głosy przybrały na sile. Dźwięk zaczął docierać do nich wyraźniej, przypominając im o niebezpieczeństwie.

9fiS

— Nie możemy tu dłużej zostać — zauważył Vanye. —

Liyo...

Odeszła od brzegu urwiska, jednak Merir został na miejscu i odwiązał od pasa róg, który z sobą nosił, ozdobiony srebrem, stary i popękany.

— Lepiej wracajcie do koni — powiedział stary pan — bo w końcu zwrócimy na siebie uwagę. Panuje u nas dziwne prawo, cudzoziemscy przyjaciele, że nikt nigdy nie powinien grać w Shathanie na rogu, a jednak nosimy je przy sobie, choć milczały przez minione tysiąc pięćset lat. Prosimy was, by wezwać arrhendów; wracajcie do koni.

Morgaine zatrzymała spojrzenie na zbliżającej się do wzgórza hordzie. Skinęła i rażnym krokiem skierowała się do koni. Zatrzymali się jedynie Lellin i Sezar.

- Nie zostawimy ich — oświadczył Sharn.

• Nie — potwierdziła Morgaine. — Nie zostawimy. Przygotujcie ich konie, wydaje mi się, że czeka nas ciężka jazda, gdy opuścimy to miejsce.

Dotarli do swych wierzchowców i pośpiesznie wskoczyli na siodła.

Nagle rozległ się niski, płaczliwy ton, który rozjaśnił się zmieniając się w czyste brzmienie nawoływania rogu. Va-nye spojrział za siebie. Na wzgórzu, z którego zeszli, stał Merir, wysyłając sygnał, który potoczył się po polanie. Wyczerpany przerwał i przekazał róg Lellinowi, który przytknął go do swych ust. W pierwszej chwili dźwięki zabrzmiały niepewnie, na tle wściekłej wrzawy wroga, który wzięł je za wyzwanie. Nabrały jednak mocy i róg zabrzmiał głośnie, wznosząc się ponad dzikie ryki, obudził echo wśród skał, które poniosło go dalej i dalej, i dalej...

Na moment zapadła cisza, umilkły nawet głosy hordy.

Wtem z oddali odpowiedziało mu granie innego rogu, słabe jak szept wiatru w liściach. Utonęło w wyciu, który wydała z siebie horda, lecz na twarzach arrhendów zajaśniała radość.

— Szybciej! — przynagliła Morgaine schodzącą ze skał trójkę.

Vanye przyprowadził siwą klacz, podał wodze staremu panu i Lellin z Sezarem pomogli mu wspiąć się na siodło, a potem pędem pobiegli do swych wierzchowców.

Morgaine poprowadziła ich ścieżką w dół wzgórza

Przemykali obok drzew i wyrastających im na drodze skał; z prawej strony rozległo się nagle, przejmujące do szpiku kości wycie. W ich stronę wylewali się Shiua.

— Angharan! — wzniósł się ich okrzyk. — Angharan! Angharan! — co w ich języku znaczyło „śmierć”.

Z ręki Morgaine wystrzeliła czerwona błyskawica, a z łuku Perrin pojedyncza strzała. Padło kilkunastu wrogów, lecz Morgaine nie zamierzała zatrzymać się dłużej. Va-nye wbił ostrogi w boki konia i zasłonił ją przed napastnikami własnym ciałem, głęboko pochylony nad karkiem klaczy z uwagi na nisko wiszące gałęzie i nadlatujące strzały. Ujrzeni przed sobą szlak wiodący w dół. Popędzili krętym duktem najszybciej, jak tylko mogli.

Wróg nie osiągnął jeszcze szczytu wzgórza.

Na samym dole szlaku Morgaine pochylała się głęboko i w miejscu, gdzie ścieżka ginęła między drzewami, skierowała Siptaha w głąb lasu. Vanye spojrzął za siebie przez lewe ramię. Mrowie Shiua, pieszych i jeźdźców w demonicznych hełmach z pikami i włóczniami, wyległo na polanę.

Sharn, Dev, Perrin, Vis i Roh, jadący z tyłu, posłali im kilka strzał. Larrel i Kessun chronili Merira, bo Lellin z Sezarem nie mieli żadnej broni. Atak nieprzyjaciół mógłby się dla nich źle skończyć, gdyż aż trzech było nie uzbrojonych, jednak ścigający ich Shiua nie kwapili się z nim, gdyż musieliby wystawić się na deszcz strzał.

W szpicy jechali Morgaine i Vanye, z mieczem w ręku — w spotkaniu oko w oko nie na wiele przydałby mu się jego łuk. Morgaine wysunęła się przed niego, z obawy, by nie zabić go przez przypadek jak niegdyś jednego ze swych towarzyszy, potrzebne jej było miejsce, by władać i czarną bronią, i mieczem. *Ilin* powinien osłaniać lewy bok swego pana, od strony tarczy. Vanye trzymał się tej pozycji najlepiej jak potrafił, podczas szalonej jazdy po wykrotach, które powinno się pokonywać ostrożnie. Wczepiały się w nich gałęzie; konie ocierały się o siebie, omijając prze-

265

szkodzy lub biorąc zakrety. Jeźdźcy khalscy, mniej wprawni, nieporadni w gąszczu ze swoimi włóczniami i na poły oślepieni przez hełmy, nie mogli za nimi w tym terenie nadążyć i po jakimś czasie odgłosy pogoni ucichły daleko za ich plecami.

W lesie coś błysnęło bielą; minęli zakręt ścieżki i Morgaine raptownie ściągnęła wodze. Na ścieżce stały dwie arrha.

Arrha zamachały ku nim, by je ominęły.

• Nie — sprzeciwiła się Morgaine. — To byłaby niepotrzebna strata. Nawet potęga klejnotów nie powstrzyma tych, którzy postępują za nami.

• Bądźcie jej posłuszni — powiedział Merir. — Wskakujcie. Potrzebujemy was.

Lellin i Sezar wzięli je na swoje wierzchowce, arrha usadowiły się za ich plecami. Morgaine ponownie ruszyła na złamanie karku, przebyła małą polankę i zwolniła, gdy skręcili, omijając kamienny korytarz wiodący do rotundy.

— Tędy! — To był jedyny raz, kiedy Vanye udało się usłyszeć mówiących arrha, młoda ąhalska kobieta siedząca za plecami Sezara wskazała im inny kierunek. Morgaine natychmiast obrała właściwą ścieżkę.

Szybko zamieniła się ona w szeroki szlak pomiędzy drzewami starego zagajnika, pozbawiony zarośli, tak że ich konie mogły go łatwo pokonać, nie musząc się przedzierać przez chaszczę.

Poderwali konie do galopu i jechali szybko, dopóki nie zaczęły parskać z wysiłku. Drzewa oceniające ich drogę przeredziły się, lecz wyglądało na to, że ścigający ich Shiua zgubili trop. Przez jakiś czas jechali stępą, by dać wytchnienie wierzchowcom, i znów poderwali je do galopu. Powtarzali to kilkakrotnie, by nadrobić czas, nie wyczerpując sił koni do cna.

Nagle wypadli na rozległą, pozbawioną drzew równinę i Vanye natychmiast zapomniał o całym pośpiechu. Przed nimi wyrastały dwa wzgórza, jedno o nieprawdopodobnie stromych zboczach. Otaczająca je połać wszędzie była naga i płaska, przymglona w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Na szczycie rozsiadła się ogromna siedziba, dominująca nad całym otoczeniem, spoglądająca z wysoka na las i równinę, graniasta jak to zwykle ośrodki władzy.

Nehmin.

Lecz przed nimi na równinie stały w ordynku rzesze Shiua. Lśniące broje pełżyły w górę po zboczu skały, na której stała forteca — błyszczące pyłki, rozsiane z rzadka w ciemnej fali Ludzi, niewyraźne,

rozmazane w opadającej wieczorem mgiele.

Morgaine ściągnęła wodze jeszcze pod ochroną lasu. Rozczarowanie, rzadki dotąd gość, odbiło się na jej twarzy. Zbrojni zebrani na równinie wydawali się dorównywać liczbie kamieni na brzegach Narn. Okryli całą bezdrzewną połąć niczym szara pulsująca masa, niczym niszczące fale morza Shiuanu zalali ją aż po najdalsze wzniesienie; skrecone macki ludzkości wyciągające się w kierunku warowni.

— *Liyo* — odezwał się Vanye — objeźdźmy to miejsce bokiem. Nie uśmiecha mi się dostać się w kleszcze między tymi a ścigającymi nas.

Zawróciła Siptaha, stanęła plecami do równiny i zwróciła się twarzą w stronę lasu, skąd znów rozległy się odległe odgłosy pogoni.

- Już wzięli nas w kleszcze — odpowiedziała. — Wszędzie zastawili zasadzki, nadeszli wzdłuż trzech rzek. Wiele dni upłynie, zanim arrhendowie będą mogli wystawić przeciw nim podobną siłę.
- Nigdy im nie dorównamy — stwierdza posępny Merir. — Potrafimy walczyć tylko pojedynczo. Z czasem nadejdą tutaj wszyscy, po kolei, i każdy zacznie walczyć.
- I każdy po kolei zginie — dodał zrozpaczony Vanye. — To szaleństwo rzucać się we dwóch na taką armię.
- Wszyscy nie zginą — odezwał się Sharrn. — Nie dojdzie do tego, dopóki stoi Shathan. Jednak upłynie sporo czasu. Pierwszych którzy się im przeciwstawia, spotka pewna śmierć, a my znajdziemy się wśród nich z całą pewnością. Dni, które nastąpią później, przyniosą śmierć tysiącom. Lecz to jest nasza ziemia, nie oddamy jej takim jak ci.

267

• Jednak Nehmin może ulec — powiedziała Morgaine — przed liczną armią, pod ciężarem ciała. Ustąpią wrota, a wtedy nawet moc klejnotów nie zatrzyma ich na długo. Ich ignorancja w samym sercu mocy? Nie. Nie będziemy tutaj czekać, aż to do tego dojdzie. Panie, jak dotrzeć do Neh-minu?

• Stoją tam trzy wzgórza, których stąd nie widać. Tam jest Niższy Róg, z boku największego wzniesienia, który jest fortecą strzegącą drogi, jego wrota zamykają ją z odwrotnej strony, to droga na górę. Następnie krętą ścieżką dochodzimy do Czarnego Rogu, którego stąd nie widać, a potem do samego progu Nehminu. Możemy mieć tylko nadzieję, że uda się nam osiągnąć to najbliższe wzniesienie — Białe Wzgórze — zanim spadną na nas.

• Jedziemy — zarządziła Morgaine. — Przynajmniej nie będziemy na nich tutaj czekać. Spróbujemy, lepsze to niż siedzenie z założonymi rękami.

• Rozpoznają twojego wierzchowca nawet z daleka — zauważył Roh. — Takich koni jak twój i Merira nie mają w całej swojej armii.

Morgaine wzruszyła ramionami.

— Zatem będą wiedzieć, że tu jestem — odparła. Nagle w jej wzroku pojawiła się nieufność, jakby przyszło jej na myśl, że Roh, uzbrojony, będzie za jej plecami w sytuacji, w której nikt nie mógłby mu przeszkodzić.

Jednak dźwięki pogoni były już tuż, tuż. Dotknęła ostrogami Siptaha i poprowadziła ich, skrajem drzew, objeżdżając dookoła bezdrzewną połąć.

Miała zamiar skoczyć galopem, mając Białe Wzgórze między sobą a Nehminem, uzmysłowił sobie Vanye. On zrobiłby to samo: skierowałby się na hordę pod takim kątem, by choć przez część jazdy ukryć się przed ich wzrokiem.

— Doścignęli nas! — wykrzyknął Kessun.

Spojrzeni za siebie. Najszybsi jeźdźcy wyrwali się z lasu, rozciągając się w długi łańcuch, jechali po cięciwie łuku.

Lecz dokładnie w tej samej chwili Morgaine zawróciła na otwartą przestrzeń, zamierzając poprowadzić ich tuż po nosem szarżujących jeźdźców i dotrzeć do Białego Wzgórza.

- Dalej! - krzyknęła. - Lellinie, Sezarze Merirze- Galopem, póki możecie! Strząśniemy ich z naszych k... kń i doścignemy was. Pozostali do mnie!

Dobra robota, pomyślał Vanye. Nieuzbrojona piątka mi ła dostateczną ochronę, by zdobyć sporo terenu, dziewięć" ro zbrojnych mogło zaś równie bezpiecznie stawić czoła ścigającym. Zlekceważył łuk, nie umiał strzelać z siodła. Gdy walczył, na powrót był Nhi; sięgnął po długi miecz Shiua, zajmując miejsce po lewicy Morgaine. Perrin, Vis, Roh, Sharrn, Dev, Larrel i Kessun posłali strzały, które dosięgły celu, i jeźdźcy zwalili się z koni, a Morgaine ze swej mniej potężnej broni smagnęła ogniem front nacierających. Konie i jeźdźcy runęli na ziemię, jęcząc i krzycząc, lecz garści wojowników w demonicznych hełmach udało się ująć z pogromu i teraz natarli z nisko pochylonymi

lancami o grotach w zadziory, mając za sobą horde pieszych ludzi z bagien, którzy z wysiłkiem, ciężko dysząc, starali się dotrzymać im kroku.

Dotarła ich szarża. Vanye dał nura w bok na modłę Nhi, ot, by nie być w siodle, gdy trafi tam lanca, a jego wierzchowiec stanął spokojnie, gdy wynurzył się mu spod boku, pchnięciem zamierzając się na atakującego. Khał patrzył na niego przerażony, gdyż ostrzem lancy nie mógł już go sięgnąć, a miecz Vanye przedał się przez jego zasłonę. Ostrze trafiło w odsłoniętą szyję i khał przekoziółkował nad zadem swego wierzchowca, zwalony z siodła potężnym ciosem.

— Hai! — Vanye usłyszał u swego boku, gdzie walczył Roh. Długi miecz Roha jak błyskawica spadł na broniącego się khała. Nie był pan Chya wojownikiem z równin, lecz po przeciwniku, który zamierzał go nadziać na lancę, zostało tylko puste siodło.

Natarli na nich następni, jeden jeździec spadł z konia tuż przed nimi, trafiony czerwoną błyskawicą ognia. Vanye ufał oku Morgaine, ucieszył się ze wsparcia i skoczył na znajdującego się przed nim przeciwnika. Na przysłoniętej hełmem twarzy napastnika odmalowało się śmiertelne przerażenie na widok wroga, który zjawił się przed nim, zanim on

269

zdołał uświadomić sobie, że jego własny obrońca już nie żyje. Vanye ściał go i wplątał się wraz z Rohem w kłębowisko piechurów z bagien, którzy jednak rozpierzchli się przerażeni, gdy Morgaine posłała im salwę, wycinając bez pardonu, tak że umierający kładli się pokotem na zabitych. Strzały arrhendów i błyskawice Morgaine ścigały ich bezlitośnie, tnąc jak łan zboża.

Vanye, zawracając swego wierzchowca, przez przypadek rzucił okiem na twarz Rona, bladą, ponurą, lecz zadowoloną. Kiedy się odwrócił, ujrzał na ziemi skapanego we krwi Larrela i pochylonego nad nim Kessuna. Domyślił się od razu, że nie było nadziei, by żył — lanca khała trafiła młodego qhala w żołądek.

Na jego oczach Kessun skoczył na nogi, porwał łuk i posłał trzy strzały za uciekającymi Shiua. Nie dostrzegł, czy trafiły w cel; po twarzy khemeisa płynęły łzy.

— W drogę! — krzyknęła Morgaine. — Na koń, khemei-sie! Twój pan cię potrzebuje!

Kessun zawahał się, jego młodą twarz wykrzywił żal i niezdecydowanie. Wtedy ten sam rozkaz wydał mu Sharn, więc wskoczył na siodło, zostawiając swego arrhen-da pośród ciał poległych Shiua. Vanye bolał nad nim, przypomniał sobie w teje chwili, że wśród nich było dwóch bez koni. Teraz był już tylko jeden. Perrin schwytała wierzchowca Larrela.

Kiedy podrywali się do galopu, zjawił się Roh, wiodąc na postronku shiuańskiego wierzchowca. Ruszyli, pędząc zapamiętane. Kessun jechał przez cały czas patrząc za siebie.

Coraz bardziej zbliżali się do Białego Wzgórza, które leżało przed nimi. Morgaine puściła Siptaha wolno, a siwy rumak wyciągnął się w galopie, któremu nie mógł dorównać żaden koń arrhendów. Zdesperowany Vanye został z tyłu. Patrzył na wyrastające przed nimi, spękane wzgórza, dziwnie wystrzelające w środku zupełnie płaskiej połaci, i nagle przebiegł go dreszcz, gdyż zdało mu się ono wartownikiem zagradzającym im drogę.

Morgaine chciała ich zatrzymać poza zasięgiem strzał ze wzgórza. Grupka Merira niemal już tam docierała. Jechali

jak można było najszybciej, mając dwa konie obciążone dwoma jeźdźcami. Jednak Morgaine na swoim siwoszu doganiała ich błyskawicznie, podczas gdy jadący za nią z trudem trzymali się w jakiejś takiej odległości. Udało jej się przyciągnąć ich uwagę i piątka Merira zwolniła w końcu, czekając na nią, zobaczywszy jak bardzo zależy jej na dośnięciu ich. Po chwili wszyscy jechali razem, z trudem łapiąc oddech.

- Larrel. — Merir sposepniał, dowiedziawszy się, kto padł. Vanye przypomniał sobie słowa Merira o qhalach umierających młodo i także poczuł żal, lecz bardziej jeszcze żałował nieszczęśliwego khemeisa, który siedział w siodle z opuszczoną głową, kurczowo ściskając w dłoniach łęk i płacząc.

- Wsiadajcie — Morgaine rzuciła krótko do arrha. Młode kobiety stanęły na ziemi na trzęsących się nogach, a Sezar pomógł im znaleźć się w siodłach przyprowadzonych dla nich koni. Uchwyciły Wodze w zupełnie nieprzywykłe do tego dłonie.

- Konie będą trzymać się grupy — wyjaśnił im Roh. — Nie wypuszczajcie wodzy z rąk, lecz nie ciągnijcie ich do siebie. Trzymajcie się siodła, jeśli dojdziecie do wniosku, że możecie spaść.

Arrha były przerażone. Skinęły głową, że zrozumiały i ledwie konie się poruszyły, one już wpiły się kurczowo rękami w łęk. Vanye spojrzął na obie kobiety i zaklął, pokazał im, jak się zawraca i zatrzymuje, myśląc z przerażeniem o losie bezbronych istot, gdyby wjechały wprost w horde Shiua. Na więcej zabrakło mu czasu. Potrząsnął głową do Roha, który posłał mu tylko posępne spojrzenie.

— Larrel to był dopiero początek — powiedział Roh.

Nie musiał być prorokiem, gdyż arrhendowie ani nie byli uzbrojeni, ani nie chroniła ich zbroja, by mogli walczyć wręcz. Jedyne Vanye, Roh i Morgaine byli w stanie podjąć się tego rodzaju spotkania, a teraz nie mogli uniknąć widoku, który się przed nimi rozciągał. Szare niewyraźne smugi rozciągały się na całej linii horyzontu, za nimi znajdowały się zwaliste skały Nehminu. Jeszcze nie zauważono

9.71

ich obecności albo nie zdawano sobie sprawy, że jest to atak. Główne siły mogły ich uważać za powracających jeźdźców Shiua. Utarczka przeszła nie zauważona, gdyż odbyła się pod osłoną wzgórze, a trzynastu jeźdźców dla tej niezliczonej armii trudno byłoby uważać za zagrożenie.

— Patrzcie! — krzyknęła jedna z arrha, patrząc za siebie.

Na Białym Wzgórzu rozpalono ogień sygnalizacyjny, wiatr podrywał w górę obłok dymu.

To wystarczyło.

Dźwięk, który wzniosła horda Shiua, był jak odgłos morskich fal, a ich liczba była niewyobrażalna nawet dla kogoś obytego z widokiem armii w polu i umiającego dokonywać ich oceny. Na tej równinie rozlewał się cały obóz z Azeroth, uciekinierzy i rabusie z tonącego świata. Khalscy jeźdźcy wysypali się w ich kierunku; morze demonicznych hełmów, zimne lśnienie metalu i las włócznie w gasnącym świetle dnia.

Wtedy w Vanye zgasł ostatni promyczek nadziei na przetrwanie, gdyż jeśli nawet ludzie z bagien uciekliby, skonfundowani, to jeźdźcy Shiua nigdy tego nie zrobią. Khalowie wiedzieli, kogo atakują, powziawszy raz decyzję, ścigali Morgaine z nienawiścią. Jak okiem sięgnąć widać było setki jeźdźców. Bojowy okrzyk utonął w grzmocie końskich kopyt.

Nagle zrównał się z nimi Merir, jego siwa klacz z łatwością dotrzymywała kroku Siptahowi i gniadej klaczy Vanye.

— Cofnijcie się — zawołał stary pan. — Cofnijcie się.

Tutaj arrha i ja jesteśmy coś warci.

Morgaine uczyniła, o co prosił, coraz bardziej zostając z tyłu. Vanye zadrżał, widząc przed sobą starego aħala, do którego dołączyły kruche arrha, by stanąć twarzą w twarz z lancami. Merir i jego dwie towarzyszki rozciągnęły się szeroko. Konie pod dwoma kobietami spłoszyły się nagle, gdy dookoła nich rozbłysła moc Bramy; jedna, wysadzona z siodła, spadła na ziemię, niemal tracąc przytomność, lecz druga utrzymała się na grzbiecie wierzchowca, który był własnością Larrela, i wciąż jechała razem z Merirem.

Strącona arrha podniosła się na nogi, pokaleczona i wstrząśnięta, malutka i bezradna jak dziecko. Vanye podjechał do niej i w geście desperacji pochylił się w siodle, złapał ją za szatę na plecach, tak jak to robią jeźdźcy na zawodach w Kurshu i wciągnął zdumioną dziewczynę brzuchem na siodło, nie przerywając jazdy. Morgaine brzydko zaklęła, widząc to szaleństwo. Posłał jej w zamian pełne bólesci spojrzenie.

— Trzymaj się mnie! — krzyknęła do niego Morgaine.

Zrzuć ją, jeśli będziesz musiał; trzymaj się mnie!

— Trzymaj się! — Vanye krzyknął do arrhy, nic więcej nie mógł dla niej zrobić. Jego koń ciężko pracował obciążony podwójnym ciężarem. Lecz kruche dziewczę chciało usiąść prosto i tak długo tłukło go zaciśniętą piąstką po udzie, aż zrozumiał, że ona wciąż trzyma w niej klejnot i chce mu o tym powiedzieć. Wepchnął swój miecz do pochwy i podciągnął ją do góry, łapiąc za ubranie jedną ręką, zdając sobie sprawę z bólu, jaki musiała odczuwać leżąc brzuchem na siodle. Cieniutka rączka otoczyła go za szyję i uczepiła się jej z rozpaczliwą siłą. Przechylił się na bok, a dziewczyna przerzuciła nad nim nogę, okazując więcej odwagi, niż mógłby się tego po niej spodziewać. Ufał, że zachowa równowagę. Koń z puszczy Shathanu poradził sobie z tym nagłym przemieszczeniem ciężaru, lekko się tylko pod nim ugięły nogi, a kiedy tylko dziewczynie udało się usadowić, Vanye poczuł mdlące uczucie wywoływane siłą Bram. Arrha uwolniła moc tkwiącą w klejnocie.

Domyślił się, czego od niego oczekuje, i spiął konia ostrogą, starając się wysforować przed innymi. Wyciskał z konia wszystkie siły, jakie jeszcze mu pozostały, nie słuchając rozkazu Morgaine, na co odważał się niezmiernie rzadko podczas całej ich znajomości. Wjechał w środek pomiędzy Merira i drugą arrhę, słysząc za sobą tętent kogoś, kto ścigał go z uporem. Była to, tak jak się tego domyślał,

Morgaine.

Wstrzymał oddech, gdy jego koń potknął się w chwili, gdy połączyło ich przesło mocy. Mała arrha przyłgnęła do niego mocno, a on mrugnięciem pozbył się łez z oczu, gdy zbliżał się do nich rząd lanc. Zobaczył je blisko i wyraźnie, wyrosły przed nim jak las.

273

To było szaleństwo. Nie mogli się zderzyć z tą masą żelaza i przeżyć; sprzeciwiał się temu zdrowy rozsądek — nawet gdy powietrze wzdłuż utworzonej przez nich linii rozdarło się szarpnięte mocą Bram. Przyszło mu na myśl, co by się stało, gdyby dodać do tego „Odmieńca”, i poczuł jeszcze większe przerażenie, lecz Morgaine nie sięgnęła po miecz. Czerwony ogień wypuszczony z jej czarnej, mniej potężnej broni ciął w poprzek szarżujących, bez litości dla jeźdźców i koni. Pierwsza linia zwierząt runęła na ziemię, tylne szeregi potknęły się na leżących ciałach i utworzył się wyjący kłęb ludzi i koni. Pozostali ominęli ich, niektórzy padli, lecz niewielu.

Tuż przed sobą ujrzeni lance.

Vanye pochylił się na bok, gdy moc Bram zwarła się z frontem nacierających, tnąc jak sierp, przewracając konie i jeźdźców tam, gdzie krzyżowały się siły. Jednak kilku najbliższych utrzymało się w siodle, nietkniętych; mignęli obok zbyt oszołomieni, by skutecznie uderzyć. Vanye mógł tylko pochylić się w uniku. Klinga odbiła się od jego hełmu i naramiennika, gdy kładł się w siodle, zasłaniając swym ciałem, jak mógł najlepiej, arrha. Jego klacz potknęła się, ale odzyskała równowagę i przejechali po ciałach martwych i nieprzytomnych. Otrzymał niejedną cios, lecz przedarli się na wolną przestrzeń. Morgaine wysunęła się do przodu, luźno puszczając wodze Siptahowi, nacierając na maszerujących wprost na nich ludzi z bagien. Hołota próbowała dać jej pola, żywopłot wbitych w ziemię pik stanął na jej drodze. Wtedy błysnął w jej dłoni „Odmieniec”. Vanye poczuł, jak jego nerwy naprężają się pod szarpnięciem mocy, która nawet z tej odległości podcięła nogi wierzchowca. Zatrzymał się; arrha otoczyła się własną zasłoną. Przez chwilę wydawało mu się, że niebezpieczeństwo zostało za nimi.

Nagle usłyszał ostrzegawcze rżenie swojej klaczy. Arrha spadła z siodła, gdy zawrócił wierzchowca, głęboko pochylony w siodle, trzymając się tylko grzywy. Za nim pędził Roh i Lellin, jakiś jeździec z grzmiotem kopyt ominął go tuż za ogonem jego klaczy. Pojawili się Shiua. Vanye siadł pewnie w siodle, wyszarpnął miecz z pochwy; poczuł, że nogi jego konia uginają się pod nim, natrafiwszy na leżące ciało, i brutalnie wbijając mu w boki ostrogi, poderwał go do góry.

Hetharu. Na czele trzech jeźdźców ujrzał nacierającego na niego pana khalów i starał się zebrać w sobie, by odpowiednio przyjąć szarżujących. W tej samej chwili jednak Roh minął go jak błyskawica i zderzył się z khałem ze zgrzytem metalu uderzającego o metal. Vanye skręcił, by zetrzeć się z jeźdźcem po prawej stronie Hetharu, także dzierżącym miecz w ręku. Mieszaniec ryknął z wściekłości i ciął strasznie. Vanye sparował ten cios i sięgnął ostrzem jego szyi, w jednej chwili rozpoznawszy swego przeciwnika — wiecznie odurzonego akilem faworyta Hetharu. Skrzywił się z niesmakiem i ściągnął wodze, szykując się na pozostałą dwójkę, która minęła go w pędzie, jednak dwie celne strzały arrhendów pozbawiły go tej przyjemności. Rohowi nie była potrzebna żadna pomoc. Vanye dostrzegł kątem oka, jak Hetharu z Ohtij-in spada z siodła z niemal zupełnie odciętą głową. Nagle znalazł się na szerokiej równinie zasłanej trupami, gdzieś tam stały grupki oszołomionych ludzi i koni, które dopiero zaczynały przychodzić do siebie. Obok niego stała garść arrhendów, a w dali niewyraźnie rysowała się główna siła hordy.

Zatoczył pełne koło, szukając Morgaine. Ujrzał ją, a obok niej Merira, w środku obszaru, na którym nie leżało ani jedno ciało zabitego. Jej wrogowie rzucili się do panicznej ucieczki. W przygasającym świetle zmierzchu migotał „Odmieniec”. Ze współczucia aż zabolowało go ramię, gdyż on wiedział, jak to jest, gdy przyjdzie nim władca.

Wtedy przypomniał sobie jeszcze jednego towarzysza, spojrział na prawo, zawrócił konia i ujrzał, czując lekkie ukłucie winy, drobniutką arrhę w białej, potarganej i pokrzwawionej szacie, jak stanąwszy na nogach, łapie jednego z oszołomionych wierzchowców. Nie mogła nawet dosięgnąć strzemiona, koń spłoszył się przed nią. Sezar dotarł do niej pierwszy, sięgnął ponad siodłem z drugiej strony konia i wciągnął na jego grzbiet. Wtedy Vanye zwołał wszystkich i ruszyli przed siebie, pragnąc jak najszybciej pokonać

275

dzielącą ich od Merira i Morgaine odległość, gdyż Shiua przychodzili do siebie i teren, który sobie wywalczyli, miał wkrótce stać się celem ataku.

Morgaine nie zaczęła jednak na nich. Ujrzawszy, że nadjeżdżają, ściągnęła wodze Siptaha i spięła go ostrogą do szarży na przegrupowujących się piechurów Shiua, odrzucając ich tak samo, jak za pierwszym razem. Dookoła nich spadła niecelna salwa strzał, lecz uciekający Shiua nie tracili czasu na

ponowne napinanie luków.

Teraz wyrósł przed nimi Niższy Róg, bliski, wyraźny. Droga wiodła pod górę. Piechurzy z bagien i ludzie z Shiua-nu rozproszyli się widząc, że nadciągają. Tych, którzy zanadto się ociągali, pochłonięta wirująca na sztychu „Od-mieńca” czeluść, jednak większość uciekła, niektórzy opanowani przerażeniem porzucili broń, złażąc po zboczach obok drogi.

Ogromne wrota otworzyły się przed nimi. Za nimi było mroczne wnętrze i jeszcze jedno wrota otwierające się na drogę i skały, oświetlone gasnącymi promieniami dnia. Morgaine jechała w stronę wąskiego przesmyku, mając obok siebie Merira, a pozostali starali się ją doścignąć, śpiesząc się rozpaczliwie, gdyż dookoła nich na kamieniach zaczęły grzechotać strzały. Dotarli do tej kryjówki i stwierdzili, że jest pusta — wrota fortecy, i te najbliższe, i te dalsze, zostały rozszczerzone i wyłamane. Konie ślizgały się na kamiennej posadzce, echo ich kopyt odbijało się od wysokich luków sklepienia. Zatrzymali ciężko dyszące wierzchowce. Nadjechał Roh, a za nim Lellin z Sezarem i Sharm, i Kessun, i Perrin oraz arrha. Na samym końcu przyjechała Vis. Perrin pochyliła się w siodle, by ją objąć, opanowana ulgą, choć jej towarzyszka była pokrwawiona od ran.

• Deva już z nami nie ma — oznajmił Sharm, łzy zabłyśły na starej twarzy arrhenda. — Kessunie, teraz my musimy utworzyć parę.

• Tak, arrhendzie — powiedział Kessun spokojnie. — Jestem z tobą.

Morgaine podjechała wolno do wrót, którymi wjechali, lecz Shiua wydawali się ociągać z atakiem na fortecę

i odstąpili. Sięgnęła po pochwę „Odmieńca” i — pomimo roztrzęsionych rąk — udało jej się schować miecz i stłumić ogień. Potem pochyliła się i niemal spadła z siodła. Vanye zeskoczył na ziemię, podbiegł do jej boku i pochwyił ją w wyciągnięte ramiona, przejęty strachem.

— Nie jestem ranna — wyjaśniła słabym głosem, z twarzą pokrytą kropelkami potu. — Nie jestem ranna.

Opadł na kolana i przytrzymał ją mocno w objęciach dopóki nie przestała drżeć, płacąc bólem za władanie mieczem. Wszyscy rozsiedli się zadowoleni, że mogą złapać nieco tchu. Stary qhal był niemal wyczerpany na śmierć. Mała arrha leżała płacząc cichutko, gdyż i ona została sama.

• Wrota — wymamrotała Morgaine, próbując się podnieść. — Lepiej sprawdźmy, czy coś porusza się na zewnątrz.

• Odpocznij — powiedział Vanye i odszedł od niej, wracając do rozlupanych pierwszych drzwi fortecy. Niewiele można było poradzić, by je zamknąć, bo zostały z nich niemal same drzazgi. Spojrzał spoza nich na drogę wijącą się pod górę na szczyt, niewyraźną w gęstniejącym zmierzchu. Nie było widać ani śladu wroga.

• Lellinie! — rozległ się skądś głos Morgaine. Zatrzeszczały bale. Stała przy drugich wrotach — tych, przez które tu wjechali — i próbowała je poruszyć. Z pomocą przyszedł jej Lellin, Vanye, a potem wszyscy, pomimo że byli tak bardzo wyczerpani. U dołu, na równinie, koncentrowała się armia, jeźdźcy zwierali szyki, zaganiali hordę piechurów, pędząc i raczej poganiając ich niż stając na czele.

• Ha — odezwał się Roh — nauczyli się. Powinni zrobić to dawno, rzucić przeciw nam mnóstwo ciał. Zbyt późno dla Hetharu, lecz przejął ich jakiś inny wódz, który nie dba o to, ilu straci ludzi.

— Musimy zamknąć te wrota — oświadczyła Morgaine.

Zawiasy były wyłamane. Wrota, których krawędzie miały grubość męskiego ramienia, zazgrzytały na kamieniach i pochyliły się niebezpiecznie bliskie rozpadnięcia, kiedy wsparli się w nie z całej siły. Udało im się poruszyć i drugie skrzydło, choć wisiało tylko na jednym zawiasie. Kiedy

277

odrzwia ze zgrzytem wskoczyły na swoje miejsce, ukazała się między nimi szpara.

— Ta wielka belka — Roh wskazał nierówny, nie okorowany pień, zawalidrogę — z pewnością posłużyła im za taran. On może spać pozostałe.

To było najlepsze, co mogli zrobić. Unieśli go z trudem i osadzili mocno na swoim miejscu, lecz mimo to rozlupane wrota nie mogły opierać się długo, gdy Shiua przywloką drugi taran. Były tak porąbane, że choć uszczelnili je belkami z rozbitej bliźniaczej bramy, to jednak nie udało im się wzmocnić ich na tyle, by w najsłabszych miejscach nie uginały się pod naciskiem zaledwie jednego człowieka.

• One nie wytrzymają — stwierdził zdesperowany Va-nye. Spojrzał na Morgaine i zobaczył to samo wypisane na jej zmęczonej twarzy, przekreślonej pręgami światła sączącego się poprzez ich barykadę.

• Jeśli — powiedziała słabym głosem — ci, którzy są wyżej na wzgórzu, nie zaatakowali nas do tej pory, to tylko dlatego, że zobaczyli, jak nadciągają inni. Czekają na nich, by uderzyć na nas z dwóch stron i przygwoździć nas tutaj. Jeśli nie powstrzymamy ich ataku na Nehmin, wtedy w końcu

rozbijają i tamte wrota. Vanye, nie mamy wyboru. Nie możemy bronić tego miejsca.

- Ci z dołu dobiorą się do nas, zanim zdążymy się zająć tymi na górze.
- Czy mamy tutaj umrzeć, siedząc z założonymi rękami? Ja idę.
- Czyż powiedziałem, że mam zamiar tutaj zostać? Idę z tobą.
- Do koni zatem. Zaczyna się ściemniać, nie wolno nam marnować tej odrobiny czasu, która nam została.

• Nie możesz wciąż władać tym mieczem. On cię zabije. Daj go mnie.

• Poniosę go, póki mi sił starczy — zabrzmiał jej ochrypły głos. — Nie ufam mu w pobliżu Nehminu. Może być tutaj niebezpieczeństwo, którego nie wyczujesz — coś, co objawia się dźwiękiem; tym, jak się go odbiera... To jest granica zbliżenia. Błąd może nas wszystkich kosztować życie. Unikaj klejnotów! A jeśli ktoś obudzi moc

w forticy, mam nadzieję, że poczujesz to na czas ^{M' rZemi ące}
z pochwy rozdarłby tę skałę na kawałki ^{v & zwy3ęty}
oderwała się od wrót i odnalazłszy Siptaha, uieła ^{^J i"ViC111}
^r ^{J"§0 ^00.76*}

Pozostali zaczęli dosiadać swoich koni, znużeń' zdecydowani jechać razem z nimi. Morgaine spojrzała ^{oZ} nich bez słowa. Jedynie na Rohu zatrzymała spojrzenie na dłużej, z pewnością myśląc o Nehminie i jego obecność w pobliżu źródła mocy.

Roh odwrócił oczy i spojrział na ich pogruchofaną barykadę. Odgłosy zbliżającej się hordy były coraz wyraźniejsze, sądząc po tych dźwiękach, wróg docierał do drogi.

— Przez jakiś czas mógłbym utrzymać taran z dala od tych wrót. Przynajmniej nie będą wam siedzieć na karku, zyskacie jakąś szansę.

Vanye popatrzył na Morgaine. On życzyłby sobie czego innego, lecz ona powoli skinęła głową.

- Tak — przyznała — mógłbyś to zrobić.
- Kuzynie — odezwał się Vanye — zbyt mało czasu zyskalibyśmy za cenę twego życia.

Roh potrząsnął głową, w jego wzroku pojawił się wyraz desperacji.

— Dobrze mi życzysz, lecz nie udam się na górę, póki tutaj będzie ze mnie pożytek. Gdybym poszedł tam, w pobliże tego miejsca, myślę, że mógłbym złamać dane słowo. Tutaj mogę się na coś przydać. Nie doceniasz mojego oka, Nhi Vanye'i'Chya.

Wtedy Vanye zrozumiał go i z bólem serca wziął w objęcia, nim wskoczył na siodło.

Nagle usłyszeli ostrzegawczy sygnał Sezara, gdyż rozległy się odgłosy świadczące o tym, że wojska Shiua schodzą też z góry, a nie tylko zbliżają się od dołu.

Jedynie Perrin i Vis nie poruszyły się, wspierając się o swoje łuki.

— Znajdzie się tutaj praca dla niejednego łucznika — powiedziała Perrin. — W trójkę możemy zmusić ich do zmiany zamierzeń. Prócz tego, jeśli ktoś ujdzie waszej ręki, możemy chronić plecy Roha.

279

• Za twoim pozwoleniem, panie — poprosiła Vis. Merir pochylił się i ujął okrytą rękawicą dłoń kobiety.

• Dobrze — zgodził się. — Zostańcie we troje.

Po czym ruszył z kopyta, gdyż Morgaine zawróciwszy Siptaha, zniknęła już w gęstniejącym mroku. Tuż za nią jechał Vanye, zbyt pochłonięty czekającym ich losem, by żałować pozostałych. Nawet dla nich była to tylko kwestia czasu. Lellin i Sezar byli bezbronni, jechała z nimi arrha, okrwawiona, ledwo siedząc w siodle, lecz uporczywie trzymając się boku Merira. Łuki mieli tylko Sharrn i Kessun, jedyni zbrojni oprócz nich.

• Jak to daleko? — zapytała Morgaine arrhę. — Ile zakrętów jeszcze przed nami, zanim dotrzemy do Rogu? Ile jeszcze dzielić nas będzie stamtąd do forticy Nehmin?

• Trzy przed Ciemnym Rogiem, potem więcej... cztery, pięć. Nie pamiętam dokładnie, pani — głos arrhy ledwie był słyszalny w hałasie, boleśnie przeżyła przerwanie zwyczajowego milczenia. — Byłam tutaj tylko raz.

Jechali w niemal zupełnej ciemności. Po obu stronach drogi wznosiły się skały. Czasami, z prawej strony, opadały raptownie tak, że mogli spojrzeć w dół, w przepaść, aż na równinę. Nad nimi nie rozległ się już żaden dźwięk. Jedynie odległe okrzyki dobiegały ich od strony szarej masy, która zbliżała się do Niższego Rogu.

Skały zaczęły wyrastać wyżej i z prawej, i z lewej strony, musieli odważyć się wstąpić na strome,

wijące się podejście.

— Zasadzka — wymamrotał Vanye, kiedy się do niego zbliżyli. Morgaine już sięgała po „Odmieńca”.

Nagle gwałt zaczął się staczać w dół, bębniąc i grzmiąc nad ich głowami, płosząc przerażone konie. „Odmieniec” smagnął powietrze i obudziły się wichry, zimne, szarpiące nimi w wąskim przejściu. W wyciu utonął grzmot. Jedyne gwałt, który się do nich zbliżył, przeleciał nad ich głowami i zniknął w niewiadomym kierunku. Pod zbroją pot spłynął po bokach Vanye.

Siptah zerwał się do galopu. Pośpieszyli za nim, bo wokół nich jak niewidzialne osy, zaczęły bzyrzeć strzały, lecz wiszące nad nimi zbrocze i wichry „Odmieńca” uchroniły ich przed trafieniem.

Dopiero za zakrętem spadł na nich deszcz strzał Jednak Morgaine cały czas jechała na przedzie, osłaniając ich swym mieczem, który wysyłał nadlatujące strzały w nicość a wichry pozbawił sił tych kilka, którym udało się dolecieć tak że odbiły się nikomu nie wyrządzając krzywdy. Ludzie z włóczniami stawili im czoło. Morgaine natarła na ich szeregi, nie wiadomo, dokąd posyłając i ludzi, i broń odrzucając ich w ciemność. Dzieła dopełniał Vanye, który otarł się o wyjący wichry bardziej, niżby sobie tego życzył, i na własnej skórze poczuł ziać. Morgaine zmusiła Siptaha, by biegł jak najbliższej zewnętrznej krawędzi drogi, nie chcąc ryzykować jego utraty.

Panika opanowała pozostałych Shiua, którzy odwrócili się do nich plecami i zaczęli uciekać drogą w górę, lecz Morgaine nie miała dla nich litości; ścigała ich, nie zostawiając za sobą ani jednego ciała.

Za następnym zakrętem weszli w cień rzucany przez strzelisty Róg, na szeroki na strzał z łuku plac, gdzie zmasował swe siły wróg.

Nagle Kessun krzyknął ostrzegawczo, słysząc grzechotanie kamieni za plecami. Wróg zbiegał ze skał z ich lewej strony, odcinając im drogę odwrotu. Powstrzymał ich czarnoksiężski miecz i zwykła stal. Stanęli jak wryci. Morgaine zaczęła się wycofywać w stronę skalistego Rogu. Ci Shiua nie rozproszyli się w panice.

— Angharran! — rozległ się ich okrzyk, gdy rozpoznali Morgaine. Krzyczeli ochryplymi z nienawiści głosami. Natarli drągami i włóczniami; demoniczne hełmy z jednej, hołota z bagien z drugiej strony.

Nie było odwrotu. Lellin, Sezar, Sharrn i Kessun chwycili za broń, jaką kto miał pod ręką, za shiuańskie włócznie i lance. Oparli się o nierówne zbrocze Rogu i odparli atak dzięki „Odmieńcowi”, który dokonał swego strasznego dzieła. Uzyskali chwilę wytchnienia, gdyż wycofujący się wróg wydawał się być wyczerpany, oszołomiony topniejącą w oczach liczbą swych szeregów, dziką mocą Bram, która w tym miejscu zdawała się wyrwać spod kontroli. Tylko Ludzie mogli znieść coś takiego tak długo.

281

Podobnie jak ta, która władała „Odmieńcem”. Vanye spał konia ostrogą, widząc uciekających i myśląc, że Morgaine ruszy za nimi, lecz ona nie uczyniła tego. Natychmiast ściągnął wodze. Przeraził się, ujrawszy jej twarz w magicznym świetle. Krople potu znaczyły jej skórę. Nie mogła schować miecza do pochwy. Wyłuskał go z jej palców i poczuł w ramieniu odrętwiającą siłę, która przeniknęła teraz do jego kości. Kiedy to zrobił, ona po prostu przyłgnęła bezwładnie do szyi Siptaha, wyczerpana. Stał obok niej, z obnażonym mieczem w dłoni, gdyż ani mu się śniło zachęcać wroga do ataku, i wsunął go do pochwy.

— Pozwól nam spróbować — powiedział Merir, przysuwając się do niej. — Nasza moc dodana do twojej. Możliwe, że jesteśmy w bezpiecznej odległości.

Morgaine wyprostowała się i odrzuciła do tyłu białą czuprynę.

• Nie! — wykrzyknęła. — Nie, połączenie jest zbyt niebezpieczne. To mogłoby zabić nas wszystkich. Nie. Trzymajcie się z tyłu. Wasze zapory nie mogą zawrócić broni, widzieliśmy to. Ty i arrha... — Rozglądnęła się dookoła, gdyż nie było jej obok Merira. Vanye szybko spojrzął za siebie i ujrzał małą, białą figurkę przycupniętą samotnie w połowie czarnej skały. Arrha utraciła konia podczas walki.

• Przekaz jej, by tam została — poprosiła Morgaine. — Panie, cofnij się, cofnij się pod skałę.

Wtedy od dołu rozległ się głośny odgłos uderzenia, którego echo dotarło aż na górę. Nawet w szeregach wroga zapadło milczenie. Na twarzach arrhendów pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Taran — stwierdził Vanye, przesuując dłoń na rękę jeści „Odmieńca”. — Teraz Niższy Róg padnie szybko.

Wróg wzniósł okrzyk. Domyślili się, co to oznacza.

• Teraz będą czekać — ocenił Lellin — aż ci z równin przyjdą im z pomocą.

• Powinniśmy zaatakować tych, którzy znajdują się na górze — rzekła Morgaine. — Zmieść ich z naszej drogi i spróbować dotrzeć do wrót Nehminu.

- Nie możemy - - zaprzeczył Vanye. - za plecami mamy przynajmniej skałę i możemy się utrzymać na tym zakręcie. Nie możemy być pewni, czy wyżej znajdziemy miejsce do obrony. Morgaine powoli skinęła głową.

— Jeśli staną się ostrożni, przetrwamy tutaj jakiś czas możliwe, że skorzystają z tego arrhendowie. Przynajmniej mamy zapas wody i żywności, sprawy mogłyby przed stawiać się gorzej.

— Nic dzisiaj jeszcze nie jedliśmy — wykrzyknął Sezar.

Morgaine zaśmiała się słabo, pozostali uśmiechnęli się.

- Tak — przyznała. — Nie jedliśmy. Może powinniśmy skorzystać z szansy.
- Przynajmniej napić się — podjął Sharn i Vanye uzmysłowił sobie, że jego gardło jest suche jak pergamin, a wargi popękane. Pociągnął łyk z manierki podanej mu przez Morgaine, gdyż przez cały czas trzymał w dłoni obnażony miecz. W krąg obiegnęła inna manierka, której ognista zawartość napelniła ich zdrożone ciała fałszywym ciepłem. Sezar przełamał jeden czy dwa placki, którymi podzielili się, korzystając z przerwy w natarciu. Kesson udał się do arrha, lecz ona przyjęła tylko wodę.

Zimne niestrawne jedzenie zaległo w żołądkach. Jedyne ognisty likwor arrhendów poprawił im nieco humory. Va-nye otarł oczy wierzchem dłoni i nagle zdał sobie sprawę z tego, że zapadła cisza.

Uderzenia taranu ustały.

- Już niedługo — powiedziała Morgaine. — Vanye, oddaj mi miecz.

- *Liyo...*

- Oddaj go.

Rozpoznawszy znajomy ton, oddał jej broń. Bolała go ręka, całe ramię. Nie tylko od ciosów, które musiał parować, ale i od trzymania „Odmieńca” przez tę krótką chwilę. Ból był gorszy niż kiedykolwiek. Moc klejnotów, pomyślał nagle, w fortecy nad nami. Ktoś musiał wyjąć jeden z puzderka. Zatem wiedzą, że jesteśmy tutaj.

Poczuł przyływ otuchy.

283

Wróg jeszcze ich nie atakował. Z dołu dochodził coraz głośniejszy pomruk, zbliżał się szcieżką, która wiała się poniżej Ciemnego Rogu. Dźwięk stawał się bliższy i głośniejszy. Wróg na górze zwarł niecierpliwie szeregi.

- Po prostu będziemy się starać utrzymać przy życiu — powiedziała Morgaine. — To wszystko, co możemy zrobić.

- Nadchodzą — oznajmił Kesson.

Tak było. Zwarty tłum jeźdźców z grzotem kopyt pędził pod górę w ciemności. Popelnili błąd, pomyślał Vanye z ponurą satysfakcją. Postawili na szybkość, a nie na przewagę liczebną. Kiedy jednak zobaczył zbliżającą się chmurę, serce w nim zamarło, gdyż atakujący szczelnie zapelnili drogę, idąc na nich z lewej strony, podczas gdy horda z bagien nacierała z prawej strony, wolniej od jeźdźców, którzy rzucili się środkiem.

Demoniczne hełmy, białowłosi jeźdźcy, nieprzeliczone w świetle księżyca włócznie i lance... a pośród nich jeden z gołą głową.

— Shien! — wściekle zakrzyknął Vanye, wiedząc teraz, kto przełamał obronę Roha, choć Roh go raz oszczędził.

Natychmiast powściągnął swój temperament, miał co innego na głowie: lecące na nich z boku strzały Shiua.

Morgaine ochroniła ich przednimi, ale jedna uderzyła go w chronione kolczugą zebra i omal nie pozbawiła oddechu.

Sharn i Kesson posłali swoich kilkanaście strzał w innym kierunku, na spotkanie jeźdźcom, i ich nie zmarnowali.

Lellin i Sezar radzili sobie świetnie używając długich pik Shiua, lecz pomimo ich wysiłków, coraz bardziej przypiera no ich do skały.

Runęła na nich szarża. Shien był w samym jej sercu. Nacierał na nich ostro — widział, że nie mają odwrotu. Jeźdźcy padli dookoła nich i Morgaine skierowała Siptaha w sam ich środek, celując w samego Shiua, lecz nie mogła go dostać. „Odmieniec” wciągał w otchłań i ludzi, i konie, lecz napastników wciąż przybywało, nadjechali drogą w ogłuszającym hałasie stali i kopyt.

To był ich koniec. Vanye, trzymając się blisko jej boku, robił co mógł, jedynie na chwilę,

odrzuciwszy demoniczne

helmy, wywalczył sobie swobodę ruchu. Spiał klacz ostrogami z dzikim okrzykiem, przebił się i zamachnął ręką, która ciążyła jak ołów pod ciężarem miecza i zbroi, lecz nagle nie natrafił na opór.

Shien rozpoznał go. Twarz pana khalów wykrzywił grymas zadowolenia. Ostrze zawirowało i odbiło się od jego klingi. Wymienili kilka ciosów. Wyczerpana klacz Vanye potknęła się, gdy Shien skoczył do przodu. Pochylił się w przód i poczuł, że ostrze trafiło go w plecy z taką siłą, że zdrętwiały mu mięśnie. Lewa ręka opadła bezwładnie. Pchnął miecz ostrzem do przodu z siłą, która mogłaby zwichnąć mu rękę w łokciu, i przebił zbroję, docierając do ciała. Shien zawył wściekle i zmarł, nabity na jego miecz.

Poczuł obok siebie moc Bramy, to Morgaine stanęła u jego boku. Wicher wiejący z ciemności porwał człowieka, który się na niego zamierzał, twarz mignęła w mrocznym wirze, malutka figurka przepadła. Vanye zakolysał się w siodle. Wodze wciąż oplątywały zmartwiałe palce lewej, bezużytecznej ręki i koń poruszał się według własnej woli. Siptah wsparł się w gnidosza barkiem i klacz, potykając się, zawróciła, gdy Morgaine starała się zasłonić go sobą przed napastnikami.

Nagle jej oczy pobiegły w kierunku Rogu.

— Nie! — rozległ się jej krzyk, gdy ściągnęła wodze. Vanye ujrzał arrhę w białej szacie, stojącą na zboczu z podniesioną nad głową ręką i ludzi wspinających się po zboczu, by dotrzeć do niej i ją pochwycić. Arrha nie patrzyła na nich, lecz na Morgaine, wyciągając do niej swą piąstkę, jak biała zjawą na tle czarnej skały.

Nagle trysnęło jasne światło i łuk mocy spiał sztych „Odmieńca” ze zboczem Rogu. Skała zawirowała, z początku ogromna, by nagle zmaleć gwałtownie i zniknąć w gwiazdzistej czeluści, zabierając ze sobą i jeźdźców, i konie. Biała postać zajaśniała i rozplynęła się na wietrze, by zniknąć. Światło zgasło tak samo gwałtownie, jak się pojawiło, i została jedynie poświata rzucana przez „Odmieńca”, której towarzyszyło trzęsienie ziemi i grzmoty.

Spłoszone konie uciekały na wszystkie strony. Część drogi obsunęła się i zniknęła. Po zboczu potoczyły się głązy,

OfR

zabierając ze sobą jeźdźców. Kamienie posypały się na ich głowy. Najbliżej stojący krzyknęli ze strachu. Morgaine głośno zaklęła i zadała cios stojącemu tuż obok niej napastnikowi.

Niewielu Shiua, którzy pozostali, uciekło, mieszając się z ludźmi z bagien. Vanye wypuścił miecz ze skrwawionych palców i prawą ręką wyplątał lejce spomiędzy bezużytecznych palców lewej dłoni, by ujawnić wodze dotrzymać Morgaine kroku. Niektórzy z napastników próbowali uciec, zjeżdżając po niepewnym zboczu; inni, zebrawszy się razem, próbowali stawić im czoła, jednak kilka ich własnych strzał wypuszczonych z łuków arrhendów wstrząsnęło nimi do reszty.

Zapadła cisza. Płomienie tryskające z „Odmieńca” oświetliły skręcone ciała, rozłupane głązy i siedmiu, którzy ocaleli. Kessun leżał martwy w ramionach Sharrna, stary qhal oplakiwał go w milczeniu. Arrha zginęła, Sezar był ranny, Lellin trzęsącymi się rękami próbował rwać płótno na bandażę, którymi mógłby opatrzyć jego rany.

— Pomóż mi — odezwała się Morgaine złamanym głosem.

Vanye próbował jej pomóc. Wypuścił wodze, jednak zabrakło jej w ręce władzy, by podać mu miecz. Dopiero Merir, jedyny, który nie był nawet zadraśnięty, zbliżył się do niej z prawej strony i odebrał od niej miecz, zanim Vanye zdołał mu w tym przeszkodzić.

Moc pojawiła się w oczach Merira. Jego wzrok odzwierciedlił myśli, które lepiej, by nie powstały. Vanye sięgnął po sztylet, zamierzając skoczyć poprzez Siptaha, uderzyć, zanim „Odmieniec” zdąży pochłonąć jego i Morgaine. Lecz stary pan utrzymał miecz z dala od nich i poprosił o pochwę. Morgaine podała mu ją. Śmiertelna moc zniknęła w jej wnętrzu. Poświata zgasła. Oślepiła ich zupełna ciemność.

— Weź go — powiedział Merir. — Tego nauczyły mnie wszystkie moje lata. Weź.

Odebrała go z jego rąk i przytuliła do piersi, jak odzyskane dziecko. Przez chwilę, wyczerpana, z pochyloną głową, tkwiła nieruchomo w tej pozycji. A potem wyprostowała się i rozejrzała dookoła, głęboko oddychając.

Miejsce, w którym się znajdowali, było pełnym pobojowiskiem. Nikt się nie ruszał, konie stały z opuszczonymi łbami, wyczerpane. Nawet Siptah.

Vanye poczuł, że powraca mu czucie w palcach i ręce, lecz nagle pożałował tego. Obmacał swój bok i stwierdził że ma rozcięty kubrak i rozszczępioną kolczugę; nie wiedział jednak, czy krwawi. Poruszył ramieniem i przekonał się, że kości są całe. Zsiadł z konia, pokuśtykał do miejsca, gdzie wypadł mu z ręki miecz, i podniósł go z ziemi. Nagle usłyszał krzyki dochodzące z dołu i serce

zamarło mu w piersi. Wrócił do swego wierzchowca i z trudem go dosiadł. Pozostali też przygotowali się do wymarszu, Sharn zabrał poległemu kołczan pełen strzał, a Lellin znalazł dla siebie łuk i strzały, co go ucieszyło, bo był wreszcie uzbrojony w to, co lubił. Jednak Sezar z ledwością mógł usiedzieć w siodle.

Dźwięk dochodził z dołu, gdzie był początek drogi. Odbijał się od skał jak ryk falującego morza, tak samo dziki i pełen chaosu.

— Podjedźmy wyżej — powiedziała Morgaine. — Miejcie się na baczności przed zasadzką. Lawina mogła zablokować drogę pod nami.

*

Jechali bardzo wolno, wzdłuż krętej drogi, na oślep w panującej ciemności. Morgaine nie sięgnęła po miecz i nikt od niej tego nie zażądał. Wspinali się coraz wyżej i wyżej, lecz poprzez powolne dzwonięcie podkutych kopyt wciąż przebiegała z oddali dziwna wrzawa.

Nagle zamajaczył przed nimi wielki łuk i ogromna siedziba, wzniesiona z tego samego kamienia, co całe wzgórze — Nehmin. Tutaj powinni spotkać się z oporem, a jednak nic takiego nie zaszło.

Ogromne wrota były oznaczone i wygięte od ciosów, przed nimi leżał porzucony taran, lecz potężne skrzydła wytrzymały.

Klejnot Merira zabłysnął raz, dwa razy i zaczerwienił się w jego dłoni. Wielkie wrota powoli ustąpiły. Wjechali w jasne światło, po wypolerowanej posadzce, gdzie czekali na nich ustawieni w szeregu, ubrani na biało arrha.

007

- Ty jesteś tą — odezwał się najstarszy — przed którą nas ostrzegano.
 - Tak — odparła Morgaine.
- Starzec skłonił się i jej, i Merirowi, a za jego przykładem posłusznie poszli inni.
- Mamy jednego rannego — powiedziała zmęczona Morgaine. — Wyjdziemy na zewnątrz, by ztrymac straż. Tutaj mamy przewagę, jeśli nie damy się zaskoczyć. Jeśli pozwolisz, panie.
 - Pójdę — odezwał się Sezar, choć jego ściągnięta twarz dodawała mu lat.
 - Nie, nigdzie nie pójdziesz — sprzeciwił się Lellin. — Ja będę miał na nich oko.
- Sezar poddał się i przystał na to skinieniem głowy, po czym zsunął się z siodła. Gdyby nie podtrzymał go stojący w pobliżu arrha, spadłby prosto na ziemię.

ROZDZIAŁ XVII

Zimny wiatr smagał skały, za którymi znaleźli kryjówkę. Otulili się opończami i siedzieli nieruchomo, ogrzani ciepłym napitkiem, który arrha wynieśli im na zewnątrz. Najedli się, choć ze zmęczenia jedzenie było w ich ustach suche i niesmaczne. Arrha zaopiekowali się ich końmi, gdyż sami nie bardzo byliby do tego zdolni. Tylko Vanye zainteresował się, czy jest pośród nich przynajmniej jeden taki, który by się na tym znał, i wrócił do boku Morgaine.

W końcu przyłączył się do nich Sezar. Przyszedł podtrzymywany przez dwóch młodych arrha, otulony w grubą opończę. Lellin podniósł się, by go zbesztać, lecz nie pisnął ani słówkiem z radości, że mógł przyjść do nich. Khemeis usiadł u stóp jego i Sharna, odpoczywał oparty o ich kolana. Było mu tutaj pewnie tak ciepło, jak w środku, lecz denerwował się mniej wiedząc, gdzie są.

Morgaine zajęła najbardziej wysuniętą placówkę. Niewiele poświęcała im uwagi, badając wzrokiem okolice z takim skupieniem, że jej twarz w świetle padającym przez otwarte wrota Nehminu zamieniła się w sztywną maskę. Bolało ją ramię. Niewykluczone, że była ranna. Vanye usiadł tak, by jak najlepiej osłaniać ją od wiatru. Zezwoliła tylko na tyle życzliwości wobec siebie. „Pewnie dlatego — pomyślał Vanye — że tego nie zauważyła.” On też był obolały. Bolały go wszystkie mięśnie. Lecz cierpiał nie tylko od tego, bolał z powodu opanowanej żalem Morgaine.

„Odmieniec” odebrał życie tylu ludziom, że nie byli ich w stanie zliczyć, lecz — co więcej — znów zabrał kolejnego przyjaciela. Pomyślał, że to właśnie ciążyło jej w tej chwili na duszy, to i obawa o jutro.

Poniżej, na polach wciąż nie ustawał tumult, czasami uspokojał się, czasami przybierał na sile, w miarę jak kolejne bandy to rzucały się na skały Nehmin, to znów od nich uciekały.

289

- Drogę na pewno zatarasowała lawina — odezwał się Vanye i dopiero wtedy uzmysłowił sobie, że to przypomniał jej o arrha i zniszczeniach, a tego wcale nie pragnął.

• Tak — powiedziała po andursku. — Mam nadzieję. — A potem dodała potrząsając głową: — To było szczęśliwe zrządzenie losu. Nie sądzę, byśmy w innym razie ocaleli. Tym szczęśliwsze, że nikt z nas nie znalazł się pomiędzy „Odmieńcem” i arrhą.

— Mylisz się.

Spojrzała na niego.

— To nie był szczęśliwy traf — wyjaśnił. — Arrha wie działa. Przewiozłem ją przez równinę, tam na dole. Była bardzo odważna. Myślę, że przemyślała wszystko i tylko czekała, kiedy by spróbować.

Morgaine nic nie powiedziała. Być może to ją uspokoiło. Odwróciła się, by patrzeć w ciemność, skąd dobiegały coraz cichsze i cichsze odgłosy. Vanye spojrzał w tym samym kierunku, a potem znowu skupił na niej wzrok, czując nagły dreszcz, gdyż ujrzał, że wyciąga Miecz Honoru. Lecz ona jedynie odcięła jeden z rzemieni, który nosiła przy pierścieniu przy pasie i podała mu go, wsuwając broń na powrót do pochwy.

— Co mam z tym zrobić? — zapytał zaintrygowany.

Wzruszyła ramionami, przynajmniej raz wydawała się nie być pewna siebie.

— Nigdy nie powiedziałeś mi dokładnie — odezwała się — za co zostałeś pozbawiony honoru... Dlaczego skazali cię na bycie *ilinem*, to wiem, lecz dlaczego odebrali ci honor? Jednak nie będę cię zmuszać do odpowiedzi — dodała.

Spuścił oczy, zaciskając ramię w dłoniach, czując kosmyki włosów tańczące po jego twarzy, smagające go po szyi. Zrozumiał, co ona próbuje mu dać, i podniósł wzrok, czując nagłą ulgę.

• To za tchórzostwo — powiedział — ponieważ nie chciałem umrzeć, tak jak tego chciał mój ojciec.

• Tchórzostwo! — Roześmiała się krótko, odrzucając od siebie tę myśl. — Ty? Spleć swoje włosy, Nhi Vanye. Zbyt długo już idziesz tą drogą.

Powiedziała to bardzo ostrożnie, obserwując jego twarz w tak poważnych sprawach nawet *Uyo* nie wypada zabierać głosu. Jednak on odwrócił od niej oczy i skierował je w ciemność, wiedząc, że tak jest istotnie. Nagle, podjąwszy decyzję, wziął ramię w zęby, odgarnął włosy do tyłu, lecz poszkodowana ręka nie chciała odchylić się aż tak daleko. Nie mógł dokończyć dzieła i wyjął ramię pomiędzy zębów z westchnieniem rozczarowania.

• *Livo...*

• Mogłabym, jeśli ręka cię boli.

Spojrzał na nią i serce zamarło w nim na chwilę, lecz po chwili to uczucie minęło. Nikt nie dotyka włosów *uyo*, poza najbliższymi krewnymi i tylko taką kobietą, która pozostaje z nim w intymnym związku.

• Nie jesteśmy krewnymi — zauważył.

• Nie. Jesteśmy dalecy od tego.

Zatem wiedziała, co robi. Przez chwilę próbował znaleźć jakąś odpowiedź, a potem, jakby to nie miało żadnego znaczenia, odwrócił się do niej plecami, pozwalając jej rozpleść własnoręcznie, niezdarnie zapleciony węzeł. Swymi zręcznymi i silnymi palcami zawiązała nowy.

• Myślę, że nie potrafię upleść właściwego warkocza Nhi — powiedziała. — Tylko raz, bardzo dawno temu; uplotłam warkocz Chya.

• Zatem niech będzie Chya.

Pracowała bardzo delikatnie. Schylił głowę w milczeniu, czując coś, co umyka wszelkim słowom. Byli starymi towarzyszami broni, przynajmniej jeśli przykładać ludzką miarę do czasu i przestrzeni. Pomyślał, że wielkim błędem może być to, co pojawiło się między nimi, między *ilinem* a *Uyo*. Obawiał się, że tak jest, jednak słabo zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, czym jest dla Morgaine kri Chya darzyć uczuciem kogoś, kogo łatwo można utracić.

Skończyła, wzięła od niego ramię i obwiązała nim warkocz. Węzeł wojownika wydawał mu się rzeczą znajomą, jednak nie był do niego przyzwyczajony, przypominał mu o Morija w Kurshu, gdzie po raz ostatni mógł go nosić. Uczucie było dziwne. Odwrócił się, napotkał spojrzenie jej oczu, lecz nie opuścił wzroku, jak zrobiłby to przedtem.

— O wielu rzeczach — powiedział — nie rozmawialiśmy z sobą. Nic nie jest łatwe.

— Tak — zgodziła się. — Nic nie jest łatwe.

Odwróciła twarz w ciemność i nagle uświadomił sobie, że na dole zapadła cisza. Umilkł szcęk broni, odległe krzyki, rżenie koni.

Inni uzmysłowili sobie to samo. Merir wstał i obrzucił spojrzeniem równinę, choć było widać zaledwie jakieś niewyraźne kształty. Lellin z Sezarem oparli się o skały próbując coś zobaczyć, a Sezar z pomocą Lellina starał się wychylić ponad brzegiem.

Nagle w oddali rozległ się cienki krzyk; nie był to okrzyk wojenny, lecz zgrozy. Trwał długo, dobiegał to z tej strony widnokregu, to z drugiej. A potem zapadła całkowita cisza.

Na zaciągniętym chmurami niebie pojawiły się pierwsze oznaki wschodu słońca.

*

Jak zwykle, nad Shathanem dzień wstawał powoli. Pierwsze promienie na wschodzie padły na szare chmury, wydobyły niewyraźne kształty usypanych głazów, ruin ogromnych klifów Nehminu i — w oddali — wyłamanych wrót Niższego Rogu. Białe Wzgórze nabrało kształtu wylaniając się z porannej mgiełki i ukazał się pierścień otaczającego ich lasu. Całe pole zasłane było ciałami ludzi, które miejscami tworzyły duże, ciemne plamy. O świcie zbudziło się ptactwo. Kilka przestraszonych koni wałęsało się gdzieś niedzide, dziwnie niespokojnych, bez jeźdźców.

Z całej hordy nie ostał się nikt żywy.

Długo nikt z nich się nie poruszył. Bez szmeru w świetle dnia pojawili się arrha i stanęli, patrząc na ten obraz spustoszenia.

— Harilowie — powiedział Merir. — Ciemny lud musiał dokonać tego dzieła.

Nagle rozległo się granie odległego rogu. Pobiegli wzrokiem na północ na sam skraj bezdrzewnej połaci. Zebrał się tam mały oddział, który zaczął się zbliżać do Nehminu.

— Przybyli — rzekł Lellin. — Przybyli arrhendowie.

— Zadmij w odpowiedzi — nakazał mu Merir i Lellin przytknąwszy róg do ust, zagrał na nim długo i głośno.

W oddali konie zerwały się do galopu. Morgaine stanęła na nogach, wspierając się na „Od-mieńcu”.

— Trzeba nam otworzyć im drogę — powiedziała.

*

Ruiny, rumowisko skał, które niegdyś było Czarnym Rogiem, przedstawiało przerażający widok. Zbliżyli się do niego ostrożnie. Być może arrhendowie pomyśleli o ręcznym przerzucaniu ogromnych skalnych odłamów, gdyż mruknęli coś rozczarowani. Morgaine wysunęła się jednak do przodu, zsiadła z konia i sięgnęła po „Odmieńca”.

Klinga obudziła się do życia, rozsiewając migotliwą poświatę, wciągała głaz po głazie w czeluść otwierającą się u sztychu miecza i usuwała je gdzie indziej. Morgaine nie robiła tego na chybił trafił, lecz w starannie wybranym porządku, tak że niektóre głazy potoczyły za krawędź drogi i spadły. Nawet Vanye z niedowierzaniem zamrugał, kiedy dzieło zostało ukończone, gdyż mózg nie dowierzał świadectwu oczu, gdy ogromne skalne szczątki malały, wirując w czeluści, porywane wichrem. Kiedy wąska droga została oczyszczona, trudno było dać wiarę temu, że coś ją przed chwilą tarasowało.

Przebyli ją z wielką obawą, patrząc nieustannie na zbocze nad głową, bo choć Morgaine starała się je zabezpieczyć, to jednak rumowisko było zbyt ogromne, zbyt świeże, by być go całkowicie pewnym. Wystarczyło im jednak miejsca, by się precyzyjnie. Poniżej, na dolnym odcinku krętej drogi, musieli ostrożnie pokonać je ponownie.

W tym miejscu odbyła się straszliwa rzeź: w chwili, gdy rozpadł się Róg, droga od tego miejsca w dół była zatłoczona Shiua. Miejscami Morgaine musiała torować im przejście w zwałach ciał. Cały czas mieli się na baczności przed jakimiś niedobitkami, przed zasadzką, z nienacka wypuszczoną strzałą lub lawiną, lecz nic takiego im się nie przytrafiło. Od zbroczy Niższego Rogu niesło jedynie samotne

oo^j

echo kopyt ich koni, w miarę jak posuwali się krętą drogą w dół do wylomu w obronnych murach fortecy.

Tego miejsca Vanye najbardziej się obawiał, tak samo jak i oni. Lecz trzeba je było przebyć. Poprzez rozbite wrota prześwitywał dzień. Zbliżyli się do nich i odnaleźli umarłych: zabite konie, Ludzi, khalów trafionych strzałami i takich, których spotkał gorszy los. Bale z rozbitych wrót były rozrzucone, tarasując przejście, a więc musieli zeskoczyć z siodła, gdyż miejsce było niebezpieczne, i przeprowadzić wierzchowce pomiędzy poległymi Shiua.

Znaleźli tam Vis; jej drobne ciało niemal nie wyróżniało się spośród leżących ludzi z bagien, nosiło na sobie ślady licznych ran; obok pierwszych wrót znaleźli Perrin z rozsypanymi wokół głowy białymi włosami. Martwe palce wciąż trzymały łuk. Leżała trafiona strzałą w serce.

Po Rohu jednak nie było ani śladu.

Vanye porzucił wodze swego wierzchowca i szukał pomiędzy poległymi. Nie znalazł nic. Morgaine czekała w milczeniu.

- Znajdę go — błagał, widząc jej gniew i zdając sobie sprawę, że opóźnia ich marsz.
- Tak jak i ja — odparła.

Przedarł się przez martwe ciała i pogruchotane deski. Trzask przerzucanego drewna odbijał się echem od kamiennych ścian. Pomagał mu Lellin i to on odnalazł Roha, u boku frontowych wrót, których jedno skrzydło oparło się o ścianę, jedyne z wszystkich czterech, które jeszcze wisiało na zawiasach.

— On żyje — powiedział Lellin.

Vanye ominął przeszkody i podparłszy skrzydło ramieniem, odsunął je z trzaskiem, który rozszedł się echem. Roh był przysypany szczątkami. Ostrożnie usunęli przygniatające go kawałki drewna, z ramienia sterczał mu bowiem ułomek strzały. Leżał z na pół przymkniętymi powiekami. Kiedy udało im się go wydobyć spod gruzów, Sharrn przyniósł swoją manierkę z wodą, a Vanye obmył mu twarz i dał mu się napić.

Z ciężkim sercem popatrzył na Morgaine, zastanawiając się, czy szukając Roha wyświadczył mu przysługę.

Puściła wolno Siptaha, który przystanął
pomiędzy szczątkami. Obok Rona leżał j] , czując
z ostatnią strzałą. Podniosła je z ziemi i u] J »0kój
j* "SS ^a
N

z wyrazem troski na twarzy, ściskając łuj

Z zewnątrz rozległ się odgłos zbliżaj acyl ła się i oddawszy broń Lellinowi pod opiekę, wysaa wrota na drogę. Nie zrobiła tego z niepokojem, więc Vanye został przy Rohu, podtrzymując mu głowę na kolanach.

To nadciągali arrhendowie, w sporej liczbie. Przynieśli z sobą tchnienie Shathanu. Odziani na zielono jeźdźcy o białych i czarnych włosach, bez śladów walki, przekroczyli próg fortecy, opromienieni światłem dnia, wpadającym poprzez rozłupane wrota. Ściągnęli wodze, by spiesznie oddać cześć Merirowi, przerażeni, że widzą go w takim miejscu, tak znużonego i zrozpaczeni widokiem poległych arrhendów.

• Było nas czternaścioro, gdyśmy tu wyruszali — rzekł Merir. — Dwie bezimienne, Perrin Selehnin, Vis z Ame-landu, Dev z Tirrhendu, Larrel Shillon, Kessun z Obisendu — to nasi nieodżałowani polegli.

- My nie odnieśliśmy żadnej rany, panie, co nas bardzo cieszy.
- A horda? — zapytała Morgaine.

Arrhendowie spojrzeli na nią, a potem na Merira. Wydawali się być zdumieni.

• Panie... oni rzucili się sobie do gardeł. Khalowie walczyli przeciw Ludziom, aż większość poległa. Szaleństwo jednak skończyło się, niektórzy padli od naszych strzał, więcej jeszcze uciekło do Shathanu pośród harilów i tam spotkała ich śmierć. Najwięcej ich jednak padło, gdy walczyli ze sobą.

• Hetharu — wyszeptał nagle Roh dziwnym, suchym głosem. — Kiedy zabrakło Hetharu... Shien, a potem wszystko się rozpadło.

Vanye ścisnął jego dłoń i Roh z trudem go rozpoznał.

— Jak słyszę — dodał cichutko — nie ma już Shiua. To

dobrze.

Mówił w języku Anduru, niewyraźnie, lecz stopniowo wejrzenie jego brązowych oczu zaczęło nabierać ostrości,

oqs

echo kczy na widok Morgaine, która odłączyła się od pozos-w dch i stanęła nad nim.

• Z twoich słów wynika, że zamierzasz przeżyć, Chya Rohu.
• Nawet tego nie udało mi się zrobić dobrze — zakpił Roh, był teraz wyłącznie Chya Rohem, nikim więcej. — Przyjmij moje przeprosiny. Znów jesteśmy tam, gdzieśmy zaczęli.

Morgaine zmarszczyła brew i odwróciwszy się do niego plecami, odeszła.

— Arrhendowie mogą się nim zaopiekować. Nie chcę, by był on w pobliżu arrhów lub Nehminu. Lepiej zabrać go do Shathanu.

Potoczyła wzrokiem po otaczających ją ruinach.

— Będę musiała tutaj wrócić, lecz teraz wolę znaleźć się w puszczy i tam odpocząć.

*

Tym razem ich przeprawa przez Azeroth była łatwiejsza, pomagali im starzy i nowi przyjaciele. Po

raz ostatni rozbili obóz za dwoma rzekami, pod namiotami arrhendów, przy jasno płonących, dających ciepło ogniskach.

Spotkał ich wielki honor, gdyż razem z nimi jechał Merir i Lellin, i Sezar, i Sharrn — nie można było ich odwieść od tej wycieczki; oraz Roh, który jednak przeważnie milczał w samotności, odwracając smutne oczy, unikał wzroku innych. Trzymał się oddzielnie, strzeżony przez dziwnych arrhendów ze wschodniego Shathanu, choć nie zrobił nic wielkiego, a jeszcze mniej mówił i nigdy nie podjął próby ucieczki.

— Ten Chya Roh — wyszeptał Merir tej nocy, gdy niedo bitki ich oddziału dzieliły się wspólnym jadem, wszyscy prócz Roha. — On jest mieszańcem, o tak, kimś więcej, lecz Shathan przyjmie go. Przyjeliśmy nawet kilku Shiua, którzy przybyli do nas, błagając o pokój z puszcza, i którzy czują miłość do zielonej krainy. Czyż ktokolwiek może ją kochać bardziej niż on, który nie wahał się ryzykować dla niej życia?

Rozmawiał z Morgaine i Vanye spojrzął na nią, czując nagłą, bolesną nadzieję, gdyż los Roha zatruwał mu spokój w ciągu ostatnich kilku dni. Lecz Morgaine milczała i w końcu potrząsnęła głową.

- Walczył za nas — powiedział Lellin. — Sezar i ja wstawimy się za nim.
- I ja — dodał Sharrn. — Pani Morgaine, jestem sam wezmę tego Człowieka, a Dev by mnie za to nie zganił, tak jak nie zrobiłby tego ani Larrel, ani Kessun.

Morgaine potrząsnęła głową, choć zrobiła to z wielkim smutkiem.

— Nie rozmawiajmy o tym tej nocy, proszę.

Jednak Vanye odważył się na to, kiedy zostali sami we wspólnym namiocie. Malutka lampka oliwna rozsiewała słabe światło pośród cieni. Nie mógł dostrzec twarzy Morgaine. Opanował ją smutek, milczała, jak to miała w zwyczaju, lecz mimo wszystko odważył się, gdyż niewiele im już zostało czasu.

- Czy myślisz nad słowami Sharrna? Zobaczył zwrócone na siebie jej szare oczy.
- Proszę cię o to — powiedział. — Jeśli to tylko możliwe.
- Nie prosz — jej cichy głos zabrzmiał ostro. — Czyż nie powiedziałam: „Nigdy nie zejść z obranej drogi, by ciebie zadowolić”? Znam tylko jeden kierunek, Vanye. Jeśli tego nie rozumiesz, nie rozumiałeś mnie nigdy.
- Jeśli nie rozumiesz, dlaczego cię proszę, bez wszelkiej nadziei, zatem i ty nigdy mnie nie rozumiałeś.
- Przebacz — poprosiła cichutko. — Rozumiem cię. Musisz być Nhi. Lecz zajmij się nim, a nie swoim honorem. Co powiedziałaś mi o zmaganiach, które toczy? Czy długo wytrwa?

Westchnął i zacisnął dłoń na kolanie, gdyż to była prawda. Przypomniawszy sobie zmienność natury Roha, przerażający mrok, którym zdawała się być okryta jego dusza przez większość czasu. Ognie były bliskie śmierci. Moc Nehminu miała zamrzeć w konkretnym dniu i o konkretnej godzinie, a miało się to stać nazajutrz po południu.

9.97

• Rozkazałam — dodała Morgaine — by strzegące go straże zachowały wyjątkową czujność tej nocy.

- Darowałaś mu życie. Dlaczego?
- Obserwowałam go. I nadal obserwuję.

Nie rozmawiał z nią dotąd o losie Roha, nie poruszył tego tematu ani razu podczas dni spędzanych razem w lasach niedaleko Nehminu, kiedy Roh i Sezar leczyli swoje rany, kiedy odpoczywali, sami poddając się kuracji, w otoczeniu gościnnego, wschodniego Shathanu. Wtedy niemal obudziła się w nim nadzieja na łaskę, był jej niemal pewny.

Kiedy jednak szykowali się do odjazdu, rozkazała, by przyprowadzono Roha do niej pod strażą.

- Chcę mieć cię na oku — powiedziała Rohowi, na co on skłonił się z wielką ironią.
- Nie ulega wątpliwości, że jest coś, czego chcesz znacznie bardziej — odparł Roh, a w jego oczach pojawił się obcy, i ów obcy towarzyszył im przez większą część drogi, aż po minioną noc. Podczas marszruty Roh milczał posepnie, czasami tylko będąc sobą. Być może arrhendowie nie rozumieli w pełni, na czym to polegało. Niewykluczone, że Merir i Sharrn byli jedynymi, którzy dostrzegli tę zmianę. Sharrn dlatego, że wiedział wszystko o tym, kim on był.

• Sądzisz, że nie wiem, jaki ból mu to sprawia? — zapytał gorzko Vanye. — Jednak wierzę, że

wyzwoli się spod wpływu tych swoich nastrojów, choć ty zawsze oczekujesz najgorszego. Na tym polega różnica między nami.

• Nie będziemy wiedzieć, czy mamy wierzyć w to, czy w tamto, póki nie zgasną Ognie — odparła Morgaine. — A nie możemy tutaj czekać tak długo.

— A ty nie chcesz ryzykować.

Zapadło długie milczenie.

— Nigdy — odezwała się w końcu — nie potrafiłam iść bardziej za głosem serca niż głowy. Ty jesteś moją lepszą połową, Vanye. Wszystkim, czym ja nie jestem, jesteś ty. Kiedy przyszło mi się z tym zmierzyć... Jesteś jedyny, no cóż, brakowało mi ciebie. Jednak dużo nad tym myślałam... Gdybym skrzywdziła tego człowieka, ty byś mnie znenawił dził i w końcu odszedłbyś ode mnie. Robisz zawsze to, co uważasz za prawe, i ja muszę postępować tak samo, będąc tobą z serca, a sobą w rozumie. Nie wiem, które z nas ma rację, jednak nie mogę sobie pozwolić na to, by rządziły mną kaprysy; ja muszę postępować właściwie. Nie obawiam się tego, co Roh może zrobić. Kiedy zgasną Ognie, mam nadzieję... mam nadzieję, że on będzie bezsilny.

„Wiem, co zapisano w runach na tej klindze” — powiedział kiedyś Roh. — „Znam ich treść.”

Słowa te zakłótały w jego głowie, zapamiętane pomimo bólu i oszołomienia wywołanego akilem. Vanye poczuł chłód w sercu. Niewiele z tego, co go wtedy spotkało, pozostało w jego pamięci, lecz to sobie przypominał.

— On wie więcej — odezwał się ochrypłym głosem. — Zna przynajmniej część wiedzy zakłetej w „Odmieńcu”.

Przez chwilę patrzyła na niego smutno, uważnie, a potem spuściła głowę, zaczęła mamrotać to samo, pojedyncze słowo w jej własnym, zapomnianym języku.

— Zabiłem go — stwierdził Vanye. — Mówiąc ci o tym, zabiłem go, nieprawdaż?

Dużo czasu upłynęło, zanim znów spojrzała na niego.

• Honor Nhi — powiedziała.
• Nie sądzę, bym po tym spał dobrze.
• I ty słyszysz czemuś, co silniejsze jest od ciebie.
• To bezwzględny towarzysz, taki sam, jak ten, któremu ty służysz. Być może to dlatego zawsze cię rozumiałem. Błagam tylko, trzymaj „Odmieńca” z dala od niego. Ja uczynię to, co niezbędne. Uczynię to, jeśli nie będzie cię można wzruszyć.

• Nie mogę się na to zgodzić.

— W tym, *liyo*, nie dbam, czego ty chcesz, a czego nie.

Złożyła ręce i oparła na nich głowę.

Plomyczek lampki oliwnej wypalił się do końca. Póki trwał jeszcze, nie mogli zasnąć, ogarniały ich tylko płytkie drzemki. Dopiero gdy zapadła ciemność, Vanye pogrążył się w głębokim śnie, nie zauważwszy nawet, że wciąż siedzi z głową opartą na ręce.

Wstali późnym rankiem. Arrhendowie nie śpieszyli się z budzeniem ich, lecz kiedy wyszli z namiotu, czekało już na nich śniadanie. Morgaine miała na sobie białe szaty, a Vanye odzienie dostarczone przez arrhendow. Roh nie przysiadł się do nich, nie chciał nawet nic jeść, choć jego strażnicy podali mu śniadanie i próbowali go do niego namówić. Tylko napił się odrobinę i usiadł z głową wspartą na dłoni.

• Zabierzemy z sobą Roha — powiedziała Morgaine do Merira i innych, kiedy uporali się ze śniadaniem. — Tutaj rozchodzą się nasze drogi, jednak Roh musi udać się z nami.

• Jak sobie życzysz — przystał na to Merir — lecz my odprowadzimy was aż do Ognia.
• Lepiej, byśmy ten ostatni dzień spędzili w samotności. Wracajcie, panie. Przekażcie nasze pozdrowienia do Mirrin-du i Carrhendu. Powiedzcie, dlaczego nie mogliśmy wrócić.

• Jest u was chłopiec imieniem Sin z Mirrindu, który chce zostać khemeisem — odezwał się Vanye.

• Znamy go — powiedział Sharn.

• Uczcie go — poprosił Vanye starego aħala. Ujrzał tęsknotę w szarych oczach starca.

• Dobrze — zgodził się Sharn. — Będę go uczył. Ognie zgasną, jednak arrhendowie muszą pozostać.

Vanye skinął głową zadowolony.

— Pojechalibyśmy z wami — zabrał głos Lellin. — Sezar i ja. Nie tylko do Ognia, ale i poprzez nie. Trudno przysłoby opuścić naszą puszczy, jeszcze trudniej arrhendow... ale...

Morgaine spojrzała na niego, a potem na widok bólu Merira potrzęsła głową.

— Wasze miejsce jest tutaj. Shathan wymaga waszej opieki, źle byłoby go tak opuszczać. Tam, dokąd zdążamy... No cóż, dostaliśmy od was wszystko, co potrzebne, a nawet więcej, niż moglibyśmy o to poprosić. Powiedzie nam się, Vanye i mnie.

A Roh? Pytanie to mignęło w oczach otaczających ich arrhendow i wszystkich ogarnął smutek. Wydawało się, że zaczynają rozumieć. Zapadło milczenie.

— Lepiej będzie, gdy wyruszymy natychmiast — stwierdziła Morgaine. Zdjęła z szyi łańcuch ze złotym medalionem i oddała go w ręce Merira. — To był szczodry podarunek, panie.

- Tego, kto go nosił, nie zapomnimy nigdy.
- Nie prosimy o wybaczenie, lecz są rzeczy, których bardzo żałujemy.
- Nie troskaj się, pani. Pieśni opowiedzą, dlaczego do tego doszło, ty i twój khemeis będziecie czczeni w naszych pieśniach, póki choć jeden arrhend będzie je mógł śpiewać.
- I to jest kolejny szczodry dar, panie.
- Merir pochylił głowę w ukłonie i położył dłoń na ramieniu Vanye.
- Khemeisie, kiedy będziesz gotował się do drogi, osiodłaj tę siwą klacz. Żaden z naszych koni nie może dotrzymać kroku ogierowi, tylko ona.
- Panie — powiedział wżruszony i smutny zarazem. — Ona należy do ciebie.
- To prawnuczka klaczy, która należała do mnie, khemeisie, cenię ją jak skarb i dlatego oddaję ją tobie. Wiem, że będziesz ją kochał i dbał o nią. Siodło i uzda są jej. Na imię ma Arrhan. Niech służy ci długo i szczęśliwie. I jeszcze to. Merir wcisnął mu w dłoń puzderko z klejnotem arrhów. — Wszystkie umrą w tej krainie wraz z gasnącymi Ogniami. Za pozwoleniem twej pani, daruję ci go... Nie jest to broń, lecz będzie cię chronić, wskazywać drogę, gdybyście kiedykolwiek zostali rozdzieleni.

Popatrzył na Morgaine, która skinęła głową, zadowolona.

- Panie — wykrztusił Vanye i ukląkłby, chcąc podziękować, lecz starzec mu w tym przeszkodził.
- Nie. To my oddajemy cześć tobie, khemeisie. Nie będę już długo żył, lecz nawet kiedy w proch obróca się nasze dzieci, ty, twoja pani i mój dar będziecie odbywać wędrówkę. Myśl o tym, że o mnie pamiętacie, umili godzinę mojej śmierci.
- Nigdy nie zapomnimy o tobie, panie.

Merir skinął głową i zwrócił się do swoich arrhendów, by zwinęli obozowisko.

*

Wyruszyli przygotowani starannie, uzbrojeni częściowo we własną broń, a częściowo w otrzymaną od arrhendów. Każde z nich dostało dobry łuk i kołczan pełen strzał o brązowych piórach. Jedyne Roh wyruszał nie uzbrojony. Morgaine przywiesiła jego łuk — ze zdjętą cięciwą — do swego siodła, a Vanye miał jego miecz.

Wydawało się, że Roh nie był ani odrobinę zaskoczony dowiedziawszy się, że musi wyruszyć razem z nimi. Złożył im ceremonialny ukłon i dosiadł gniedego wierzchowca, który podarowali mu arrhendowie. Widać było, że porusza się z trudem, oszczędzał lewą rękę, starając się robić wszystko prawą, nawet wsiadając na siodło.

Vanye wskoczył na siwą Arrhan i ściągnąwszy wodze, łagodnie ustawił ją obok wierzchowca Morgaine.

- Żegnajcie — powiedział Merir.
- Żegnajcie — odpowiedzieli chórem.
- Żegnajcie — rzekł do nich Lellin i razem z Sezarem pierwsi odwrócili się od nich, potem uczynił to Merir. Lecz Sharn ociągał się.
- Żegnajcie — zwrócił się do nich i po raz ostatni popatrzył na Roha. — Chya Rohu...
- Jeśli pozwolicie — odezwał się Roh; były to pierwsze słowa, które tego dnia wypowiedział. — Dzięki ci, Sharnie Thiallinie.

I wtedy Sharn opuścił ich, a wraz z nim pozostali arrhendowie klusem ruszyli na północ.

Morgaine skierowała Siptaha na południe, nie śpiesząc się, gdyż Ogień miały zgasnąć dopiero, gdy zapadnie noc. Mieli cały dzień na pokonanie niewielkiej odległości.

Roh i Vanye od czasu do czasu spoglądali za siebie, dopóki arrhendowie nie zniknęli w oddali, zalani słonecznym światłem tak, że nawet wzbijana kopytami kurzawa rozplynęła się w powietrzu.

Nikt z nich nie powiedział ani słowa.

— Wy nie macie zamiaru dopuścić — przerwał milczenie Roh — bym wkroczył w progi Bram.

— Nie — przyznała Morgaine.

Roh wolno pokiwał głową.

— Czekam — dodała — byś coś o tym powiedział.

Roh wzruszył ramionami i przez chwilę nie udzielił żadnej odpowiedzi, lecz choć panował nad sobą, na jego twarzy pojawiły się kropelki potu.

- Od dawna jesteśmy wrogami, Morgaine kri Chya. Dlaczego? Tego nigdy nie mogłem zrozumieć. Dopiero ostatnio, dopiero w Nehminie. Przynajmniej wiem, do czego zmierzasz, i to mnie nieco uspokaja. Zdziwiał mnie jednakże, dlaczego nalegałaś, bym aż tak długo przeżył. Czy nie możesz się zdecydować? Nie wierzę, byś zmieniła swe zamiary.

- Powiedziałaś ci, że brzydzę się morderstwem.

Roh roześmiał się tak, że aż w tył odrzucił głowę, mrużąc w słońcu powieki. Kiedy ponownie na nich spojrzał, wciąż się uśmiechał.

— Dzięki ci — odparł ochryple. — To zależy ode mnie, nieprawdaż? Czekasz, bym sam zdecydował, to oczywiste.

Od dawna żyjąc tą nadzieją, prosiłaś Vanye, by niósł mój Miecz Honoru. Jeśli dasz mi go, myślę że — z dała od Bra my — będę miał siłę, by skorzystać z twego daru. Jednak tam, gdybyś zaprowadziła mnie blisko tego miejsca, nie jestem pewny, co mógłbym zrobić. Tam znajdują się rzeczy, o których wołałbym nie pamiętać.

Morgaine ściągnęła wodze i zatrzymała ogiera. Dookoła nich była tylko trawa. Nie widać było ani Bramy, ani puszczy, ani śladu żywej istoty. Roh miał bardzo bladą twarz. Morgaine podała mu jego Miecz Honoru o rękojeści z kości. Odebrał ją od niej, ucałował ostrze i wsunął do pochwy; oddała mu jego łuk i jego jedyną ocalałą strzałę, a potem skinęła na Vanye.

— Oddaj mu jego miecz.

Vanye uczynił to i z ulgą stwierdził, że obcy zniknął i razem z nimi został tylko Roh, jedynie w rysach jego twarzy pojawił się wyraz łagodnego żalu.

— Nie będę zwracała się do niego wprost — powiedziała Morgaine za plecami Roha. — Moja twarz budzi w nim inne wspomnienia i niewykluczone, że lepiej będzie, by jak najmniej ją oglądał w tej chwili. Zapamiętałe mnie unikał. Lecz czy ty go znasz, Vanye?

- Tak, *liyo*. Jest sobą; był sobą bardziej, niż w to wierzyłaś.

- Jedynie z tobą... w Shathanie, i z ogromnym trudem... teraz. Jestem dla niego najgorszym towarzyszem z możliwych; jestem jedynym wspólnym wrogiem Roha i Liella. On nie może jechać razem z nami. Chya Rohu, wiesz, że pozostawiony tutaj, możesz okazać się śmiertelnie groźny; wszystkie moje czyny będą ciążyć na twojej woli, by zapanować nad twoją dwoistą naturą. Możesz na tej ziemi ponownie obudzić Ognie do życia, zniszczyć wszystko, czego dokonaliśmy, sprowadzić na nas nieszczęście i zburzyć tę krainę.

Potrząsnął głową.

- Nie. Bardzo w to wątpię, bym był zdolny do czegoś takiego.

- Czy to prawda, Chya Rohu?

- Prawdą jest, że nie wiem tego. Istnieje cień szansy.

- Zatem daję ci wybór, Chya Rohu: mając siłę, by zakończyć swe życie, zrób to, jeśli sądzisz, iż tak jest bezpieczniej i dla ciebie, i dla Shathanu, lecz jeśli wybierzesz... jeśli przez resztę swych lat będziesz dostatecznie silny... wybierz Shathan.

Cofnął swego konia i spojrzał na nią, wstrząśnięty po raz pierwszy, na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Nie wierzę, byś mogła mi to ofiarować.

- Razem z Vanye możemy stąd szybko osiągnąć Bramę; zaczekamy tutaj, dopóki nie znikniesz za widnokregiem — wtedy popędzimy galopem jak wicher i staniemy u Bramy przed tobą. Tam zaczekamy, by upewnić się, że nie jedziesz za nami — to wyeliminuje tę możliwość; lecz tę drugą możliwość musi wykluczyć sam Chya Roh. Teraz będę wiedzieć, kto dokonuje wyboru: Roh nigdy by nie pragnął skrzywdzić tej ziemi.

Przez dłuższą chwilę Roh milczał, pochyliwszy głowę, zacisnąwszy dłonie na mieczu i długim łuku Chya, który leżał w poprzek siodła.

- Przypuśćmy, że jestem dość silny? — zapytał.

- Zatem Sharrn uraduje się, gdy ujrzy cię za sobą — powiedziała Morgaine. — A ja i Vanye będziemy zazdrościć ci tego wygnania.

Twarz Roha rozjaśniła się, nagłym ruchem ściągnął wodze, zawrócił wierzchowca i odjechał, lecz

nagle zatrzymał się i zawrócił. Złożył ukłon Morgaine i zbliżywszy się do Vanye, pochylił się w siodle i chwycił go w objęcia. W jego oczach zalsniły łzy. To był tylko i wyłącznie Roh. Vanye płakał; w takiej chwili łzy nie hańbiły wojownika.

Palce Roha dotknęły jego karku, na którym spoczywał teraz węzeł wojownika.

• Warkocz Chya rzekł Roh. — Odzyskałeś honor, Nhi VanyeTChya — ciesz się mnie to — i zwróciłeś mi mój. Nie zazdroszczę ci twej drogi. Dzięki ci, kuzynie, za wszystko.

• Nie będzie ci łatwo.

• Przysięgam ci — odparł Roh — że dotrzymam przyrzeczenia.

Odjechał. Rozdzieliła ich odległość i światło. Siptah przystanął obok Arrhan.

• Dzięki — powiedział Vanye.

• Boję się — wyznała Morgaine spokojnym głosem. — Zrobiłam to pod wpływem współczucia, czego nigdy nie robię.

• Nie skrzywdzi Shathanu.

• Związałam arrhów przysięgą, że podczas jego pobytu w tej krainie nie zaprzestaną strzec Nehminu.

Spojrzał na nią, rozczarowany, że trzymała to przed nim w sekrecie.

• Nawet w litości — stwierdziła — kieruję się wyrachowaniem. Znasz mnie przecież.

• Znam.

Roh zniknął im z oczu za widnokregiem. - Chodź — powiedziała wtedy do niego. Zawrócił Arrhan i ścisnął ją obcasami, gdy Siptah poderwał się do galopu. Złote łodygi traw tylko migwały pod kopytami koni.

Wkrótce ujrzeli przed sobą Bramę jarzącą się w świetle dnia opalowym ogniem.

Epilog

Była późna wiosna. Zielona trawa, która pokrywała całą równinę Azeroth, gdzieś usiana była białymi i złotymi kwiatami.

Arrhendowie nie przywykli do przebywania w tym miejscu.

Minęły już cztery dni, od kiedy dwóch z nich opuściło Shathan. Dookoła rozciągała się płaska i pusta kraina, nawet puszcza ukryła się za horyzontem. Opanowało ich dziwne uczucie nagości w obliczu wiosennego słońca.

Uczucie samotności zwiększyło się, gdy przed ich oczyma pojawiło się to, czego szukali.

Nad równiną dominowała posępna i nienaturalna Brama. Kiedy zbliżyli się do niej, kopyta końskie zadźwięczały na kamieniach ukrytych w trawie, glucho uderzyły w leżące tam drewniane, przeważnie przegniłe szczątki — pozostałości po ogromnym obozie, który kiedyś tutaj rozbito.

Ściągnęli wodze niemal tuż pod Bramą, na plamie słońca, którą wymalowały promienie przeświecające pod pustym sklepieniem. Nadgryzł je żąb czasu, jeden z wielkich kamiennych odłamów stał przechylony, choć upłynęło tak niewiele lat. Na widok tak szybko postępującej ruiny przebiegł im dreszcz po plecach.

Jeden jeździec — khemeis — zeskoczył z siodła. Był to niewielki człowiek, jego czarne włosy przetykane były gęsto siwizną. Jeden z jego palców zdobił żelazny pierścień. Zajrzał w głąb Bramy, przez którą widać było jedynie więcej traw i kwiatów. Podziwiał ten widok, dopóki nie stanął za jego plecami arrhend i nie położył mu ręki na ramieniu.

— Jak tutaj było? — zastanawiał się głośno Sin. — El-lurze, co można było zobaczyć za tą Bramą, kiedy była ona początkiem drogi?

Qhał nie znał odpowiedzi. Patrzył. Jego szare oczy zdradzały, że jest głęboko zamyślony. W końcu dotknął ręki

Sina i zawrócił. Przy siodle khemeisa przywieszony był długi łuk. Ellur odwiązał go i przyniósł mu go

Sin ujął stary łuk, z szacunkiem obchodząc się z ciemnym, obcym drzewem, którego nikt w Shathanie tak by nie ukształtował, i z wielką ostrożnością naciągnął cięciwę. Nie był pewny, czy jest on jeszcze na tyle mocny, by można było z niego strzelać -- upłynęło dużo czasu, od kiedy jego właściciel miał go w swych rękach. Mieli przy sobie tylko jedną strzałę, o zielonych piórkach, i to ją właśnie Sin nałożył na cięciwę i naciągnął łuk, mierząc prosto w słońce.

Strzała poleciała, ginąc im z oczu.

Zdjął cięciwę i położył łuk pod sklepieniem Bramy. A potem cofnął się i spojrzał przez nią po raz ostatni.

- Jedźmy — powiedział Ellur. — Nie smuć się, Sinie, stary łucznik nie życzyłby sobie tego.

— Nie jest mi smutno — odpowiedział, choć zapiekły go oczy i musiał obetrzeć je dłonią.

Odwrócił się i wspiął się na siodło, by zostawić to miejsce za plecami. Przyłączył się do niego Ellur. Za cztery dni mieli bezpiecznie znaleźć się w cieniu puszczy.

Ellur tylko raz obejrzał się za siebie, lecz Sin tego nie zrobił. Jechał, ściskając w dłoni żelazny pierścień i, patrzył prosto przed siebie.

r

BIBLIOTEKA REBISU OFERTA SPRZEDAŻY WYSYŁKOWEJ

Pragnąc ułatwić Państwu zakup książek, wprowadzamy nową atrakcyjną formę sprzedaży: sprzedaż wysyłkową.

OFERUJEMY

- dostarczanie nowości równocześnie z ich ukazaniem się na rynku
- subskrypcję na wybrane serie wydawnicze i wybranych autorów
- nieosiągalne już na rynku pozycje z lat ubiegłych po starych cenach
- pełną informację o nowych tytułach i planach wydawniczych
- DLA KAŻDEGO KLIENTA ATRAKCYJNE ZNIŻKI OD 5% DO 20% CENY DETALICZNEJ
- dla stałych Klientów wydawnictwa przewidujemy liczne nagrody, m.in. bezpłatną wysyłkę, premiowanie przedpłaty, gratisy

Zamówione przez Państwa książki zostaną dostarczone do domu.

Wszystkich zainteresowanych tą formą zakupu prosimy o przesłanie na kartkach pocztowych zgłoszenia według przedstawionego wzoru pod adresem:

Księgarnia Wysyłkowa FAKTOR 02-600 Warszawa 13 skr. pocztowa

77

Informujemy, że Księgarnia Wysyłkowa FAKTOR realizuje wysyłkę w imieniu Domu Wydawniczego REBIS.